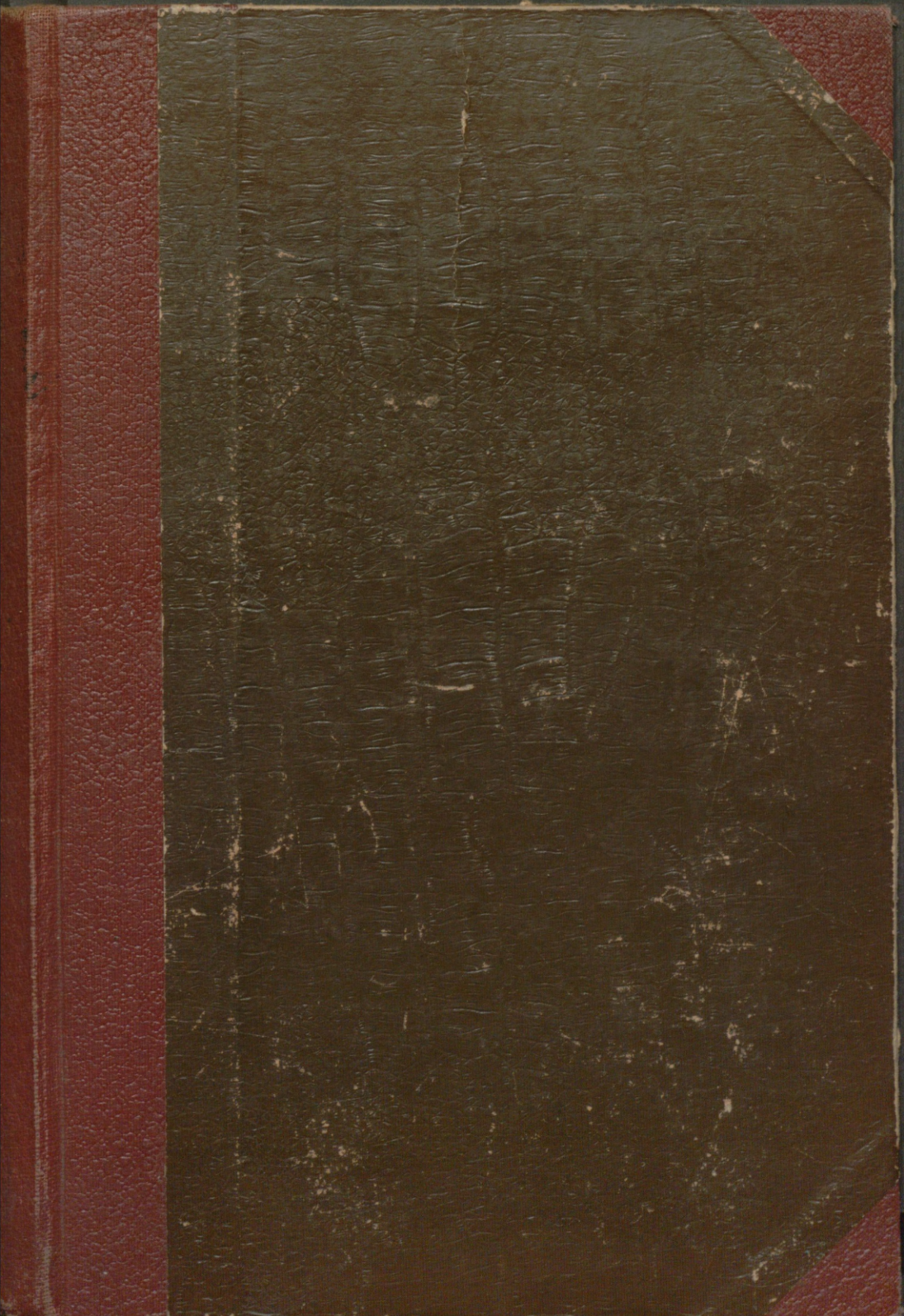
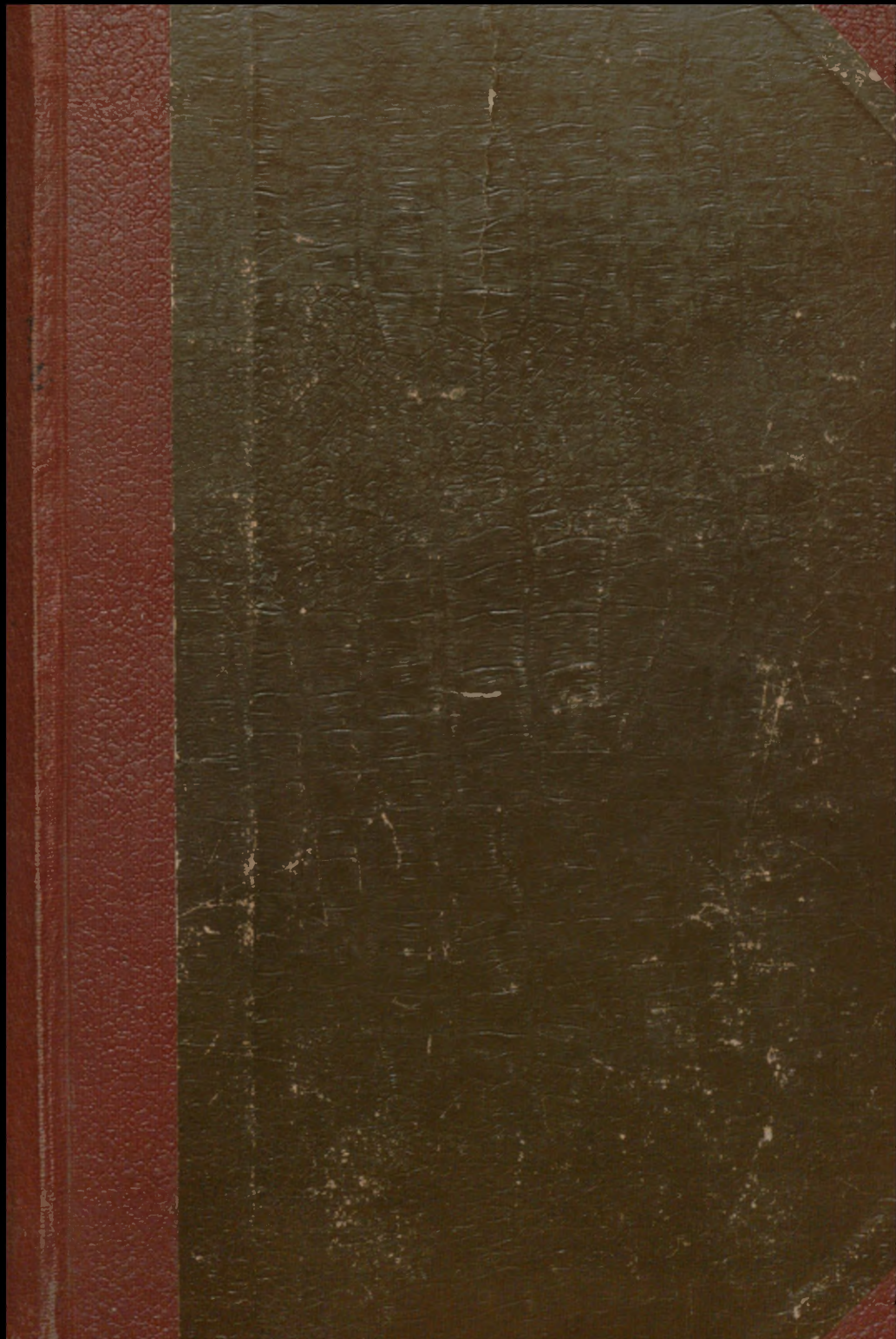


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





**Kilka myśli  
o wychowaniu  
w rodzinie.**

# Kilka myśli o wychowaniu w rodzinie

napisała

**C. Plater-Zyberkówna.**



1903



**Warszawa.**

Druk Piotra Laskauera i S-ki.

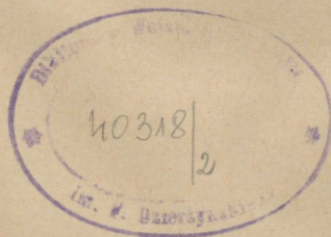
---

---

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ  
Варшава. 15 января 1903 года.

---

---



## TREŚĆ ROZDZIAŁÓW TOMU PIERWSZEGO.

Do matek i wychowawczyń.

### ROZDZIAŁ I.

#### *Nowe prądy i wychowanie.*

- I. Gdzie źródło spaczonych zasad o wychowaniu? Pozytywizm rujnuje wiarę i moralność. Zasady antychrześcijańskie, maskując się pozorem sprawiedliwości, porywają młodych i starszych. Ogólne pomącenie pojęć.
- II. Postulaty wychowawcze filozofii pozytywnej. Prawa dziecka i ucznia. Zniesienie obowiązku posłuszeństwa i wdzięczności. Burszowanie młodzian uzasadnione. Najnowszy kierunek w wychowaniu panien. Kult nagości i kształtu uprawniony. Wolna miłość celem dążeń.
- III. Skutki zasad pozytywnych w wychowaniu. Jaka jest dzisiejsza młodzież? Świadczenia kompetentnych. Dane statystyczne.
- IV. Jaka jest zasada wiary w kwestyach omawianych: o przeznaczeniu człowieka, o winie pierwotnej? Prawo Boże w stosunku do przyrody i człowieka.
- V. Program postępowania. Zwrot do dogmatu. Względna przysługa, jaką pozytywizm oddaje wychowaniu. Obowiązek korzystania z każdego światła. Rozumny eklektyzm.

### ROZDZIAŁ II.

#### *Dziecko.*

Ważność dobrego wychowania. Pogląd światowy wielu matek na dziecko i wiek dziecienny. Natura uczuć macierzyńskich. Czy nauka pe-

## VI

dagogii jest niezbędną i komu zwłaszcza potrzebną? Pogląd chrześcijański na istotę dziecka. Chrystus uczy czem jest dziecko. Wychowanie szkołą doskonalenia się matek. Wrażliwość dziecka. Dziecko skłonne do naśladownictwa — i co stąd wynika?

### ROZDZIAŁ III.

#### *O trzech głównych zadaniach wychowania przedszkolnego.*

- I. Strzedz dziecko moralnie i fizycznie. Przyczyny, dla których dzieci moralnie się psują. 1) Niesumienne bony. 2) Niedozór matki. 3) Towarzystwo dzieci niedobrze wychowanych. Wpływ lat dziecinnych na wiek późniejszy. Lata dziecinnie Mickiewicza. Indywidualność dziecka dająca się kierować, uszlachetniać — nigdy zatrzeć. Moralność źródłem zdrowia.
- II. Wdrażać w dobre nawyki. Dziecko podatne do kierunku. Nawyknienie powinno uprzedzać zasadę. O nałogu.
- III. Strzedz dziecko od pojęć fałszywych. Zalety wymagane od bony. Jej stopień wykształcenia. Lepiej mniej dzieci rozwijać niż zbyt wiele. Przykład dawania dzieciom pojęć fałszywych: „wybijmy stół”. Skutki fałszowania sądu dziecka.

### ROZDZIAŁ IV.

#### *Religia podwaliną wychowania.*

Wiara tłumaczy cel i zadanie życia. Religia podaje środki dopięcia tego celu. Tłumaczy zasadę wszystkiego, czego wymaga wychowanie. Religia w wychowaniu dodatkiem być nie może. Jest przystępną dla małych dzieci. Kiedy zacząć uczyć katechizmu? Jak wdrażać dzieci do pobożności? Co przystępne dla dzieci w nauce wiary a co nie przystępne? Jakiej modlitwy wymagać od dzieci? Nie należy nużyć dziecka praktykami nadobowiązkowymi. Rachunek sumienia dziecka. Niebezpieczeństwo przesytu pobożności. Pierwsza spowiedź i pierwsza komunia.

### ROZDZIAŁ V.

#### *O nauce katechizmu.*

Wyjątek z listu pasterskiego ks. arcybiskupa Bilczewskiego o uczeniu dzieci katechizmu. Ważność tej nauki. Komu ona jest potrzebną? Najpierw dzieciom. Nieznajomość religii prowadzi do zbrodni. Nauka religii niezbędna dorosłym. Broni od fałszywej pobożności. Ważność uczenia katechizmu po wsiach. Napoleon I nauczycielem katechizmu.

## ROZDZIAŁ VI.

*O przedszkolnem kształceniu dzieci. — O metodzie poglądowej nauczania.*

Bakon twórcą metody poglądowej, jego charakter i dzieje. Zasługi Bakona. Komeniusz stosuje myśli Bakona, kształci na okazach. Feuerlein dodaje pewne ulepszenia metodzie Rousseau'a—zwraca człowieka do natury. Jego system wychowawczy, wyłożony w Emil'u. Pestalozzi udoskonala myśli i próby swych poprzedników. Wychowanie bezreligijne Pestalozzi'ego wpływa na jego poglądy i zasady wychowawcze. Wychowuje według tych zasad własnego syna. Smutny jego koniec. Pestalozzi powierza swemu wnukowi kierunek instytutu w Iverdun. Upadek tego instytutu wskutek niesumienności kierowników a niesubordynacyi uczni. Szmidt ratuje zakład. Ostateczny upadek instytutu i śmierć Pestalozzi'ego. Pamiętnik młodzieńca samobójcy. W czym zasługa Pestalozzi'ego? Obraz stanu oświaty Szwajcarów za czasów Pestalozzi'ego. Rousseau usiłuje dokonać w świecie przewrotu przez rewolucyę, Pestalozzi przez wychowanie. Metoda tego mistrza. Nauka o rzeczach. Niewolnicze zastosowanie systemu prowadzi do oglupienia. Początek pogadank naukowych. Postępy dokonane w ostatnich czasach w metodzie poglądowej nauczania. Wyższość metody poglądowej nad abstrakcyjne uczenie, pod warunkiem, że będzie intelligentnie stosowana.

*O metodzie Fröbla.*

Sprzeczne zdania o metodzie Fröbla. Zasługa pedagogiczna Fröbla. Fröbel dobrym pedagogiem być nie mógł. Zasady i poglądy Fröbla. Dary Fröbla. Stopniowanie robótek. Fröbel uczy na okazach, wymaga związku między nauką, robotą a zabawą. Trudność stąd wynikająca dla nauczycielki a skrepowanie dla dziecka. Szkodliwe konsekwencye metody Fröbla. Uczy dziecko racjonalizmu i materyalizmu. Wysila umysł zbyt znacznie. Niezbędny eklektyzm. Zasada Fröbla stosowana w ochronach.

*O rozwijaniu dzieci.*

Rozwój dziecka porównany z rozwojem rośliny. Praca ogrodnika i wychowawcy. Czem jest rozwój umysłu? Granice rozwijania. Niebezpieczeństwo uczenia przez *wykonywanie* lekcyi. Nie należy myśleć za ucznia. Szkodliwość korepetycyi. Pokarm żołądka przyrównany do pokarmu umysłu. W czym ulga się należy uczniom? Najszlachetniejszy motor rozwoju: miłość dobra i prawdy. Niższy stopień: ciekawość. Gorące serce i cierpienie, czynnikami rozwoju.

## VIII

### ROZDZIAŁ VII.

#### *O kształceniu charakteru dziecka.*

Starania ogrodnika około drzewka wzorem dla wychowawcy. Znać i rozumieć dziecko najpierwszem zadaniem wychowawcy. Czem jest indywidualność? Celowość i siła indywidualności. Nie każdy objaw indywidualności zasługuje na uwzględnienie. Indywidualność potrzebuje być kierowaną. Złe skutki schlebiania wszelkim indywidualnym przejawom. Nie jest dość znać i rozumieć dziecko, trzeba jeszcze je kochać, ale kochać rozumnie. Zadaniem wychowania urobić charakter dziecka: podwaliną w tej pracy dawać dziecku dobre zasady. Prostota niezbędna w wychowaniu.

### ROZDZIAŁ VIII.

#### *I. Kształcenie zasady. — O kształceniu dzieci w prawości.*

Porównanie: różnorodność gruntów i charakterów. Prawość fundamentem charakteru. Czem jest człowiek pozbawiony prawości? Matka najpierwszym wzorem i nauczycielką prawości. Jak odpowiadać dzieciom na ich zapytania? Atmosfera prawdy otaczać powinna dziecko od kolebki. Przykład: Zosia ukarana za kłamstwo. Miłość własna wróg prawości: sprawiedliwą być nie może. Stosunek ze światem uczy obłudy. Bony uczą dzieci kłamstwa. Niebezpieczeństwo sfalszowania sumienia. Nieprawość jako zło wewnętrzne, największem złem. Porównanie o szczepieniu. Kto kocha prawdę, ten kocha Boga. Prawość ugruntowana w charakterze, najdroższą spuścizną rodzicielską.

### ROZDZIAŁ IX.

#### *II. O kształceniu woli. — Miękkosć źródłem choroby woli.*

Przyczyna braku ludzi sposobnych do czynu. Miękkoscią trwonią się zalety najbardziej drogie. Miękkosć cechą obecnego wychowania. Starsi stosują się do dzieci, a nie uczą je stosować się do starszych. Barbarzyńcy zawstydzają naszych wychowawców. Wychowanie obecne zaniedbuje kształcić wolę, czego wynikiem: choroba woli. Sposób kształcenia woli. Matka i wychowawczynie powinny nadewszystko wykształcić w sobie hart i wolę, następnie pracować nad dzieckiem, a głównie nauczyć dziecko pracy nad sobą. Należy wykształcić w dziecku odporność względem zła. Narody są uleczalne.

## IX

### ROZDZIAŁ X.

#### *O posłuszeństwie.*

Posłuszeństwo najpierwszą gimnastyką kształcenia woli dziecka. Najnowsze poglądy na zasadę posłuszeństwa. Jaka jest chrześcijańska zasada posłuszeństwa i zwierzchności? Czem jest rygor? Jaki rygor i gdzie obowiązuje? Czy każdy rygor jest dobry? Jaka wolność komu przysługuje? Przesada osób trzymających dzieci jakgdyby w powijaku. Prawidła rozkazowania. Wadliwość rozkazów dawanych przeczeniem. Względna swoboda, niezbędna dziecku. Skutki tłómaczenia dzieciom przyczyny rozkazów. Smutne następstwa rozluźnienia węzłów karności. Niekonsekwencya wrogów posłuszeństwa i karności.

### ROZDZIAŁ XI.

#### *III. O kształceniu serca.*

Ważność kształcenia serca. Gdzie zasada tego kształcenia. Egoizm cechą obecnych pokoleń. Świat i rodzice kształcą w egoizmie. Zatrącenie poczucia wdzięczności. Wdzięczność cechą szlachetną charakteru. Względem kogo wdzięczność obowiązuje? Przykład. O bezinteresowności. Brak serca wielu dzieci. Jak kształcić dziecko w miłości bliźniego a jego serce rozwijać? Odwiedzanie ubogich chorych i nieszczęśliwych. Szkoda jaką wyrządzamy dzieciom, zasłaniając przed nimi wszelkie cierpienie. Pogląd chrześcijański na życie powinien nam w wychowaniu wciąż przewodniczyć.

*O kształceniu umysłu oraz o kształceniu w estetyce, mówić się będzie w tomie II niniejszej pracy.*

### ROZDZIAŁ XII.

#### *Praktyka zaparcia i pokory w wychowaniu.*

Pogląd świata na cel życia i na jego prawa. Przeciwiństwo poglądu Chrystusa i świata. Jakie zaparcie jest obowiązkiem każdego chrześcijanina? Praktyka zaparcia. Dodatnie i ujemne strony wszystkiego co istnieje i zdarzyć się może. Nadczołość i skłonność pesymistyczna wielu osób. O narzekaniu. Zaparcie najbardziej potrzebne kobiecie. Zasada zaparcia zastosowana w wychowaniu. Jak wprawiać dzieci w cnotę zaparcia? Fałszywy sposób ćwiczenia dzieci w zaparciu. Kiedy wymagać od dziecka ofiary i zaparcia? Uczyć można starsze dzieci dobrowolnego umartwiania się i przelamywania własnych zachcianek. Cnota, która jest mocą nad własnymi namiętnościami, łatwą być nie może. Zasada pokory w wychowaniu. Pokora cnotą najmniej zrozumianą. Sąd świata o pokorze. Pokora jest prawdą. Charakterystyka człowieka nie pokornego. Pokora szczytem prawdziwej godności i zasługi, fundamentem wszelkiej cnoty. Jak wyteplić

w dziecku próżność, chęlniwość, a jak rozwijać w niem pokorę? Jaka ambicja jest dobrą, a jaka naganną? Próżność największą nicością i poniżeniem. Im wyższe stanowisko, tem wyższy stopień cnoty niezbędny. Rodzice zamężni najstaranniej kształcić powinni swe dzieci w zasadzie pokory i miłości chrześcijańskiej.

### ROZDZIAŁ XIII.

#### *O wyborze nauczycieli. — Obowiązki wychowawców.*

Zalety powszechnie wymagane od nauczycieli i wychowawców. Poszukujmy nadewszystko zalet moralnych. Trudność wyboru, zwłaszcza gdy chodzi o cudzoziemki. Jakim pedagogom powierzamy nieraz swe dzieci? Przykład. Konsekwencye. Wpływ destrukcyjny niegodziwych nauczycieli i nauczycielek. Zasady niereligijne i niemoralne wielu tegoczesnych wychowawców: taktyka ich postępowania. Staranny wybór wychowawcy nie uwalnia rodziców od obowiązku czuwania. Jednomyslność między rodzicami a wychowawcą niezbędna. Kto komu, i kiedy powinien ustępować? Nie rozsądek wielu matek zaporą w wychowaniu. Dzieci powinny być szczere względem rodziców. Niezbędność jednomyslności rodziców z wychowawcą, oraz z zakładem, któremu dziecko powierzają.

### ROZDZIAŁ XIV.

#### *O karach i nagrodach.*

Zasady pozytywizmu o karaniu dzieci. Różnorodna indywidualność dziecka wymaga różnorodnego dla nich kierunku i sposobu obejścia. Złe skłonności w zarzewiu u każdego dziecka. Zasada kary. Słowa Pisma św. o karach. Czy te słowa stosują się tylko do czasów dawniejszych? Czy dzisiejsza młodzież cnotliwsza od starożytnej? Czy kara cielesna ubliża godności dziecka? Komu jedynie przysługuje prawo kary cielesnej i w jakich wypadkach? Jak należy uszlachetniać naturę dziecka? W jaki sposób ludzie świątobliwi bój Pański sami przeciwko sobie prowadzą? Rozumne stosowanie kar niezbędne, jako reakcja wychowawcza przeciwko powszechnej miękkości i rozpieszczeniu. Skutki zbyt miękkiego wychowania. Jaka jest zasada nagród? Kiedy obejść się będzie można bez pośrednictwa kar i nagród? W jaki sposób należy upominać, karcic i karać? Wadliwości upominania i karcenia wielu rodziców i wychowawców. Złe tego następstwa. Skarceniem należy dziecko podnieść ku dobremu, nie zaś zniechęcić i odtrącić.

## ROZDZIAŁ XV.

*O ubiorach i zabawach dzieciennych.*

Pretensyonnlne, niepraktyczne i nieprzyswoite ubieranie dzieci. Kosztowny strój kształci próżność. Świat dzieci. Popisy dziecinne. Szkodliwość balików dzieciennych oraz prowadzenia dzieci na teatr. Jak działa cyrk i teatr na dzieci? Rozrywki stosowne dla dzieci: najodpowiedniejsze na świeżem powietrzu — im prostsze tem lepsze. Praca w ogrodzie. Zabawy pokojowe. Zabawy lalką i konikiem. Niebezpieczeństwo zabaw rozumowych i pedagogicznych. (Mowa o tem będzie w II tomie). Dziecko twórcą własnych zabawek. Szkodliwość kosztownych podarunków. Gonitwa za wrażeniami niebezpieczna dla dzieci.

## ROZDZIAŁ XVI.

*O książkach do czytania dla dzieci.*

Nie każda książka dla dzieci pisana, dobrą jest. Kto pisze dla dzieci i z jaką kompetencją? Falszywe poglądy podane w wielu książkach. Romansowość w książkach dla dzieci. Książki tendencyjne, wycelowane przeciwko wierze. Taktyka w przeprowadzeniu dążności. Niwelacja tego co nadprzyrodzone. Zohydzenie wiary i religii. Tendencja antychrześcijańska, przeprowadzona w dziełach naukowych. Geografia rozumowa Nałkowskiego. Podniecanie zmysłowości. Niebezpieczeństwo różnych czasopism dla dzieci. Konieczność aby matki czuwały nad dziećmi na każdym kroku.

## ROZDZIAŁ XVII.

*Hygiena w wychowaniu. — Zasady higieny wychowawczej.*

Treść zasad higieny wychowawczej: 1) Jak najwięcej powietrza i słońca. Rozkład mieszkania. Umeblowanie pokoi. Działanie promieni słonecznych. Temperatura pokojowa. Hygiena pokarmów. 2) Nie oszczędzać wody, mydła, szczotki i pracy. Konieczność gruntownego mycia, czesania, porządku w ubraniu i mieszkaniu. Kobieta strażniczką porządku domowego. 3) Zrównoważenie rodzaju pracy. Konieczność pracy fizycznej i ćwiczeń gimnastycznych. Praca ogrodnicza. Łyżwowanie, konna jazda, wioślowanie. 4) Umiarkowanie w trybie życia, higiena pokarmów, wczesne układanie się na spoczynek oraz wczesne wstawanie. 5) Zahartowanie ciała. Przykład pieczętego Jasia.

## ROZDZIAŁ XVIII.

*O nerwach.*

Czem jest system nerwowy w organizmie. Błędne wrażenia, jakie dają nerwy. Dodatnia celowość nerwów. Kogo zwać można zdenerwowa-

nym. Objawy niektórych cierpień nerwowych, opisane przez doktora Sterlinga. Trzy główne przyczyny powszechnego zdenerwowania: Nadużycie wrażeń, przepracowanie, rozpieszczenie. Zdenerwowanie płynące z atawizmu. Jak należy postępować z osobami zdenerwowanemi? Psychologia zdenerwowania. Leczenie nerwów za pomocą hartowania. Hartowne wychowanie broni od zdenerwowania. Ułudne objawy osłabienia. Potrzeba energii i stanowczosci wobec stanów nerwowych. Wychowawca powinien być panem swoich nerwów. Nie wyzyskujemy nerwów nadaremnie. Czem można zapobiedz ogólnemu zdenerwowaniu?

## ROZDZIAŁ XIX.

*O nieporządnej miłości matek dla swych dzieci.*

Potrzeba bezgranicznego uczucia. Bałwochwalstwo zawsze na porządku dziennym. Jak należy matce kochać swe dzieci, a jaką jest zazwyczaj miłość wielu matek? Zabijanie indywidualności dziecka, najpierwszą konsekwencją ich nieporządnej miłości. Brak rezygnacyi i zdania się na Bożą Opatrzność. Rozpieszczenie i rozdelikacenie dziecka. Bóg karze za pomijanie Jego Opatrzności. Nieporządna miłość matek zaślepia je na błędy dzieci, czyni je obraźliwemi, zazdrośnemi. Dzieci chowane dla sukcesów światowych. Przesadna troskliwość matek sprawia niedoleźstwo dzieci, zagradza ich los doczesny. niesprawiedliwość matek, które kochając do zbytku jedne dzieci, pomijają zupełnie drugie. Skutki tej niesprawiedliwości.

„Zawsze ci błędą sercem iż nie poznali dróg moich“. (Ps. 94).



## DO MATEK I WYCHOWAWCZYŃ.

Tytuł dany tej książce, zdal mi się najbardziej odpowiednim jej treści, gdyż nie było zamiarem moim dać w niej wskazówki, ogarniające całokształt wychowania, ale tylko pewne spostrzeżenia, oraz niektóre uwagi nad zasadniczymi błędami pedagogii współczesnej, których następstwa bywają oplakane.

Staralam się tu zwrócić szczególną uwagę na moralną stronę omawianej kwestyi — zwykle pomijaną w podręcznikach pedagogicznych — uwzględniając przytem istotne potrzeby społeczeństwa, ducha czasu, oraz najnowsze prądy myśli.

Prawdą jest, że pod wpływem ewolucyi dziejowej, duch społeczeństwa się zmienia, a z nim prądy oraz poglądy; zaś wiatry wiejące z różnych stron zmieniając aureę i potrzeby, wytwarzają nowe obowiązki a mnożą nowe niebezpieczeństwa: z nimi rachować się trzeba.

Stąd płynie, że wychowanie żadną miarą nie powinno być rutyniczne, szablonowe, skrepowane nieugiętą metodą a skalkowane na własnych wspomnieniach wychowawczyni, ale że ono powinno się stosować do aktualności —

a uwzględniając nowe potrzeby i obowiązki, szukać dróg nowych. Zresztą tu jak wszędzie „*kto nie postępuje, ten się cofa*“.

Ludzkie generacye ulegają niemocom swojego wieku, i dusze są niezmiernie wrażliwe na prądy czasu.

Niejednokrotnie zadziwia nas dziecko dziesięcio-, dwunastoletnie swym sądem i poglądem, w którym pod formą dziecinną, rysuje się już wyraźnie *kierunek myśli nowej*.

„Skąd mu się to wzięło?“ — pytamy zdziwieni — „wszakże do tej pory dziecko z nieczyich ust nie podobnego nie słyszało... skąd mu to przyszło do głowy?“

„Z ducha swego czasu“ — odpowiadamy.

Dziecko pomimo wiedzy i woli rodziców wchłania w siebie tego „ducha czasu“ wszystkimi porami; — próżnem byłoby przeczyć tej oczywistości. Ma to dobre, ale i ujemne strony: jest rzeczą wychowania dobre wyzyskać a złe ubezwładnić.

Nie wszystkie nowe prądy są złe, nie wszystkie nowe poglądy są fałszywe, jak niektórzy mniemają — co niejednokrotnie w dalszym ciągu będzie sposobność wykazać. Są zapewne złe i niebezpieczne, ale są i dobre: rozumny eklektyzm obowiązuje tu wychowawcę. Obowiązkiem jego tak pokierować dzieckiem, aby posiadało siłę odporną przeciwko prądom ujemnym, którymi w przyszłości — przewidzieć można — że będzie otoczone, a potrafiło zdążyć za prądami dodatnimi, i działać w swem społeczeństwie to dobro, które w niem działać można i trzeba. Jest to aktualna strona wychowania: tu szablonowość i ślepy konserwatyzm byłby stanowczą przegraną.

Zastanawia nas niejeden bolesny zawód w wychowaniu, które najlepsze rokowało nadzieje. Wszczepiano w młode serce dobre zasady, strzeżono młodzieńca, otaczano zbawiennym wpływem i przykładem, a jednak le-

dwo młodzieniec stanął w życiu o własnych siłach, wnet się wykoleił, i to bez nadziei rychłego zwrotu.

Jaka tego przyczyna?

Kto wie czyli między innymi, powód tej wychowawczej porażki nie w tem leży, że kierowano młodzieńcem raczej idealnie niż praktycznie, że nie umiano uwzględnić w nim indywidualności oraz działającego ducha czasu, że więcej go strzeżono, niż kształcono w nim *charakter i zasadę*, wreszcie, że więcej uczono go enoty biernej, niż sposobiono do walki, — nie dziwnego jeśli pierwszy fajerwerk olśnił go, pierwszy prąd porwał, pierwsza potyczka powaliła... nie dziwnego jeśli pierwsza chwila swobody w szal go wprawiła.

Na te zasadnicze kwestye najbaczniejszą zwróciłam uwagę z wykluczeniem innych, — aczkolwiek ważnych — jako to: higieny pokarmów, metodyki uczenia, nomenklatury wad dziecinnych — z wskazówką jak sobie z nimi radzić, kształcenia sił fizycznych i t. p. Uczyniłam to z uwagi, że inne poważne dzieła o tych kwestyach traktują kompetentnie i wyczerpująco. Nie chcąc przeto powtarzać tego, o czem już inni pisali, wolę odesłać osoby dobrej woli do znakomitych podręczników ks. Albana Scholza, p. Anieli Szye, p. Dzieduszyckiej, p. Weryho, p. Kowerskiej i innych.

Wybitną tendencją niniejszej pracy było także uwydatnić każdą kwestyę wychowawczą w świetle zasady chrześcijańskiej, motywując ją na fundamencie rozumowym, w przeciwstawieniu poglądom etyki niezawisłej. — To z konieczności nadaje tym kartkom charakter nieco polemiczny, i świadczy o ich przeznaczeniu dla chrześcijan wierzących. Uwydatniwszy zasadę, pilnie zastanawiamy się w obec logiki i praktyki życiowej nad tem, do czego ta zasada obowiązuje w wychowaniu, a jakie są w tej mierze poglądy pozytywizmu, wreszcie,

w czem te ostatnie nie klóćą się z poglądem chry-  
styanizmu, ale jako sprawiedliwe zasługują na uwzglę-  
dnienie.

Praca ta dzieli się na dwie części: w pierwszej trak-  
tuję wyłącznie o wieku dzieciennym w czasie *przedszkol-  
nym*, zwracając między innymi uwagę na niebezpieczeń-  
stwa płynące z forsownego rozwijania dzieci, na korzyści  
i niekorzyści ogródkowego kształcenia systemem Fröbła,  
na konieczność dobierania zacnych wychowawców i nau-  
czycieli, wreszcie, na ważność starannego wyboru książek  
dla nieletnich i t. d. Obszerniejsze rozdziały poświęci-  
łam uwagom o kształceniu charakteru młodzieży, kładąc  
wielki nacisk na potrzebę uwzględnienia indywidualności.  
Kończę zastanowieniem się nad kwestyą, jaką być po-  
winna miłość rodzicielska, i jak smutne są następstwa  
gdy miłość matek nie powoduje się zasadą Bożą, to jest  
rozsądkiem i sprawiedliwością, ale tylko wrażliwością  
serca i nerwów.

W drugiej części, — zdaniem mojem ważniejszej —  
zajmuję się wyłącznie dorastającą młodzieżą i kierunkiem  
moralnym jaki jej dać należy, w czem uwzględniam jakie  
są przyszłe obowiązki i grożące niebezpieczeństwa. Tu  
pod hasłem *rozumnego postępu* poruszam wiele kwestyi  
żywotnych, aktualnych, co znów zmusza do niejednej po-  
lemiki z poglądami dziś najbardziej rozpowszechnionymi.

Nadmieniam, że wszystkie spostrzeżenia są uchwy-  
cone z życia, rady zaś oparte na własnem dwudziesto-  
kilkoletniem doświadczeniu na polu pedagogicznem.

Powiedzą może niektóre matki: co nam po wycho-  
wawczych podręcznikach, które, — bądź co bądź zawie-  
rać mogą same ogólniki, teorye i abstrakcye? Nam mat-  
kom służy w tym względzie wrodzony instynkt, który  
nam wystarczać powinien, a więcej znaczy niż formułki  
i teorye.

To osobliwe, a wielce zakorzenione przekonanie o dostateczności instynktu macierzyńskiego w sprawie wychowania, najgorsze rodzi skutki — sprawia bowiem, że — zdaniem świątłych pedagogów, — niejedna matka, dla braku zasady wychowawczej, stanowi właśnie najważniejszą zaporę w wychowaniu swych dzieci, gdyż w stosunku do nich rządzi się sympatją, chimera, nerwami, że ulega niejednej słabości, wreszcie, że najgorszym prądom bez śladu krytyki uwodzić się daje.

Wielu nawet przewodników młodzieży twierdzi, że na to, aby ich trud wychowawczy mógł się stać owocnym, niezbędnem byłoby zacząć od wychowania matek, — gdyby to było możliwe, albo mieć prawo matki, wpływające ujemnie, zupełnie usunąć od współdziałania w wychowaniu.

Gdyby wszystkie dzieci były dobrze wychowane, świadczyłyby to zapewne o bezpożyteczności podręczników wychowawczych, jak również że dostatecznym jest być matką, aby dziecko dobrze wychować. Wszakże skoro jest przeciwnie, — gdyż dzieci dobrze wychowane wyjątek stanowią, — dowód w tem jasny, iż zbyt mało, na ogół mówiąc, zastanawiamy się nad kwestyą wychowawczą.

Jak dalece kwestya wychowawcza mało kogo u nas obchodzi, stwierdza fakt, że gdy razu pewnego klient zażądał od księgarza w mieście prowincjonalnem podania mu najnowszych dzieł z dziedziny pedagogiki, subjekt — po długim szukaniu przyniósł kilka książek bardzo zakurzonych, żółkłych i dość starej daty. „A czy nie ma czegośkolwiek nowszego?“ zapytał kupujący. — „Nie opłaca się nam sprowadzać dzieł tej treści, bo i te leżą u nas nie ruszone od lat kilkunastu“. Najnowsze erotyczne francuskie powieści, wątpliwej wartości, te u nas pokup znajdują i stanowią byt księgarza — o inne rzadko kto pyta.

Podobnie jak lekarz sądzi o zdrowiu pacyenta z jego pulsu, zarówno o zdrowiu moralnem społeczeństwa, i o jego wartości, z rodzaju książek najbardziej pokupnych, słusznie wnioskować można.

## II.

Niniejsza książka nosi jeszcze jedno miano uwydatniające dominujący jej kierunek; wychowania w rodzinie. Istotnie było moją myślą przewodnią zająć się przeważnie wychowaniem na łonie rodziny, które jest pierwszorzędnej wagi, gdyż ono daje grunt, fundament i kierunek dalszemu życiu, a najbardziej w naszym rękę spoczywa.

Rodzina, jeśli jest prawdziwie chrześcijańską, wpaja takie zasady, wdraża w takie nawyki, a takie zostawia wspomnienia, że one już niczem się nie zacierają, i w dalszych latach są człowiekowi albo gwiazdą przewodnią, albo... zbawczym wyrzutem sumienia.

Psychologiczne badanie czynników, składających się na wykształcenie zasad i charakteru danego społeczeństwa, daje niezmiernie ciekawe a pocieszające w tej mierze wskazówki, — wszystkie uwydatniające dodatni wpływ rodziny.

Jeśli bowiem pytamy jakim sdosobem dzieje się, że ten i ów mąż zacny wypłynął jak kryształ wśród mętów świata, lub wśród tych mętów świeci jak gwiazda, że otoczony jak inni od lat najmłodszych fałszem i zgorszeniem, wiary i moralności nie stracił, otrzymujemy zwykle jednobrzmiącą odpowiedź, że wszystko zawdzięcza rodzinie, a częściej jeszcze zacnej i rozumnej matce. Również gdy śledzimy koleje życia niejednej zacnej młodej osoby, dowiadujemy się, że zasady otrzymane w rodzinie, ustrzegły jej wiarę i cnotę wśród zgorszenia szkół i towarzystwa zepsutych koleżanek... a nadewszystko, że *prawość*, głęboko w sercu wszczepiona przez zacną matkę,

jako nić Ariadny, przeprowadziła ją zwycięzko przez labirynt fałszu i przewrotności.

Zacna rodzina jest więc najpierwszym warunkiem dobrego wychowania. Jeśli gniazdo rodzinne jest zdrowe, jeśli serdeczna miłość, szacunek i zaufanie łączy małżonków, czyniąc z nich *jedno*, — jak to Zbawiciel świata zalecił, — jeśli atmosfera domowa jest czysta, a w domu panuje pokój i prostota, wówczas bez wielkich wysiłków dzieci dobrze będą wychowane, gdyż każde słowo przez nie usłyszane, — nawet najobojętniejsze — będzie dla nich nauką, a każdy czyn przykładem. O zasadach wiele im mówić nawet nie będzie potrzeba — zwłaszcza w pierwszych latach, gdyż na każdym kroku, w każdym zdarzeniu, widzieć je będą w czynie, tak, że zanim nabiorą o nich pojęcia, już będą je praktykowały.

Podobnie jak małe rybki żwawo się uwijają w czystej bieżącej wodzie, a rosną w niej prędko i zdrowo, zarówno dzieci zdrowo się chowają, — moralnie i fizycznie, — w czystej atmosferze rodzinnej, i wielkiej nawet w niej używać mogą swobody.

Biada wszakże rybkom stawów błotnistych miazmatami rozkładu zatrutych, biada chowanym w rezerwoarach, gdzie wszystko dla nich sztuczne!... biada również dzieciom wychowującym się w gniazdach, w których gości nieprawość, zgorzenie, niepokój, lub sztuczna atmosfera świata. Najsilniejszy i najlepszy bowiem wpływ moralny z po za rodziny pochodzący, nie na wiele im się przyda.

Wpływ odebrany w rodzinie bywa więc zwykle w życiu decydujący, — to jednak nóż obosieczny, albowiem jeśli wpływ dodatni domowej strzechy ma stanowczą przewagę nad życiem, któremu jasnym przyświeca promieniem, wpływ ujemny paraliżuje częstokroć i unicestwia inne najlepsze wpływy.

Gdy dnia pewnego zapytywano osobę doświadczoną, jak sobie wytłómaczyć fakt, że chociaż Galicya posiada tyle zakładów wychowawczych najlepszej tendencji, że jednak dzieje się w tym kraju, który przecież przez młodzież powinienby już na wskroś być odrodzony, odpowiedziano bez wahania: że przeważnie rodziny są temu winne, gdyż unicestwiają wpływ zakładów. Świat zaś w krótkim czasie dopełnia reszty zniszczenia.

Gdybyśmy raz dobrze to pojęli czem jest w społeczeństwie rodzina, jakie jej zadanie, moc i posłannictwo, jak obfite źródła dobra i szczęścia i odrodzenia społecznego z niej tryskać mogą i powinny, jakżebyśmy się pilnie starali w miarę możności ugruntować i wzmocnić życie rodzinne na każdym szczeblu społecznym!

Czem jest rodzina?... Rodzina, — to oaza wśród pustyni świata, to bezpieczna przystań w żegludze życia, to ognisko zawsze światłe i gorejące, przy którym jakże jest miło rozgrzać członki skostniałe! Rodzina, — jeśli nie jest zarażona duchem świata, a jest silnie w swej zasadzie spojona, to doprawdy jedyny przybytek szczęścia na ziemi, bo gdzież byśmy poza nią szukali tego zadowolenia, za którym serce tęskni?

Jakim skarbem jest rodzina, jakie dobra Bóg w niej zawarł, jaki jest urok samego o niej wspomnienia, pojmuję to ten tylko, kto przez czas dłuższy zaznał obczyzny; — pojmuję to uczeń powracający ze szkół, choć pod najuboższą strzechę, pojmuję urzędnik, lekarz, strudzeni całodziennym mazurem poza domem, pojmuję to ojciec, syn, brat, którym życie upływa w oschłej pracy biurowej, pojmuję to wreszcie biedna nauczycielka pracująca wśród obcych, a tak bardzo stęskniona za swymi! O jakże im miło wrócić do ciepłego ogniska, gdzie każda twarz przyjazna, gdzie każde słowo prawdziwe, gdzie każdy stosunek pewny, gdzie każde serce wierne, wreszcie,

w którym każdy członek jest jakoby częścią własnego jestestwa, echem własnego ducha!

A jakże stęskniony jest za rodziną ten, który ją miał, a którą ją postradał!

— Wzniosłe więc i dobroczynne stanowisko zajmuje rodzina, czemuż jednak dziś, tak mało rodzin odpowiada swemu idealowi, i czemuż w czasach obecnych nawet na łonie rodzin, szczęście już się nie chroni?

Wiele się zapewne na to składa, a między innymi

- 1) Duch pogaństwa do rodzin wkraczający.
- 2) Światowość w kojarzeniu małżeństw — małżeństwo bowiem nie dobrane, lub dla względów światowych zawarte, zdrowego ogniska nie utworzy.
- 3) Zasady światowe jakimi się rodziny rządzą.
- 4) Wymancypowanie kobiety od obowiązków rodzinnych.

Zważywszy, że duszą rodziny jest zawsze kobieta, — żona, matka, córka, siostra, — od kobiety po największej części los rodziny zależy, — „rodzina“ bowiem — zdaniem Gaum'a — jest nie tylko jej dziełem, ale jej obrazem“. Gdy więc kobieta spełnia przy swem ognisku domowem te powinności które jej Stwórca zlecił, jej ognisko będzie uszlachetniające i uszczęśliwiająca, — biada jednak ognisku, którego westalką jest niewiasta światowa! Nie będzie tam ani światła, ani ciepła, będzie to ognisko dymiąca!

Powyższe myśli pojęte głęboko, a odczute serdecznie, były mi bodźcem do skreślenia niniejszych kartek.

Z sercem przepelnionem najlepszymi życzeniami ofiaruję je niewiastom polskim, młodym matkom i wychowawczyniom, które pełne dobrej woli, skrzętnie szukają wskazówek, jakby mogły lepiej, a coraz lepiej, spełniać swe powinności.

Nie ludzę się, aby niniejsza praca zawierać mogła

spostrzeżenia zupełnie nowe, dotąd nieznanne; nie bowiem nowego pod słońcem, a w ogrodzie pedagogii wszystkie niemal ścieżki od lat wielu zostały już przed nami wydeptane. Sądzę wszakże, że może wielu matkom się przyśleżę, jeśli w kwestyi wychowawczej rzucę niejedną żywotny pogląd, jeśli pobudzę do zastanowienia i własnem doświadczeniem się podzielę\*).

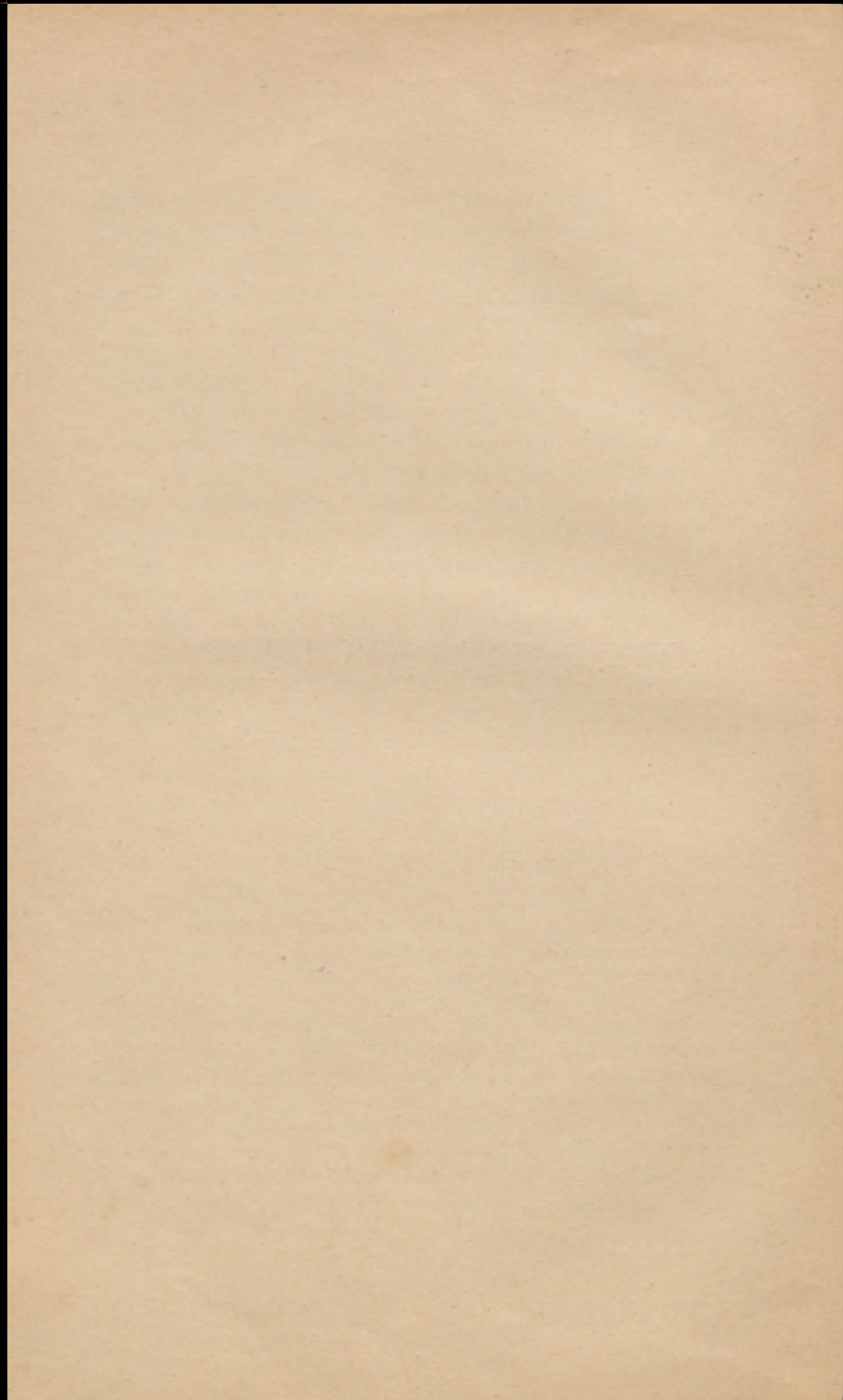
Przy końcu niniejszego dziełka zamieściłam spis *niektórych* książek użytecznych z różnej dziedziny, które, — zdaniem mojem — powinnyby się znajdować w każdym księgozborze rodzinnym, oraz spis celniejszych książek dzieciennych i ludowych, z krótkim ich streszczeniem, kończę zaś wskazówką, których książek wystrzegać się należy.

Spis ten oczywiście obejmować nie może wszystkich książek użytecznych oraz szkodliwych, lecz tylko niektóre: pożądanem byłoby, aby osoby kompetentne takowy uzupełniły.

---

\*) Spotykamy nieraz — tu i owdzie — w belletrystyce lub czasopiśmie cenne artykuły treści etycznej, tem zasługujące na rozpowszechnienie, że potrącają o ważne aktualności. Sprawiają one niemal uciechę, wszelako czytając je, przychodzi ubolewać, że mało kto z nich skorzysta, gdyż uwiecznione, bądź w szpaltach czasopisma, bądź w dziełach specjalnych, trudno dają się rozpowszechnić. Pod wpływem żalu, że niejedno trafne słowo jest stracone dla wielu, przyjęłam poniekąd zwyczaj w wielu mych pracach cytowania całych ustępów, które mnie gdzieśnibądź swoją treścią zastanowiły, a odnoszą się do przedmiotu omawianego i popierają zdanie przezemnie głoszone. Być może, iż to obniża wartość oryginalną prac moich, — mniejsza jednak o to, gdy chodzi o korzyść czytających. W obecnem piśmie czytelnicy spotkają się kilkakrotnie z podobnymi cytacjami, — mam nadzieję, że nie wezmą mi tego za złe.

NOWE PRĄDY I WYCHOWANIE.





## I.

Tak jak pieniądze w obiegu używane są przez miliony, chociaż pochodzą tylko z jednej mennicy, tak istnieje w każdym społeczeństwie „kuznica myśli“ w której się wybijają te myśli, które potem puszczone w obieg, krążą w całym społeczeństwie, niby jako własne myśli ludzi w tysiącznych okolicznościach.

(St. Szczepanowski: *Idea Polska*).

Gdy w połowie XVIII stulecia filozof angielski Locke ogłosił swą teorię „o białej karcie duszy ludzkiej“, nikt nie przewidywał ile ten na pozór obojętny pogląd mieścił w sobie zgubnych następstw, ile z tego mało znaczącego źródła wypływać miało brzegi rwących potoków.

Empirycy angielscy podchwycili myśl mistrza i rozwinięli, materyaliści francuscy uzupełnili ją i wyprowadzili z niej dalsze konsekwencje, wreszcie Rousseau w swoim Emil'u skryształizował poniekąd poglądy swych poprzedników i zastosował je do wychowania. Zwrot stanowczy do „matki natury“ postawił na pierwszym planie projektowanej reformy wychowawczej.

Poezya i powieść spopularyzowały myśl filozofów: Goethe — gorący wielbiciel Voltair'a i Rouss'a, — zowie naturę matką swoją, swoją religią i tłumy za sobą pociągnął.

Myśli niechrześcijańskich filozofów i poetów wypowiedziane przed wiekiem przeszło, nie przestały nurtować w społeczeństwie, a chociaż zostały skąpane we krwi niejednej rewolucyi, głębokie przecież w umysłach zapuściły korzenie. Zmodernizowali je koryfeusze pozytywizmu: Comte, Littré, Spencer, Mill, Taine, Buckle, Lombroso i t. p., rozwijali je na swój sposób i popularyzowali powieściopisarze naturalistycznej szkoły. Dziwaczny w swej niekonsekwencji Nietzsche to je wyśmiewał świetną ironią i rozbijał bezwzględna krytyką, to znów apoteozował i podnosił do godności dogmatu. Dziś rozpowszechniają te myśli epigoni pozytywizmu oraz przedstawiciele najnowszej literatury beletrystycznej.

Summa poglądów tych myślicieli każe więc nam uważać duszę dziecka za „białą kartę“ która staje się tylko skutkiem wpływów zewnętrznych tem lub owem. Dogmatem o grzechu pierwotnym pozytywizm nie zajmuje się wcale — strąca go do rzędu legend; potrójną zaś pożądlivość uważa za zbutwiały przesąd. Niema w dziecku — zdaniem jego — złych skłonności, jest w niem tylko „prawo natury“, któremu ulegać jest obowiązkiem. Wszelkie sprzeciwianie się temu prawu, wszelkie krępowanie skłonności naturalnych kaleczy tylko i krzywi naturę, zło zaś istniejące na świecie to właśnie owoc barbarzyńskiego obchodzenia się z naturą, gdyż natura „sobie zostawiona“ dobrą jest.

Łatwo zrozumieć konsekwencyę płynącą z tego założenia.

Pojęcie o bezwzględnej szlachetności natury ludzkiej stało się więc osią najnowszych poglądów około której nie przestają granitować różne systemy filozoficzne i ekonomiczne, począwszy od St. Simonizmu, Owenizmu, Furieryzmu i pozytywizmu, a skończywszy na fantazyach o *nadczłowieku* i o *nagiej duszy*, — snując na tej podsta-

wie najdziwaczniejsze teorye o „etyce niezawisłej“ i o prawach człowieka.

Pod wpływem racjonalistów utworzyły się też osobliwe pojęcia o tem co dobre. — *Dobrym* nazywa Spencer czyn każdy, przyczyniający się do spełnienia celu jednostki i gatunku, ponieważ zaś *ostatecznym celem* ludzkości ma być powszechne *zadowolenie* i ogólne szczęście, dobrem przeto będzie to wszystko co wywołuje *przyjemność*. „*Rozkosz jest treścią dobra*“. Do tego szczęścia, zadowolenia każdy śmiertelnik ma na tym świecie prawo niezaprzeczone, krzywda więc mu się dzieje jeśli pozbawiony jest tych źródeł rozkoszy. Już w starożytności narzekano na dualizm natury ludzkiej i na bój zaciekły, jaki duch dobry staczać powinien ze złym.

Dziś, dzięki filozofom — tym pochodniom ludzkości, — postęp antychrześcijański odkrył, że ów złowrogi dualizm stąd tylko płynie, że ludzkość powodowana fałszywym poglądem religijnym na *naturę* i *obowiązki* człowieka, *sprzeciwiała się wciąż tej naturze*. Przestańmy już raz jej się sprzeciwiać, puśćmy ją swobodnie, niech płynie naturalnem korytem, a dualizm przestanie nam dokuczać i raj na ziemi nastanie.

Skoro wszystko jest dobrem do czego człowiek ma skłonność i skoro ma prawo do wszystkiego, czego zapragnie, czemże jest wówczas sumienie? Jest to chyba najfałszywsze kryterium sądu, szkodliwa pozostałość staroświeckich poglądów, które przez długie wieki ludzkość torturowały! Według Tain'a sumienie jest tylko produktem przyczyn naturalnych, podobnie jak cukier i kwas siarczany, i nie więcej.

Dusza jest więc białą kartą — „*tabula rasa*“ — jednak trudno w niej nie dostrzedz różnorodnych skłonności, za które ani okoliczności, ani wpływ zewnętrzny obwiniać nie można. Darwinizm ratuje się w tej trudności kluczem atawizmu rozwojowego: atawizm wszystkiemu



jest winien cokolwiek człowiek w sobie dostrzega, „człowiek jest bowiem tylko bezsilnym embryonem w ewolucji komicznej i dziejowej“. Stąd — każdy rozumie — krok jeden do zupełnej negacyi wolnej woli i jej obowiązków, do fatalizmu, co znów zdejmuje z człowieka wszelką odpowiedzialność za czyny, i upoważnia do folgowania sobie we wszystkim. Tu źródło tak rozpowszechnionej miękkosci oraz choroby woli, a uwzględnienia najgorszych czynów.

Ważnem jest dla wychowawców zauważyć, że istota tej osobliwej etyki, zburzywszy dogmat o pierworodnem skażeniu i potrójnej złej pożądliwości, burzy jedynym zamachem wiarę w Odkupiciela a zatem i zasadę całego chrześcijaństwa, oraz głosi za nieistniejące wszystko co nadprzyrodzone; nad to burzy moralność, zasadę władzy i obowiązków człowieka jednego względem drugiego, burzy wreszcie zasady małżeństwa, rodziny, obowiązki rodziców względem dzieci i nawzajem.

Władza, prawo rodzicielskie, według pozytywistów, to uzurpacya przewagi silniejszego nad słabszym. Posłuszeństwo, uszanowanie wymagane od dzieci względem rodziców i wychowawców, to pozostałość staroświeckiej tyranii.

Wdzięczność: — to puste słowo, — każdy bowiem wszystko czyni tylko dla własnego interesu. „Nie spodziewajcie się“ — twierdzi M. Guyau „by ktośkolwiek podniósł choćby mały palec w sprawie bliźniego, jeśli nie widzi w tem własnego interesu. Wówczas rozumiemy go — jest szczerym. Gdyby zaś wdzięczność miała obowiązywać dzieci względem rodziców, mniej jeszcze znalazłaby racyi bytu, bo skoro dzieci nie prosiły rodziców o życie, nie mają im *nic do zawdzięczenia*, a to tem bardziej że to życie bywa częściej ciężarem dla człowieka niż źródłem szczęścia“.

Wiara, to zabobon, to sieć o stu węzłach, powstrzymująca polot rozumu; moralność — to przesąd, to kajdany dla ognistych temperamentów... Razem zaś uważane: wiara z moralnością, to powijaki krępujące samodzielność, samorzutność, indywidualność człowieka, to kaptur przytłumiający iskry geniuszu, — geniusz bowiem tylko w zupełnej swobodzie rozwinąć się i zaświecić może. Drogi talentu, natchnienia, geniuszu są chimeryczne: należy tę chimere szanować. Chimera! to prawdziwa swoboda ducha... w niej esencya piękna, to droga do nieśmiertelności! Precz więc z zasadą, z regułą, z formą!

I otóż puściwszy się na bystre fale fantazyi, łodzią pozytywizmu dopłynęliśmy zbyt szybko na rajskie wybrzeża dekadentyzmu i modernizmu.

Religia rozumu i zdrowia, to zdaniem tych, którzy unikają wyżej wzmiankowanej krańcowości, jedyna, na którą wieki oświecone zgodzić się mogą, a nazwijmy ją jak chcemy: panteizmem, deizmem, pozytywizmem, racjonalizmem, budyzmem wreszcie, — mniejsza o to. Spirytyzm i okultyzm wszakże, znajdują tu uwzględnienie, jako wierzenie *mgliste*, — odpowiadające potrzebom niektórych dusz wrażliwych, żądnych świadectwa o życiu pozagrobowym i cheiwych nadzwyczajności. Jeden tylko konkretny dogmat powinien być stanowczo precz odrzucony, jako niezgodny z rozumem.

*„Twarda jest ta mowa, i któż jej słuchać może?”*

(Jan, 6).

Wiara, na dogmatach oparta, — zdaniem racjonalistów — użyteczną być mogła tylko w wiekach niemożliwości umysłowego, obecnie zaś, przy rozpowszechnionej kulturze nie ma racyi bytu; przeto inteligentne warstwy społeczne powinny koniecznie wyemancypować się z jej pieluch i ostrożnie stopniowo, sposobić warstwy niższe do tego wyzwolenia i do przyjęcia nowego światła, jakie im pozytywizm gotuje. Powinny torować ludzkości

drogę do ery odrodzenia: do światła, wolności i używania.

Oto w kilku słowach synteza filozofii pozytywistycznej, która choć zagranicą już przebrzmiała, u nas jeszcze z różnemi odmianami grasuje, a w której szuka swej orientacyi wielu pedagogów. Wymieniliśmy tylko poglądy najbardziej wytyczne, a mające związek z kwestyą wychowawczą, gdyż całość obrazu nie byłaby tu na miejscu. Z powyższego szkicu poznać jednak mogliśmy, że skoro *klucz sklepienia* wiary chrześcijańskiej, t. j. jeden z jej zasadniczych dogmatów został poruszony, — a mianowicie dogmat o grzechu pierworodnym, — wnet zachwiała się też cała budowla, i z dogmatem moralności runęła!

Zasady filozofii antychrześcijańskiej nie wyglądają wszakże tak rażąco pod piórem swych autorów, jak w powyższem streszczeniu: utopione w morzu szumnej frazeologii, w subtelnościach zawilej dyalektyki, lub podane w udatnej formie poezyi, zasypują oczy pozorem *prawdy*, dobra i piękna i zniewalają wrażliwych i łatwowiernych a płytkomyślących.

Streszczone i wypowiedziane bez osłony zasady pozytywistycznego kierunku oburzają, ale niestety! pomimo naszej wiedzy wniknęły już one poczęści w duchowy organizm naszego społeczeństwa i chociaż w ich nagości odrzucilibyśmy je ze zgrozą, w szczegółach przecież akceptujemy je, jako dorobek najnowszego postępu.

Wchłaniamy je poniekąd wszystkimi porami, gdyż spotykamy się z nimi nieomal na każdym kroku pod ponętą osłoną grawitacyi ku światłu. Rozsiane w broszurach treści etycznej i pedagogicznej, w czasopismach, w powieściach, w poezyi, — czy tędy czy owędy — zawsze do nas trafiają. Ogródki Froebrowskie, szkoły wyższe i niższe, a nawet sztuka i teatr są nimi przesiąknięte, my zaś niebaczni, często w najlepszej wierze dostrajamy się do nich i wprowadzamy je do rodzin, w za-

sadę wychowania, nie bacząc na konsekwencye, które rodzą.

Nauki pozytywizmu tem są jeszcze niebezpieczniejsze że przedstawiają urok niemały, tak dla młodych jak i dla starszych. Dużo prawią o szlachetności człowieka, o jego godności i prawach, — jakżeby nie miały podobać się? Zachwycają nadewszystko młodzież obietnicą złotej swobody i używania, porywają niejednym uludnym mirażem umysły dojrzałe, skłonne do liberalizmu a żądne szerokich horyzontów, starszych nawet zniewalają obietnicami złotej ery przyszłości, jakie im czynią, — choć są to gruszki na wierzbie, — a jeszcze bardziej zniewalają ich tem, że ich zwalniają od obowiązku czuwania nad młodzieżą i rodzicom pozwalają bez skrupułu psuć swoich benjaminków i dogadzać im we wszystkim.

Odrobiną sprawiedliwości, utopioną w morzu sofizmów, ętyka niezawisła mnoży więc sobie wciąż zwolenników, którzy, zapatrzeni w niektóre okruchy prawdy, zręcznie im podane, zamrużają oczy na błędny całokształt teoryi.

Chętnie również lgną do nowych prądów umysły powierzchowne, cisnące się do każdej nowości, jak ęmy do zapalanej świecy, a które wyższość w tem upatrują aby przyswajać sobie wszystko co nowe, a chwalić co ekscentryczne, — widząc w tem najpewniejszą rękojmię postępu.

Tak więc młodzi i starzy, rodzice i wychowawcy ulegają zwodniczemu urokowi.

Do jakiego stopnia poglądy antychrześcijańskie zdobyły już u nas prawo obywatelstwa, dowodzi fakt następujący, że pewien krytyk katolicki znalazł tyle usterek przeciwko chrześcijańskiej ortodoksji w jednym tylko numerze, jednego z naszych czasopism, że na wykazanie ich poświęcić musiał kilkaset stronnic. A przecież ten tygodnik był z liczby pism, które się cieszą opinią do-

brych tendencji. A cóżby należało powiedzieć o tym steku fałszów rozmaitej treści, który jest zawarty w naszych podręcznikach historii, literatury, który się codzień rozsiewa w skrajnych pismach pozytywnych! My jednak wchłaniamy to wszystko bez cienia krytycyzmu, nie domyślając się nawet jak dalece tem się zatruwamy.

I cóż dziwnego, jeśli niezmierny zamęt panuje w naszych poglądach i zasadach, i jeśli społeczeństwo nasze chyli się ku spoganieniu?

*„Dwie złości uczynił lud mój — skarży się Bóg usty Proroka Jeremiasza — Mnie opuścił, źródło żywej wody, a ukopał sobie cysterny, które wody zatrzymać nie mogą“.*

Św. Paweł zaś ostrzega w swym liście do Tymoteusza *„Że przyjdą czasy, gdy zdrowej nauki ludzie nie ścierpią, ale według swoich pożądliwości nagromadzą sobie uczycielów, mające świerzbiące uszy. A od prawdy słuchania odwrócą się, a ku baśniom obrócą. (Tym. 4 — 3).*

Szczerliwą jestem iż na stwierdzenie mych spostrzeżeń mogę przytoczyć słowa Ojca św. Leona XIII z ostatniej jego Encykliki roku 1902 wygłoszonej.

*„Dzisiejsza niewiara — pisze Ojciec św. — nie pozostaje przy wątpliwościach albo negacyi tej lub owej prawdy wiary, lecz zwalcza całość zasad uświęconych Objawieniem, a przez zdrową filozofię objaśnianych“.*

*„...A cóż przychodzi w miejsce tych zasad, tych niezrównanych filarów wiary? Straszliwy sceptycyzm, który się kładzie na serca, zimny jak lód, i tłumi wszelką wzniosłą dążność sumienia.*

*„Z systemu praktycznego ateizmu musiało koniecznie wyniknąć głębokie zamieszanie poglądu moralnego... Człowiek, niezdolny już do tego, aby na skrzydłach nadziei chrześcijańskiej podnieść się do wyższych dóbr, pragnąć będzie tylko ziemskiej sławy i będzie ją widział w możliwie wielkiej sumie rozkoszy i w wygodach życia, które zaostrzają pragnienie zabaw, wzmacniają żądzę bogactw,*

pożądanie szybkiego i nadmiernego zysku, bez względu na sprawiedliwość, dalej powodują ambicję, dla której zadowolenia człowiek się nie odwróci nawet od środków nieprawych... wreszcie powszechną wybujałość obyczajów, która pociąga za sobą prawdziwy upadek cywilizacji.

„Czy może *przesadzamy smutne objawy* logiczne tego bolesnego zamętu? Rzeczywistość która jest namacalna, potwierdza niestety aż nazbyt nasze zdanie. Toż znaną jest rzeczą, że jeżeli się nie użyje zawczasu środków zbawienia, natenczas zachwieją się podstawy społeczeństwa obywatelskiego, ponieważ także pierwsze zasady prawa i odwiecznej moralności doznają wstrząśnienia. Z tego powodu ciężko cierpią wszystkie składniki ciała społecznego, *poczawszy od rodziny*.

„Toż każdy widzi jakie stąd wyrastają owoce: mnożą się po nad wszelką miarę małżeństwa zawarte w brzydkiej namiętności. Te albo zrywa się po krótkim czasie, albo też wyradzają się one w tragiczne zatargi, w skandaliczną niewierność, nie mówiąc już wcale o niewinnych dzieciach, które się zaniedbuje, albo które psują złe przykłady rodziców... A z rodziną zachwiany jest także porządek społeczny i polityczny.

„...Umysł młodociany, przy braku doświadczenia i przy popędach namiętności, podlega zakłęciu zgubnych nauk, przez złą prasę obficie rozszerzanych, które wpływają nieszczęśliwie na rozum i wolę, i żywią owego ducha pychy i nieposłuszeństwa, który tak często zakłóca spokój poszczególnych rodzin i gmin.

„Wiele spodziewano się po postępach wiedzy... ale czy rzeczywiście były stąd takie obfite owoce, jakich wielu pragnęło i spodziewało się? Wiedza z pewnością otworzyła nowe poglądy duchowi ludzkiemu i rozszerzyła panowanie człowieka nad przyrodą i w stokrotny sposób polepszyła niektórym życie ziemskie. Niemniej jednak

czują to wszyscy i niektórzy wypowiadają otwarcie, że wynik zawiódł nadzieje. Musi to przyznać każdy kto spogląda na stan moralności, na *statystykę zbrodni*, na wzrastający z głębi ruch, na panowanie siły nad prawem. Powierzchnowy rzut oka wystarczy aby poznać, że niewypowiedziane smutne usposobienie ciąży na umysłach i ogromna próżnia otwiera się w sercach. Człowiek zawładnął materją, ale ona nie mogła mu dać tego, czego nie posiada. Wiedza ludzka nie mogła rozwiązać wielkich spraw, które się ściągają do najwyższych interesów ludzkości.

„Niezaspokojone zostało pragnienie *prawdy, cnoty, rzeczy niezmiernych*. A ziemia ze swoimi skarbami i uciechami, nie mogła usunąć niepokoju duszy!

„Po tem odłączeniu się od Boga, nastąpił zupełny przewrót życia praktycznego. Do łona chrześcijaństwa musi przeto wrócić skolatane społeczeństwo, jeśli mu na sercu leży własne dobro, spokój i zbawienie.

„Jak chrześcijaństwo nie zstępuje do duszy człowieka tylko na to, aby ją naprawić, tak też nie wstępuje w życie publiczne państwa, tylko na to, aby jego spójność wzmocnić... Jeżeli chrześcijaństwo przekształciło narody pogańskie tak, że ustało barbarzyństwo, a ta przemiana była prawdziwem zmartwychwstaniem umarłych do życia, to w równej mierze będzie ono zdolne przywrócić znowu porządek i spokój w terażniejszych państwach i narodach po straszliwych wstrząśnieniach, wynikłych wskutek niewiary“.

Niemniej urodzajnem w dobre skutki jest działanie zasady chrześcijańskiej w ognisku rodzinnem. Bo nie tylko stawia opór zgubnym zasadzkom, jakie wielka niesforność niewiernych stawia życiu rodziny, lecz także przygotowuje i utrzymuje jedność i stałość małżeństwa, broni jego uczciwości, wierności i świętości.

## II.

Systemy filozofii pozytywnej nie tylko burzą i mącą zasady, ale stawiają także konkretne postulaty reform, a między innymi nie przestają wymagać radykalnych zmian w wychowaniu. Radzą uczyć dziecko i rozwijać, ale broń Boże niczem go nie krępować, a nadewszystko kładą nacisk na bezwzględne szanowanie indywidualności dziecka, nie bacząc, że przecież nie każdy objaw indywidualności zasługuje na uwzględnienie.

Nauczyciel powinien być niejako machiną do uczenia, uczeń zaś, to rajski ptak, któremu starczy tylko dziobek otworzyć aby przyjąć z ręki starszych gotowy pokarm nauki. Uczeń, — to *nad-człowiek*, mający niezaprzeczone prawo spijać samą śmietankę, nie myśląc o tem, że trzodzi drugich: wszystko dogadzać mu powinno i do niego się stosować. I po cóż np. miałby stojąco w klasie odpowiadać nauczycielowi, skoro to go utrudza? kłaniać się na ulicy zdjęciem czapki, skoro to go krępuje? po cóż miałby zwracać uwagę na formę swych listów do rodziców, skoro go to nudzi?

O posłuszeństwie dziś już nawet dzieciom się nie mówi. „Nie ciesz się matko — uczy p. Demolins w słynnym swoim dziele: „*De l'éducation nouvelle*“ „jeśli twój syn wrócił ze szkoły bardziej karny i posłuszny — ale ciesz się jeśli go ujrzysz bardziej przedsiębiorczym, samowolnym, niezawisłym“.

Nie przypuszcza widocznie p. Demolins, że przy karności można równocześnie być śmiałym, przedsiębiorczym, samodzielny, — i że jedno drugiego nie wyklucza wcale.

Na łobuzeryę młodych należy patrzeć z wyrozumieniem, choćby ich wybryki sięgały ostateczności; przez łobuzeryę bowiem charakter się kształci, poczem wrodzona szlachetność sama na wierzch wypływa. Burszo-

wanie, to ferment młodego piwka, które musi wyszumieć: jakże zamknąć mu to niezbędne ujście?

Rzecz osobliwa — w ostatnim lobuzie który kłamię i kradnie, widzi się dziś „temperament, krew i kości“ — jak gdyby wszystkie więzienia nie były takich ludzi pełne? Bo jeśli czego nam brak w dzisiejszym społeczeństwie, to chyba głównie ludzi z *duchem*, nie zaś takich, którzyby mieli „krew i kości!“ Widocznie uważamy, iż zbyt *anemicznie* odbywają się dzisiejsze zbrodnie!

Lecz przypatrzmy się dalej poglądom wychowawczym pozytywistycznej szkoły \*).

Chrześcijańska wstydlivość w wychowaniu panien, — to dziwactwo, brzemienne w najgorsze skutki. Postęp bowiem wymaga, aby młode dziewczęta bywały wtajemniczane we wszystkie zagadki życiowe: ukrywanie zaś przed nimi prawdy, to grzech przeciwko prawdzie, — wszystkie zasłony powinny przed nimi być odchylone.

Panienkom należy się całkowita swoboda: swoboda lektury, obcowania, zabawy, gdyż tylko w swobodzie wykształcić się może ich samodzielność, a uwydatnić ich indywidualność, wszelka zaś kontrola upokarza ich godność, a pozbawia je ambicyi, — jednym słowem, ciężko im ubliża.

Niech im przeto wolno będzie flirtować tak w szkole jak na ulicy, jednać sobie wielbicieli, podziwiać w muzeach nagości dzieł sztuki, przyklaskiwać wszelkim przedstawieniom scenicznym, — w swobodnym pochodzie *self-helpu* niech same sobie drogę życia torują.

Kult kształtu i nagości, — to według zasad pozytywnych bezwzględne wymaganie piękna; sprzeciwianie

---

\*) W dalszym ciągu tej pracy postaramy się uwydatnić w czem niektóre z tych poglądów są uzasadnione i w czem pewne zmiany w sposobie wychowywania są istotnie niezbędne.

się tej teorii to średniowieczna pruderya. Zmysłowość, piętnowana przez moralistów, to temperament „krzyk życia“; — zaś wstydlivość kobiety, to konwencyonalność, nienaturalność, sztuczność, brak życia i prawdy.

Wolna miłość: to wedle niektórych najbardziej krańcowych, — a właściwie tylko konsekwentnie rozwijających zasady swych mistrzów, myślicieli pozytywistycznych, — złote runo ludzkości, po które warto trochę się potrudzić, a choćby tylko drogę do niego utorować; to esencya *prawa natury*, treść życia, — okrutne zaś więzy małżeńskie zabijające naturalne sympaty, a sprzeciwiające się szczęściu człowieka, to największa sztuczność i niewola, to odwieczne męczeństwo rodu ludzkiego, które do czasu znieść trzeba, czekając aż ewolucya dziejowa sama z tych pęt uwolni. Nie przeszkadza to wszakże aby nad-ludzie, pod osłoną zewnętrzną przyzwoitości, — dziś jeszcze niezbędnej, — na wszystko sobie pozwalali.

Skoro która z podobnych zasad trafi do umysłu nie-doświadczonego dziewczęcia, — bądź przez usta zepsutej koleżanki, bądź przez jaką książkę, — łatwo sobie wyobrazić jakie na niej sprawia wrażenie: świeci bowiem obietnicą o której już się nie zapomina. Dziewczę przestaje odtąd ufać starszym, w których widzi tylko nieprzyjaciół własnego szczęścia, przy pierwszej zaś pokusie, dopóty jej coś do ucha szepcze, że ma niezaprzeczone prawo do tego, czego jej serce pożąda, że ani się nie obejrzy, aż się znajdzie na samem dnie przepaści. Tysiące giną tą drogą.

Dzisiaj, chociaż na całym ucywilizowanym świecie objawia się już wyraźny zwrot ku wierze i zasadom chrześcijańskim, a głębsze umysły poczynają coraz bardziej oceniać wartość katolicyzmu, my chociaż w zasadzie ten zwrot odczuwamy i nie jesteśmy nań obojętni, przecież długo jeszcze we wszystkich warstwach społecznych ponosić będziemy skutki zburzonego dogmatu, a to do-

póki zatruty owoc zasiewu u nas nie dojrzeje. Przy-  
patrzmy się tym owocom...

### III.

„Każde nasienie rodzi owoc według rodzaju swego“ —  
uczy Pismo Boże. Każde fałszywe założenie rodzi fał-  
szywy pogląd, pogląd fałszywą zasadę, fałszywa zaś za-  
sada rodzi krzywiznę czynu.

Rozmnożyły się też u nas nad miarę te krzywizny w wy-  
chowaniu i w życiu! Najzaciejsi rodzice, rozumni wycho-  
wawcy, pomimowiednie ulegają rwącemu prądowi, w ka-  
żdym razie przestają stawiać groble dla powstrzymania  
powodzi... zrezygnowali się na niejedno, *nie zupełnie pewni*  
po czyjej stronie racya? Czynią więc w wychowaniu ustęp-  
stwo po ustępstwie, nie pomnąc, że droga parlamento-  
wania i koncesyi bywa często początkiem kapitulacyi.

Gdy tak przewodnicy zesłabli, wszelkie węzły kar-  
ności rwać się poczęły i rychło wyglądać możemy chwili,  
w której wszędzie, nie tylko w życiu rodzinnem ale i spo-  
lecznym, zdanie małoletnich będzie na równi uwzględnia-  
ne ze zdaniem starszych, i gdy podlotki sądzić będą  
swych życiodawców.

Coraz też liczniejsze głosy skarg podnoszą się na  
młodzież, jaka nam dorasta, a lęk ogarnia, gdy się o przy-  
szłości myśli. Młodzi nie znają już poszanowania dla  
starszych, a o uczuciu wdzięczności nie mają nawet wyobra-  
żenia. Każdy przeciętny młodzieniec, to skończony samo-  
lub, pojmujący to tylko, co go osobiście obchodzi, a nie  
znoszący skrzepowania. Ani mu na myśli ocenić, co się  
dla niego czyni: on potrafi tylko *wymagać, krytykować*  
*i narzekać*—na rodziców, na zwierzchność szkolną, na brak  
przyjemności i wygod, a celem jego wysiłków wykręcić  
się od obowiązku.

Z moralnością jest najgorzej, — tak u chłopów jak i dziewcząt. Zdaniem światłych pedagogów, młokosy szkolne takie dziś popełniają nadużycia, że się o tem bez zgrozy nie myśli, — co oczywiście pociąga dla całych generacji ruinę zdrowia i przytępienie zdolności. Dane statystyczne podające cyfrę młodzieży z drogi moralności wykolejonej i popełniającej różnego rodzaju zbrodnie, lub ginącej od samobójstw, są po prostu przerażające.

„Już oddawna wzmagają się coraz usilniej skargi, — pisze profesor Struve — na zmateryalizowanie szerszych warstw społeczeństwa i na wynikającą stąd demoralizację, niemal powszechną. A skargi te wychodziły nie tylko z obozu konserwatywnego, wyrzekającego na upadek tylu pięknych tradycyi, tylu wierzeń idealnych, podtrzymujących energię moralną w narodzie, w młodzieży, i we wszystkich, którzy mają na oku prawdziwe dobro społeczności ludzkiej. Wraz z konserwatystami i przedstawicielami liberalizmu rozlicznych odcieni, nie wyłączając skrajnych postępowców, sarkali w ostatnich czasach na znaczne niżenie poziomu moralnego większości ludzi, pomimo znakomitych postępów na polu wiedzy, przemysłu i techniki. Zarówno fakta codziennego życia, jak skrzętne dociekanie statystyki moralnej, stwierdziły na każdym kroku słuszność tych skarg. Wzmagający się znaczny procent przestępstw wszelkiego rodzaju, w stosunku do liczby ludności; większy daleko w porównaniu z przeszłością procent samobójstw; dalej, zdziczenie obyczajów, wkradające się nawet do korporacji parlamentarnych, jako wybrańców narodu; Panany kapitalistyczne we wszystkich niemal krajach, wreszcie nikczemne królobójstwa anarchistów, — oto, niestety dane, przed którymi i najbardziej postępowe umysły oka na długo zamknąć nie mogły.

„Wszystkie te smutne fakta wykazywały w sposób dotykalny całą powierzchowność i nieprawdę zasady po-

stępowców, jakoby *wiedza i dobro* były w gruncie jednym i tem samym, jakoby oświata sama przez się pociągała za sobą umoralnienie narodu. Oświata, — o tem wątpić nie można było, — wzmogła się wśród narodów; szkoły szerzyły wiedzę, wnosily ją w najodleglejsze zakątki świata cywilizowanego; liczba analfabetów zmniejszała się wszędzie z każdym rokiem; liczba pism i ich czytelników wzrastała bez przerwy. A jednak, — moralność nie szła w parze z tym postępem oświaty! Przeciwnie, pomimo wzrostu oświaty, moralność upadała w sposób przerażający! To musiało doprowadzić do upamiętania i tych, którzy ze sztandarem oświaty w rękę przekonani byli, że uturują sobie i ludzkości drogę do ziemskiego raju, do najwyższej, dostępnej dla człowieka doskonałości“.

Oto niektóre dane statystyczne, dowodzące przerażającego wzrostu zbrodni, popełnionych przez dzieci we Francyi, — w tej głównej ojczyźnie pozytywizmu i nowych prądów.

W roku 1882 liczono 16,000 zbrodniarzy niżej lat dwudziestu.

W roku 1892 liczono 41,000 zbrodniarzy.

Od roku 1889 do roku 1891 zaaresztowano w Paryżu 40,000 chłopców i 13,000 dziewcząt niżej lat szesnastu, za czyny prostytucyi.

W liczbie zbrodni, popełnionych we Francyi w roku 1889 liczono:

69 zabójstw,
3 ojcobójstwa,
33 dzieciobójstw,
4,213 skaleczeń,
25 podpałań,
153 zgwałceń,
11,852 różnych zbrodni,
Ogółem 17,000.

Cyfra samobójstw dzieci wzmagą się z każdym rokiem.

W roku 1884 liczono ich 7,572.

W roku 1888 „ „ 8,451.

W samym Paryżu liczą tych czynów zbrodniczych do 60 miesięcznie.

W liczbie tych 8,451 samobójstw było 1,988 dziewcząt, z których 65 liczyło ledwie rok szesnasty, 383 między 16 a 21 rokiem życia.

W roku 1880 ścigano 167,000 zbrodniarzy, w roku zaś 1892 cyfra ściganych dosięgła 700,000.

Rychle to owoce sekularyzowania szkół i kształcenia bezwyznaniowego.

Moralny poziom panien obniża się ustawicznie. Dzięki lekturom, przedstawieniom scenicznym, brakowi dozoru na pensjach i t. d., wszelka wstydlivość starta jest z czoła panienek w bardzo już młodym wieku. Zdarza się, że podlotki w piętnastym roku życia czytały już różne powieści treści najbardziej pornograficznej, uczęszczały na bezwstydne przedstawienia, w muzeach przyglądały się obrazom, na które bez rumieńca się nie patrzy, a korespondują na kartkach wstrętnej treści, któremi się zachwycają.

Rozmawiać drażliwemi dwuznacznikami, — zwłaszcza z mężczyzną — to dla nich istota przyjemności: w tym kierunku zwracają cały swój dowcip. W poezyi uwielbiają tylko drastyczne ustępy, które przepisują w podręcznikach, a podkreślone podają jedna drugiej; tylko to co brudne zaciekawia je i bawi. W kocieteryi są wyćwiczone, a w ośmnastym roku życia serce niejednej tak już jest przepalone romansowemi wrażeniami, że na uczciwe uczucie zdobyć się już nie potrafi.

O wierze św. a tem bardziej o pobożności ani chcą slyszec, a jest rzeczą charakterystyczną, że książki pi-

sanej przez kapłana, choćby najrozumniejszej, nie wzięłyby do ręki, gdyż ją uważają za stronną. Nie można by wszakże o nich orzec czy mają wiarę czy nie, bo na dewszystko o niczem poważnem myśleć nie umieją: strój, zabawa, podobanie się: — celem ich życia.

Takie panny, — niestety nie stanowią u nas wyjątków. Wyjątkowemi są skromne, religijne, i niemalże lęk ogarnia o nie, gdy na pensyi muszą się zetknąć z koleżankami.

Być może, iż niejedna matka zarzuci przesadę temu obrazowi — świadczyła by tem, albo o zupełnej nieznajomości społeczeństwa w którym żyje, albo że jej rodzina stanowi szczęśliwy wyjątek w społeczeństwie — jakoby oazę, do której zgniłe wyziewy świata nie dotarły. Zapewne zbyt rozpaczliwie działałoby się z nami, gdyby nam takich rodzin zabrakło, w nich bowiem jedyna nadzieja naszego odrodzenia.

Powiedzą znów może niektórzy, że stan obecny, to faza przejściowa, rokująca zwrot ku lepszemu. — Być może, — lecz wieleż to nam ona ofiar namnoży i jaką siejbę pozostawi?

Że w tym obrazie demoralizacyi młodzieży niema ani cienia przesady, poświadczą przełożeni zakładów wychowawczych, oraz prefekci szkół.

Pewien prefekt męzkiej szkoły, a równocześnie kapelan więzienia, zaręczał, że prawdziwej ulgi doznaje, gdy opuszczając klasę, podąża ze słowem Bżem do zbrodniarzy zakutych w kajdany, u nich bowiem więcej znajduje wiary, sumienia i poszanowania dla sukni kapłańskiej, a zwłaszcza uczucia wdzięczności, niż u młodych, przyszłych obywateli kraju.

Gdy razu pewnego zapytano dyrektora zakładu poprawczego dla chłopców, za jakie przestępstwa dzieci bywają tam umieszczane, odpowiedział, że za te same, które codziennie popełniają uczniowie szkół.

Innym znów razem kapelan zakładu poprawczego dla dziewcząt zaręczał, że większa liczba jego pupilek zawstydziliby czystością sumienia większość panien z pierwszorzędných pensyi! Jakież te ostatnie dadzą nam ognisko rodzinne, aż strach pomyśleć.

Któż w tak smutnych rezultatach nie dostrzeże rezultatu zasiewu?

„Z owoców ich poznać je, — powiedział Zbawiciel świata. — *Izali z ciernia zbierają jagody winne, albo z ostu figi?*“

„*Wszelkie drzewo dobre, owoce dobre rodzi, a złe drzewo, owoce złe rodzi. Nie może drzewo dobre owoców złych rodzić, ani drzewo złe owoców dobrych rodzić. A przeto z owoców ich poznać je.* (Mat. 7 — 16).

#### IV.

Człowiek nie jest więc *białą kartą*, wynikiem ewolucyi kosmicznej, lecz jest on wielce szlachetną, choć upadłą istotą.

Zasada jego szlachetności leży w tem, że został stworzony — jak Pismo św. powiada — na obraz i podobieństwo Boże. W tem pierwiastek jego wzniosłego ideału, jego szczytnych aspiracyi.

Wzniosłe przeznaczenie człowieka tłumaczy wszystkie przejawy, jakie dostrzegamy w jego duchowej istocie.

Bóg jest najwyższą prawdą, dobrem i pięknem — stąd u człowieka wrodzone pojęcie o prawdzie, dobrze i pięknie, jego nieprzeparta tęsknota ku nim. Więcej niż kwiat do słońca, człowiek zwraca się ku tym promieniom Bożych doskonałości, a samo już dążenie ku nim, szczyt jego szczęścia na ziemi stanowi.

Bóg jest wszechpotężny, wolny i szczęśliwy, — stąd aspiracya człowieka do władzy, wolności i szczęścia.

Bóg jest wieczny, — stąd nieprzeparta dążność czło-

wieka do nieśmiertelności, jego o niej pojęcie, chociaż jest dokoła otoczony obrazami śmierci. Stąd też jego wstręt do zapomnienia, które jest jakoby śmiercią, a chęć do uwiecznienia się, choćby we wspomnieniu na ziemi.

Bóg jest nadewszystko miłością: w tem to gorejącem ognisku początkują się wszelkie Boże doskonałości, aby w ożywczych promieniach wciąż spływać na wszechświat: stąd też miłość — wiemy to dobrze, — jest najistotniejszą i najbardziej intensywną potrzebą człowieka.

Któż jednak nie zauważy, że w każdej z wyżej wymienionych aspiracyi, — stanowiących o szlachetności rodu ludzkiego — kryje się także pierwiastek jego zbożeń, które to zbożenia stąd płyną, że ludzkość przenosząc na doczesność to, co zostało jej obiecanie dopiero w wieczności, chce już tu, w tem życiu cieszyć się trwałem i bezwzględnem szczęściem, bezbrzeżną wolnością, nieograniczoną władzą, — gdy chce na tym świecie znaleźć ideał bez zarzutu, i całkowicie zaspokoić swą rządzą kochania.

Stwórca budując wszechświat, dał prawo całej przyrodzie oraz światu kosmicznemu, — nadal także prawo człowiekowi.

Człowiek jest także światem sam w sobie, — światem jednak stokroć cenniejszym w oczach Stwórcy, niż wszystkie systemy planetarne razem wzięte, bo jest światem posiadającym *świadomość* o Tym, który go z nicstwa wyprowadził, *oraz wolną* wolę do spełniania jego rozkazów, bo nadto posiada *uczucie*, którem zdolny jest ukochać Dawcę wszelkiego dobra.

W poznaniu Stwórcy i umiłowaniu Go, w spełnieniu Jego prawa, spoczywa rękojmia bytu człowieka — w doczesności i wieczności, — nadto spoczywa zasada jego godności, szczęścia i doskonałej harmonii jego życia.

Świat kosmiczny i przyroda strzegą najmędrsze prawa Boże, w czem spoczywa przyczyna niezrównanej harmonii i porządku wszechświata; człowiek jednak jako obdarzony wolną wolą, może spełniać albo nie spełniać Bożego rozkazu. I nie spełnił go pierwiastkowo: oto początek jego wykolejenia z drogi mu nakreślonej: oto jego wina pierworodna. Tu źródło trzech pożądliwości, które rodząc się, każdy człowiek na świat przynosi.

Człowiek nie spełnił prawa Bożego, poszedł *drogą swoją*, t. j. drogą namiętności, stąd popsula się ogólna harmonia porządku postawionego przez Stwórcę dla społeczności ludzkiej, stąd na świecie pięknym i dobrym, nastąpiło zło — dysharmonia i rozdzźwięk.

Wszystko, cokolwiek na świecie istnieje — trudno tego nie dostrzedz — nosi piętno tego osobliwego rozdzźwięku i świadczy wymownie o jakiejś przyczynie, która ten rozdzźwięk sprawiła. I tak np. ziemia cudnie piękna, widocznie na raj przeznaczona, jest jednak leż padole, człowiek zaś, król wszechstworzenia, noszący w swej duszy pierwiastek najszlachetniejszego ideału, stworzony na rządzenie ziemią, zapelnia tę ziemię zbrodnią, sam zaś poniżając swą godność, staje niekiedy poniżej bydła. Człowiek człowiekowi staje się gorzej niż wilkiem!

Poszedł on *drogą swoją*, nie zaś Bożą, stąd pokrzyżowały się bezmiernie drogi ludzi na ziemi, stąd nastąpiło cierpienie, gdyż każdy człowiek szukając *na tej drodze swojej* tego tylko, co go osobiście obchodzi, co mu najlepiej dogadza, strąca niemiłosiernie słabszego.

Gdyby systemy planetarne miały wolę własną i mogły także wykoleić się z pod praw im nakreślonych, pokrzyżowałyby się też bezmiernie ich drogi, i w miejsce harmonii, oraz cudnej celowości, jakie w nich podziwiamy, nastąpiłby chaos tak straszny, że żadne istnienie ostać by się nie mogło.

Wszystko więc świadczy wymownie, że dusza ludzka nie jest *białą kartą*, lecz że na jej dnie spoczywają dwa odrębne pierwiastki: dobrego i złego, które — jak ogień i woda bezustanny bój z sobą toczą. Tu zasada pracy nad sobą, a najprzód pracy wychowawczej, podjętej w celu, aby pierwiastek dodatni odniósł zwycięstwo nad ujemnym. Tu również zasada pracy „w pocie czoła” którą człowiek obowiązany jest wykształcić w swej duszy obraz Stwórcy, na podobiznę którego został stworzony, aby tym sposobem osiągnął swój cel ostateczny: posiadanie przez całe wieki — w nagrodę za trud życiowy — Prawdy, Dobra i Piękną, — to jest samego Stwórcy.

Nie używanie przeto, nie rokosz są celem człowieka, — jak twierdzi pozytywizm, — lecz chwała Boga, która przez to urzeczywistnia się na ziemi, że człowiek, mogąc podążać w życiu *drogą swoją*, t. j. tą, którą mu namiętność ściele, dobrowolnie i z miłością strzeże Bożego prawa t. j. podąża drogą Bożą. Ten czyn jego świadomy, stokroć więcej wielbi Stwórcę, niż bezwiedne posłuszeństwo ciał niebieskich, człowiekowi zaś więcej przysparza zadowolenia, niż go znaleźć by mógł we wszystkich rozkoszach doczesnych razem wziętych.

Z woli Bożej rodzaj ludzki mnoży się i utrzymuje drogą małżeństwa. Zważywszy jednak, że na tej drodze osobliwe grozi człowiekowi niebezpieczeństwo wykolejenia, — ku czemu sprzysięga się jego grzeszna pożydlivość, — tę to drogę Stwórca w szczególny sposób swem prawem obwarował: postanowił *nirozzerwalność* związku małżeńskiego, w której jego zacność, świętość, nad to zasada bytu rodziny, a rękojmia bezpieczeństwa społeczne-go. Utworzenia rodziny *bez ograniczenia żadnego* — celem tego świętego związku. Po za tą drogą istnieje tylko grzeszne nadużycie, poniżające godność człowieka, istnieją różne bezprawia, wrogie istnieniu gatunku.

Oto w kilku słowach treść twierdzeń zasadniczych, które prawo Boże przeciwstawia argumentom wolnej myśli: z tego wszakże krótkiego zestawienia, łatwo każdemu wywnioskować, po której stronie prawda, sprawiedliwość, dobro? Doświadczenie wykazało, że z łona racjonalizmu płynie na ludzkość pozorne tylko szczęście, opierające się na chwilowem zadowoleniu, w gruncie zaś pochodzi niedola: burzenie, zamęt, upadek moralny, skarlówacenie i zanikanie gatunku, zwyrodnienie wreszcie i śmierć przedwczesna... wynika także cała sieć sprzeczności nawzajem się wykluczających, wreszcie zniechęcenie, pesymizm, samobójstwo; z łona zaś strzeżenia praw Bożych płynie nadewszystko pokój ducha, harmonia stosunków społecznych, rozwiązanie dodatnie wszelkich życiowych zagadnień, zdrowie fizyczne i moralne, utrwalenie i rozmnożenie gatunku, dobrobyt, wreszcie możliwe na ziemi szczęście człowieka, jako zaś dominujący nastrój ducha, niezachwiana nadzieja, którą nazwaćby można szlachetnym optymizmem, wreszcie *radość z życia i zapal do czynu!*

„*Po owocach ich poznacie je*“.

## V.

Zważywszy nieobliczone szkody, jakie nam wyrządził racjonalizm burzący wszystkie nadprzyrodzone pojęcia, — zważywszy chmurną przyszłość, jaka nad nami zawisła, z przyczyny pomącenia wszelkich podstawowych zasad i szerzącej się korrupcyi między młodzieżą, należy bez zwłoki pomyśleć o środkach zaradczych. Pozwoliłszy na zburzenie zasad, należy obecnie wziąć się energicznie do odbudowania ich; — pogardziliśmy filozofią katechizmu, należy pokornie do niej się zwrócić.

W tym odważnym zwrocie dziś najwyższy postępek, albowiem tylko na niespożytych fundamentach dogmatu

budować możemy trwałe gmach: *rozwoju, postępu i udoskonalenia*.

I nie lękajmy się, aby zasady dogmatu, w katechizmie zawarte — tak dawne a proste — nie wystarczały już potrzebom wykształconego społeczeństwa, nie sądzmy, abyśmy dziś odmiennych potrzebowali podwalin, — prawda nie starzeje. Wszakże prawa kosmiczne, prawa przyrody zawsze są jednake i nie starczy człowiekowi wieków, aby je zgłębił i posiadał.

Nie mniej niewzruszone są prawa Boże, rządzące człowiekiem, i w tem najwyższa nasza mądrość, abyśmy je badali, poznawali i wciąż w swem życiu stosowali. Wszakże chcący się kształcić w matematyce, fizyce, chemii i t. p., zawsze rozpocząć musi od zasad podstawnych i dopiero na tym fundamencie budować może, — prawie do nieskończoności — gmach wyższej wiedzy, ktoby zaś pokusił się zburzyć tę podwalinę dla tego, że stara się, aby postawić nową, ten zmitrężywszy siebie i drugich, doszedłby do dziwactwa, i na miano szaleńcaby zasłużył, ten sprowadziłby na świat zacołanie, nie zaś postępek, — zamęt nie zaś światło, — nieład nie zaś porządek, byłby burzycielem a nie budowniczym wiedzy i szczęścia ludzkiego.

Poglądy myślicieli niechrześcijańskich wychodząc z fałszywego założenia, choć doszły do bankructwa moralnego i zatrważających rezultatów życiowych, przecież w swoim pochodzie krytycznym *potrącają niekiedy o prawdę*.

W swej nieprzepartej aspiracyi ku nowości i w systematycznym burzeniu wszystkiego co stare, pod hasłem zwodniczym postępu wykazują jednak niekiedy niejedno, coby wypadalo odmienić, jako to: niejedną formę istotnie użytą, lub nie mającą już racyi bytu, w zastosowaniu zaś najzdrowszej zasady, niejedną przesadę, niejedną ciasnotę w poglądach, wreszcie niejednen szablon, rutynę, bezmyślność, względem których są biczem Bożym.

Dzięki im za to. Nie pogardzamy światłem skądkolwiek by nam ono płynęło, owszem, zamierzając skreślić podręcznik wychowawczy, któryby mógł być użyteczną orientacją dla rodzin, skrzętnie zbieramy tu i owdzie trafne spostrzeżenia, — niby zdrowe ziarnka, — aby odłączywszy je od plew, w wychowaniu je stosować.

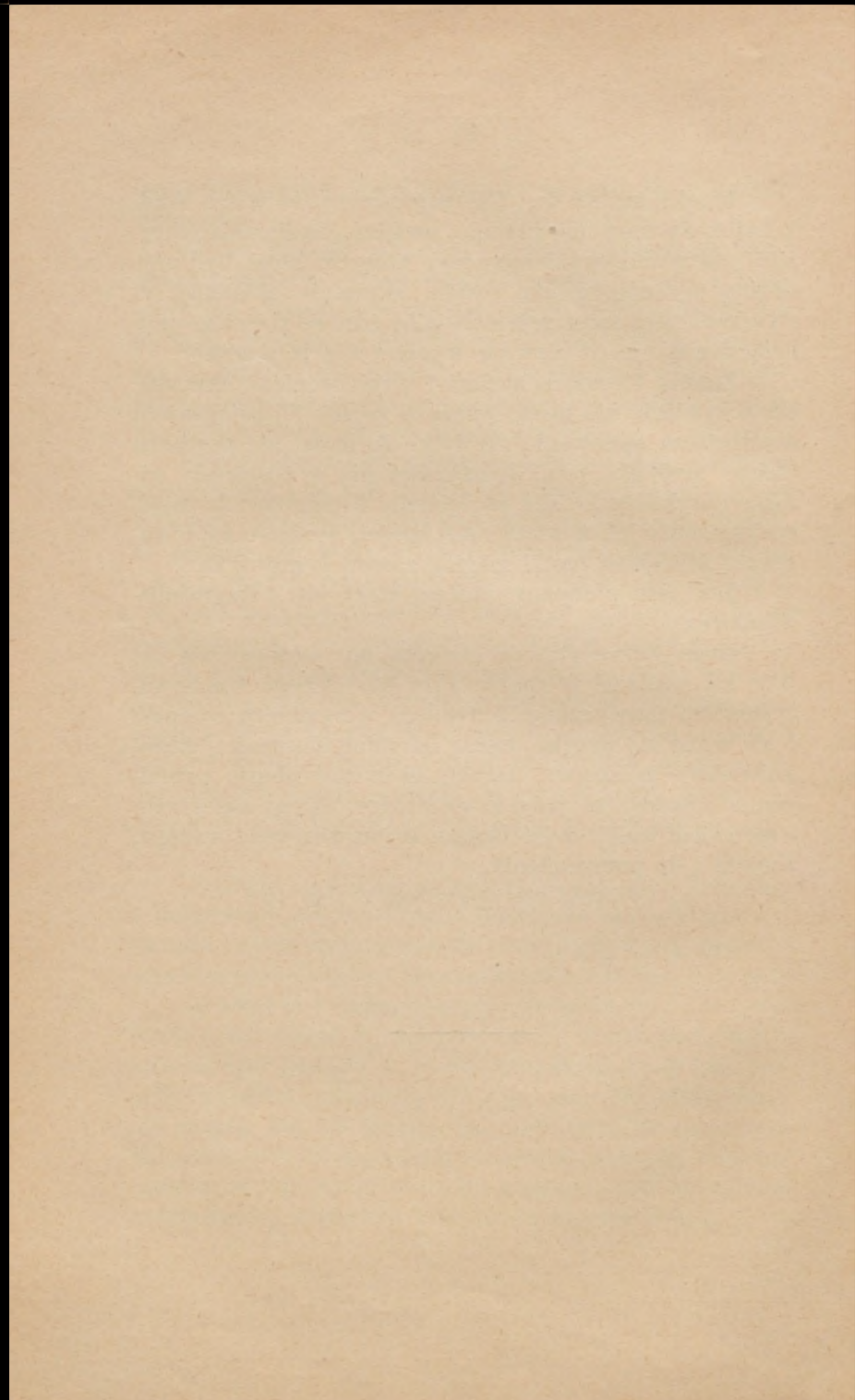
Zasada kierująca życiem i wychowaniem, zmieniać się oczywiście nie może, wszakże sposób jej pojmowania a zwłaszcza stosowania nie tylko że może, ale powinien ulegać modyfikacyom, bynajmniej nie w znaczeniu odmian radykalnych, lecz pogłębieniu i rozszerzeniu pojęć, oczyszczeniu ich z wielu naleciałości, wreszcie zaprowadzeniu ściślejszej logiki między zasadą a praktyką.

Oto jest pożądany postęp, który jest naszym obowiązkiem.

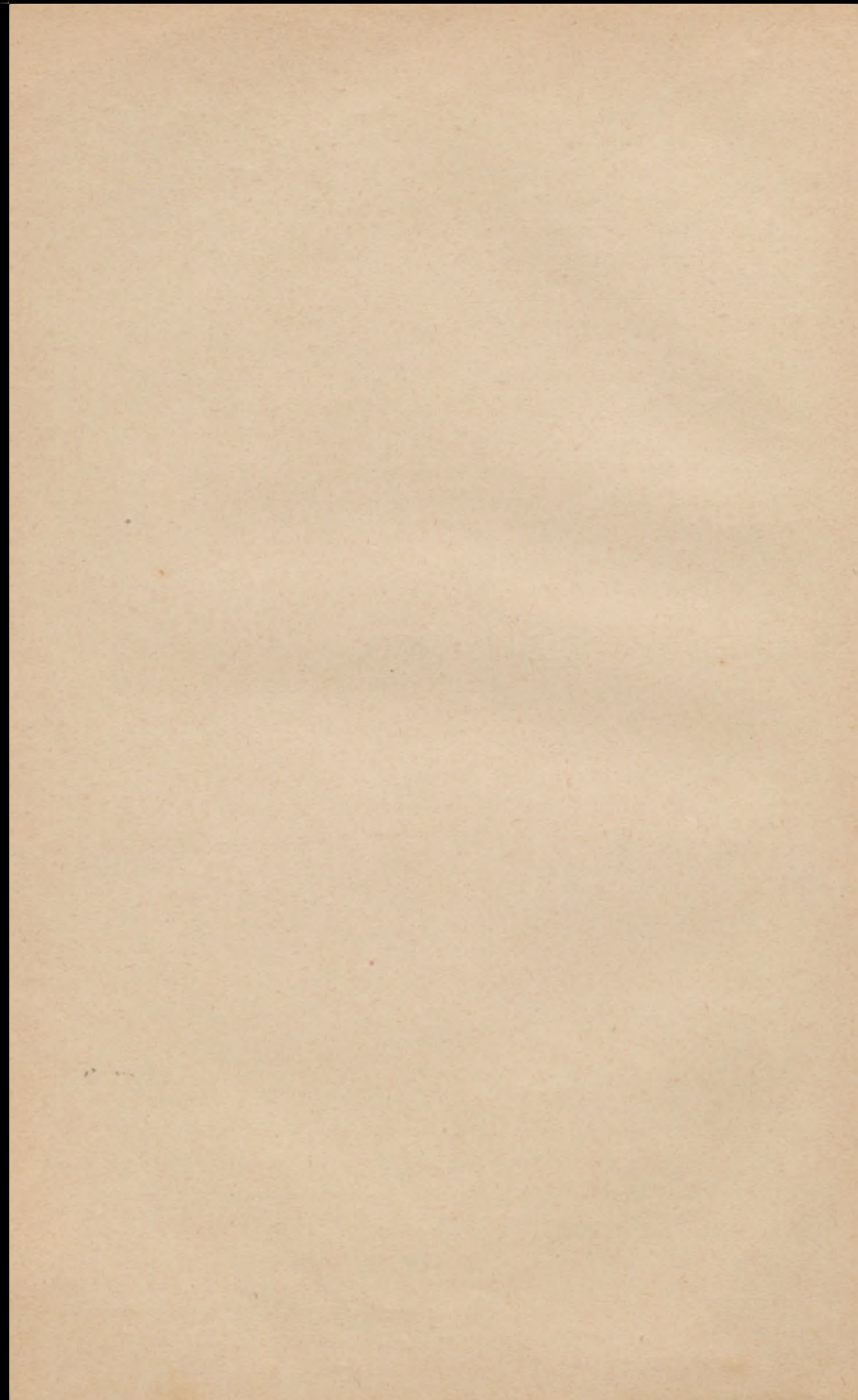
Kogo *jedynie prawda obchodzi*, ten niewątpliwie nie daje się zapędzić w uparte *parti-pris* ślepego konserwatyzmu lub fanatycznego potępiania wszystkiego co nowe i nie waha się przyjąć każdą odrobinę słuszności, gdziekolwiekby ją znalazł, choćby to było w obozie przeciwnika. Sądzę, że jedynie na drodze takiego ekletyzmu i sprawiedliwości dojść można do prawdziwego postępu, a może i do porozumienia.

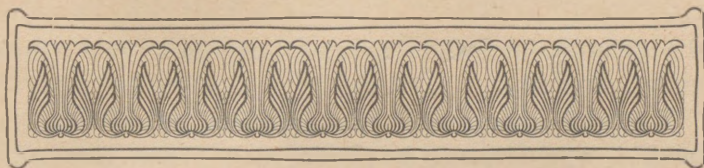
„*A prawda was wyzwobodzi*“ (Jan 15).

---



DZIECKO.





## I.

„Dopuszczcie dzieciętkom przyjsć do mnie“.

**P**rzyglądając się szkółkom drzew i krzewów, prowadzonym z taką pieczołowitością przez ogrodników, a zwłaszcza słysząc, jak wielki nacisk pomologowie kładą na konieczność starannej hodowli młodych szczepków, mimowolnie myśl się zwraca do innych sadzonek, których pielęgnowanie o tyle wyższą przedstawia doniosłość.

Uczą ogrodnicy, na podstawie nauki i doświadczenia, że każdy szczegół w pielęgnowaniu młodego drzewka — od chwili pierwszego kiełku — jest ważny; uczą, że szkółka to podstawa ogrodu, jego rzeczywista wartość, jego przyszłość i byt trwały. O drzewie dorosłym, już rodzącem, zapomnieć można nawet przez czas dłuższy, bez wielkiej dla niego krzywdy; o młodej zaś sadzonce trzeba wciąż pamiętać, grunt dla niej spulchniać, doprawiać, oczyszczać, a ją samą najstaranniej pikować, przesadzać, korzonki jej przycinać, wreszcie palikować ją, przywiązywać, a od słońca i wiatrów osłaniać. Korzeń drzewka zawsze najbardziej ogrodnika zajmuje, bo skoro drobne korzonki nieprawidłowo się rozrosną lub między

sobą splączą, drzewko choruje i usycha... Wie o tem dobrze ogrodnik.

W tych szczegółach tkwi głęboka wskazówka dla matek i wychowawczyń. I dla nich niema szczegółu mało znacznego w dziele wychowania, i dla nich najważniejszy jest *korzeń* drzewka, — t. j. moralna strona dziecka, to, co się u niego kryje wewnątrz, w jego duszy, a dla oka jest niedostrzeżone: myśl, uczucie i sumienie.

Wielkie są zapewne różne prace ludzkie, szczytne wszystkie dzieła miłosierdzia, jednak z liczby różnych dzieł, prac i zabiegów ludzkich, dzieło wychowawcze najwyższe powinno zajmować stanowisko, bo młodzież, to przyszłość, to nadzieja narodów, to drogocenne ziarno, od którego kielkowania i wzrostu kwiat i owoc całych pokoleń zależy.

W pokoju więc dziecinnym, w ochronie, w szkółce i szkole wazą się losy krajów i społeczeństw.

Gdybyśmy przez lat kilkadziesiąt, zaniechawszy wszelkich innych dzieł miłosierdzia a zwróciwszy naszą uwagę w jednym tylko kierunku, zdolali objąć i po chrześcijańsku przeprowadzić, — we wszystkich warstwach hierarchii społecznej, — dzieło wychowania dziecka i młodzieńca, niewątpliwie postać świata bardzoby się odmieniła.

Wypróżniłyby się domy poprawcze, szpitale, więzienia, schronienia dla obłąkanych, zdrowotność by się wzmożła, zdolność ogółu by wzrosła, a wypadki samobójstwa stałyby się wyjątkami.

Los społeczeństwa spoczywa więc w ręku matek i wychowawczyń!

Jeśli zaś źle się na świecie dzieje i coraz gorzej, to z przyczyny, że coraz mniej zwracamy uwagi na moralną stronę wychowania, że błędów w wychowaniu popełniamy bez liku!... i że — przyznać należy — po wię-

kszej części uczymy dzieci, kształcimy młodzież, ale jej nie wychowujemy.

Matek umiejących hodować jest wiele, samo poczucie macierzyństwa do tego je skłania, lecz matek wychowujących rozumnie, — matek, pojmujących doniosłość każdego czynu w wychowaniu, — matek, któreby z troskliwością śledziły myśl swych dzieci, posiadały ich zaufanie, były dla nich wzorami postępowania, takich matek i wychowawczyń jest nie wiele, a takich nam potrzeba koniecznie dla moralnego wzrostu naszego społeczeństwa, dla jego istotnego postępu, dla jego odrodzenia.

Zdarza się niestety zbyt często, że młode matki bez najmniejszego przysposobienia, a nawet z wielką lekkomyślnością zabierają się do spełniania dzieła najważniejszego, jakie dane jest człowiekowi spełniać na tej ziemi: do wychowania dziecka.

Pogląd przeważnej części matek na macierzyństwo bywa całkiem powierzchowny, światowy, naturalistyczny, albo też czysto uczuciowy.

Jeśli młoda kobieta tego pokroju cieszy się na myśl o dziecku, którego się spodziewa, radość macierzyństwa na tem się dla niej zasadza, że będzie miała dziecko własne, do którego będzie miała nieograniczone prawo, które będzie mogła kochać miłością wyłączną, — ubóstwiać, a od którego nawzajem będzie kochaną nadewszystko. Jeśli syn — to spadkobierca fortuny, mienia, to chluba rodu — a więc sprawca radości największej, wszyscy jej wieszować go będą. Jeśli córka, to będzie miła pocieszka w domu, jego ozdoba, zabawka, przedmiot podatny do strojenia, a później towarzyszka, przyjaciółka, powiernica. — I na tem koniec.

Miły niewątpliwie jest dom, w którym roją się dziatki, a puste ognisko, przy którym dziatwa się nie grzeje, stokróć smutniejsze, niż klatka bez ptaka. Zresztą nudnem byłoby dla kobiety życie bez zajęcia, a zajęcie przy

dziecku to dla każdej matki najmiłsze zapełnienie dnia. Dla tych więc przyczyn pragnie młoda mężatka zostać matką. Rzadko która zdobywa się w tej mierze na pogląd wyższy i głębszy. Dziecko, w rzeczy samej, to istota tak miła, ładna, świegocąca... któżby go nie lubił, gdy jest grzeczne? Rozrywa dowcipem, bawi conceptami, czasami naiwnością kompromituje, — ale to nie! — rozkosz wtenczas je pieścić, okrywać pocałunkami, wreszcie drażnić, aby wywołać nowe concepta, i, psuć na potęgę!

W taki to sposób się dzieci kocha!

Najnowszy jednak pogląd wielu matek światowych na dziecko, jest już zupełnie inny. Przebija się w nim piętno ducha czasu, a także wpływ, jaki Francya na nasz sąd i obyczaj wywiera. Dziecko — zdaniem etyki niechrześcijańskiej — nie jest celem związku małżeńskiego, lecz tylko jego naturalnym wynikiem, często zupełnie nie pożądanym; to dodatek w życiu rodziców, ciężar arcy-niewygodny. Ograniczyć liczbę dzieci — metodą francuzką — w stosunku do stanowiska, majątku, projektów na przyszłość, — uważa się dziś powszechnie za umotywowaną roztropność małżonków.

Widzimy jednak o ile ten system zbrodniczy, — przeciwny prawu Bożemu, — wyrządził Francyi krzywdy, nie tylko moralnej, ale i materyjalnej, gdyż ją pograżył w upadek, z którego podźwignąć się nie może.

Niejedna może mężatka zapyta: Jakiegożto potrzeba przygotowania do dobrego pełnienia macierzyńskich powinności? Czy koniecznem jest kończyć kursa pedagogiczne? Wszakże w dawnych czasach nie znano nawet z imienia nauki o „pedagogii“, a świat stał na mocnych podwalinach i matki bez pedagogii wychowywały dzielnych synów i świątobliwe córki. Skąd więc dziś dla nas urosła nagle jakaś potrzeba specjalnego przygotowania

się do spełniania tego, co już leży w samej naturze i do czego każdą kobietę prowadzi wrodzony jej instynkt?

Jeśli tu mowa o instynkcie, to w rzeczy samej, każda matka posiada — na równi ze zwierzętami — instynkt wykarmienia, obronienia i wyhodowania swego płodu, a to do chwili, w której niemowlę potrzebuje jej fizycznej opieki.

Instynkt naturalny dalej jednak nie sięga. Kursa pedagogiczne użyteczne są, nie można jednak twierdzić, aby były niezbędne. Jedno tylko jest niezbędne każdemu wychowawcy a to *zastanowienie* nad ważnością wychowania i *zasada* mająca wychowaniem kierować; skąd zaś czerpać mamy to zastanowienie i tę zasadę, — czy z wychowania domowego, czy z kursów pedagogicznych? — to rzecz druga.

Nie znano dawniej pedagogiki — to prawda — pomnijmy jednak, że dawniej zupełnie odmienne istniały warunki życia: dawniej więcej było prostoty w obyczajach, a spokoju w całym życiu.

Dom rodzicielski, w którym się spełniała zasada ewangeliczna, przykłady matki chrześcijanki, jej rady i wskazówki — oto były dla córki najpraktyczniejsze kursa wychowawcze.

Związki małżeńskie tak lekkomyślnie się nie kojarzyły jak dziś, a dla młodej kobiety czas wyczekiwania dziecięcia był czasem skupienia, zastanawiania się, modlitwy; był czasem poświęconym pracy domowej cichej i ukrytej, zdala od wrzawy świata. Trudno o lepsze przygotowanie do macierzyńskich obowiązków.

Dziś przeważnie każda młoda paniuszka bywa wychowywana poza domem, na pensyi wśród obcych. Przez długie lata zna ona dom jedynie z wakacyjnych wyjazdów i często, prosto z ławki szkolnej przystępuje do ołtarza i rozpoczyna życie poważne i trudne, z lekkomyślnością motyla.

Przy takich warunkach wychowania oczywiście, że wykłady pedagogii stają się niezbędne — jako dające orientację w życiu i dopełnienie licznych braków wykształcenia, którym „dom“ nie zaradził. Wykłady te wprawdzie nie zastąpią ciepła i siły przykładów własnej rodzicielki, jednak wielką jest ich użyteczność: kto może z nich korzystać, niechaj korzysta, a ukończywszy ją, niechaj dalej się w tym kierunku kształci czytaniem dzieł użytecznych i zastanowieniem.

Jasny pogląd ze stanowiska chrześcijańskiego na to, czem jest dziecko, niezbędny jest każdej matce, pragnącej dobrze swe dziecię wychować.

Czem jest dziecko? Dziecko, jest to nadewszystko dusza, tchnieniem Stwórcy z nicości wyprowadzona, która przez pośrednictwo matki ciałem się przyoblekła: jest to Boży *depozyt* na czas życia pieczy rodziców zlecony.

Nie jest więc ono *własnością* rodziców — jak to wielu sądzi, lecz jest niezaprzeczenie własnością Stwórcy, który ma względem niego najwyższe, ostateczne i nieograniczone prawo. Z woli Bożej to dziecię na świat przyszło, na Boże skinienie świat ten opuści, — któż temu zaprzeczy?

Dziecko jest jeszcze czemś więcej: po chrzcie św. staje się ono świątynią Ducha św., przybranem dzieckiem Jezusa Chrystusa, istotą, przeznaczoną dla wiecznych najwspanialszych celów: to przyszły dziedzic królestwa niebieskiego. Życie doczesne, które stanęło przed nim otworem, — a ku czemu matka mu była bramą — to tylko minimalna cząstka jego życia, to jak kropelka wody wobec przestworu oceanu i mniej jeszcze, — bliższy bowiem zachodzi stosunek podobieństwa między kroplą a oceanem, niżli pomiędzy ograniczoną chwilą, jaką jest życie, a wiecznością.

Matka więc, wychowując dziecko, mieć powinna wzgląd na cele wieczne: w doczesności dla wieczności je wychowywać.

Taki pogląd uczyni ich miłość głębszą — szlachetniejszą!

Dziecko wreszcie, to Boże ziarenko, w które Bóg włożył myśl swoją, z góry mu nakreślając rozwój i plon. Tę oto myśl matka powinna zrozumieć i do skutku doprowadzić. Oto jej szczytne zadanie.

„Niema w tem wielkiej zasługi dla matki, — pisze P. de Maistre — wydać na świat dziecko, ale w dziecku wykształcić dobrego a rozumnego człowieka, obraz i podobieństwo Stwórcy, w tem jest zapewne zasługa nie mała“.

O duszy dziecięcia, matki najczęściej nie pamiętają, tak bardzo je absorbuje jego zewnętrzna powłoka. A o wartości tej duszy dziecięcej poucza Zbawiciel świata.

*„Ktoby zgorszył jednego z tych małych — którzy we mnie wierzą — mówi Chrystus do Apostołów, — lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono w głębokości morskiej“...*

*Patrzcie abyście nie wzgardzili jednego z tych małych Zaprawdę powiadam wam, jeśli się nie nawrócicie i nie stanięcie jako dziatki, nie wniǳcie do królestwa niebieskiego. Ktokolwiek się tedy uniży jako to dzieciątko, ten jest większy w królestwie niebieskiem. A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (Mat. 18).*

Cóż jest, co Chrystus tak wysoko ceni w charakterze dziecka i co w niem, — nam dorosłym — stawia za wzór do naśladowania, jako warunek zbawienia?

Niewinność, prostota, charakteryzują każde małe dziecko: oto zalety w dziecięciu, które naśladować winniśmy, a które je czynią miłymi Chrystusowi. Pieczy zaś matki powierzonym jest, aby jej dziecko tych zalet nie utraciło.

Jak młode drzewko uwiązuje się do mocnych paliów, aby rosło prosto, a nie skrzywiło się pod naciskiem

wiatrów i burz, podobnież dziecko znajdować powinno w wiosnie swego życia oparcie i zasłonę pod ciepłym skrzydłem matczynym, dla przechowania niewinności.

Dziecko, to istota niezmiernie wrażliwa, miękka jak wosk, a przeto dziwnie przysposobiona do przyjęcia wszelkiego nacisku — pięknego, czy szpetnego. Wierzy ono ślepo starszym i ufa im bezgranicznie, a będąc najmocniej przekonane, że wszystko, cokolwiek czynią starsi, a zwłaszcza rodzice, jest najlepsze, niesłychanie jest skłonne do naśladowania ich. Wypada rodzicom o tem pamiętać.

## II.

Wychowanie dziecka — to najpierwsza szkoła doskonalenia się dla matki (jako najwięcej mającej do czynienia z małym dziecięciem) a szkołą dla niej być powinna, od chwili pierwszego drgnienia dziecka w jej łonie.

Jeśli do tej pory młoda kobieta mało kiedy zastanawiała się, to matką będąc, zastanawiać się już musi: — jeśli mało nad sobą pracowała, to gdy matką się stanie, przynagla ją do tej pracy to niemowlę — przyszły człowiek, który już żyje jej życiem, karmi się jej wrażeniami, urabia się jej pracą, kształci się jej myślą, uszlachetnia jej szlachetnością. Zmuszać ją będzie do tego czuwania, walki i pracy nad sobą ta drobna i miła dziewczyna, wciąż w matkę wpatrzona, aby robić to, co mama robi, aby powtarzać, co mama mówi, zwłaszcza, jeśli to córeczka.

Mama zajmuje się gospodarstwem — i ona układać będzie lalczyste sprzęty, dla lalek obiad szykować... Mama szyje, naprawia — i ona weźmie igłę w rączkę i pilnie dziurawić nią będzie galganki... Mama biednym rozdaje jedzenie — i ona zaoszczędzony cukierek podaruje jakiej biednej dziewczynce... Mama się modli —

i ona do modlitwy rączęta złoży... Mama wreszcie myśli o potrzebach taty, a tatuś pracuje dla mamy, kocha ją i pieści, miarkuje stąd dziecko, że tatę i mamę bardzo kochać trzeba, być im pociechą, a nigdy ich nie zasnucać.

Ale powiedzmy też na odwrót: mama spędza długie godziny przy lustrze, trefi swe włosy, twarz maluje, ubiera się i przebiera, nie ujdzie to uwagi córeczki, która copędzej pośpieszy mamę w tem naśladować, i ona, wspięta na paluszkach, przeglądać się będzie w lustrze, wyszukiwać czerwonych wstążeczek do włosów, mocno się zadąsa, gdy jej odmówią nowej sukienki wówczas, kiedy oczekuje gości, a wystrojona, nie pozwoli się zbliżyć do siebie, aby falbanki od sukni nie zgmiotły się, a loki nie potargały!

Znałam ośmioletnią dziewczynkę, która już miała swoje ideały, o których w sekrecie z przyjaciółkami rozmawiała, a których podobiznę niewprawną rączką na papierze kresliła i nosiła przy sercu. Spotykała ich niestety u matki! Inna, sześcioletnia, zauważywszy, że nauczyciel z nauczycielką odosobniają się dla poufalej rozmowy, przestrzegala braciszków, aby nie wbiegali do tego pokoju: „Nie chodźmy tam, oni wolą być sami“. — Nauka ta dana dzieciom przez ich pedagogów, niestety, nie poszła w las!

Gorszą jeszcze winę popełniają matki względem swych dzieci, gdy je wprost uczą próżności, kokieterii, obłudy, gdy uczą dzieci mówić pochlebne słowa tym, których dopiero co same głośno ogadywały i t. p.

Tym matkom należałoby przypomnieć groźne słowa Zbawiciela świata — tego wielkiego miłośnika i obrońcy dzieci, wyżej przytoczone:

*„A kłoby zgorszył jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą. lepiej mu, aby zawiązano kamień młyński u szyi*

*o wychowaniu.*

*jego i zatopiono go w głębokościach morskich... Biada człowiekowi onemu przez którego zgorwienie przychodzi*<sup>4</sup>. (Mat. 18, 7).

Biada, stokroć większa biada! jeśliby zgorwienie miało płynąć od matki, którą Bóg postanowił strażniczką niewinności dziecięcia!

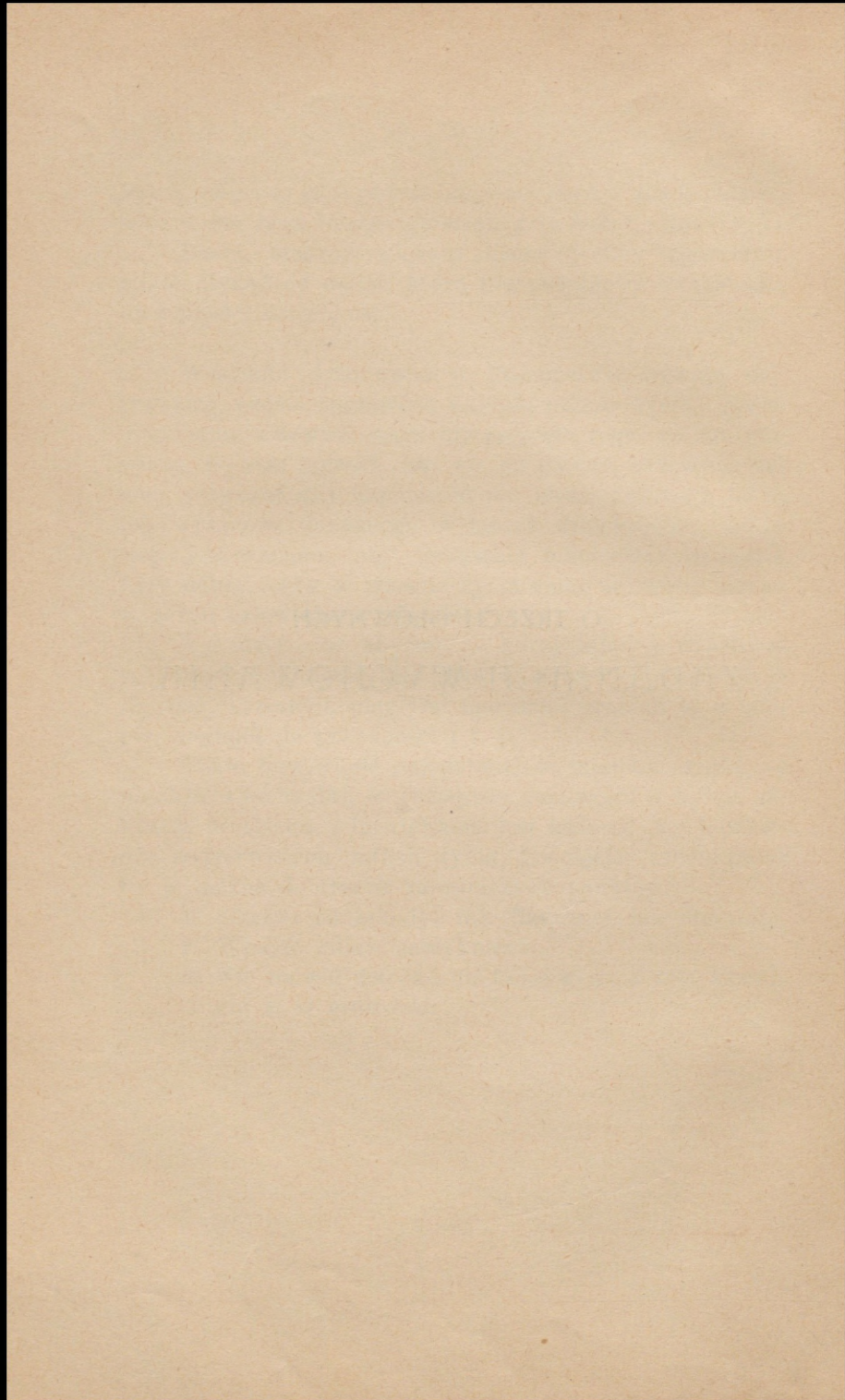
Wrażenia doznawane w dzieciństwie bywają najtrwalsze, często stanowiące na całe dalsze życie. Niejednokrotnie człowiek stary nie pamięta tego, co mu mówiono, co sam słyszał, lub na co patrzył przed miesiącem, wówczas gdy zapomnieć nie może drobnego faktu lub wrażenia, doznanego w latach dzieciennych. Jakże więc jest ważnem, aby wszystkie młodociane wrażenia były dobre... aby w wiośnie życia samo najlepsze ziarno w sercu człowieka wzrastało!

Nie idzie o to, abyśmy — korzystając z wrażliwości dziecka, z niezwyklej jego bystrości — *forsownie je rozwijali*, kształcili, ciągłymi moralami urabiali je w enocie, naginali do pobożności i t. p.

Takie forsowanie najzgubniejsze miałyby skutki, — niechże więc matki, w rozpędzie gorliwości o nie się nie kuszą; prostszem i łatwiejszem jest zadanie wychowawcze w pierwszych latach życia dziecięcia: zredukować by je można do trzech zasadniczych punktów:

- 1) Strzedz od szkody, tak fizycznej jak moralnej.
- 2) Wpajać dobre nawyknięcia.
- 3) Nie mówić dziecku nic fałszywego, a więc kształcić je w prawdzie.

O TRZECH GŁÓWNYCH  
ZADANIACH WYCHOWANIA.





## I.

Należy nadewszystko strzedz małe dziecko od wszelkiej szkody tak na ciele jak i na duszy.

Pominiemy tu pierwsze — t. j. ochronę ciała, — gdyż rzadko która matka potrzebuje w tej mierze przestrogi: tu instynkt przyrodzony, miłość naturalna nią kieruje. Żadna matka nie da dziecieniu swemu upaść, nie da mu noża do ręki, nie pozwoli mu zbliżyć się nieuważnie do konia, nie pozwoli mu zrywać i zjadać jagód z drzew, z krzewów trujących, brać farby do ust i t. p. Każda matka potrafi karmić swe dziecko, okrywać je, ratować w chorobie, w niebezpieczeństwie... Zdrowiem zaś dziecka zajmuje się wyłącznie higiena — nie będziemy wkraczali w jej dziedzinę.

Użytecznijszem wydaje się zwrócić szczególną uwagę na niezbędność czuwania nad stroną moralną dziecka, i to od kolebki! Tak jest, bo od kolebki dziecko już psuć się może, ważnem jest matkom o tem pamiętać, a niestety wiele jest matek, które o tem nie mają wyobrażenia.

Dzieci psują się wskutek bardzo wielu przyczyn, które wszystkie spadają jako winy na sumienie matki —

obwiniają ją o niedbalstwo, niedozór i lekceważenie najświętszych obowiązków.

Najpierwszą przyczyną zepsucia małych dzieci są osoby niesumienne lub wręcz zepsute, którym je powierzamy.

O jakże się mylimy, sądząc, że kobieta niepewnej moralności, której powierzamy karmienie lub piastowanie dziecka zaszkodzić jemu nie może! Przeraziłyby się matki, gdyby wiedziały, jakie nieraz nadużycia popełniają piastunki względem ich dzieci, jakich niegodziwych używają sposobów, aby np. dziecko usnąć, uspokoić... jak je uczą tych sposobów, aby sobie dozór nad nimi ułatwić... jak biednym dzieciom dają pić narkotyki, esencję z maku, aby je w nocy nie budziły, jak je karmią z własnych ust, jak je biorą do swych łóżek, całują bez miary i to w same usteczka i t. p.\*).

Te są przyczyny psucia się dziecka od samej kolebki — nad którymi szczegółowo rozpisywać się nawet nie można. To już nie krzywizna moralna, to zarodek zepsucia.

Młode matki najczęściej są nieświadome tych rzeczy, to też widzimy, że w kwestyi największej wagi najłżejszego niepokoju o swe dzieci nie doznają: dopiero gdy dziecko dochodzi do lat ośmiu, dziesięciu, dwunastu i okazuje już rozwinięte złe skłonności, dziwią się niepomieranie. „Skąd mu się to wzięło?“ pytają.

Dziecko jest ponure, leniwe, ociężałe, ustawicznie jakoby marzące, a przytem łakome, zmysłowe, kłamliwe, czasami nawet okrutne. Skąd *moje* dziecko takie niedobre? — pyta młoda matka, — wszakże ja je tak starannie wychowuję“. I tu najczęściej zwała się całą winę

---

\*) Skutki tego niedopiłnowania są straszne; następstwem jego wycieńczenie fizyczne, niedołęstwo umysłowe, często epilepsya lub idyotyzm,

na atawizm i wyszukuje się jakiegoś niedobrego przodka, aby go uczynić odpowiedzialnym za wady dziecka.

Matko! dziecko twoje zlem się nie urodziło, przyszło tylko na świat — jak każde dziecię — ze skłonnością do złego. Ty to swoim niedozorem dopuściłaś, aby się złe skłonności w nim rozwinęły.

Troskliwa matka, która od rana do wieczora śledzi nieomal nad każdym ruchem swego dziecięcia, która wie o każdym doznawanem przez nie wrażeniu, która czyta w jego myśli, w jego sercu, taka matka płakać nie będzie nad narowami i wadami dziecka.

Przeciwnie — kobieta lekkomyślna, rozbawiona, zajmująca się najwyżej zdrowiem fizycznym i ubraniem synka lub córeczki, a chętnie powierzająca je *byle komu*, takiej zapewne przyjdzie się doczekać najsmutniejszych owoców swej lekkomyślności.

Staranny wybór piastunki, później bony, a przytem osobiste i ciągłe czuwanie nad dzieckiem, jest najpierwszym i najważniejszym obowiązkiem matki.

Drugą przyczyną zgorzenia wielu dzieci jest, że pozwalamy im bawić się bez dozoru z drugimi dziećmi, często najgorzej wychowanymi. Podobnie jak zepsucie udziela się od jabłka do jabłka — od gnijącego do zdrowego, które się z niem styka, — tak też zgorzenie idzie od jednego dziecka do drugiego z zadziwiającą szybkością.

Dzieje się to najczęściej w ochronkach, we freblówkach, w których niema sumiennego dozoru, zwłaszcza w szkołach i w pensyonatach. Gdyby przełożeni, dozorcynie i dozorey tych zakładów wiedzieli, jakie spustoszenie moralne może sprawić w gromadzie dzieci jedno dziecko zepsute, przeraziliby się i strzeżliby się go, jak się strzeże prochni od iskry. — Nadewszystko wydaliłiby coprędzej gorszyciela, aby ukrócić szerzenie się zarazy.

Gdyby wszyscy rodzice pilnie strzegli swe dzieci od złych wpływów choćby tylko w najwcześniejszym okresie ich życia, niewątpliwie szala złego na świecie lekką by się stała, a społeczeństwo wielceby się umoralniło. Dziecko zachowane w niewinności do lat dziesięciu, dwunastu — jest to założony fundament przyszłej moralności człowieka. Być może, że ten człowiek upadnie nieraz w wieku rozwoju namiętności, jeśli jednak w dzieciństwie otrzymał silną podwalinę moralną, prędko się podźwignie, a w każdym razie w złem nie ugrzęźnie.

Matki płaczą nieraz i boleją nad dorastającymi synami, używają wszelkich sposobów — prośby, groźby — aby ich na ślizkiej drodze namiętności powstrzymać: daremne wysiłki — chłopiec wówczas już się usuwa z pod wpływu matczynego, i już nie skrycie, lecz często z jawnym cynizmem podąża na pochyłości, ku której skłaniał się — bez wiedzy matki, niestety, — od samego dzieciństwa. Należało go strzedz od kolebki, otaczać dobrym wpływem i przykładem, postarać się gdy był czas po temu o jego zaufanie, aby nim mózdz kierować. Nie zrobiło się w swoim czasie, co należało zrobić, dziś, wysiłki spóźnione, — rozbijała młodość się już nie da okielzać!

Jak doniosłym i trwałym jest wpływ matki na synów, świadczy nasz wielki wieszcz Adam Mickiewicz, który tak o swej matce pisze:

„Im dalej posuwamy się w życiu, tem bardziej poznajemy niewyczerpaną pomoc, którą Bóg składa dla nas w sercu macierzyńskim, a kiedy ta pomoc zostawioną nam jest aż do wieku męskiego, jest to wielkie szczęście i osobliwsza łaska“.

Mickiewicz też kochał swą matkę z tkliwością niezrównaną, a przez całe życie, gdy ją wspominał, mówił o niej z czcią najwyższą i jej przypisywał niezmierny wpływ na siebie.

Była to w rzeczy samej nie tylko „żona wielkiego poświęcenia, troskliwa matka i dzielna gospodyni, nadto odznaczała się wielką prostotą, głęboką pobożnością, rozważą i roztropnością“. Jako poeta unieśmiertlnił ją w „Dziadach“, gdzie Aniol Stróż tak mówi do niego:

Ziemskie matki twej zasługi,  
Prośby jej na tamtym świecie,  
Strzegły długo wiek twój młody  
Od pokusy i przygody.

Daleką jestem od twierdzenia, jakoby dziecko było istotą bierną i bez charakteru, istotą, której cała przyszła indywidualność zależałaby od kierunku i wykształcenia, jakie odbierze. Przeciwnie, upatruję w każdym dziecku zupełnie samodzielną indywidualność, która w nim się zarysowuje już w pierwszych latach jego istnienia, a którą — zdaniem mojem — należy w wychowaniu uwzględniać. Nadto, posiada ono i naturę i skłonności sobie właściwe. Leży jednak w mocy wychowania tą naturą kierować — osłabiać skłonności złe, a dobre kształcić. Im zaś wcześniej wychowanie zabierze się do tej pracy, im logiczniej, wytrwalej prowadzić ją będzie, tem większą odda przysługę dziecku, — ułatwi mu czekającą go walkę z namiętnościami, oszczędzi mu niejednego upadku, a drogę cnoty utoruje.

Zdrowia fizycznego nie może być tam, gdzie niema zdrowia moralnego.

Przed paru laty, gdy w Warszawie urządzano wystawę higieniczną, byłam zapytywaną, jakiby można dać udział religii na wystawie i czemuby uwydatnić, — „uplastycznąć“ że się tak wyrażę jej wpływ na zdrowotność człowieka? Na razie nie umiałam znaleźć odpowiedzi konkretnej. Dziś jednak, gdy się nad tem zapytaniem za-

stanawiam, powiedziałabym, że należy umieścić na wszystkich szczytach bram wejściowych wystawy, na wierzchołkach kiosków, otwartą księgę *dekalogu*, a nad nią krzyż, z tym napisem u spodu: „*Chowaj przykazania, a będziesz zdrow*“.

Niewątpliwie, gdyby człowiek strzegł prawa Bożego, wieleby sobie tem oszczędził chorób i niemocy! i jakże zdrowem byłoby jego pokolenie!

Stopień moralności danego narodu lub społeczeństwa, jest zawsze miarą jego zdrowia i szczęścia.

Gdyby do przepisów moralności — zawartych w przykazaniach, dodać jeszcze zachowanie niezbędnego oehędóstwa, o wiele to zdrowotność ogólna podniosłaby się w rodzinach! Moralność i oehędóstwo, — to najlepsza higiena, spoczywająca zawsze w ręku każdej matki, mało nawet w kierunku higieny wykształconej.

## II.

Dawać dziecku dobre nawyki, jest drugim obowiązkiem wychowawcy.

Przyzwyczajenie — to druga natura: raz ugruntowane, murem trzyma. Wielką przysługę świadczy się człowiekowi, dając mu od dzieciństwa dobre nawyki, — bez pracy, bez walki urabia się on w dobrym kierunku, natura jego uszlachetnia się. W młodym wieku nie tylko dusza jest niezmiernie wrażliwa, ale i organa dziecka są najpodatniejsze do przyjmowania wpływów zewnętrznych, przeto wówczas niezmiernie jest łatwo nagiąć je, tak w prawo jak w lewo. Kierunek zaś raz przyjęty i przez czas dłuższy ustalony, staje się trwałym. Nóż to jednak obosieczny. Z tej przyczyny trafia się nieraz, że osoba w dzieciństwie źle wychowana, na próżno usiłuje w wieku późniejszym nabrać dobrych nawyków. Pojmuje ona całą ich doniosłość, pragnie do-

bra i cnoty, a jednak, praktyka, do której nie nagięła się w czasie właściwym, staje się dla niej niezmiernie trudną, czasem nawet niepodobną.

Również trudnem jest, albo wręcz niemożliwem, dla tejże samej racji odzwyczaić się od złych nałogów, w dzieciństwie nabytych. To nam tłómaczy i wykazuje, jak ważną rolę w życiu ludzkim gra przyzwyczajenie, od którego wychowanie rozpocząć należy.

Nawyknienie powinno zawsze uprzedzać zasadę. Zanim na pojęcie dziecka oddziaływać będziemy, upłynie czasu wiele, a tymczasem dziecko, pozbawione pierwszego oddziaływania wychowawczego, może łatwo nabrać nałogów złych.

Pod mianem „przyzwyczajania“ nie rozumiem bynajmniej bezmyślnej tresury, dla umysłu i serca istotnie zabójczej, — lecz tylko wyzyskiwanie łatwości, z jaką popędy dziecka regulują się w epoce pierwszego dzieciństwa. Spóźniając się z przyzwyczajaniem, pod pozorem odrzucenia wszelkiego machinalnego naginania dziecka, wyrządźlibyśmy mu raczej krzywdę niż przysługę\*).

Dziecko, wczesnie przyzwyczajone do dobrego, będzie najprzód pełniło cnotę machinalnie tylko, — to prawda, — w miarę jednak rozwoju władz umysłowych i duchowych, nabierze odpowiedniego zrozumienia, i wówczas już, dobre nawyknienia ożywi intencją i do godności cnoty podniesie. Zanim więc zrozumieć potrafi zasadę posłuszeństwa i uszanowania względem starszych, a uprzejmości względem równych, niechaj dziecko *nawyknie* słuchać rodziców, szanować starszych, a ustępować rodzeństwu; zanim pojąć zdoła niezbędną porządku i ochędóstwa, niechaj spełnia ich praktykę, niechaj stanie się dla niego

---

\*) Patrz w tej kwestyi podręcznik Wernica: „Praktyczny przewodnik wychowania“.

*potrzebą* mieć ręce i ubranie czyste, a wszystko w należytym ładzie naokoło siebie.

Nadaniem dziecku dobrych przyzwyczajzeń nie wzbogacamy jeszcze jego umysłu ani duszy, ale niejako torujemy mu drogę do nabycia mądrości i cnót w czasie, gdy samo, już ze zrozumieniem pracować będzie mogło nad ich nabyciem.

Przyzwyczajenie czyli nałóg nabywa się powtarzaniem. Należy więc spokojnie, łagodnie, ale stanowczo i wytrwale wymagać od dziecka powtarzania w danych chwilach i okolicznościach czynów, do których pragniemy, aby nawykło np. do codziennego porządnego mycia się, składania zabawek, do grzecznego witania się ze starszymi i t. p. W tem wymaganiu uzbrojmy się w wielką cierpliwość i unikajmy gderliwości oraz długich rozpraw, budzących w dziecku upór i nudę\*).

### III.

Nie mówić dziecku nic fałszywego, i w miarę możliwości nie dopuszczać, aby dziecko z fałszem się spotykało — oto trzecie główne zadanie wychowawcy.

Byłoby rzeczą pożądaną, aby matki, nie mogące same zajmować się cały dzień swemi dziećmi — a rzadko która to może — miały dla nich osoby przynajmniej w średnim stopniu wykształcone, któreby umiały dzieci użytecznie zabawić i zając, na ich zapytanie rozumnie odpowiadać, któreby potrafiły przy sposobności opowiedzieć im cokolwiek zajmującego — a prawdziwego: o mrówce, o kwiatku, o ptaszku. — Ktoby posiadał taką osobę — (zwaną zwykle boną) — osobę, któraby przy odpowiedniem uzdolnieniu umysłowem posiadała jeszcze

---

\*) Patrz podręcznik ks. Albana Stoltza, obszernie traktujący o przyzwyczajeniach.

inne zalety moralne, ten niechaj się nią cieszy jako drogocennym skarbem, a Bogu niech za nią dziękuje. Jednak nie każdego stać na bonę wykształconą, — a dobrze wychować dziecko każdy jest obowiązany. W wyborze osoby, której zamierzamy nasze dziecko powierzyć, nie oglądajmy się tedy *koniecznie* na wykształcenie, na metodę, na ukończenie jakich kursów freblowskich, pedagogicznych, lecz raczej i nadewszystko szukajmy: *dobrych zasad, uczciwości i zdrowego rozsądku*. Te zalety posiadać może, w wysokim nawet stopniu, prosta wieśniaczka w zdrowej, chrześcijańskiej atmosferze wychowana. Ze zdrowym rozsądkiem daleko i bezpiecznie zajść można, choćby przy braku ogłady i nauki, wówczas gdy nie zawsze zdrowy rozsądek idzie w parze z wykształceniem — któremu towarzyszy często: głowa przewrócona i cała fura pretensyi.

Zrozumiejmy, że forsowne rozwijanie dziecka nie jest pożądane, a nawet być może bardzo szkodliwe. Niechaj dziecko rozwija się wolno — mniejsza o to — byle rosło zdrowo fizycznie i moralnie. Pamiętajmy, że główny obowiązek dziecka do lat siedmiu jest: spać długo, jeść dobrze i bawić się dużo, a bawić się w sposób najprostszy, — im zaś która zabawa będzie mniej wysilająca dla umysłu, tem za lepszą możemy ją uważać. Lepsiej dla małego dziecka sypać górki z piasku i jeździć na biczyku, niż słuchać najmędrszych opowiadań bony. Niechaj bona o jedno stara się nadewszystko i jednego się strzeże, a matka niechaj tego pilnuje, aby umysłu dziecka niczem *nie skrzywić* i nie fałszywego lub przestraszającego mu nie opowiadać, — ani o smoku co pożera ludzi, ani o kominiarzu, co niegrzeczne dzieci porywa, ani o bocianie, co każdego roku rodzicom dzieci przynosi.

Długo rozpisywaćby się można o złych skutkach niestosownej mowy do dzieci. Jedno z naszych zacnych

pism\*) podało raz w tej kwestyi śliczny artykuł, zatytułowany „Wybijmy stół!” Znajdując w nim, w zajmującym streszczeniu wszystko, coby w tej mierze powiedzieć chciała, podaję artykuł w całości, dla korzyści tych osób, które tego pisma nie czytały:

„Wybijmy stół!” Tak przemawia niejedna niańka, bona, a nawet może i matka, do dziecka: „Wybijmy stół!”

„A niegrzeczny stół uderzył dziecko!”

„Ta nieznośna podłoga przewróciła dziecko! Objijmy ją, a... a... a... dobrze ci tak, po co dziecku krzywdę robisz, ty niegrzeczna!...”

Wcale wyjątkowymi nie są te frazesy. Na wsi i w mieście, we dworze i chacie, słyszymy je codziennie. Co za znaczenie one mieć mogą? W jakim celu są wypowiedane?

Cel bardzo prosty. Chodzi o to, aby dziecko, które się uderzyło o przedmiot jakiś, lub które upadając, rozbilo się, płaczem swoim nie zamąciło spokoju rodziców lub piastunek. Często cel bywa osiągnięty: dziecko obalamucone, zagłuszone, przestaje płakać, pomaga w uderzeniu martwego przedmiotu, który ma pokutować za ból jego, zapomina o bólu, jeżeli nie był bardzo dotkliwy i... wszystko dobrze.

Ale czy rzeczywiście wszystko dobrze? Spróbujmy odpowiedzieć na pierwsze pytanie: Co za znaczenie te słowa mieć mogą? Trudniej może byłoby wytłumaczyć znaczenie tych słów tej, która je wymówiła niż cel, w jakim to robiła. Spróbuję tu wytłumaczyć, jaki wpływ wywrzec mogą na umysł dziecka.

Dziecko upadło, uderzyło się, doznaje bólu, a płacz jest jego zwiastunem. Nic naturalniejszego,

---

\*) Kurier Polski.

jak to, że dziecko musi objawić cierpienie swoje, a otoczenie jego stara się to cierpienie umniejszyć, płacz ukoić. Ale czy sposób obrany jest rzeczywiście skuteczny? Czy przynajmniej w swoich następstwach będzie takim, czyniąc dziecko uważniejszym, ostrożniejszym?

Zastanówmy się nad skutkami tego sposobu uspokajania dzieci.

Dziecko uderzy się o stół, doznaje bólu, płacze, a tu usłużna piastunka przybywa ze słowami ukojenia:

„Wybij stół!“

Czy następuje ukojenie po czynie i to przy pomocy dziecka?

Czy ból umniejszył się?

Tak, dziecko przestaje płakać i nieraz tak silnie bije, że aż samo doznaje nowego bólu; ale tamten pierwszy ból zapomniany, a przynajmniej pomszczony!... Zemsta za doznaną krzywdę koi ból otrzymany. Rzecz prosta, że gdy dozna dziecie znowu jakiej krzywdy, czy potrąci je które z rodzeństwa, czy w jakikolwiek sposób uczuje ból lub niezadowolone, starać się będzie o pomśczenie, bo to silne uczucie zemsty odurza i odejmuje uczucie bólu.

Uczucie zemsty jest wszakże jednym z tych, których rozwijać nie tylko nie należy, ale tępić je wypada, gdy spostrzegamy skłonność dziecka do niego, a co dopiero wszczepiać je w młodą i niewinną duszę!

Nie dość na tem, że z takiego postępowania rozbudzić możemy ujemne uczucie zemsty, ale fałszujemy sąd dziecka w samym zarodku. Zamiast wskazać dziecku przyczynę jego bólu, zamiast robić je odpowiedzialnym za własne czyny, uczymy je szu-

kać *poza sobą* przyczyn własnych błędów, i kto wie, czy ludzie, którym wszyscy zawsze szkodzą, którzy nigdy niczemu nie są winni, kto wie, czy nie z tych fałszywych dzieciunych, na pozór nic nie znaczących zdarzeń, wynieśli zasadę, każącą im szukać po za sobą przyczyn niepowodzenia: nie przywykli oni sądzić własnych czynów, zastanawiać się nad nimi.

Dziecko upada często, gdy zaczyna chodzić, ale zwykle są to nieszkodliwe upadki, a jeżeli nie zwracamy na nie uwagi, dziecko chwilkę pokwili i ustaje, nowym przedmiotem pociągnięte, biegnie z uśmiechem, choć nieraz i łezka nie zaschła mu jeszcze na oku.

Przyroda sama daje nam wskazówki, jak postępować z dziećmi. Dziecko ma umysł wrażliwy i ruchliwy; jeżeli ból przestaje uczuwać, bijąc stół lub podłogę, to znaczy, że dość skierować jego uwagę na inny przedmiot, zająć je czemś, aby zaprzestało płaczu. A więc idźmy za temi wskazówkami, pokazując dziecku coś, co je zająć potrafi, a gdy ono się uspokoi, wskażmy mu przyczynę bólu i starajmy obudzić w niem przekonanie, że samo sobie sprawiło ból z własnej winy, że to ono upadło, bo nóżki jeszcze wątłe i słabe, a uderzyło się o stół, bo zbyt prędko biegło; stół nie rusza się sam, nie usuwa się przed nikim, ale przed nim trzeba się usuwać, aby się nie narazić na uderzenie.

W ogóle, gdy nie roztkliwiamy go ubolewaniem niepotrzebnem, dziecię nie płacze, gdy upadnie, bo rzadko kiedy uderza się silniej, kwilenie zaś z lekkiego uderzenia nie powinno nas poruszać do głębi, tylko ze spokojem badać należy, co się stało; przekonamy się wtedy, że dziecko, nad którem się czuwa, ale nie wodzi ciągle na pasku, mniej płacze i mniej cierpi, uczy się przezorności, doświadcze-

niem jej nabywając, i unika tego, co mu ból sprawiło. Doświadczenie jest najlepszym nauczycielem, a obowiązkiem wychowawców: czuwać nad bezpieczeństwem dziecka i usuwać to wszystko, co narażać je musi na ból dotkliwy, małe zaś przykrości hartują dziecię i są koniecznie potrzebne, aby rozbudzić jego zmysł spostrzegawczy i instynkt ochronny. Na pozór drobna owa rzecz bywa zarodkiem poważnych następstw: wpaja w dziecko, jak wyżej wspomniałam, uczucie zemsty: uspokaja się ono, bo ból sprawiło komu innemu, stół bowiem wydaje mu się istotą cierpiącą z powodu uderzenia.

Powtóre, dziecko nie zastanawia się nad tem, że to ono samo jest przyczyną upadku swego, ale szuka przyczyny w niewinnym przedmiocie, nie mogącym zawinić, bo nieżywym.

Po trzecie, źle sądząc o swem otoczeniu, co do siebie wyrabia sobie pojęcie nieposzlakowanej niewinności, nieodpowiedzialności za swe czyny, swej wyższości niejako nad wszystkimi, i nawet przez myśl mu nie przejdzie, że ono mogło popełnić błąd jaki! gdy zaś błądzi, to ci, co patrzą na nie, temu są winni.

Po czwarte, dziecko rozwinięte i bystre spostrzega, że stół albo podłoga w niczem zawinić nie mogą, a wtedy z niedowierzaniem słucha tych, którzy mu te przekonania wpajali.

Bardzo podobnym błędem jest uspokajanie płaczącego dziecka, mówiąc:

„To nie ty płaczesz, nie ty jesteś niegrzeczny, to ze wsi, albo z ulicy przyszedł chłopiec, to on tak grymasi, trzeba go wypędzić!“

I tu kłamstwo, i tu te same popełniamy błędy! Falszywe pojęcia wpajamy w umysł dziecka, czynimy je nieodpowiedzialnem za swe czyny, z tą róż-

żnicą, że nie martwy przedmiot obwiniamy, ale inne, niżej na drabinie społecznej od niego stojące dziecię, które ma cierpieć za niepopelnione winy!

Te mało znaczące zdarzenia wydawać się mogą przemijającymi (bez następstw), lecz, niestety, nic w naturze nie ginie, nic w wychowaniu dziecka nie zostaje bez wpływu na rozwój jego władz umysłowych, na jego pojęcie i uczucia.

Straszenie kominiarzem, dziadem, są to zużyte środki pedagogiczne. Wiedzą prawie wszyscy, że takie straszenie wywiera często wpływ zabójczy na zdrowie dziecka, wiedzą, że dziecko straszone nieraz dostawało konwulsyi i przyplacało to życiem. Tam więc gdzie idzie o życie, o zdrowie, zrobiliśmy krok naprzód, ale gdzie o wychowanie duchowe — popelniamy jeszcze bardzo wiele błędów, które później tkwią w umyśle jako fałszywe pojęcia, zaciemniają wzrok nasz i nie pozwalają jasno patrzeć na świat otaczający.

Ileż złego uniknęlibyśmy, gdybyśmy postępowali logicznie, nigdy nie skalali ust naszych kłamstwem, choćby najniewinniejszem, nigdy nie budzili instynktów występnych, czy to mową, czy przykładem. *Wychowanie to jest praca, praca przedewszystkiem nad sobą...* O gdyby tylko jedno pokolenie chciało i umiało zadać sobie ten szlachetny trud czuwania bezustannie nad sobą i zastanawiania się nad znaczeniem słów i uczynków, jakże wielką byłaby różnica w wychowanym pokoleniu, jak piękną drogą wprzód wytknięta.

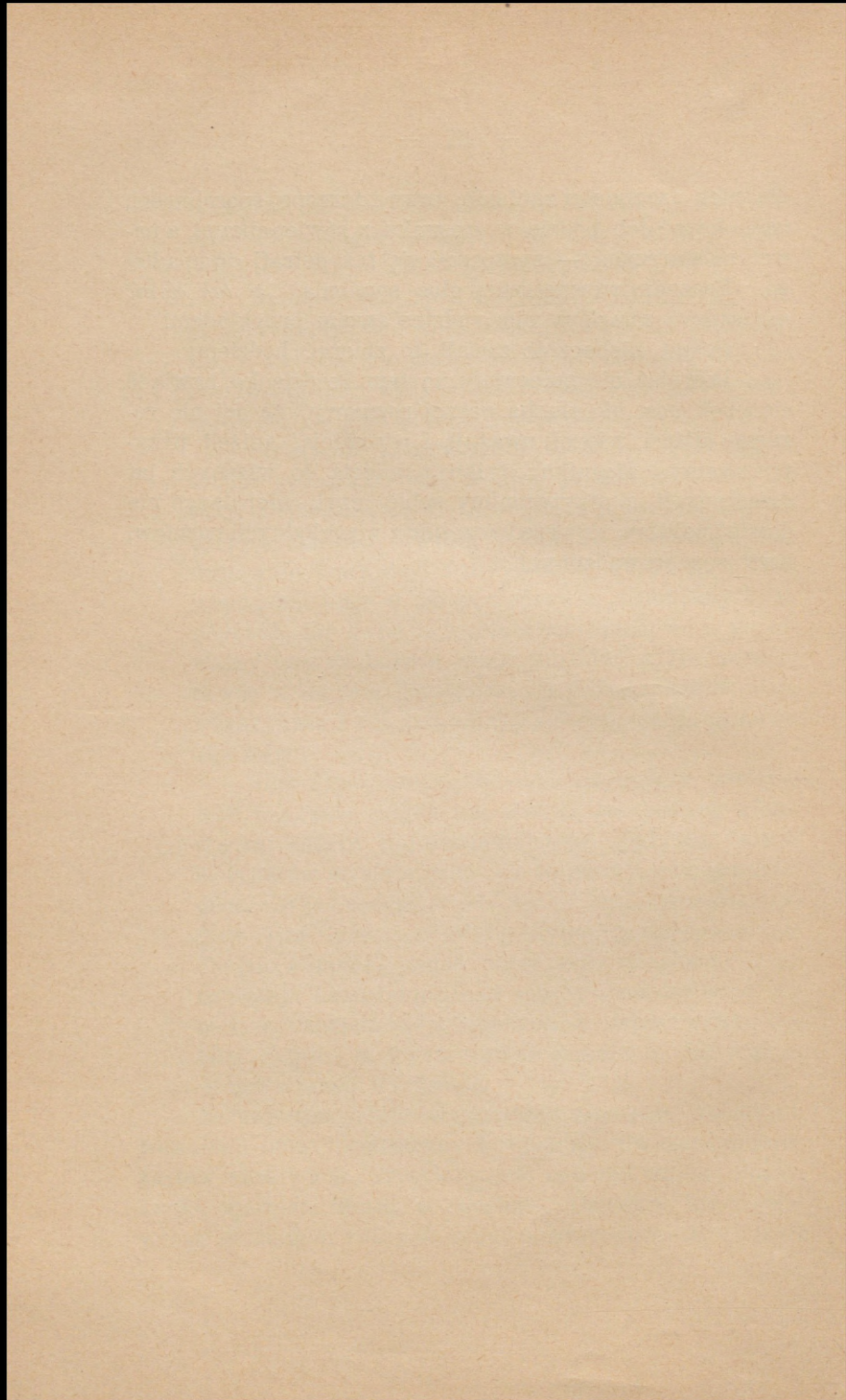
Należy też pilnie wystrzegać się przy dzieciach wszelkich mów niestosownych: obmowy, dwuznaczników, żartów złośliwych, krytykowania, ostrych sądów, narzekania, sporów, kłótni w rodzinie. Dziecko, które jest wciąż świadkiem różnych scen między rodzicami, traci

dla nich szacunek i zaufanie; przy zdarzonej sposobności, naśladować ich będzie w stosunku z rówieśnikami, a nawet ze starszymi — sprzeczać się też potrafi do upadłego. Poczucie wewnętrzne, głos sumienia, „*że tak czynić nie należy*“ zatarli w nim rodzice swoim przykładem!

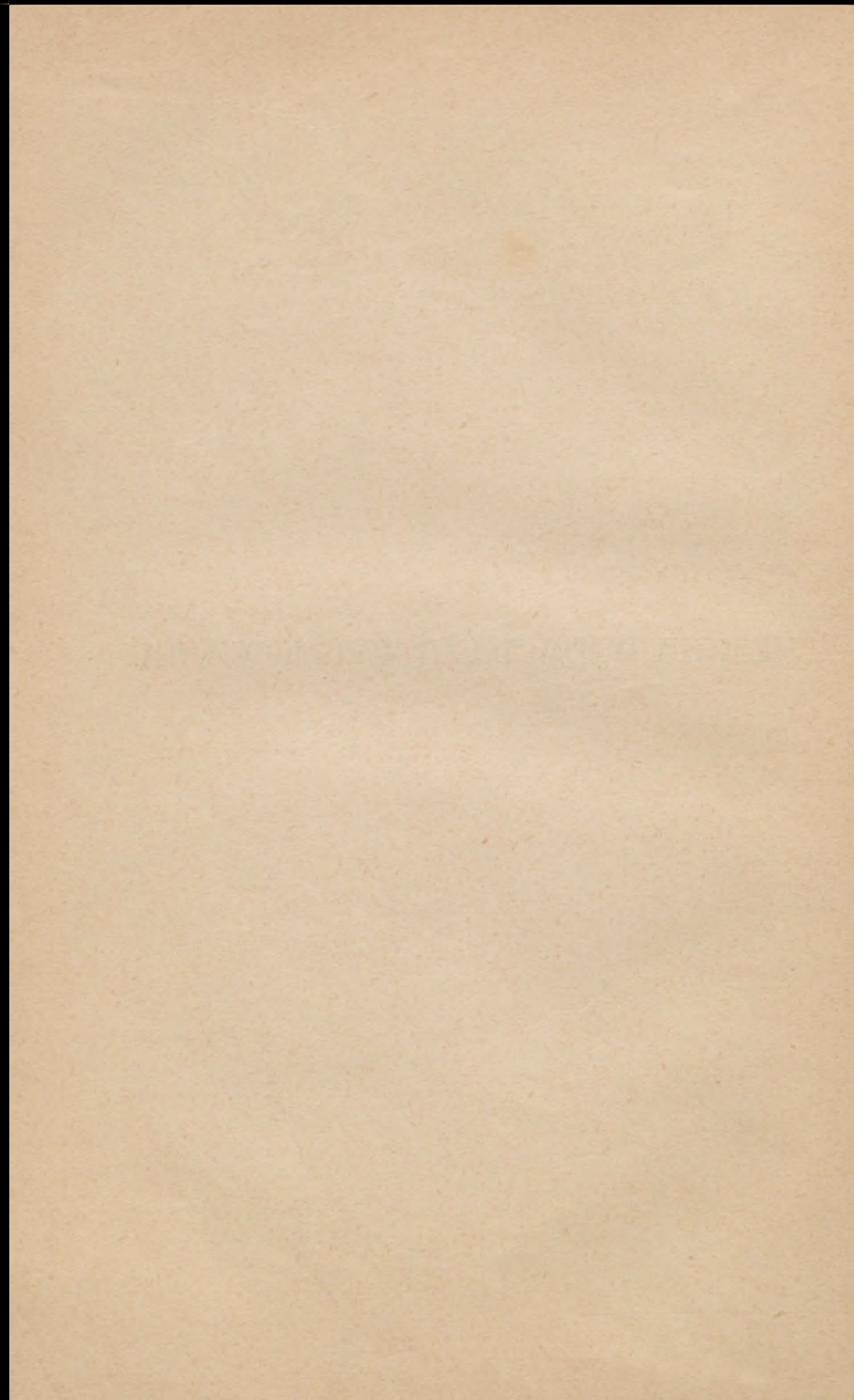
Cośmy niebacznie zasiali, to zbierać będziemy.

Również nie polegajmy na tem, że dziecko, bawiące się obok nas, nie słucha naszej rozmowy, że jej nie rozumie: dzieci więcej uważają i rozumieją, aniżeli przypuszczamy. Sięgnijmy tylko pamięcią do własnych lat dziecinnych, a przypomnimy sobie, czyli niejednego nie dowiedzieliśmy się przedwcześnie z nieogłędnych rozmów, przy nas prowadzonych?

---



RELIGIĄ PODWAŁINĄ WYCHOWANIA.





## I.

*„Dopuszczcie dzieciątkom przyjść do mnie“ —  
„a nie zakazujcie im, albowiem takich jest Kró-  
lestwo Niebieskie“. „I obłapiając je, i kładąc na  
nie ręce, błogosławił je“.*

(Mat. 10—14).

**B**udowniczy, zabierając się do postawienia domu, sta-  
wia najpierw fundament, im zaś gmach ma być wyż-  
szy, okazalszy, tem fundament jego powinien być głę-  
bszy i mocniej postawiony.

Gmach wychowania potrzebuje także fundamentu, —  
fundamentu tem mocniejszego, im wyższe stanowisko  
w świecie czeka wychowujące się dziecko, im jego po-  
winności społeczne będą rozleglejsze, a niebezpieczeństwa,  
grożące mu w życiu — subtelniejsze.

Fundamentem w wychowaniu jest *zasada*, jedyną zaś  
trwałą, niezłomną zasadę znajdujemy w religii. Podwa-  
liną zatem każdego wychowania powinna być religia.  
Ona bowiem tłumaczy cel życia, ona daje środki dopię-  
cia tego celu, w niej wreszcie wszelkie zagadnienia ży-  
ciowe logicznie się rozwiązują, a bez niej — wszystko  
chaosem.

Religia również tłumaczy przyczynę wszystkiego,  
czego w wychowaniu od dziecka się wymaga, w niej znaj-

duje się usprawiedliwienie: posłuszeństwa, miłości, uprzejmości, poszanowania dla starszych, zaparcia się siebie i t. d.

Religia i dlatego jeszcze jest podstawą całego wychowania, że najskuteczniejsze środki wychowawcze z jej czerpiemy łona. Jedyne religia skutecznie dziecko uczyć może sumienności, prawdomówności, — jednym słowem cnoty, gdyż podaje wzgląd na Boga, wszędzie obecnego i wszechwiedzącego, który za dobre wynagradza a złe karze, — jedynie ona skłonić może dziecko do pracy nad sobą, nad nabywaniem cnoty, a pozbawieniem się wad. Po za religią, — nauki i wymagania wychowawcze nie znajdują rozumnego punktu oparcia.

Religia dodatkiem w wychowaniu być nie może, jak również nie może być dodatkiem w życiu.

Boga-Stwórcy, naszego początku i końca, na *drugim planie* stawiać nie można. Religiją powinno być owiane, przesiąknięte całe wychowanie: ona powinna być *osią, duszą* całej pracy wychowawczej, jeśli pragniemy, aby nam ta praca dobre a trwale owoce wydała.

I nie sądzmy — z osobami światowemi, lub wrogami wiary, — aby pojęcie o Bogu było za wzniosłe, za trudne dla umysłu dziecinnego.

Na pierwsze zapytanie dziecka „A któż to wszystko uczynił?“ — jakże miło i łatwo mu odpowiedzieć: „To dobry Bóg, który bardzo kocha ludzi, a jest wszechmogący... stworzył wszystko, cokolwiek widzisz“. Logikę dziecka ta odpowiedź łatwiej zaspokoi, aniżeli wywody pozytywisty, zaręczającego, „że wszystko uczyniło się samo z siebie... z przypadku, z połączenia się atomów i t. p.

Dziecko nie posiada wprawdzie naturalnego popędu do religijności, jak np. do naśladownictwa, lub do wiary w to, co mówią starsi, bo religia, ten nasz związek z Bogiem, należy do dziedziny nadprzyrodzonej, i wyższą

jest od wszystkich naturalnych popędów lub instynktów, jednak dziecko chrześcijańskie, które otrzymało przy Chrzcie świętym dar wiary, równie podatne jest do przyjęcia wiary, jak dziczka owocowa podatną jest do przyjęcia szlachetnego szczepu.

Dziecko, zachowane w niewinności w pierwszych latach dzieciństwa, zwraca się do Boga, jak kwiatek do słońca; wchłania ono prawdy Boże, jak roślinka rosę poranną, potrzebuje ich nawet do swego rozwoju i rozkwitu. Patrz, jak skwapliwie dziecko wyciąga rękę do krzyżyka, medalika, jak całuje obrazek, jakie uszanowanie wyraża do przedmiotów, które uważa za święte, lub które mu „Bożę“ przypominają: co najczęściej czyni z własnego popędu. Wszakże względem najulubieńszych zabawek zupełnie inaczej się zachowuje.

Od kiedy należy zacząć religijne wychowanie dziecka? — zapyta niejedna matka. Od lat najmłodszych — odpowiem, — działając w tym celu tak na zmysły dziecka, jak i na jego rozum, a nadewszystko, świecąc mu dobrym przykładem i modlitwą łaskę mu wyprasząc.

Wrażenia, przez zmysły otrzymywane, przyczyniać się mogą bardzo skutecznie do rozwijania w dzieciach uczucia religijnego. Sam Pan Bóg używa z ludźmi tej drogi, objawiając się nam najpierw wrażeniem, jakie tworzy Jego na nas wywierają. Czyńmy i my podobnie, starając się, aby np. wzrok dzieci często spotykał się z przedmiotami religijnymi, a uszy słyszały słowa modlitwy i dźwięki pieśni pobożnych; aby według wyrażenia O. Franco „uczucie pobożności torowało sobie powoli drogę do serca dziecięciami oczami, uszami — słowem, wszystkimi zmysłami“. Następnie wrażenia, przez zmysły podane, należy popierać żywym słowem i odpowiednią nauką.

Niech matka skrzętnie korzysta z nadarzonej sposobności, aby podnosić umysł dziecka do Boga; niech mu

sama składa rączęta do rannego i wieczornego pacierza, niech je żegna przy przebudzeniu, a również układając je do spoczynku, przed posiłkiem i po posiłku.

Niech też czasem z dzieckiem o Bogu rozmawia. I tak: gdy się dziecko czem zachwyca, niech mu powie, że to piękne słońce, ten woniejący kwiatek, ten śliczny ptak, są dziełami Boga, i że Bóg jest jeszcze stokroć piękniejszy i lepszy od wszystkiego, co w przyrodzie podziwiamy. Korzystajmy zwłaszcza z chwil, w których piękna przyroda na dziecku sprawia wrażenie, np. w czasie rannej przechadzki, gdy rosa perli się na murawie, a ptaszki zdają się nucić Stwórcy hymn poranny, aby wtenczas pobudzić dziecko do współdziałania w ogólnym hymnie wszechstworzenia.

Kiedy smutek w domu zagości, zachęcajmy dziecko, aby się modliło, bo Bóg jeden mocen jest odwrócić chorobę, nieszczęście. We wszystkich wydarzeniach uczmy dziecko czcić wolę Bożą, wyroki Jego świętej Opatrzności. Niechaj nigdy nie słyszy z ust naszych szemrania przeciwko krzyżom, które Bóg dopuszcza, ale niechaj od pierwszych chwil użycia swego rozumu nauczy się widzieć w Bogu dobrego Ojca, który wie lepiej od nas, czego nam potrzeba.

Nie lękajmy się, abyśmy takim postępowaniem rozegzaltowali dzieci, a przeto szkodliwie wpłynęli tak na zdrowie ich fizyczne, jako i moralne.

Wszystko należy czynić taktownie, a działać stopniowo, bez *naprężenia, nastroju*, owszem z największą prostotą — tak samo naturalnie mówić dziecku o dobrym Bogu, jak mu się mówi o dobrym tatusiu, który w pocie czoła na utrzymanie rodziny pracuje, który się dla dziecka poświęca, dziecko kocha... i t. p., jak mu się mówi o wdzięczności dla babci lub cici, która piękny podarek przywiozła.

Jeśli dziecko okazuje się bardzo wrażliwym, oczywiście rzadziej mówić mu będziemy o rzeczach, pobudzających uczucie; jeśli zaś przeciwnie, uczucie dziecka leniwem jest, śmielej z niem w tym względzie postępować będziemy mogli.

Naogół jednak, strzeżmy się przedstawiać dziecku Boga — groźnym i karzącym. Pierwsze zwłaszcza pojęcie o Bogu powinno być opromienione zaufaniem, miłością i radością. Nie straszmy nigdy dziecka Panem Bogiem, nie mówmy mu, że Bóg gniewa się na nie, za jego przewinienie, i że je ukarze, ale, że jako dobry i kochający Ojciec, *smuci się* złem postępowaniem dziecka, i że jeśli dziecko nie poprawi się, będzie *musiał* je ukarać.

Śmierć należy dzieciom tłumaczyć, jako rozłączenie duszy z ciałem, po którym dusza idzie do Boga, i kiedyś, kiedyś, znów się ze swoim ciałem na całe wieki połączy. Mówiąc z małemi dziećmi o życiu przyszłem, należy o piekle, szatanach zwłaszcza, nie mówić prawie wcale, — o ile możności pomijać te kwestye, a raczej mówić im o czyśćcu, w którym dusza oczyszczać się musi z najłżejszych plamek, zanim dopuszczoną będzie do oglądania Boga. O wszystkim, co zbyt silne i przerażające wrażenie na dzieci wyrzeć może, zwłaszcza jeśli dzieci są nerwowe. — nie należy im opowiadać.

O niebie, o szczęściu, jakim Bóg przez wieki nagradza dobrych ludzi, mówmy dziecku jak najwięcej. Gdy jednak ono poczyną poznawać grzech, i samo już grzeszy, wtedy dopiero mówmy o sprawiedliwości Bożej.

Wówczas opowieści takie, jak: o potopie, o dzieciach, które zostały srogo ukarane za szyderstwo z proroka Elizeusza i t. p. zupełnie są właściwe. O Kainie i Ablu należałoby opowiadać wtedy dopiero, gdy dziecko już wie, że istnieją zabójstwa, trzymając się stale zasady, aby ze złem nie poznajamiać przedwcześnie (złe bowiem wtedy

powszedniej i nie wzbudza dostatecznej odrazy i wstrętu). Na ogół wybierać należy takie opowiadania, tak ze Starego, jak i z Nowego Testamentu, które budujące czyny ludzkie przedstawiają, a pojęciu dziecka są dostępne.

Do takich należą opowiadania o Józefie, Mojżeszu, Rut i Noemi, o Dawidzie, Tobiaszu, Eliaszu i t. p.

Historję Abrahama, Izaaka, należy dopiero opowiadać w siódmym roku życia dzieciom dość rozwiniętym, aby ofiary Abrahama nie pojęły opacznie, jako okrucieństwa ojca względem syna.

Nowy Testament podaje nieprzebrany zasób religijnych opowiadań o Panu Jezusie, o jego dzieciństwie, miłości, dobroci dla ludzi i cudach — jak kochał i tulił dziateczki, chleby rozmnażał, chorych uzdrawiał, umarłych wskrzeszał, dalej, jako za nasze grzechy mękę poniósł, wreszcie jak zmartwychwstał i do nieba wstąpił. (O zdradzie Judasza, zarówno jak o Kainie i Ablu, należałoby opowiadać trochę już starszym dzieciom). Dobrze byłoby, aby dzieci wiele i często o życiu Chrystusowem słyszały.

Najlepiej wszelkie religijne opowiadania wyprowadzać z okoliczności świąt kościelnych albo też uroczystości rodzinnych, zdarzeń domowych i t. p. I tak, jeśli Bóg zesłał do domu chorobę, dobrze jest opowiedzieć dziecku o cudach uzdrowienia Chrystusa Pana, aby w nim rozbudzić ufność do modlitwy, a zarazem ugruntować pojęcie o wszechpotędze Boga; jeżeli dziecko jest uderzone widokiem pogrzebu, to wytłumaczyć mu, czem jest śmierć, a zaraz przytem pocieszyć je opowiadaniem o zmartwychwstaniu. W czasie żniw mówić można dziecku o cudzie rozmnożenia chlebów i t. p., starając się zawsze mówić o Bogu z powagą, prostotą, z namaszczeniem, nie rozwickle jednak ani nudnie, a zachowaj Boże, nigdy żartobliwie.

Zapyta może niejedna matka: „w jakim wieku należy uczyć dziecko modlitwy?“ Odpowiem na to: od kolebki. Tak jest, bo już w kolebce należy dziecko żegnać, składać jego rączki na piersiach, a następnie gdy poczyna mówić, należy je nauczyć powitania Stwórcy rano i wieczór choć krótkim słowem „Dia Bozi“. Niechaj przytem dziecko widzi, że przy jego kolebce matka, kłęczący, pobożnie się modli. Od drugiego roku życia niech dziecko żegna się samo rano i wieczór, a w miarę rozwoju umysłowego niechaj choć króciutką modlitewkę ze swoją mamą odmówi. Odkąd dziecko śpiewać może, dobrze jest, — ożywcze dla niego — do modlitwy dodać jaki krótki śpiew. Po ukończeniu lat trzech, niechaj dziecko zaczyna odmawiać „Ojcze nasz i Zdrowaś Marya“. Nie zrażajmy się tem, że dziecko tych modlitw zrozumieć nie jest w stanie; powtarzając słowa pacierza, choć to jedno zapamięta i zrozumie, że do Boga mówi „Ojcze“ — i to na tę chwilę wystarczy.

Gdy dziecko już nieco starsze, t. j. rozpoczęło rok piąty — a czasami wcześniej, dobrze jest dziecko zachęcać do tego, aby do codziennego pacierza dodawało z własnej inicjatywy jaki akt do „dobrego Bozi“, bądź jaką prośbę, bądź podziękowanie — ta praktyka da mu zrozumieć lepiej, niż nasze najwymowniejsze tłumaczenie, jaka jest rzeczywista istota modlitwy — że nie jest czerzą formą, lecz spełnieniem obowiązku i pełnem ufności wynurzeniem uczucia serca.

Okolo szóstego, siódmego roku można już dziecku wytłumaczyć znaczenie Modlitwy Pańskiej i Pozdrowienia Anielskiego. Nie obawiajmy się prowadzić małe dzieci do kościoła, gdy łatwo uczynić to możemy, (nie na długo naturalnie), gdyż widok majestatu świątyni, ceremonii kościelnej, oraz ludu w kornej postawie modlącego się, wielce się przyczynia do pobudzenia w dziecku czci względem Stwórcy — takich wrażeń nie zapomina

się. Należy jednak uważać, aby dziecko nie widziało w kościele osób źle się zachowujących, co by ujemnie na nie wpłynęło.

Unikać też należy tłoku, zimna lub gorąca kościelnego, szkodliwego dla zdrowia dziecka, i nigdy nie zostawać z dzieckiem w kościele tak długo, aby doznało przesyty i znudzenia. Strzeżmy się, aby z naszej winy dziecko nie obrzydziło sobie kościoła i nabożeństwa. Bytność w domu Bożym, wspólna modlitwa, udział w ceremoniach np. przez rzucanie kwiatków przed Przenajświętszym Sakramentem przy procesyi i t. p., niechaj będą dla dziecka nagrodą i przyjemnością, na którą zasłużyć mu trzeba, pozbawienie zaś tych rzeczy — jedną z kar największych \*).

Przedewszystkiem przyzwyczajając dzieci należy do praktyk religijnych ściśle obowiązujących, jakimi są: pacierz ranny i wieczorny, przeżegnanie się przed jedzeniem i po jedzeniu, przy przebudzeniu się, przed zaśnięciem. Od ukończenia lat siedmiu, dziecko już obowiązane jest do uczęszczania na Mszę świętą w niedziele i święta, oraz do wstrzemięźliwości od mięsa w piątki — o ile ma się rozumieć — zdrowie dziecka i jego ustrój fizyczny na to pozwalają.

Spełniania ćwiczeń religijnych, przez Kościół przepisanych, przestrzegać należy ściśle, jako świętego obowiązku, nie zwalniając z nich samowolnie ani siebie, ani dzieci. Na tych wszakże ćwiczeniach ograniczać się nie należy, ale usiłować zaszczepiać w dzieciach zdrową pobożność, ugruntowaną na miłości Bożej i wewnętrznej pracy nad sobą.

Ważnem jest dać młodzieży od lat dzieciennych sprawiedliwe pojęcie o pobożności. Ze wszystkich określeń pobożności najtrafniejszem wydaje się to, które poucza, że

---

\*) Nigdy nie należy używać klęczenia jako kary dla dziecka.

jest to *życie prowadzone po Bożemu* — (to jest według myśli i woli Bożej). Nie zasadza się przeto, — jak to wielu sądzi, — na mnogości praktyk, lub na gorącości uczucia, — które są zwykle tylko wynikiem pobożności, a nie jej treścią, — ale na tem, aby z pobudki *żywej wiary i gorącej miłości*, jak najwierniej wolę Stwórcy spełniać, co jest zasadą nie tylko życia pobożnego, ale najwyższej doskonałości. Że mnogość praktyk i rzewność uczucia nie stanowią zasady pobożności, dowodem jest, iż wiele osób zapędzonych w praktykach z uczuciem najtkliwszej dewocyi, bynajmniej pobożnemi nie są, jeżeli nie łączą z praktyką ćwiczeń pobożnych, wiernego spełnienia tych powinności, jakie Bóg na nie nałożył — przeciwnie zaś, spełniający ściśle wolę Bożą, nigdy fałszywym dewotem nie będzie.

Pojęcie więc o pobożności, wyżej przytoczone, z tej jeszcze przyczyny wydaje się nam najstosowniejsze, że samem swem określeniem wyklucza wszelkie nadużycia, mogące z jej łona wypłynąć.

„*Nie ten który mówi „Panie, Panie“ wnijdzie do królestwa niebieskiego*“ — poucza Najwyższy Zakonodawca, — *ale ten który czyni wolę Ojca mego niebieskiego.*“.

Praktyki, nie stanowiące esencji pobożności, są jednak niezbędnym jej wpływem, objawem, co więcej, są jej istotną potrzebą. Kto kocha — ten niezawodnie spełnia wolę umiłowanego, ale tem się nie zadawalnia, potrzebuje bowiem często z nim obcować, z nim się porozumiewać; potrzebuje go uwielbiać, zwłaszcza, jeśli to Istota Najwyższa, źródło wszelkiej prawdy, dobra i piękna — potrzebuje Mu dziękować, jeśli to Najwyższy Dobrodziej, potrzebuje Go przeproszać, jeśli wciąż przeciwko Niemu z ułomności zawinia, potrzebuje wreszcie wciąż Go o coś prosić, jeśli czuje się samą niemocą, a widzi w Nim źródło wszelkiego dobra. Oto esencya modlitwy. Ta oto potrzeba, głęboko odczuta przez wierzących a mi-

lujących Boga katolików, wytworzyła niezrównaną moc praktyk pobożności *każdemu do wyboru*, które są dobre i zbawienne, jak dobrem jest serdeczne i poufne obcowanie dziecka z matką, wszakże zawsze z tem zastrzeżeniem, że nadewszystko spełnioną będzie wola umiłowanego. Temi jednak praktykami niepomiernie gorszą się ci, którzy Boga naprawdę nie znając, nie miłują go, a tem samem bliższego z Nim stosunku nie potrzebują i nie rozumieją.

Dziwić się doprawdy trzeba niezrównanej niesprawiedliwości, jaką ludzie w tej mierze wciąż popełniają. Ani im przez myśl nie przejdzie gorszyć się tem, jeśli np. kobiety spędzają całe godziny przy lustrze i toalecie, jeśli większą część dnia marnują na próżnych odwiedzinach, na rozrywkach lub czytaniu romansów, jeśli choćby całe dnie spędzają na uprawianiu talentów i t. p. Lecz niechno która cokolwiek więcej czasu poświęci modlitwie, jeśli sobie cokolwiek snu ukróci, aby pójść na mszę w dzień powszedni, aby odprawić rozmyślanie, — wołają: o zgrozo! jak gdyby ta osoba była co najmniej krzywdzicielką rodu ludzkiego, lub kandydatką do domu histeryków!

Być wszakże może — że zrażeni wybrykami fałszywej pobożności, — pod jedną miarę podciągają wszystkich pobożnych, nie odróżniając pobożności prawdziwej, z ducha Bożego płynącej, od tej, która jest *indywidualną krzywiczną*, ciasnotą umysłu, brakiem oświecenia, wreszcie nadużyciem tego, co najlepsze.

## II.

Łatwo zapewne będzie pokierować dzieckiem — które od lat najmłodszych zrozumiało, że tak religia, jak pobożność nie na formach polegają, lecz *na duchu*, mającym rdzeń życia przenikać, które wreszcie i to pojęt<sup>o</sup>,

że najistotniejszym objawem pobożności, to nie praktyki lecz *praca nad sobą*, kształcąca człowieka na modłę Bożą.

Dźwignią — że się tak wyrażę — pracy nad sobą jest rachunek sumienia: należy do tego ćwiczenia wprawiać dziecko możliwie najwcześniej, nie obawiając się aby ono było dla jego wieku nie odpowiednie lub zbyt uciążliwe. Skoro dziecko dochodzi do lat sześciu, należy postarać się przed wieczorem pogawędzić z niem, zwrócić jego uwagę na czynności dnia ubiegłego, i nakłonić je, aby sobie przypomniało swe ważniejsze uchybienia, — w czem mu matka może dopomódz. Niech następnie przy wieczornym pacierzu dziecko za te winy w krótkich słowach Pana Boga przeprosi.

Zachęcajmy dziecko, aby swoje smutki, radości i pragnienia samo Bogu wprost przedstawiało, aby czasami własnymi słowy się modliło, — nauczy się tym sposobem praktyką łatwą i prostą najszczytniejszej modlitwy: modlitwy myślniej, która płynąc z jego własnego ducha, ani przykrą, ani męczącą dlań nie będzie.

Modlitwa jest dla człowieka szczęściem, a możność obcowania ze Stwórcą — najwyższym zaszczytem — powinno o tem dziecko wiedzieć, a od nas zależy, aby ono tak czuło, co stanie się, gdy go nigdy modlitwą nie przeciążymy, a odprawiać ją z nim będziemy w sposób odpowiedni.

Odbywajmy modlitwy ranne i wieczorne z dziećmi z możliwą uroczystością, klęcząc przed gustownie przystrójonym ołtarzykiem i zapalonem światłem, — niech modlitwa będzie raczej krótka, do wieku dziecka zastosowana, a serdeczna, i z wielkiem uszanowaniem odbywana. Przestrzegajmy, aby dziecko przy pacierzu klęczało prosto, bez oparcia, ze złożonymi rączkami, a słowa modlitwy wymawiało równo i starannie.

Rozdrażnionego, rozgrymaszonego, a także rozbawionego dziecka nie należy nigdy brać do pacierza. Przed

modlitwą powinno nastąpić uciszenie i uspokojenie: z a dne gry zbyt głośne bezpośrednio pacierza poprzedzać nie powinny. Śpiew przecudnych naszych pieśni: „Kiedy ranne wstają zorze“ — i „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ — wielkiej dodać może uroczystości modlitwie, a dzieciom na całe życie zostawi niezatarte wspomnienie chwil najbardziej błogich \*).

W późniejszym wieku, to znaczy po siódmym roku, nauczmy dziecko Składu Apostolskiego oraz innych modlitewek i aktów strzelistych, jako to: modlitwy do Anioła Stróża, Pod Twoją Obronę, Pomnij, Anioł Pański, — których to modlitw dziecko powinno się nauczyć na pamięć i odmawiać wedle przepisów Kościoła.

Rozbudzajmy w dziecku nabożeństwo do Anioła Stróża, do świętego Patrona lub Patronki, a nadewszystko do Najświętszej Panny, do której serdeczna a rzeźwa nabożność prawdziwą jest w życiu tarczą, obroną, pociechą i rękojmnią zbawienia.

Unikajmy jednak dla dzieci długich modlitw i licznych formulek — w czem wielkie niebezpieczeństwo znajdować się może. „Jakto — zapyta matka, — czyż i z nabożeństwa miałabym się obawiać jakiego niebezpieczeństwa dla mego dziecka?“ Niewątpliwie, i bardzo wielkiego nawet, jeśli to nabożeństwo bez roztropności i w sposób niewłaściwy praktykowane będzie: prostą drogą poprowadzić ono może do fałszywej pobożności.

Przez długie modlitwy, długie przesiadywanie w kościele, wywieramy najczęściej na dziecko wpływ wprost

---

\*) Zgorszy się może niejeden zwolennik nowych prądów wychowawczych tem, że tak wczesnie zabieramy się do torturowania dziecka przepisami religijnymi, wszakże gdyby wzięli w uwagę to, czego od dzieci wymagają w stosunku światowym: ubioru, układności, krepowania i t. p., zrozumieliby, że to, czego wymagamy od dziecka w stosunku do Stwórcy, małem jest w porównaniu!

przeciwny temu, jaki wywrzeć pragnęliśmy, gdyż mu obrzydząmy pobożność i nabożeństwo. Dziecko ruchliwe z natury i potrzebujące częstej zmiany miejsca i zajęcia, długo na jednym miejscu nie usiedzi, a tembardziej długo umysłu nie utrzyma w skupieniu, to też nie należy dzieci nakłaniać do długich modlitw, owszem takowych im wprost zabraniać, jako dla nich szkodliwych. Pociąg dzieci do długich modlitw naturalnym być nie może, i rzadko bardzo jest objawem przedwczesnej dojrzałości, oraz działania łaski Bożej. Najczęściej pociąg taki wypływa z nieświadomego w dziecku pociągu do naśladownictwa, a co gorzej, z chęci przypodobania się starszym; wyraża dwulicowość i obłudę.

Do hypokryzyi religijnej bardzo jest łatwo doprowadzić dzieci przesadnym i nieroztropnym w tej mierze postępowaniem.

Jeśli np. dzieci słyszą, że są chwalone za pobożność, albo jeśli z przyczyny, że dziecko wyrwa się do kościoła, aby się mogło pomodlić (bo może się wyrwać dla przejażdżki lub rozmaitości), okazujemy dziecku uznanie, zadowolenie, — dziecko wówczas prawdopodobnie poczuje ochotę *okazywać* się pobożnym dla przypodobania się starszym.

Niechże przeto wielki takt i oględność towarzyszą naszemu w tej mierze postępowaniu. Strzeżmy się zwłaszcza jakiegokolwiek *favoryzowania* dzieci za pobożność; strzeżmy się przesady w praktykach, rozwlekłości w opowiadaniach i naukach religijnych, wreszcie *naciągania* wszystkiego do jakiego religijnego moralu, lub opowieści pobożnej.

Każdy przesyt budzi nudę\*).

\*) Przesada matek i wychowawczyń odbija się zwykle złowrogo na dzieciach, a gdy jest zbyt jaskrawa, budzi w nich reakcyę odwrotną, zwłaszcza u dzieci samodzielnych i myślących. I tak np. gdy matki nieroztropnie

Strzeżmy się zanadto mówić dzieciom o Bogu, ale za to śmiało mówmy dużo Bogu o naszych dzieciach — w tem nigdy nie możemy zgrzeszyć przesadą.

Modlitwa za dzieci — to najdzielniejsza rękojmia obfitego owocu pracy nad nimi, albowiem bez ożywczej rosy błogosławieństwa Bożego, czem są wszystkie mazy i wysiłki?... Człowiek rzuca ziarno, ale wzrost ziarna — daje Bóg!

\* \* \*

Okres życia dziecka, w którym starsi je przysposabiają do Sakramentów, a mianowicie do pierwszej Komunii, jest dla niego najwyższej wagi, jest to bowiem czas, w którym dziecko rozpoczyna na dobre rachować się z sumieniem i nad sobą pracować. Troskliwa matka potrafi wyzyskać tę sposobność na korzyść dziecka.

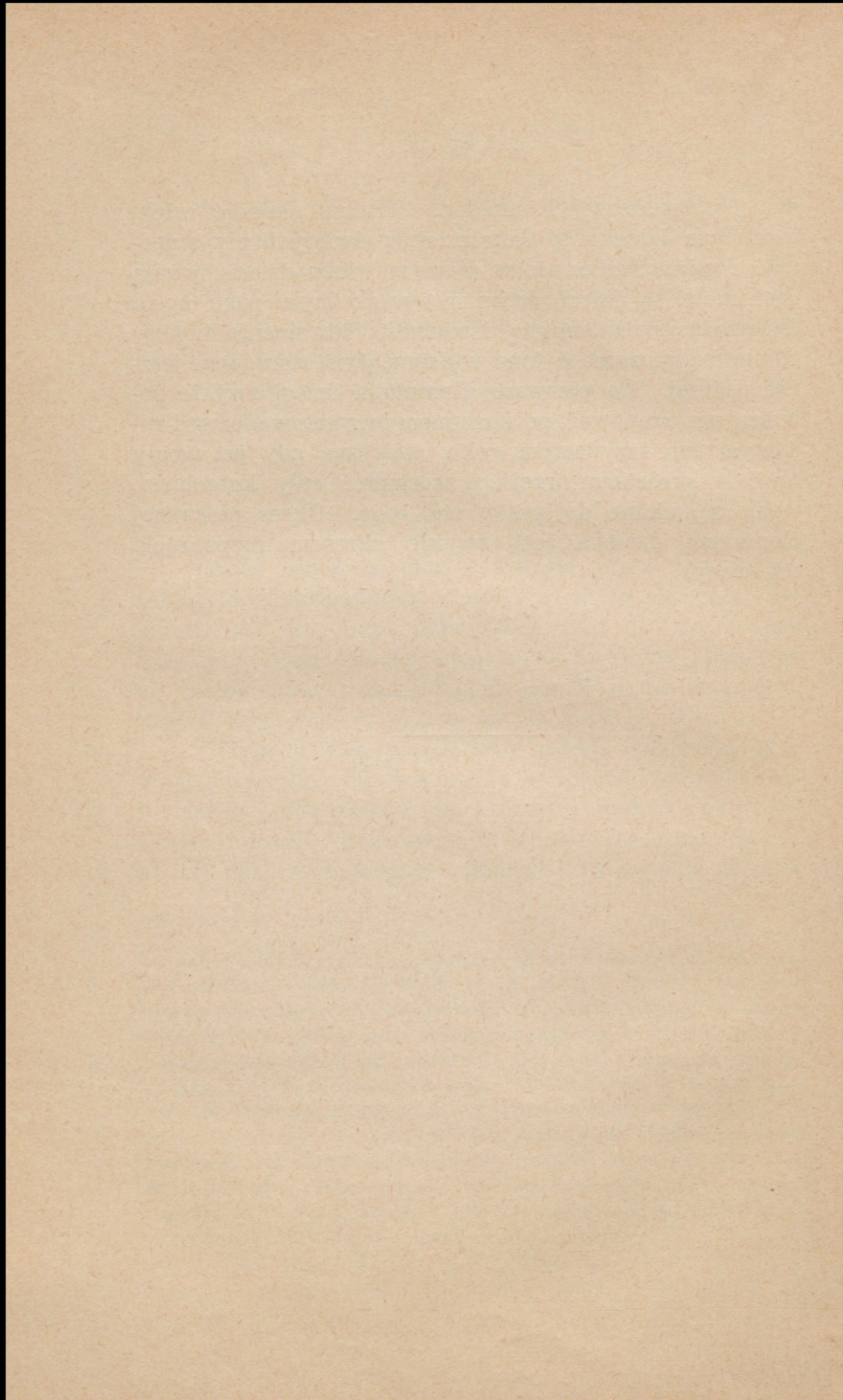
O tym jednak przedmiocie mówić nie będę, a to z tej przyczyny, że posiadamy w tej mierze wiele znakomych podręczników, do których religijnych rodziców odesłać można. Zaznaczym tu jedno tylko, a mianowicie: że nie należy zbyt często odkładać ani spowiedzi dziecka,

---

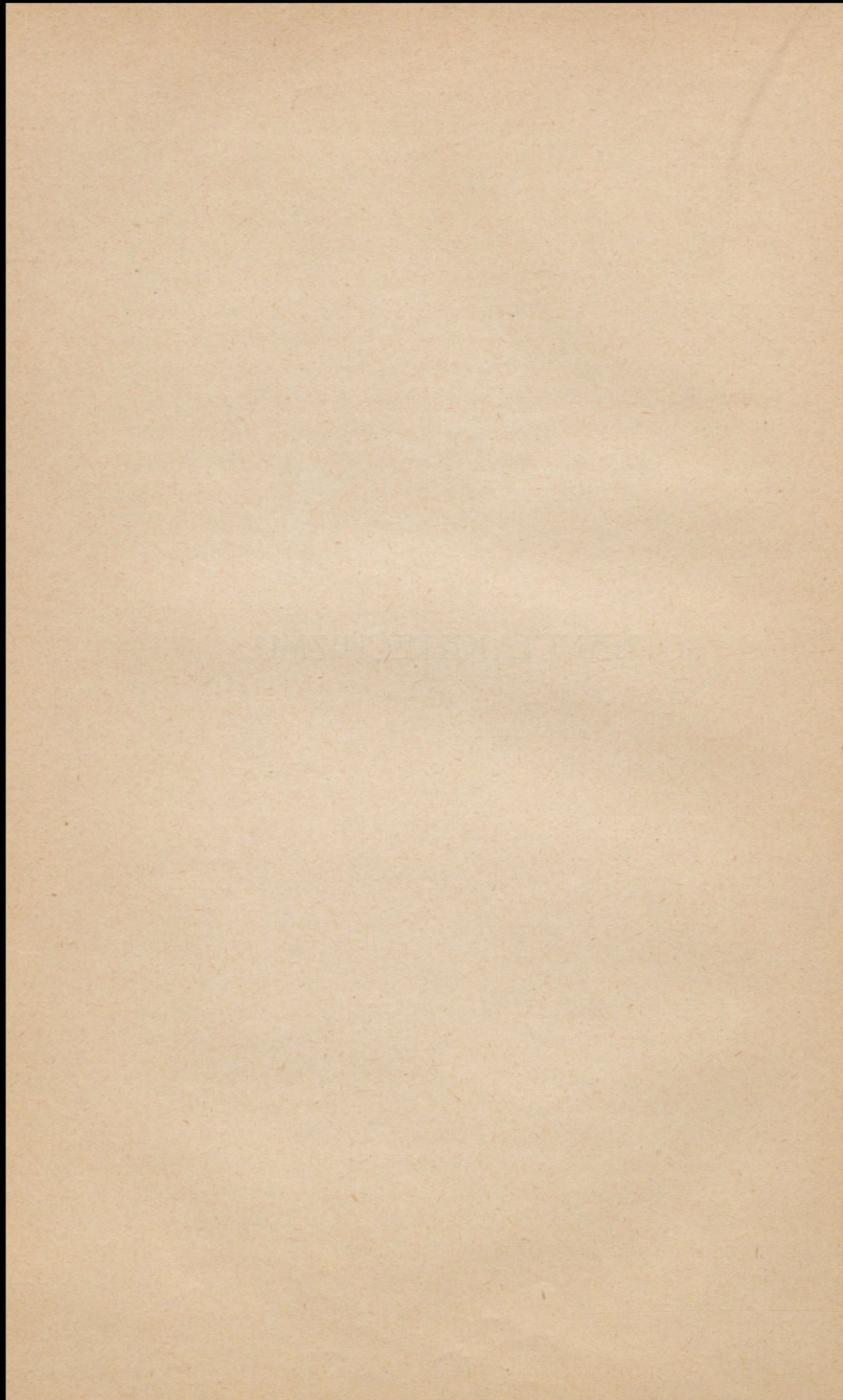
oddają się dobrym czynom z opuszczeniem istotnych obowiązków stanu, dzieci w późniejszym wieku o dobrych czynach ani chcą słyszeć, wstret nawet okazują do każdego o nich wspomnienia. Gdy matki całymi godzinami wykłekiwały w kościołach, dzieci okazują w następstwie wyraźną a często nieprzewycięzoną niechęć do pobożności. Gdy matki krzątały się okolo gospodarki z zupełnem pominięciem zajęć intelektualnych, dzieci zostawione sobie jak najbardziej stronią od wszelkiej praktyczności, — zwykle daje się to widzieć. Dzieje się także i odwrotnie: córki matek bardzo światowych i wielomownych okazują nieraz nieprzewyciężony wstret do świata, — są dzikie i milczące. Ważne o tem w wychowaniu pamiętać, aby się ustrzedz wszelkiej krańcowości lub nawet jednostronności, do której człowiek, skoro poczyna sobie folgować — niezmiernie bywa skłonny.

ani jego pierwszej Komunii. Trudno określić wiek, w którym dziecko do Sakramentów świętych przystępować powinno, gdyż nie w równym wieku dzieci bywają rozwinięte: są dzieci, które już w siódmym roku życia grzeszą ze świadomością, i ważność Sakramentu Pokuty zdolne są zrozumieć; inne w dziewiątym roku, inne jeszcze później. Do pierwszej Komunii dzieci zwykle powinny przystępować, po starannem przygotowaniu, w dwunastym lub trzynastym roku, wówczas gdy już mogły choć w skróceniu przejść i zrozumieć cały katechizm, i gdy są zdolne do pracy nad sobą. Okres pierwszej Komunii dziecka jest zwykle okresem rozpoczęcia tej pracy.

---



O NAUCE KATECHIZMU.





## I.

Nie znajduję wymowniejszych słów zachęty dla rodziców i wychowawców do uczenia dzieci katechizmu nad te, które zawarł w swym liście pasterskim w marcu roku 1902, ks. Bilczewski, arcybiskup lwowski. Cytujemy je dosłownie, choć w pewnym streszczeniu:

„Jaka jest doniosłość i potrzeba katechizmu? pyta na wstępie Arcypasterz.

„Katechizm jest co do objętości książka niewielka, ale co do bogactwa treści, z katechizmem równać się nie może żadna inna książka na świecie. Zawiera on streszczenie tego wszystkiego, co Pan Bóg objawił, sobory uchwaliły, Papieże ogłosili, Ojcowie Kościoła i Święci nauczali. Daje odpowiedź na wszystkie najważniejsze pytania, poruszające umysł i serce człowieka.

„Rozum ludzki, sam sobie zostawiony, nie miał nawet pewności, czy Bóg jest jeden lub czy więcej jest bogów. Nie wiedzieli też poganie, skąd się wziął świat, jakie jest przeznaczenie człowieka, i skąd zło na świecie. Pytasz i dziś niedowiarka: Skąd idziesz? — odpowiada „Nie wiem“. Jakże strasznie smutne to „nie wiem!“ Przeciwnie, każde dziecko chrześcijańskie wie, że wyszło

od Boga, i ma wrócić do Boga, jeśli tu na ziemi spełni sumiennie Jego świętą wolę.

„Ludzie bez wiary, nie rozumiejąc przeznaczenia swego na ziemi, nie mają też dość światła i siły, aby zwycięsko potykać się z trudnościami życia, i nieraz samobójstwem usuwają się ze świata. Biedni oni, — uciekli przed cierpieniami mniejszemi, a wpadli w zło większe, wieczne. Dobry katolik, choć mu nieraz ciężko w życiu, nie rozpacza, nie targa się na życie, bo wie, że z ratunkiem i posileniem spieszy mu Bóg, byle Go wezwał.

„O jakże piękna jest ta nasza święta wiara katolicka! Jakże cenna jest ta książka, w której zebrane są jej wszystkie główne prawdy i przepisy! Jest to najwyższy traktat filozoficzny, któryby w zachwyty był wprawił mędrców starego świata: jest to najlepszy poradnik wychowawczy.

„Komu więc potrzebna nauka i znajomość katechizmu?

„Najpierw dzieciom. Kiedy Pan Jezus chodził po ziemi, brał dzieciaki na kolana, i uczył je katechizmu, aby nam pokazać, że umysł i serce dziecka jak najwcześniej należy skierować do Stwórcy i napelnić je miłością i bojaźnią Bożą.

„Rodzice, którzy nie dbają, aby ich dzieci nauczyły się wcześniej a gruntownie katechizmu, są wprost odpowiedzialni za zło, jakieby one w późniejszym wieku popelnąć mogły. W roku 1878 został w Niemczech na śmierć skazany Nobiling, który wykonał zamach morderczy na cesarza Wilhelma I. Przed ścięciem zawołał on: „właściwie nie ja, ale mój ojciec zasłużył na śmierć, bo gdyby mnie był lepiej wychował, i uczył religii, nie byłbym został tak wielkim zbrodniarzem“. Bodaj żadne z dzieci naszych nie podniosło przeciw swoim życiodawcom tak strasznego zarzutu i oskarżenia!

„Ale czy znajomość katechizmu potrzebna jest tylko dzieciom?

„Nic mylniejszego i nie szkodliwszego nad takie mniemanie. Gruntowna i do wyżyn zawodowego wykształcenia świeckiego dostrojona znajomość katechizmu jest konieczną także dla dorosłej młodzieży, a więc i akademickiej. Wyznała to sama młodzież, gdy przed kilku laty wystosowała prośbę, żeby więcej i lepiej uczono w szkołach katechizmu, tak iżby jego zasady mogły wejść w jej krew i istotę, sterowały nią w życiu prywatnym, rodzinnym i publicznym, i zapobiegły temu smutnemu zjawisku, że po ulicach miasta, snuje się dziś mnóstwo młodych starców bez sił, bez woli, bez zapалу, bez krwi, tak iż zdaje się, że słyhać za nimi kroki grabarzy, spieszących unieść te żywe trupy.

„Gruntowna znajomość katechizmu potrzebna także ludziom dojrzałym, bo bez niej sumienność i co za nią idzie, wzajemne zaufanie między ludźmi, prawie pomyśleć się nie da. Są u nas katolicy, którzy znają wiarę świętą, ale jest daleko więcej takich, którzyby nawet z krótkiego katechizmu nie zdali egzaminu. Mają oni wiarę, ale ten ich katolicyzm to jakieś mgliste wierzenie, a raczej tradycyjne nawyknienie przejęte po przodkach. Dobrze powiedział Skarga, że lud powinien zająć się do katechizmu jak do szkoły, a człek wykształcony jak do apteki, inaczej nie potrafią w dobrem zdrowiu moralnem przejść przez to życie.

„Tymczasem dziś wszystko się czyta: czyta się takie dzienniki i takie pisma ilustrowane, które nigdy nie powinny przekroczyć progu domu chrześcijańskiego, czyta się powieści zatruwające umysł i serce, czyta się tygodniki i wszelkie możliwe dzieła zawodowe; jednej tylko książki nigdy nie widać w ręku ludzi wykształconych — katechizmu!... A jednak katechizm — treściwy czy obszerny — powinien się stać ulubioną książką

naszych rodzin. Każdy katolik który kocha swą duszę, powinien czytać katechizm — lub jakie dzieło objaśniające o wierze i religii — choćby kwadrans co niedziela i święto, co czynić powinien, jak długo żyje. A niech nikt sobie nie wyobraża, że jest za wysoko postawiony na świeczniku nauk świeckich, aby miał jeszcze czytać katechizm.

„Mężu nauki, może dziś wzruszasz jeszcze lekceważąco ramionami na te moje wywody? Ale pójdziesz dalej w wiedzę i lata, nawiedzi cię krzyż ciężki, zrobisz może, — co nie daj Boże — najboleśniejsze ze wszystkich doświadczeń, bo syn twój lub córka, wychowani w twoich zasadach bezreligijnych, zmarnują życie i wstydem okryją twe imię, wtedy powrócisz do wiary twej matki, i przyznasz u schyłku życia, żeś skrzywdził siebie, swoje dzieci, i społeczeństwo, jeśli w pracy nad rozpaleniem kagańców wiedzy ludzkiej, odwracałeś się pogardliwie plecami do słońca wiary katolickiej, które jedno zdolne uczynić świat do pewnego stopnia rajem, *byle ludzie pozwolili promienić jego promieniami wszystkie zakątki dusz, rodzin i wszelkich organizmów społecznych.*

„Rozczytawszy się raz w katechizmie i zasmakowawszy w nim, nie będziecie mogli naczytać się go do syta, tyle tam znajdziecie światła dla umysłu, a pociechy dla serca.

„Nauka wiary powinna się stać codziennym chlebem wszystkich dzieci Bożych, wielkich i małych. Powinna leżeć ciągle na stole urzędnika i uczonego, publicysty i adwokata, aby ją mieli zawsze pod ręką, jako drogowskaz we wszystkich swoich sprawach. Do katechizmu — i jego mądrości powinniśmy wszyscy wrócić, ażeby się nauczyć tak używać świata i dóbr ziemskich, abyśmy nie stracili dóbr niebieskich. Jeśli mądrość katechizmu świata nie zbawi, jego własna mądrość, prędzej czy później, popchnie go w przepaść. Nie katechizmu

nie zastąpi. — Chcesz być szczęśliwym i w sumieniu spokojnym, czytaj katechizm, i żyj według niego! Chcesz świat uczynić szczęśliwym, naucz go znać, kochać, i w życiu stosować katechizm“.

Ośmielę się tu dorzucić, że gruntowna znajomość katechizmu wyświadczy nam jeszcze i tę znamiennej przysługę, że uchroni nas od niejednego wybryku fałszywej dewocyi, które wszystkie płyną z nieoświecenia religijnego. Takimi wybrykami są różne praktyki przez Kościół nieupoważnione, jako to: polykanie św. obrazków, specjalizowanie nabożeństw z przyznawaniem im *jedynej* mocy zbawczej, ocenianie Mszy św. tylko upodobanego kapłana, poszczenie w wielką niedzielę przeciwko wielkiej chorobie i t. p. O jakież to obniżenie — ośmieszenie nawet pobożności katolickiej! jakież to poniekąd jej *zdziaccinnienie!* Ludzie nie oświeceni w wierze, sądząc, że te niedorzeczne praktyki, — zrodzone w głowach ciemnych, ciasnych, a upartych, — płyną z ducha Kościoła, niemal się niemi gorszą, a nawet zrażają do religii. Uniknęlibyśmy tego szkopuła gruntowną znajomością katechizmu, katechizm bowiem dałby nam poznać, jak *rozumną, wspaniałą i uszczęśliwiającą* jest pobożność katolicka, a jak bardzo jest daleką od wszelkich małostek, od fanatyzmu i od tego wszystkiego, co ludzie złej woli zwykli jej przypisywać.

## II.

„Pragnę teraz, pisze dalej Arcypasterz, rozniecić wśród wszystkich stanów i klas społecznych ducha apostołstwa tak, żeby jak najwięcej osób obojej płci pospieszyło z pomocą kapłanom w nauczaniu religii naszej drogiej dziatwy, która przecież jest podstawą narodu. Przedewszystkiem zaś chodzi mi o biedne dzieci wiejskie, które do szkoły nie uczęszczają i nawet pacierza dobrze

nie umieją w języku polskim, albo jeśli chodzą do szkoły. to bardzo nieregularnie, bo w porze ciepłej paszą bydło i pomagają rodzicom lub chlebodawcom w pracy, a w zimie nie mają dostatecznej odzieży. Kapłana swego nie znają lub widzą go tylko rzadko, gdyż do kościoła parafialnego daleko, a duszpasterz ma do obsłużenia nie-raz więcej wsi i szkół, niż dni jest w tygodniu.

„Otóż dla nich chcę znaleźć pomocniczych katechistów, tak, żeby ani jednej sieroty, ani jednego sługi w dworach i we wsi nie było, któryby nie znał w swoim ojczystym języku najważniejszych prawd wiary św. i nie czuł się jak najściślej związanym z świętym Kościołem rzymskim i tegoż Głową widomą na ziemi, Ojcem świętym.

„W pierwszym rzędzie wasz to obowiązek, rodzice, a zwłaszcza wasza powinność, dobre matki chrześcijanki, starać się, aby wasze dzieci ugruntowały się w zasadach katolickich i zawczasu wdrażały się do wiernego spełniania praktyk naszej świętej wiary. Uczcie je pacierza i katechizmu polskiego i zróbcie wszystko, co w waszej mocy, aby ułatwić pracę kapłana, żeby go dziecko w szkole i w kościele rozumiało.

„Czuwajcie pilnie, aby dzieci nigdy nie opuszczały godziny religii; wracając ze szkoły pytajcie, czego się tam uczyły, a kiedy idą na naukę, przesłuchajcie je wprzód w domu, aby mieć pewność, że idą należycie przygotowane. Czytajcie z nimi i ze służbą katechizmu i biblię przynajmniej w niedzielę, i pokażcie im w ten sposób słowem i czynem, jak wysoko cenicie tę naukę.

Takiem czytaniem i przesłuchiowaniem katechizmu osiągniecie dwie rzeczy: nauczycie dzieci katechizmu i sami znajomość prawd wiary w sobie odświeżycie i pogłębicie. Gdzie rodzice i dzieci pilnie będą czytawali i rozważali katechizm, tam będą też głębokie przekonania religijne i wiara; nabożeństwo, praktyki religijne nie

będą tylko formą, ale treścią życia, źródłem czynu i poświęcenia, słowem, tam w całej pełni będzie życie według wiary.

„Był dawniej u nas zwyczaj, że matka dawała córce swej na wiano między innymi rzeczami: kropielniczkę—aby woda święcona w progu chroniła domostwa od złego — książkę do modlitwy i Żywoty Świętych, by na wzorach Świętych kształciła się na wzorową żonę, kochającą matkę i dobrą gospodynię. Czyńcie, drogie matki i dzisiaj to samo, ale dzieciom, zabierającym się do ślubu, dodajcie do wyprawy jeszcze katechizm i biblię, bo w nich znajdują zawsze najlepszego przyjaciela, doradcę i pocieszyciela.

„Dalej zwracam się do was, zacne panie po dworach. Prawda, macie własne dzieci. Lękacie się nieraz słusznie zetknąć z tem biedactwem wiejskiem, aby nie wniesić w swój dom chorób zakaźnych. Nie dziwię się, żeście ostrożne, bo boicie się o swoje największe skarby, o swoje małeństwa. Ale niech ta ostrożność nie idzie zadaleko. Były Święte, które myły, czesały dzieci wiejskie i leczyły ich wrzody, a swoim dzieciom nie zaszkodziły.

„Przy sercu zacnej matki pomieści się jeszcze i sierotka. Jeśli, matki kochane, przygarniecie obce dzieci i zaopiekujecie się ich duszą, to Boże Dziecię da wam lepiej wychować wasze własne. Litujemy się nad pogańskimi dziećmi w Chinach i w Afryce, ulitujmy się też nad naszą biedną młodzieżą. Niech nie będzie ani jednej sieroty, ani jednego pastuszka, ani jednej dzieciny opuszczonej, której los i stan duszy nie byłby wam lepiej znany, niż samemu proboszczowi, zmuszonemu pamiętać o całości swoich parafian. Dopomóżcie kapłanom, aby pierwsza spowiedź i pierwsza kommunia we wsi wypadła jak najświętej. Wiele z was odprawia u siebie nabożeństwa majowe i październikowe: odczytacie

przy tej sposobności zawsze trochę katechizmu. Nie zrażajcie się, jeśli dziatwa nie przyjdzie na wasze pierwsze zawołanie; musimy jej szukać, prosić i iść do niej. Nie pytajcie też o wdzięczność: Kościół będzie wam wdzięczny, a zresztą i dziecko nigdy wam nie zapomni, co uczyniłyście dla ukształcenia jego duszy.

„Odzywam się dalej do was, niewiasty chrześcijańskie w miastach i miasteczkach, które staracie się nakarmić głodne, ogrzać i przyodziać nagie i zziębnięte, pocieszać chore, zając pracę i zabawą opuszczone. Nie zapomnijcie też, proszę, że największym uczynkiem miłosierdzia jest pouczanie nieumiejętnych, a więc i sług waszych o prawdach wiary.

„Niech się nikt nie lęka, że imą się pracy nie swojej, że dotyka się świętokradzko arki Pańskiej, że takim uczeniem przez ludzi świeckich toruje się drogę do herezyi, do obywania się bez kapłanów, a więc do pewnego rodzaju sztundy w kraju. Nie przeczę, że najlepiej byłoby, gdyby całe nauczanie religijne w każdej wiosce spoczywało wyłącznie w rękach duchowieństwa; urząd to bowiem jego istotny i ważna część jego pracy. Ale ponieważ to niemożliwe, aby kapłani zajęli się każdą duszą tak, jak Kościół i społeczeństwo tego pragnie, więc dla zaradzenia potrzebie najpilniejszej, proszę o pomocników, którzyby uczyli katechizmu, a czynili to w porozumieniu, pod kierownictwem i dozorem proboszcza i przygotowywali mu w ten sposób drogę, żeby nie tracił czasu na uczenie pacierza, ale mógł czy w szkole, czy w kościele gruntowniej wpajać, obszerniej rozwijać oraz utrwać i do praktycznego życia stosować naukę wiary. Przywołując do pomocy ludzi świeckich, nie wprowadzam rzeczy nowej, lecz znaną i wypróbowaną w kościele zalecam. Instytucya pomocniczych katechistów świeckich jest tak dawna, jak nasza święta wiara. Wystarczy otworzyć listy apostołskie, aby się przekonać,

że mężowie i niewiasty oddawali nietylko domy swoje na zgromadzenia swiernych, ale i siebie „na posługiwanie świętym i krzepili tem ducha apostołów i współbraci“.

(List I do Korynt. 16, 15—18).

W mieście francuskiem Aix-les Bains przebywał pewien arcybiskup, celem poratowania swego nadwątłego zdrowia. Pewnego dnia zawezwano go do chorej. Była to córka francuskiego jenerała. Arcybiskup udzielił jej św. Sakramentów i bardzo się zdziwił, że znalazł w umierającej tak gruntowną znajomość religii. „Kto panią uczył?“ zapytał. „Najczcigodniejszy Ojciec — odpowiedziała chora — po Bogu zawdzięczam znajomość zasad wiary cesarzowi Napoleonowi I.“ A potem opowiadała co następuje: „Przebywałam z rodzicami na wyspie św. Heleny. Często spotykałam Napoleona, który tam był na wygnaniu. Pewnego razu powiedział on do mnie: Dziecko, na świecie czeka cię wiele niebezpieczeństw. Czy potrafisz im się oprzeć, jeśli się nie zasłonisz tarczą religii? Lecz kto cię ma jej nauczyć? Twój ojciec nie ma żadnej religii, matka nie ma jej wiele. Chcę tedy obowiązek na nich spoczywający wziąć na siebie. Przyjdź jutro do mnie, dam ci pierwszą lekcję. — Przez całe dwa lata chodziłam kilka razy w tygodniu do cesarza z katechizmem w ręku. On kazał mi czytać i wszystko wyjaśniał. Gdym miała lat dwanaście, powiedział mi: Jużem cię dostatecznie przygotował. Teraz poproszę z Francyi kapłana, który tobie pierwszą, a mnie ostatnią Kommunię św. poda.“ —

„*Fiat lux!*“ — niech się stanie światło! Zakładajmy jak najwięcej szkół, aby w naszych miastach i wioskach znikli jak najrychlej ludzie nie umiejący czytać, ale wprzód, a przynajmniej równocześnie, nauczmy całą naszą dziatwę katechizmu, i uczyńmy wszystko, co w naszej mocy, aby ze wzrostem oświaty wzrastało u ludu głębsze poznanie i rozumne pojmowanie religii katolic-

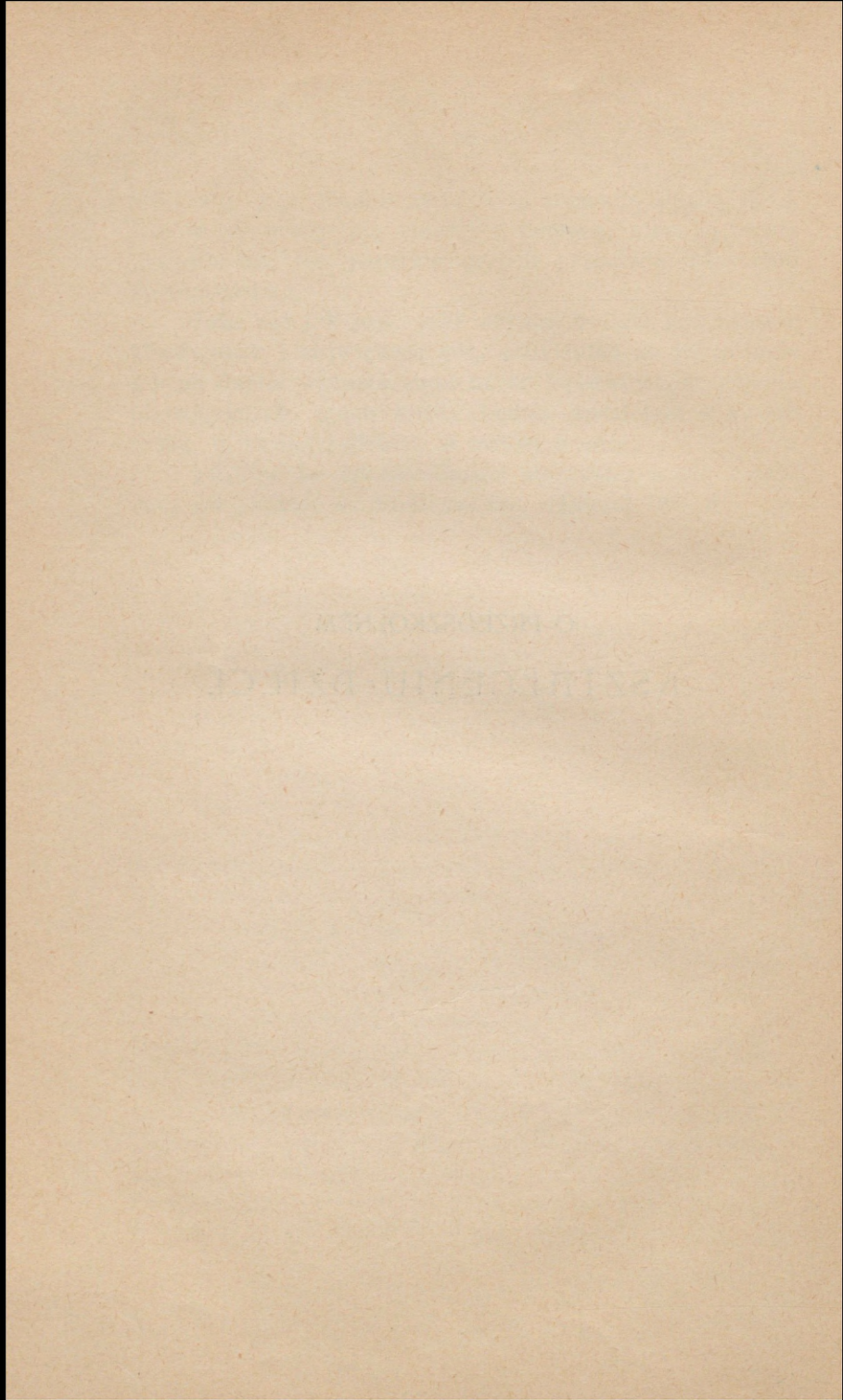
kiej, aby jego służba Boża była rozumną służbą Bożą. Kto w tej pracy nie spieszy z pomocą, albo jej nawet przeszkadza, ten popełnia grzech przeciwko własnemu społeczeństwu.

Jeśli zaś tak jest, jeśli czynna religia jest naszym zbawieniem i największą siłą, jeśli tylko na jej gruncie i z jej ducha wyrasta sumienność i poświęcenie się dla obowiązku. to niech każdy będzie apostołem w swoim domu, w swojej rodzinie. w swojej wiosce.

*„Którzy ku sprawiedliwości wprawiają wielu, świecić będą jak gwiazdy na wieki wieczne. (Daniel 12 — 3).*

---

O PRZEDSZKOLNEM  
KSZTAŁCENIU DZIECI.





## O METODZIE POGLĄDOWEJ NAUCZANIA \*).

**D**użo się obecnie rozprawia o metodzie poglądowej mało kto jednak dokładnie jest objaśniony, na czym właściwie ta metoda polega, jakie są jej źródła, jacy inicjatorowie, wreszcie, jakie są dodatnie a jakie ujemne jej strony; przytem przyznać należy, że mało kto umie ją stosować w kształceniu młodzieży.

Właściwym twórcą metody poglądowej jest filozof angielski Bacon de Verulame, który, przez nadanie wychowaniu kierunku realnego, dokonał w niem prawdziwego przewrotu. Syn wielkiego pieczętarza, lord Bacon, urodził się w Londynie w roku 1561. Nadzwyczajne zdolności młodzieńca dały go poznać już w dzieciństwie królowej Elżbiecie, która go w żarcie nazywała: „młodym lordem pieczętarzem“. Odebrawszy staranne wykształcenie naukowe, — jak na przyszłego męża stanu przystało, — Bacon nie otrzymał jednak podstawy moralnej,

---

\*) W niniejszem streszczeniu posilkowałam się głównie pracą znanego wszystkim pedagoga i filologa, ś. p. Jana Papłońskiego, byłego dyrektora Zakładu Głuchoniemych w Warszawie.

któraby go w wysokich godnościach, do których doszedł, na drodze zacności utrzymać mogła. Rozum olbrzymi, charakter nikczemny, — oto jego cecha charakterystyczna. Służyć on nam może za wzór, jak niedoskonałym jest człowiek, u którego między rozumem a sercem niema równowagi i jak daleko na drodze nikczemności zajść może ten, kto nie jest kierowany niezłomną zasadą wiary, kto jest bez dogmatu.

Bakon, uproszony przez serdecznego swego przyjaciela, hrabiego Essex, aby przyjął na siebie pośrednictwo między nim a zagniewaną królową, zdradził przyjaciela, a zamiast go bronić, ubiegając się o łaski Elżbiety, przyjął nawet na siebie obowiązek oskarżyciela z urzędu w procesie, jaki królowa wytoczyła swemu niegdyś faworytowi; wystąpił wreszcie przeciwko niemu z najwyższą gwałtownością, przyrównywał go do przywłaszczy ciela władzy, tą mową jeszcze bardziej rozdrażniając królowę, dbałą o swoją władzę, — wskutek czego nieszczęśliwy Essex roku 1601 został skazany na śmierć i ścięty.

Giętkością i rozumem Bakon potrafił zjednać sobie łaski następcy Elżbiety, króla Jakóba — chociaż ten był niegdyś przyjacielem Essex, i dostąpił za jego panowania największych godności w kraju.

Wszzechmocny Buckingham był jego przyjacielem, ale i tego spotwarzył — lecz bojąc się zemsty, jakkolwiek był już kanclerzem państwa, długo oczekiwał w przedpokoju Buckingham, a dopuszczony do niego, na kolanach prosił go o przebaczenie.

Żyjąc nad stan, a kochając się w przepychu, Bakon głównie się przyczynił do wytworzenia monopolów w różnych gałęziach przemysłu i handlu, za co znaczne sumy od uprzywilejowanych otrzymał, ale kraj zubożył i gwałtowne szemranie wywołał. W parlamencie powstały krzyki przeciw królowi, złożono sąd na wykrycie

przyczyn nędzy narodu i jednogłośnie obwiniono Bakona, którego przekonano o 23 przekupstwach i skazano na 40,000 funtów szterlingów kary, oraz na zamknięcie w wieży przez czas tak długi, jaki król uzna za właściwy. Król karę pieniężną mu darował, a po trzech dniach i z więzienia uwolnił.

Ale „ta trzecina złamana“ jak Bacon powiedział o sobie, już się nie podniosła: umarł w roku 1626, w kilka lat po głośnym procesie. Rok 1621 jest datą najwyższej jego potęgi, oraz sławy naukowej; wówczas bowiem wyszło najznakomitsze jego dzieło: „*Novum organon*“, które w dziejach rozwoju nauk stanowi epokę.

„Zadaniem nauki — mówi w niem Bacon — jest zaspokoić potrzeby życia, podnieść jego przyjemności, nadto podnieść potęgę człowieka, oraz jego panowanie nad światem zewnętrznym. Tylko użytek, jaki sobie życie z nauki wytwarza, nadaje jej wartość! (Cóż za obniżenie celu, oraz ideału nauki!)

Słowa powyższe znamionują kierunek, jaki Bacon zamierzał nadać umiejętnościom. Cechą wieku swego mianuje Bacon umiejętność, i jakkolwiek przyznaje, że niektóre odkrycia i wynalazki zawdzięczamy przypadkowi, nauka wszakże jedna doprowadzić tylko może do pomnożenia królestwa ludzkiego. Przypisując poznaniu natury, praw, którym ona ulega, i zjawisk które są tych praw wynikiem, wysokie znaczenie, Bacon szczególniejszy nacisk kładzie na historię naturalną, żądając przytem, żeby wszystko, czego się uczy my, *na okazach i doświadczeniach było oparte*. Jest on więc właściwym twórcą metody, którą zowiemy poglądową lub okazową, w obszer-  
nem zastosowaniu tego wyrazu do wszystkich nauk.

Niezaprzeczoną przysługę, jaką oddał Bacon szkolnictwu, przeceniają nasi terażniejsi bezwyznaniowi pedagogowie, a oczy zasłaniając na nikczemność charakteru filozofa angielskiego, szczycą się nim, bezwzględnie jego

zasady i teorye przyjmując. Posłuchajmy, jak się o nim odzywa jeden z tych pedagogów:

„Już atoli wśród złych stosunków owej epoki występowała *dzielni ludzie*, którzy umieli zwrócić uwagę na błędy współczesne i użyźniali chwastem porosłą niwę szkolnictwa. Na czele ich stoi Bakon z Werulamem, który, ukazując przyrodę i świat rzeczywisty jako źródło wiedzy, *skruszył martwy dogmatyzm Kościoła* i bezpłodny formalizm szkoły“ \*).

Myśli Bakona podobały się współcześnie z nim żyjącemu Komenijuszowi, jak nazwano od miejsca urodzenia Morawczyka, Jana Ammosa Komeńskiego.

Celem głównych prac Komenijusza było ułatwić młodzieży naukę języka łacińskiego, czego dokonał, ucząc nie wokabuł, lecz zdań, za pośrednictwem rozmówek o przedmiotach z dziedziny historii naturalnej, z rzemiosł, zajęć gospodarskich, nie pomijając i ćwiczeń w przedmiotach abstrakcyjnych. Widząc zaś z własnego doświadczenia, jak bezowocną jest nauka bez okazji i doświadczeń, wydał „Świat malowniczy“, z któregoby uczniowie, z rysunku przynajmniej, jeśli nie w naturze, obeznawali się z przedmiotami, które następnie po łacinie opowiadać lub opisywać mieli. Była to nowość w onym czasie, która wszystkich pedagogów do zreformowania dotychczasowej metody nauczania pobudziła.

*Feuerlein*, inspektor gimnazjum w Norymberdze, metodę Komeńskiego w zasadzie utrzymał; dodał tylko w swej instrukcyi bardzo ważną uwagę: „Należy — mówi on — starać się o to, aby w drzewo- lub miedziorytach uczącej się młodzieży okazywane były różne rzeczy, przynajmniej w obrazkach, czem one są i do czego służą; mają to uczniowie opisać i łacińską nazwę przedmio-

---

\*) Patrz „Ognisko“, str. 289 (z racyi jubileuszu Jeża wydane).

tów zapamiętać, a to dlatego, żeby się nie uczyli nazw, nie wiedząc, czem jest rzecz sama“.

„Nieźleby też było — mówi Feuerlein dalej, — gdyby od czasu do czasu dzieci wychodziły na przechadzkę na łąki, do ogrodów, do kuźni, tartaków, papierni, młynów, oraz do różnych warsztatów i pracowni, aby tam pokazywano im różne narzędzia, żeby podawano ich nazwy, wskazywano użytek, a potem, gdy już o rzeczy będą miały dokładne wyobrażenie, aby im podawano nazwę łacińską, a takim sposobem lepiej się im wraży w pamięć same wokabulary, których nauka tak im dotąd była niemiłą. Przyda się im to w życiu praktycznem. A wreszcie, — mówi Feuerlein, — jak to niepięknie, gdy się uczoney okaże nieświadomym w tych rzeczach, z którymi ciągle czy w rozmowach, czy w innych okolicznościach spotykać się będzie!“

Widzimy tu już postęp. Komenjusz przedstawił tylko rysunki, Feuerlein domaga się już i żywej natury; wszakże jak jeden, tak drugi, nie ogólny rozwój umysłu ucznia mieli na względzie, lecz jedynie ułatwienie mu nauki języka łacińskiego. W każdym razie, zasada nauki okazowej wypowiedziana jest tu zgodnie z poglądami nowoczesnemi z wyjątkiem jej celu.

W połowie przeszłego wieku, próbował Rousseau dokonać przewrotu w wychowaniu młodzieży i zwrócić człowieka do natury, od której odbiegł wskutek swego historycznego rozwoju. Idealny jego Emil, idealny nauczyciel, idealne otoczenie, nie mają jednak nic wspólnego z praktyką życia. Usunięcie w zupełności wpływu rodzicielskiego — czego Rousseau sam żąda dla swego Emila — może wytworzyć tylko dziwolągów, a poddanie dziecka wpływom natury zewnętrznej i pozostawienie rozwoju jego umysłu własnemu jego badaniu i ciekawości, prędzej do idyotyzmu, niż do rzeczywistego postępu doprowadzić może. Żąda Rousseau, żeby dziecko nic nie

wiedziało o tem, co przez Objawienie ludzkości podane zostało, żeby żyło wśród natury tylko, zdala od społeczeństwa, bo idee nauczyciela zwichnąłby je tylko mogły. Dozwolić należy rozwijać się siłom fizycznym, a władze umysłowe rozwiną się same. Otóż takie rady i nauki może podawać tylko ten, kto nigdy ani swoich, ani cudzych dzieci nie wychowywał, kto żył jak odludek, unikając świata i społeczeństwa. Za ideał dla Emila wziął Rousseau ludy dzikie, bez prawa własności, bez związków małżeńskich, bez pojęcia o wygodach życia, wychowywał wszakże swego młodzieńca nie dla tego, żeby ten miał żyć wśród dzikich, ale wśród najucywilizowanego świata Europy. Mówi wprawdzie o sobie: że w sprawie wychowania jest tylko *un visionnaire* (fantastykiem), a mimo to znalazł naśladowców, którzy wychowanie Emila za wzór dla swych dzieci przyjęli. Należy on do historii metody pogładowej o tyle, o ile obeznanie się z naturą zewnętrzną za jedną z jej podstaw uważane być winno.

Napojony ideami Rousseau'a zjawił się na polu pedagogicznym najslawniejszy, przynajmniej w swojej epoce, twórca systematycznej nauki o wychowaniu, — szwajcar Pestalozzi, — za którym jednak iść nie mogą najwięksi nawet jego wielbiciele.

Jan Henryk Pestalozzi urodził się w Zurychu w r. 1746; w szóstym roku utracił już ojca; pozostała mu matka, która wszakże wielkiego wpływu na wychowanie dziecka nie miała, jakkolwiek ją Pestalozzi *die beste Mutter* nazywa. Kierowała nim i całym gospodarstwem zarządzała prosta dziewczka służebna, której głównem zadaniem było zachować jak największą oszczędność, bo bez niej cała rodzina dojsćby mogła do ostatniej nędzy. Brak religijnego wpływu matki i poważnej rozwagi ojca, odbił się w całym życiu Pestalozzowego, we wszystkich jego dążnościach, w systemacie wychowania i w administracji zakładu naukowego, którym w Yverdun'ie kiero-

wał. Był on prawdziwym Emilem Rousseau'a z tą różnicą, że mentora zastąpiła mu natura zewnętrzna, społeczeństwo i własne usposobienie wewnętrzne. Hołdując duchowi swojej epoki, Pestalozzi do żadnego wyznania nie należał, był on, jak to mówią, wyznawcą religii naturalnej; rozumem doszedł do tego, że świat nie mógł się stać sam przez się, lecz nie wierzył ani w Objawienie, ani nawet w Bóstwo Jezusa Chrystusa. Był bezwyznaniowcem w całym znaczeniu tego wyrazu. Jak każdy bezwyznaniowiec, miał on jednak swoją modłę wiary, przy której utworzeniu wychodził z tej zasady, że skoro ludy dzikie i barbarzyńskie mogły sobie tworzyć systemata religijne, skoro Budda, Mahomet, mogli być twórcami wiary, czemużby on miał być niższy od nich? Wierzył więc przede wszystkim w samego siebie, w swój rozum, w swoją powagę, w upośledzenie zaś umysłowe i upadek moralny tych wszystkich, którzy coś wyższego od siebie uznają, którzy dążą do ideału niedoścignętego, jaki widzą w życiu i czynach Zbawiciela świata. Gdyby to owi bezwyznaniowcy, w rodzaju Pestalozzowego, zachowywali dla siebie swoje zasady, nie zważalibyśmy może na nich, — ale na nieszczęście, dziwną mają oni skłonność do szerzenia swego sposobu widzenia rzeczy, czem zarażają całe masy, a zamiast budować, niszczą. Pestalozzi, jeden z twórców religii naturalnej, wychował podług zasad Rousseau'a, własnego syna, dał mu się rozwijać w kierunku takim, jaki mu własna natura dziecka wskazała, nie uczył go zasad wiary, które zwał brednią wymyśloną przez księży, a które my religią i moralnością nazywamy, czekał aż syn przyjdzie sam do poznania najwyższej Istoty, której bytu Pestalozzi nie zaprzeczał — i sam sobie swoją wiarę oberze — lecz cóż się okazało? Syn męźniał, zaznajamiał się z rzeczami, dającymi się ująć wzrokiem i słuchem, ale ani słowa o nauce moralnej, ani słowa o nauce Chrystusa. Dorósł wreszcie i ożenił się. Nie-

skrepowane względami religijnemi namiętności i nałogi przyprawiły go w końcu o śmierć przedwczesną, a do tego nagłą. Umarł w wieku młodym, pozostawiając swym rodzicom, z czworga dzieci, jedyne przy życiu pozostałego synka — sierotę. Dziadek wziął małego Gottlieba do siebie, zlał na niego wszystkie starania, — już nieco uleczony ze swych pomysłów wychowawczych, — ale wnuczek był prawie idyotą. Nauka się w nim nie przyjęła, oddał go więc do garbarza; ale i tu młody terminator nie mógł usiedzieć na miejscu; puścił się na wędrowną czeladniczą po Europie. Smutne okoliczności i upadek instytutu w Yverdon'ie, którym Pestalozzi kierował, zmusiły go przywołać napowrót do siebie Gottlieba. Ożenił go z katoliczką i porucił mu w owym zakładzie wykład nauki o rzeczach, z warunkiem, żeby na jotę nie odstępował od wydanej przez jednego ze swych współpracowników *Książki dla matek* (Buch der Mütter). Gorzko żałował Pestalozzi swego wyboru: nie-subordynacya uczni rosła, a zakład zamiast się rozwijać, upadał; ratując się, przyjął starzec do swego zakładu w Yverdon *gorliwego katolika*, nauczyciela Szmida, i ten starał się zaprowadzić ład w instytucie, ale już było zapóźno.

Nauczyciele zakładu, jak ich mistrz, bezwyznaniowcy, niezadowoleni z nowo zaprowadzonego rygoru szkolnego i kierunku religijnego, nadanego szkole, wszyscy, w liczbie szesnastu, udali się do Pestalozzi'ego, żądając oddalenia Szmida; Pestalozzi zawołał: „Raczej was wszystkich się pozbędę, niż się z Szmidem rozstanę“. — Wszyscy szesnastu zakład opuścili, Szmid jednak nie potrafił odnowić instytutu, ani dobrać odpowiednich nauczycieli.

Wkrótce potem pastor Niederer, który miał dzieci protestanckie Ywerdunskiej szkoły przygotować do konfirmacyi, wobec wszystkich uczniów i znaczniejszych

członków gminy, zamiast budującego kazania, wygłosił filipikę Pestalozzi'emu; wówczas porwał się starzec z miejsca: „Nie potom cię tu wezwał — rzekł — abyś mię strofował, ale żebyś dzieci nauczał“. Powstała hałaśliwa burza; pastor ustąpił z zakładu, ale i Pestalozzi złamany tylu ciosami, rzekł się prowadzenia instytutu, i w kilka lat potem, w r. 1826, żywot zakończył w 81-ym roku życia. I zapomniano o nim w Europie; rok 1846, jako setna rocznica jego urodzin przypomniiał go pedagogom; zaczęto się rozczytywać w jego dziełach i znaleziono w nich wiele myśli cennych, a chociaż nikt metody jego ściśle się nie trzyma, każdy jednak przyznaje Pestalozzi'emu tytuł ojca nowszej pedagogiki, on bowiem pierwszy ujął ją w systematyczną całość.

Pestalozzi piękne wygłaszał teorye wychowawcze, jednak ani własnych dzieci wychować nie potrafił, ani nawet pokierować zakładem — co jasno dowodzi, jak dalece teorya często rozmija się z praktyką i jak w wychowaniu jedna szczypta wiary i łaski Bożej — prosta znajomość katechizmu — więcej znaczą, aniżeli najsubtelniejsze mędrkowanie.

Czy skutki odmawiania religii przeważnego wpływu na wychowanie dzieci, tylko na synu Pestalozzi'ego stały się widoczne? czy tą bezreligijnością zarażone społeczeństwo nie wydaje i dotąd swoich owoców? czy którykolwiek z morderców, podpalaczy, rozpustników odebrał religijno-moralne wychowanie? Nie mogę odstąpić od tego tematu, żeby nie przytoczyć ostatniego pisma jednego z bezwyznaniowców, zapisanego w jego pamiętniku, w chwili ukrócenia swego życia zaprawnym trucizną napojem. Młodzieniec ten, wychowany w domu rodziców zamożnych, ale przejętych zasadami Rousseau'a, pod opieką guwernerów cudzoziemców, puścił się w podróż po Europie i zbytkownem życiem przyprowadził do nędzy rodziców, a ojca w grób wtrącił. Upamiętał się wpraw-

dzie, ale gdy już było zapóźno. Warto, aby rodzice pamiętnik jego odczytali; przytaczam tylko ustęp z ostatnich chwil jego życia, może kto z tego wyciągnie jaką naukę i przestrozę dla innych.

Warszawa, dnia 1 Grudnia 1872 r.

„Tak, wszystko skończone i po raz ostatni biorę pióro do ręki. Wszystkie starania moje pozostały bez skutku. Gdzien się tylko zalecał na przewodnika młodzieży, wyszydzono mię; znany jestem w całej Warszawie jako złoty młodzieniec, co życie pojmuje różowo, ale bez pracy, co nad sumienie, uczciwość, przyzwoitość — stawia wyrachowany egoizm, uciechę, użycie. Mnie mieliby poruczyć dziecię, młodzieńca! Cieszyłby się moralista, gdybym mu powiedział, że mię wszędzie odrzucono, bo widziałby w tem dowód uczciwości w społeczeństwie naszym. Przez całe trzy miesiące pracowałem u mularza, a byłem tak pilny, jak dawny niewolnik z plantacyi; nosiłem glinę i wapno w naczyniu na głowie, dźwigałem cegłę, ale nakoniec z sił nienawykłych do pracy, opadłem; czarny chleb był mi niestrawnym, zwykły napój wyrobnika, wódka, spaliła mi wnętrzości, zaziębienie spowodowało chorobę płucną; poszedłem do szpitala, gdzie przeleżałem dwa miesiące w gorączce trawiącej; zbrzydło mi to życie; wyszedłem, skłamałem, że wracam do rodziny, wyszedłem i już tam więcej nie wrócę. Jest to ostatni dzień mojego życia, po raz ostatni myśli swoje zapisuję w dzienniczku, — może je kto przeczyta, może się czego nauczy. Tylko niech mię nikt nie żałuje. Jam był naroślą na zdrowym organizmie ludzkości, pasożytem, co zgniliznę zaszczepiał, do czego się tylko dotknął. Żadna myśl wielka, coby światu przyświecać miała, nigdy w głowie mej się nie poczęła; żaden czyn zacny nie wykazał we mnie godności człowieka. Jam wyraz ujemnej strony rodu ludzkiego. A jednak czuję, że byłbym inny,

gdyby mną pokierować umiano. Ojczel! który już w mogile spoczywasz, matko! co już nad grobem stoisz, przebaczenie mi ten wyrzut, jaki wam czynię w ostatniej chwili. Z próżnią przyszło serce moje na świat, z próżnią odchodzi; wyście jej wypełnić nie umieli. Rozum mój był jasny, rozwój jego szybki, wyście nim pokierować nie umieli. O, gdybyście mię przynajmniej modlić się nauczyli! jakżeby dla mnie słodką była modlitwa w tej chwili! Gdybyście wleli wiarę w serce moje, jakżebym spokojnie teraz umierał, bo miałbym miłość i miałbym nadzieję! Teraz przedemną — nicosć czy wieczność? proch ziemi i ducha rozwianie, czy odrodzenie i zmartwychwstanie? Zmartwychwstanie... do czego? do wiecznej światłości, czy do wiekuistego potępienia? Ja nie wiem i w nie nie wierzę. A jednak czuję dreszcze... z choroby, czy z obawy przyszłości... Chodźcie do mnie, przyjaciele, rozwiejcie troski, a powiedzcie w swoim rozumie, co mię spotka za chwilę? Szydziliście, gdy czasem promyk wiary budził się we mnie; postawcie więc co na jej miejscu. Na początku było nic, i na końcu będzie nic; to wasza dewiza. A jakże z tego *nic* powstało *coś*, a to *coś* tak mądre, tak wielkie, tak harmonijne? Więc to *nic* musiało być *czemś*, a *czemś* większem niż wielkość świata, a *czemś* mędrszem, niż mądrość ludzka, a *czemś* harmonijniejszem niż harmonija stworzeń, więc musiało być *czemś* w sobie jednym, niepodzielnem, najmędrszem i najdoskonalszem. Cześć tobie, ktokolwiek jesteś o źródło żywota! wszystko co jest, od ciebie wyszło, do ciebie należy, i do ciebie wrócić musi koniecznie. I ja wrócę do ciebie, ale czy na twe łono? Ómi mi się w oczach... serce milknie... duch ustaje... Ojczel nasz, któryś jest w niebiesie...<sup>4</sup>

Ostatniego słowa już nie dopisał biedny młodzieniec.

Wracam do Pestalozzi'ego, by się zastanowić, w czym leży jego zasługa? Urodzony w ubogim podówczas Zu-

rychu, bez wyższego wykształcenia, obcując tylko z ludem, wolnym wprawdzie, ale niewykształconym, z kądże mógł nabrać Pestalozzi wiadomości o stanie społeczeństwa ludzkiego. o historii wychowania, o postępkach, jakie ludzkość uczyniła na drodze do rozwoju swego ducha? Nie wiedział on, jak mówi Chritmann, nic z tego co się u niego za plecami działo. Szwajcarya była wolną, ale wolność nie przeszkadzała ludowi szwajcarskiemu być jednym z najciemniejszych ludów w Europie. Pograżony w troskach o byt materialny, lud szwajcarski nie miał nietylko pojęcia o wyższych celach ludzkości, ale nie wiedział nawet o istnieniu praw moralnych i nie znał własnych swoich urządzeń politycznych.

Dokładny obrazek stanu oświaty w tym kraju z czasów Pestalozzi'ego, podaje pastor, przeznaczony na moralnego przewodnika jednej z gmin pod Zurychem:

„Objąwszy swój urząd, — mówi on, obejrzałem się po gminie i z egzaminu w szkółce ludowej i z rozmowy z rodzicami przekonałem się, że o dziesięciu przykazaniach Bożych nikt w gminie nie miał żadnego pojęcia. Zaprowadziłem więc w szkole wykład katechizmu i zacząłem go właśnie od dziesięciorga przykazania. Za to powołany zostałem przed zebranie gminy, gdzie mię obwiniono o wprowadzanie jakichś nieznanych nowości. Kazano mi wypowiedzieć przykazania; lecz kiedym tylko wymówił: „Jam jest Pan Bóg Twój, którym Cię wywiódł z ziemi Egipskiej, z domu niewoli...” Co to za mowa? — wołali, do nas stosować się ona nie może; myśmy nigdy w ziemi Egipskiej nie byli i żadnej niewoli nigdy nie znosili! A gdy doszło do piątego przykazania: Nie zabijaj — hałas urosł do najwyższego stopnia. — „Jak to? krzyczano, — chcesz nas pozbawić jedyne go środka utrzymania, jaki mamy, od zabijania baranów i wołów i sprzedawania ich mięsa na rynku w mieście?” Zapadł wyrok, zabraniający uczenia dziesięciorga przykazań: nie pod-

pisali go tylko organista i były nauczyciel elementarny“.

Sród takiego ludu żył Pestalozzi; obeznany z językiem francuzkim, jako powszechnym w niektórych kantonach w Szwajcaryi, przeczytał dzieła Rousseau'a, i na tej podstawie, nie wyzierając ani na jeden krok poza granicę swojej ojczyzny, zaczął napadać na całe społeczeństwo ludzkie, szczególnie zaś na ciemnotę swoich współobywateli. Zjadliwym sarkazmem dotknął wszystkich klas ludu; najboleńsze ciosy padły na duchowieństwo tego wyznania, do którego sam z metryki urodzenia należał.

Pestalozzi chciał podnieść lud ciemny, chciał go nauczyć praw człowieka, chciał go odrodzić; zamierzał zaś osiągnąć ten cel przez wychowanie. Zalety Pestalozzi'ego — to nieograniczona miłość kraju i ludu, to czynne współczucie ku dzieciom ubogim, to nakoniec dążenie do stworzenia nowej metody kształcenia. Nieraz zbierał opuszczone lub ubogie dziatki, aby je uczyć, później założył dla nich szkołę, w której sam jeden był nauczycielem, a bywało dzieci po sto i więcej. Dla nich wymyślał różne ułatwiające sposoby nauki i pierwszy zaprowadził metodę wzajemnego nauczania, rozwiniętą później przez Lankastra. Od takiej szkółki zaczął swój zawód pedagogiczny, na takiej też i zamknął go, gdy po ustąpieniu z Yverdun'u przeniósł się do Plindy, a ztamtąd do Neuhof'u, by tam znowu zająć się ubogimi, a ukochanymi przez siebie dziatkami.

Metoda Pestalozzi'ego polega głównie na poglądzie. Zdawało mu się, że wszystko co jest w naturze, do trójki sprowadzone być może: do dźwięku, kształtu i liczby; dźwięk — to ton, wyraz — mowa; kształt — to miara, rysunek, pismo; liczba — to rachunek. Widocznie więc Pestalozzi nie uznawał za przedmioty podległe poglądowi dziecka, tego, co nie było ani dźwiękiem, ani kształtem, ani liczbą;

więc zapach, słodycz, gorycz, ból, — nie wchodziły w zakres jego poglądu. Oko i ucho — to jedyne organa zmysłów, przez które, podług Pestalozzi'ego, świat zewnętrzny wchodzi do uznania dziecięcia i obleka się w słowo. Mowa jest ciałem pojęcia; rozwinięcie mowy zależne jest od rozwinięcia rozumu; kształcenie zmysłów jest konieczne, jako pośredników między światem zewnętrznym i światem naszego ducha. Trzymając się dwóch zasad, szeroko później rozwiniętych przez jego czciciela Diesterreg'a, a mianowicie, że naukę o rzeczach należy zaczynać od przedmiotów dziecka najbliższych, i że niewolno przechodzić do innego przedmiotu, dopóki poprzedni w zupełności wyczerpany nie zostanie, Pestalozzi wybrał dla pierwszej własne ciało dziecięcia i przedmioty znajdujące się w klasie: stoły, ławki, ściany, okna, obicia i t. p. Same ćwiczenia z własnym ciałem, zajmują w książce, o której mówiliśmy, „Das Buch der Mütter“, dwadzieścia kilka stronnic i obejmują 6½ rozdziałów; druga część 7 rozdz., 3 zaś nowe rozdziały miały wyjść później. Ćwiczenia te są tak nudne i nużące, że raczej *stępić umysł*, niż go zaostrzyć są w stanie. — „Widzicie, co to jest? — mówi nauczyciel, wskazując dzieciom na swój policzek, i sam odpowiada: To policzek. Wszystkie dzieci powtarzają trzy razy: Policzek, policzek, policzek. A to co? i to policzek, i wszystkie dzieci znowu trzykrotnie powtarzają — policzek. Dalej idą pytania, jaki jest kształt policzka, ile jest policzków, który policzek prawy, który lewy, co policzek prawy ma przy sobie z prawej strony, co z lewej i t. d. Każdą odpowiedź dzieci powtarzają trzy razy. W parę tygodni tej nudnej nauki, dzieci przechodzą do sprzętów, do części domu, potem wychodzą na dziedziniec, i tu się uczą nazywać wszystkie przedmioty, które dwoma zmysłami, t. j. wzrokiem lub słuchem, zająć mogą. W zasadzie więc, jest to krok jeden dalej od Komeniusza, ale zastosowany naprzód

niezgodnie z naturą dziecka, bo je nuży, powtórę zatrzymuje się nad przedmiotami, które umysłu jego nie rozwijają wcale. Tem mniej jest ona do pochwalenia u Pestalozzi'ego, że on nie uczył wcale, — jak ci co dalej od niego poszli, — ani użytków okazywanego przedmiotu, ani historii, o ile ta do stopnia rozwoju umysłowego dzieci zastosowaną być może. Systematyczności w przechodzeniu od przedmiotu do przedmiotu Pestalozzi trzymał się tak *ściśle*, że nauczycielom w zakładzie jego pracującym niewolno było ani *na jotę* od metody w książce wyłożonej odstąpić.

Gdzież to ta „Anlage“, to usposobienie wewnętrzne dziecka, o którym Pestalozzi tak szeroko się rozpisuje i którego zbadanie za najważniejszy warunek nauczycielowi kładzie? Zakaz odstępowania od książki zabijał też wszelką samodzielność w nauczycielach. Już współcześni zarzucali Pestalozzi'emu, że jego nauczanie jest czysto mechaniczne, że nauczyciele są tylko machinami, nakręcanymi kluczem Pestalozzi'ego. Gdyby metoda pogłębiona pozostała na stopniu i w ciasnych ramach, w jakich ją postawił Pestalozzi, zwątpićby o jej użyteczności należało; a tymczasem rzeczą jest dowiedzioną i długim doświadczeniem popartą, że nawet przy wykładzie nauki religii jest ona bardzo przydatną, przy innych naukach pożyteczną, przy wykładzie nauk przyrodniczych i doświadczalnych — niezbędną, przy kształceniu elementarnem — konieczną. Tylko w nauczaniu początkowem unikać należy wyczerpywania przedmiotu i systematyczności. Otaczającemi nas przedmiotami, podlegającemi naszym zmysłom, są nietylko krzesła, stoły, ławki, ręce i nogi, ale i powietrze, i niebo ze słońcem, księżycem, gwiazdami, i wiatry i mrozy, i deszcze, drzewa i krzewy, zwierzęta i ptaki, i wyraz twarzy z odbiciem na niej i smutku, i gniewu, i radości i t. p.; kształcenie elementarne winno więc być więcej encyklopedyczne, — naby-

cie zaś systematycznych wiadomości do wieku późniejszego należy.

Wiadomo, że suma pojęć, zdobytych do lat 7-miu życia jest równą sumie tych, jakie człowiek do końca życia swego zdobyć jest w stanie. Niemcy rozwinęli metodę pogładową, ale Francuzi nadali jej powab przez pogadanki z dziećmi, co widzimy w dziele pani Pape-Carpentier, „Histoire et science des choses“ i w dziele Legouvé'go „Les pères et les enfants“. (To ostatnie znajduje się w polskiem tłumaczeniu). Zauważyć tu jednak należy, że zajmowanie dzieci błahostkami, z którymi są one obeznane i bez nauki szkolnej, nudzi je i od dalszej instrukcyi odstręcza. Przekonać się o tem mógł każdy, kto choć godzinę był obecny, w „Ecole française“ w gmachu wystawy paryzkiej, jednemu wykładowi pogładowemu — miałam tę cierpliwość przez całą godzinę. Dzieci siedzą na ławeczkach; nauczycielka bierze szklankę i pyta dzieci: „No, dziatki, powiedzcie mi, co ja trzymam w ręku?“ Dzieci spoglądają jedne na drugie, uśmiechają się i milczą. Gdy po kilkakrotnych zapytaniach dzieci nie odpowiadają, a milczenie właśnie należy do metody Pestalozzi'ego, wtedy nauczycielka mówi sama: To szklanka! — powtórzcie dzieci: to szklanka! — a chociaż podług Pestalozzi'ego dzieci winny powtórzyć trzykrotnie, tu jednakże zacięcie milczały. Wtedy nauczycielka wywołuje po imieniu: Marie, powiedz: to szklanka, i Marie, cedząc przez zęby, wymawia z cicha: szklanka. Dalej następują pytania: czy szklanka próżna, czy pełna? nauczycielka przewraca ją do góry, a gdy dzieci milczą, mówi sama, że próżna; dalej, z czego szklanka? do czego szklanka służy i tym podobne rzeczy, dla dowiedzenia się których szkoda i godziny czasu, tem bardziej że z ciągłego posługiwania się szklanką, dzieci doskonale już przedtem o wszystkim wiedziały.

Cóż to za strata czasu dla nauczycielki, co za ogłupienie dla dzieci!

O tyle więc dobrą i użyteczną jest metoda pogładowa, o ile ułatwia dziecku nabycie wiadomości bez obarczenia jego pamięci a umęczenia umysłu. Każdy rozumie, że zasada metody pogładowej jest o wiele łatwiejszą od zasady metody abstrakcyjnej. Przy abstrakcyi jeden tylko umysł pracuje, a pamięć przyjmuje cały ciężar utrwalenia wiedzy, a na domiar w tej pracy zmysły niezmiernie przeszkadzają, gdyż ciągnąc swym ciężarem ku temu, co je otacza i uderza, muszą wciąż być poskramiane. W metodzie pogładowej przeciwnie — nauczyciel wykładając o czemkolwiek bądź, sprzęga niejako wszystkie zmysły dziecka, aby mu dopomogły do objęcia i zapamiętania przedmiotu, o którym mowa w nauce. Oczy widzą kształt i barwę — które je zajmują — słuch cieszy się dźwiękiem, palce dotykają, powonienie i smak również służą w niejednym wypadku.

Wszystkie więc zmysły razem wzięte składają się na to, aby w wyobraźni i pamięci dziecka dany obraz utrwalić.

Metoda pogładowa o tyle jednak dobrą być może, o ile jest użyta i zastosowana inteligentnie, nie zaś rutynicznie, o ile dopomaga a nie obarcza czczemi formułkami, o ile rozszerza pogląd — a nie zacieśnia \*).

---

\*) Nie będę wszakże nużyła czytelników szczegółowemi opisami metody; ciekawa być może ona tylko dla specjalistów. W ogólności, zwiedzając różne wystawy i zakłady specjalne w Paryżu, i to nie po raz pierwszy, przyszedł do przekonania, że Francuzi wogóle niewiele wiedzą z tego, co się dzieje w świecie, i uważają za nowość to, co zagranicą ich kraju od dawna jest znane i praktykowane. Paryżki instytut głuchoniemych np. jest jednym z najniższych w Europie; paryżki instytut ociemniałych jest na większą skalę domem żebraczym; paryżki zakład sierot, założony i utrzy-

Wogóle mówiąc, metoda okazowa od czasów Pestalozzi'ego zrobiła wielkie postępy; rozumiemy przez nią stwierdzanie okazami i doświadczeniami wszelkich opisów teorii — czy ze świata nas otaczającego, czy z nauk przyrodniczych, czy z fizyki i chemii, rozumiemy przez nią utrwalanie w pamięci i ułatwianie nabywania wiadomości z takich nauk, jak historia, geografia, religia; rozumiemy przez nią sposoby ułatwiające naukę rachunków i geometrii, a do tego wszystkiego metoda okazowa znajduje pole do zastosowania przy nauce szkolnej.

Lecz dla tego, żeby ją przy nauczaniu z korzyścią zastosować było można, potrzeba posiadać zbiory czyli muzea pedagogiczne. Wszakże i w wychowaniu domowym, przedszkolnem będzie ona nader pożyteczną, z warunkiem tylko, aby była nie nauką, ale zabawką.

---

inywany przez ks. Roussel'a jest pod względem atmosfery w salach pracy czemś tak obrzydliwym, że nie równego nie spotykałam w żadnym zakładzie w Europie. Jeżeli więc Paryż pod bardzo wielu względami jest do naśladowania, to już przynajmniej nie w edukacji elementarnej.



## O METODZIE FRÖBLA.

Najsprzeczniejsze dają się słyszeć zdania o metodzie poglądowej Fröbela i o jego dziecięcych ogródkach. Jedni uważają Fröbela za Alfę i Omegę w pedagogice i ufają bezgranicznie każdemu zakładowi, prowadzonemu pod godłem frankfurckiego mistrza, inni przeciwnie twierdzą, że freblowski system nic nie wart, a są nawet tacy, którzy dowodzą, że ta metoda przedszkolnego kształcenia jest wprost zabójczą, niemoralną, niereligijną nawet, — jest źródłem wszelkiego zła dla dzieci.

Gdzież słuszność? gdzie prawda? Sądzę że i tu, jak wszędzie, prawda znajduje się pośrodku.

Fröbel niezaprzeczenie wielką oddał przysługę światu dziecięcemu, a zatem i rodzicom, tem, że zwrócił uwagę wychowawców na najbardziej do tej pory zaniedbany okres w wychowaniu, i że doń zastosował metodę poglądową rozwijania, której najpierwszym inicjatorem był lord Bakon z Verulam, a po nim Kommeniusz i Pestalozzi.

Fröbel i w tem położył niemałą zasługę, że luźne niejako i niebardzo praktyczne zasady swych poprzedników ujął w logiczną i praktyczną formę, i przystosował

je do potrzeb wieku dziecięcego. Prawdziwie zainteresował się dzieckiem — i zanim zabrał się do utworzenia metody kształcenia dziecka, starał się je poznać dokładnie — poznać jego uzdolnienie i skłonności, aby je wyzyskać, jego upodobania, aby im zadosyć uczynić, jego przywary, aby je poprawić, wreszcie całą naturę, aby nią pokierować. W tym celu obserwował dzieci, obserwował je na każdym kroku: i w ochronkach, i w szkołkach, i przy zabawie w ogrodach publicznych, a także i pod rodzinną strzechą. Lubił otaczać się dziećmi, z nimi rozmawiać, choć prawdę mówiąc, nie cieszył się ich zbytnią sympatyą.

Jako pedagog i reformator, Fröbel okazał niezaprzeczenie wiele dobrej woli. Sam jednak nie posiadając stałej zasady wiary, a objawszy po swoich poprzednikach skrzywioną moralną spuściznę, utworzyć nie był w stanie zdrowej metody wychowawczej. Rzucił dużo światła na kwestyę zajmowania się dziećmi, podał niektóre dobre rady, praktyczne wskazówki, wszelako dobrej całości nie stworzył; ktoby zaś chciał ściśle się trzymać jego metody, ten w rzeczy samej raczej szkodę niż korzyść przyniósłby swym wychowañcom.

Przejęty poglądami wolnomyślnych filozofów XVIII wieku, — a mianowicie Rousseau'a, tego czciciela natury, — Fröbel był tego zdania, że wszelkie nasze krzywizny i spaczenia społeczne płyną stąd, żeśmy się zbyttnio oddalili od łona matki natury, a tem samem wpadli w sztuczność, konwencyonalność, wymuszoność; uważa zatem, że tylko szczerym zwrotem do natury, możemy skutecznie zaradzić potrzebom czasu.

Wyszliśmy z ziemi, ziemia nas zrodziła, wykarmiła, ziemia więc posiada moc odrodzenia nas w obecnem naszym skarłowaceniu: w jej łonie, w jej kształtach i tworach szukać zatem powinniśmy prawdziwej mądrości,

trwałych zasad, prawdziwego szczęścia, wreszcie, skutecznego lekarstwa na wszystkie nasze niemoce.

A nadewszystko — zdaniem Fröbela — wszelkiego dobra dostarcza nam kula ziemską; jej *kulistość* jest zasadą, źródłem i symbolem istotnej mądrości; kryształ zawarty w jej wnętrzu uczy nas kształtów geometrycznych, jej twory nas żywią; globus zatem powinien być najpierwszym pierwowzorem i mistrzem w kształceniu umysłowym dziecka.

Z tej myśli Fröbel wysnuł cały swój system darów dla dzieci. Najpierwszym jego darem jest piłka, której kulistość wyobraża kształt „matki ziemi”. Wymaga, aby rodzice zawieszali ją nad kolebką, aby niemowlęta, patrząc na nią bezwiednie, wchłaniały całą mądrość zawartą w jej kształcie. Pedagog frankfurcki przypisuje niezwykłą doniosłość oswojeniu dziecka z kształtem kulistym.

Drugim darem Fröbela jest piłka *kolorowa*; dziecko, bawiąc się nią, łączy już pojęcie *barwy* i *kształtu*. Gdy dziecko podrosta, daje mu się w rękę kulę drewnianą, która przy rzuceniu wydaje *odgłos*. Tę nową cechę dziecko zdaje się oceniać, bo gdy się kulą zabawia, czyni to w taki sposób, aby tę cechę uwydatnić, wywołać i usłyszeć ten odgłos.

Za kulą idzie walec, który również się toczy, ale może być także postawiony. Po nim następuje sześcian, złożony z samych prostych linii, który już się nie toczy, da się tylko postawić i posunąć: i oto umysł dziecięcia, stopniowo i w logicznym następstwie wzbogaca się nowym pojęciem.

W taki to sposób przechodzi się od rzeczy nieznanych do znanych, a dla dziecka przystępnych; a co najważniejsze, ułatwia się dziecku samodzielne wytwarzanie sobie pojęć.

Na podstawie tych różnych zasadniczych darów, uczy następnie Fröbel rozmaitych robótek: niszania gro-

chów na patyczki, nawlekania perełek na druciki, oplatania patyczków paskami z papieru, z czego wytwarzają się przedmioty użyteczne: doniczki do kwiatów, pudełka, zabawki, mebelki i t. p. Z wyszywanek i przeplatanek dziecko sporządza ramki do obrazów, biuwary, patarafki i t. d.

Bawiąc się, dziecko zaznajamia się niepostrzeżenie z logicznym i estetycznym kształtem, z gustownem zabarwieniem, delikatnem cieniowaniem; kombinując zaś samodzielnie linije, płaszczyzny lub bryły, tworzy nowe kształty, któremi niemało się cieszy, jako własnym pomysłem; wreszcie odtwarzając przedmioty widziane, uczy się patrzeć, obserwować, porównywać, naśladować, tworzyć, — tu dla niego początek nauki rysunku, haftu, szycia, modelowania, tworzenia.

Stopniowanie robótek i zajęć jest wielce logiczne. Doskonale Fröbel podpatrzył i zużytkował pociąg dziecka do gniecenia, lepienia, zaginania, darcia — i tu wielką położył zasługę, że zajmując dziecko użytecznie, nie pozwolił mu na niszczyicielstwo bezmyślne, jako to: na zaginanie rogów u kartek, darcie i rozrzucanie papierków, na gniecenie i rzucanie kulek chleba i t. p. Pozwolił dziecku zaginać, drzeć, gnieść, ale pod kierunkiem starszej osoby; z myślą, symetrycznie, w celu wytworzenia przedmiotów użytecznych.

Inną jeszcze korzyść przedstawia metoda Fröbla: uczy dzieci zabawiać się zabawkami możliwie najtańszymi, nie psującemi się, w zabawie utworzonymi przez nie same. — Są one rzeczywiście praktyczniejsze od tych kosztownych lalek, ruchomych i mówiących, które o tyle tylko dziecko zajmują, o ile mu wolno je zepsuć, aby się przekonać „co w środku?”

Tu niema już tej pokusy, ponieważ dziecko utworzywszy samo zabawkę, wie doskonale z czego się składa i szanuje ją, albowiem wie, ile go kosztowało pracy

złożenie takich saneczek z patyczków i grochów, takiej popielniczki, kanapki i t. p. Nieoszacowane są też owe mebelki z drutu dla lalek, które dzieci 6-cio i 7-mio-letnie z pomocą bony utworzyć mogą, bo cóż to za uciecha, gdy zdołały umeblować cały pokój lalczyzny!

Wielki nacisk kładzie Fröbel na pogadanki prowadzone z dziećmi, zawsze na podstawie okazów, a również wielką przypisuje doniosłość śpiewom i grom, którymi inne zajęcia przeplatać każe. Zwraca tu specjalną uwagę wychowawców, aby w całym toku zajęć i gier z dziećmi, trzymali się, o ile możności, jednej myśli, jednego wątku i nie rozpraszały umysłu dziecinnego na wiele przedmiotów, ale owszem, aby jeden przedmiot obrawszy, wyczerpali go w logicznym ciągu. I tak np. jeśli pogadanka była o rolnikach, którzy młóca i o stodole — dziecko powinno następnie ułożyć na stole kratkowanym, za pomocą pręcików, kontur stodoly, wyobrażenie cepów, którymi się młóci, a następnie w zabawie śpiewem i ruchem naśladować rolnika, młócarza i t. p. Nie konieczne to dobre — krępując bowiem dziecko jednostajnością przedmiotu, łatwo je znuży, przewodnicząca zaś w zabawie utracą wszelką swobodę i prostotę postępowania, popada w pedanterię i nabiera nieznośnej dla dziecka sztywności. Co za zawrót głowy dla biednej nauczycielki, widzieć się zmuszoną na każdy dzień kombinować nowy przedmiot do obrobienia w pogadankach, zabawach i zajęciach! Intencya Fröbla była rozumna: chciał wykształcić w dziecku legiczną konsekwencję w myślach i czynach, a tymczasem doszedł do rezultatu, którego najmniej się spodziewał, bo uczynił z dziecka machinę bez inicjatywy, wymagającą dla poruszania się impulsu z zewnątrz.

Dziecku potrzeba raczej swobody, niż skrupowania w jego zabawach i zajęciach, umysł bowiem dziecka nie jest zdolny trwać długo przy jednym przedmiocie — je-

mu właściwie bardziej potrzeba różnorodności, niż systematu, a tę różnorodność samo znajdzie, bylebyśmy go w tem nie krępowali. Jeśliby związek myśli, między jednym zajęciem a drugim, sam z siebie wypływał — nie lepszego, — nie przeciągajmy jednak struny, abyśmy tem swobody myśli dziecka nie naruszyli. Bądźmy przekonani, że im więcej zostawimy dziecku swobody *tam, gdzie mu się ta swoboda należy*, tem skuteczniej mu dopomożemy do wyrobienia w sobie samodzielności; przeciwnie zaś, dając mu zawsze wszystko z góry przygotowane, do prawdziwego niedołęstwa doprowadzić je możemy.

Krępujmy dziecko wtedy tylko, gdy chodzi o *zasadę* posłuszeństwa woli starszych, lub gdy dziecko w zabawie mogłoby sobie czem *zaszkodzić* — po za tem zostawmy je swobodnem.

Zapewne sam Fröbel, gdyby się wychowywał w ogródku dziecięcym według własnej metody, nie byłby doszedł do oryginalności pomysłów, którymi świat pedagogiczny poruszył, lecz byłby został tuzinkowym człowiekiem, jakich wielu.

Poznaliśmy w streszczeniu system Fröbela w jego zasadzie i darach, poznaliśmy co w nich dobrego, użytecznego, a co śmiesznego i niebezpiecznego. Dary — znakomite, sposób ich użycia nie zawsze korzystny dla dziecka — a zasada darów — po prostu śmieszna.

Zastanówmy się teraz nad kierunkiem wychowawczym pedagoga frankfurckiego. Tu pokazuje się on wiernym uczniem Bakona, Rousseau'a i Pestalozziego, adeptem szkoły empirycznej. Uczy na podstawie obserwacji i doświadczenia, przeto wymaga od wychowawców dużo okazów, o ile można w naturze przedstawionych, a jeśli już nie w naturze, to w każdym razie plastycznych, wypchanych, naśladowanych z natury. Przy ogródkach tworzy całe muzea okazów, na których uczy dziecko obserwować, rozróżniać, porównywać — przyczem upoważnia

je niejako do tego, aby wierzyło wtenczas tylko, gdy się samo przekona, gdy zobaczy, dotknie się... aby posłuchało, gdy zrozumie, dlaczego mu co każą i t. p. Niezaprzeczenie jest to szkoła obserwacyi, ale szkoła przesiąknięta duchem racjonalizmu, znosząca zasadę wiary i posłuszeństwa, natomiast upoważniająca do krytycyzmu, mędrkowania, samowoli, opierania się na własnym zdaniu i sądzie. Znakomita to uprawa gruntu pod zasiew niewiary, socjalizmu i innych fatalnych czynników.

Otaczanie dziecka okazami plastycznymi inne jeszcze przedstawia niebezpieczeństwo: kształci w dziecku zmysłowość — potrzebę ciągłych wrażeń zmysłowych: wzroku, słuchu, dotyku, smaku i powonienia, a pomija najstaranniej pojęcia czysto duchowe. Dziecko, tak jednostronnie rozwijane, poczyną pojmować to tylko, co materyjalne, a wszystko inne odrzuca. I czyż potrafi się ono następnie nagiąć do wiary, pobożności, posłuszeństwa, do abstrakcyjnych, nieuchwytnych zmysłowi problemów?

Oprócz moralnych i religijnych, inne jeszcze niebezpieczeństwo przedstawia system Fröbela. Ściśle zastosowany, wysila nieprawidłowo umysł dziecka. Podobnie jak roślinka, sztucznie w cieplarni pędzona, prędko marnieje, bo przedwcześnie kwiat wydała: zarówno dziecko, które w 4-tym i 5-tym roku życia okazuje niezwykle rozwinięcie, dochodząc do 10—12 roku tępieje, jest niepojętne, zaspane, zmęczone, a niestety często już zepsute.

Gdy w pewnej ochronce Szarytek w Paryżu, podziwiając rozum czteroletnich malców, zawołałam w zdumieniu:

— „Jakież to będą mądre dzieci, gdy zaczną chodzić do szkół!“

— „To będą idyoci“ — poprawiła spokojnie Szarytka.

— „Czy tak? zawołałam w zdumieniu. A więc dlaczego tak je obecnie starannie rozwijacie?”

— „Bo taki program“ odpowiedziała Siostra z rezygnacją.

W innych miejscowościach — w Niemczech, w Austrii, słyszałam długie skargi nauczycielek i nauczycieli szkół średnich, na elewów wyszłych z ogródków fröblowskich. Zamiast błogosławić te ogródki za to, że im dostarczają materiału rozwiniętego i wyrobionego, nie mają słów na wypowiedzenie swych żalów. „Takie to zarozumiałe, niesforne, *zblazowane*... dla nich niema już nic nowego, nic dobrego pod słońcem... każdego i wszystko skrytykują, osądzają... a przytem to leniwe i zmęczone, nic uczyć się nie chce“.

Smutne to doprawdy rezultaty tak wielkich wysiłków.

A więc, czy dochodzimy do wniosku, że metoda Fröbla nie jest warta, ponieważ prowadzi do niewiary, zmysłowości, do idyotyzmu wreszcie? Zapewne, że nie jest warta — o ile jest stosowana z pedanterią, wszelako, ponieważ — jak tu widzieliśmy — zawiera dużo dobrego, rozumny *eklektycyzm* stosować do niej należy. Odrzucajmyż z niej wszystko, co niedorzeczne i niebezpieczne, a skrzętnie zbierajmy, co logiczne i dobre, i to sporą wiązkę stanowić nam będzie.

A co myśleć o ogródkach fröblowskich i czy bezpiecznie posyłać do nich swe dzieci?

Jest to bardzo względne, bo ogródek ogródkowi nie równy.

Niezaprzeczenie, ogródek, w którymby nauka Fröbla była niewolniczo i rutynicznie prowadzona, zgubny wpływ wyrzeć musi na dźwiatwę, wszelako ogródek, w którym byłby zastosowany — jak to zaleciliśmy wyżej — rozumny *eklektycyzm*, oparty na doświadczeniu, taki stanowić może prawdziwe dobrodziejstwo dla niejednej rodziny.

Sądę, że nic nie zastąpi dziecku korzyści pozostawania w domu rodzicielskim, gdyż bądź co bądź, w najlepiej prowadzonym ogródku fröblowskim jest zawsze dla dziecka atmosfera sztuczna, którą to sztuczność już samo nagromadzenie się dzieci powoduje. Gdy w jednej sali jest od 20-tu do 30-tu dzieci, oczywiście, że obracać się muszą poniekąd automatycznie, na sygnał odbywać marsze i postępować ciągle pod obcym impulsem, a co najgorsza, muszą być wciąż trzymane w pewnym naprężeniu uwagi, wciąż rozwijane i nigdy nie pozostawione sobie.

Życie przeto w rodzinie, przy odpowiednich warunkach opieki i kierunku, lepszem jest bez zaprzeczenia dla dziecka, od najidealniejszego fröblowskiego ogródka — wszakże pytam — gdzie szukać w przeciętnych rodzinach tych odpowiednich warunków, zwłaszcza wśród klasy mniej zamożnej? Jeśliby dziecko miało pozostawać w domu, na łasce byle jakich sług lub bony niesumiennej, wówczas gdy matka zajęta jest pracą zarobkową, gospodarstwem, lub gdy światowa matka oddaje się wyczasowi, a później zajęta jest gośćmi, sobą, — oczywiście że wobec tego drobne niekorzyści, wypływające z edukacji ogródkowej nikną, a ogródki okazują się potrzebne, a nawet niezmiernie dobroczynne.

Czy należy i do ochron stosować sąd wypowiedziany o wychowaniu ogródkowem?

Rozwijanie dzieci, jakie się praktykuje w ochronkach, nie przedstawia, — zdaniem mojem, — niekorzyści, zauważonych we fröblówkach. W ochronkach mamy do czynienia z dziećmi najuboższymi, których otoczenie domowe jest najprostsze.

Chowane w domu najczęściej jak zwierzątka, nie mogą się spodziewać w życiu innego rozwinięcia umysłowego nad to, które im daje ochronka, bo skoro dochodzą lat 8—10, idą już do posługi, do pracy fizycznej, — nie-

ma więc dla nich obawy przeforsowania umysłowego. Tyle będą rozwinięte, ile je rozwinęła ochrona i Kościół; praktyczności zaś i samodzielności nabędą w życiu. Inaczej zupełnie rzecz się ma z dziećmi miejskimi, których czeka lat kilkanaście ciężkiego mozołu książkowego, a może i całe życie spędzone nad książką.

Dziecko, żyjące w zacieśnieniu murów miejskich, na piętrach, w mieszkaniach mało przestronnych, pojone herbatką, dziecko, obcujące wciąż z osobami choćby średnio wykształconemi, zupełnie czego innego potrzebuje niż dziecko wiejskie. Jemu nie potrzeba wczesnego rozwoju umysłowego, lecz raczej rozwoju sił fizycznych, a zatem jak najdłuższego wypoczynku dla umysłu.

Owe cudowne, przemądre dzieci, któremi się chętnie bawią rodzice, bawią tylko niedoświadczonych, a zatrważają pedagoga i lekarza: wiedzą oni bowiem, że te przedwcześnie rozwinięte meteorki — to owoc chorobliwy, nietrwały; dzieci te zazwyczaj żyć nie mogą lub tępieją wtenczas właśnie, gdy rozwoju umysłowego możnaby się od nich spodziewać.



## O ROZWIJANIU DZIECI.

„Rozwój stopniowy a stateczny,  
Najbardziej jest dla dzieci konieczny“.

**R**ozwój umysłu dziecka odbywa się nieinaczej w pewnej mierze, jak rozwój rośliny, rola zaś ogrodnika w tym rozwoju słusznie przyrównaną być może do roli wychowawcy.

Ogrodnik nasamprzód dostarcza roślinie ziemi odpowiedniej, wystawia sadzonkę na działanie słońca, miarkuje dla niej i ciepłik i wilgoć, hartuje ją, oczyszcza z owadów i mchu, obcina z niej gałązki nieużyteczne, wreszcie palikuje, podlewa. To uczyniwszy, *zostawia naturze rozwój liści i pączków.*

W moralnem znaczeniu wychowanie czynić powinno to samo — zapoznać dziecko z prawdami: religijną i naukową, — stanowiącemi istotne pożywienie dla ducha i umysłu, wystawić je na działanie promieni słońca wiary św., otoczyć ciepłikiem życia rodzinnego, strzedz od szkody i zgorzenia, naginać do dobrych nawyknień... po za tem jednak należy pozwolić, aby dziecko rozwijało się samo, w niczem tego rozwoju nie *forsując*, ani go *przyspieszając*.

Gdyby ogrodnik, ruszony niecierpliwością, chciał do-

pomóżd pączkowi różanemu w pędzszym rozkwitnięciu, i w tym celu począł jego listki ręką rozwijać, otrzymałby na chwilę złudzenie rozkwitłego kwiatu, któryby jednak wkrótce zwiadł i usechł.

Oto obraz tego, co sprawia w dzieciach chciwość rodziców i starszych, którzyby chcieli widzieć te dzieci przedwcześnie rozumnymi i dojrzałemi!

Czemże jest właściwie ów rozwój umysłu, o którym się tak wiele rozprawia?

Jest to asymilacya wiedzy z duchowym organizmem człowieka, wytwarzająca praktyczne pojęcia o rzeczach i pogląd na nie. Istotnym sprawcą tej asymilacyi być może tylko czynnik *wewnętrzny*: tym czynnikiem jest zastanowienie. Ten tylko posiadał pewną wiedzę, kto zastanowiwszy się, objął ją swem zrozumieniem, t. j. uchwycił jej treść i wątek logiczny.

Z powyższych więc uwag wynika, że we właściwym znaczeniu *człowiek nie jest mocen rozwijać człowieka*, i że o to nawet starać się nie powinien.

Jakże to być może? — zapytamy — nie należałoby więc wymagać od nauczycieli, aby rozwijali nasze dzieci?

Zanim na to zapytanie zdołamy odpowiedzieć, należy nam się porozumieć, jakim ma być to rozwijanie.

Obowiązkiem jest nauczyciela zainteresować ucznia wykładem, przemówić do jego sądu, logiki, obserwacyi, wyobraźni, i tym sposobem *rozbudzić w nim zastanowienie*, a przestrzegać go i karcieć za odpowiedzi bezmyślne, — pozatem zostawiać powinien dziecku swobodę, nie zmuszając go koniecznie, aby się zainteresowało, zrozumiało, objęło całość przedmiotu i t. p. Przytem pamiętać trzeba, że bezpieczniej działa na rozwój umysłowy dziecka *wpływ uboczny*, niż wprost wymierzony, a to z przyczyny, iż z pierwszego dziecko bierze *tyle*, ile mu go potrzeba, i na co mu starczą siły fizyczne i umysłowe — w drugim zaś kierunku łatwo przesadzić.

Pojęcie o rozwijaniu wyklucza przede wszystkim sposób uczenia, który zwiemy *wykuwaniem*, zasadzający się na pewnej mechanicznej rutynie kształcenia, na zadawaniu lekcji „stąd — dotąd“ bez wyłożenia przedmiotu, — na wymaganiu nauki pamięciowej, szczegółowej nomenklatury dat, nazwisk, — wreszcie, na zatapianiu się w mnogości suchych szczegółów bez wielkiego znaczenia... i t. p.

Dla małych dzieci — z dwojga złego — wolałabym boneę, któraby dziecku nic nie potrafiła wytłomaczyć, nad taką, któraby je nieroztropnie rozwijała, bo tamta, choć nie wpłynie na dziecko dodatnio, nie wpłynie przecież ujemnie, wówczas gdy ta ostatnia bardzo może dziecku zaszkodzić.

Do sześciu lat dostatecznie rozwija się dziecko codziennem obcowaniem ze starszemi osobami, gdy — nie rozbudzając zbyt jego myśli i ciekawości — rozumnie mu na pytanie odpowiadają i roztropnie zwracają jego uwagę na przedmioty je otaczające, gdy uczą je obowiązków względem Boga, rodziców, rodzeństwa i bliźnich.

Co się tyczy dzieci starszych, uczących się w szkole, zapewne jest obowiązkiem nauczyciela kierować ich myślą, a prostować sąd, nigdy jednak nie powinno się *myśleć za ucznia*, albo też *forsować* w nim procesu myślenia, albo dawać mu pokarm umysłowy niejako przeżuty.

Cóż jednak począć, gdy się zauważy, iż dziecko dziesięcio-dwunastoletnie mało myśli i niechętnie się zastanawia?

Należy je lekko skarcić za bezmyślność, która częstokroć płynie z lenistwa umysłowego i zdradza początek choroby woli; należy naprowadzić myśl jego, rozbudzić zainteresowanie się... czynić to jednak należy z wielką ostrożnością, albowiem zdarza się niejednokrotnie, że to, co zwiemy lenistwem, lub roztargnieniem, jest po-

prostu skutkiem osłabienia fizycznego, lub indywidualnością natury późno rozwijającej się: jedni bowiem rozwijają się wcześniej, a później tępieją, inni przeciwnie, rozwijają się dopiero w późniejszym wieku — co jest zawsze bezpieczniejsze.

Doświadczenie uczy, że niejeden człowiek ledwo w osiemnastym — dwudziestym roku okazuje zdolności, których przedtem nikt domniemać się nawet nie mógł.

W tem właśnie grzeszy wiele matek i nauczycieli, że się wielce trapią i niecierpliwią tem, że dziecko jest mało myślące, nierozwinięte, często roztargnione, lub że myśli przy jednym przedmiocie długo utrzymać nie może, a trapiąc się, usiłują proces rozwoju dziecka *sztucznie przyspieszyć*.

Nie mogę powiedzieć, abym była zwolenniczką najnowszej metody uczenia, uprawianej przez niektórych pedagogów, zasadzającej się na tem, aby *cała* nauka ucznia odbywała się w klasie, tak, aby po za klasą uczeń nie miał ani chwili samotnej do zastanowienia się, ani chwili samodzielnej pracy, gdyż to uważam za istotny cios dla samodzielności dziecka. Wszakże prawdziwie *naszem* to tylko zwać możemy, cośmy własnym wysiłkiem zdobyli, sądem objęli, logiką raczej, niż pamięcią zapamiętali — cośmy niejako *odkryli!*

Gdy nauczyciel swym wykładem poniekąd *pakuje* wiedzę w umysł ucznia, umysł ten, karmiony bezustannie cudzą pracą, leniwieje — zresztą wiadomo, że pamięć lepiej zatrzymuje wiedzę, nad zdobyciem której samemu się pracowało, niż tę, która cudzym wysiłkiem nam przyszła.

Z tej samej przyczyny uważam korepetycye za szkodliwe dla umysłu ucznia. Każda lekcya o tyle powinna być jasno wyłożona i wyraźnie zadana, aby pilny uczeń mógł sam, bez niczyjej pomocy jej się nauczyć, lub zadanie odrobić. Korepetycya o tyle tylko może być po-

trzebną, o ile trzeba dać młodszym dzieciom wskazówki jak się powinny uczyć, jak się mają zachować przy nauce, wreszcie i w tym wypadku, gdy uczeń opuściwszy dużo wykładów, musi swą klasę dogonić, lub z niedostatecznym przygotowaniem do danej klasy przyjęty, w niej się utrzymać. Po za temi wyjątkami uważam korepetycję za bałamucenie dzieci. Gdy uczeń czego nie wie, nie rozumie, nie pamięta, niech sam się zastanowi i dochodzi, na następnej zaś lekcji niech pilniej uważa. Gdy raz, drugi, dozna przykrych skutków swej nieuważgi, będzie w następstwie uważniejszym. Uczeń mający zapewnioną korepetycję, spuszcza się na nią, bywa roztrągniony podczas wykładu, a następnie nie bierze się do samodzielnej pracy, lecz czeka, aż mu lekcję jakoby w głowę włożą.

Stąd, że karmimy się przeważnie myślą cudzą, że sam proces myślenia zbyt bywa nam ułatwiony, — tak mało jest u nas myśli oryginalnej, a w dalszym następstwie tak mało prac oryginalnych. Stąd też zapewne, ów powszechny brak samodzielnego sądu.

Gdybyśmy podawali żołądkowi naszemu pokarmy nie potrzebujące trawienia, zdrowemby to nie było, żołądek nasz rozleniwiałby, a kwasy jego nie spożytkowane, sprawiłyby zaburzenie, i nastąpiłaby pewna dezorganizacja w naszym fizycznym ustroju. Coś podobnego niewątpliwie dziać się musi w organizmie umysłowym, któremu korepetytor za dużo pomaga.

Jeśli chodziło o udzielenie uczniowi ulgi w nauce, jaka mu się rzeczywiście należy (bacząc na powszechne przeciążenie umysłowe uczących się), niechaj sposób tej ulgi będzie tego rodzaju, aby stanowiła istotną korzyść dla ucznia.

Nie wyuczaniem dziecka na lekcji, nie korepetycją, lecz zredukowaniem balastu naukowego (tam gdzie to jest możliwe), rozłożeniem na czas dłuższy programu

naukowego, możemy wyświadczyć dziecku prawdziwe dobrodzieństwo.

Wracając do samej kwestyi *rozwijania*, zaznaczam raz jeszcze, iż rzeczywistym sprawcą rozwoju jest zastanowienie, płynące z własnego popędu. — Pozostaje nam jeszcze zbadać, co jest właściwie sprawcą tego popędu?

Najszlachetniejszym motorem samodzielnego zastanowienia jest *miłość prawdy*, której niższym stopniem — ciekawość.

Nieraz spotykamy dzieci, które dziwnie rozumne zadają pytania, osobliwą odznaczają się logiką, i których byle jaka odpowiedź nie zadawalnia, bo pragną koniecznie poznać *przyczynę rzeczy*, co nieraz wprawia starszych w niemalą kłopot.

— „Ja chcę wiedzieć *to, co jest?*“ — mówił do swej matki pewien czteroletni chłopczyk...

Ten pociąg do prawdy, ta potrzeba dowiedzieć się „*tego — co jest i dlaczego jest?*“ tak dalece posuwa rozwój umysłowy dziecka, że grozi czasami szkodą dla rozwoju jego sił fizycznych i może dziecko nie tylko zdrowia, ale i życia pozbawić. Dla tego też jest obowiązkiem rodziców i starszych powściągać tę wybujałość umysłu i ten popęd do ciągłego rozumowania, doprowadzając je, — w miarę możliwości — do najpospolitszych zajęć i zabaw dziecińczych.

Gorące serce jest także silnym czynnikiem samodzielnego rozwoju, z którym należy równie ostrożnie się obchodzić jak z wybujałością logiki, gdyż często siły fizyczne dziecka nie są jeszcze odpowiednio wykształcone, aby przeniosły bez szwanku intensywność uczucia. Dla takich dzieci należy jak najstaranniej unikać wszelkiego wrażenia, któreby ich uczucie mogło rozplomić (np. widoku strasznego cierpienia, bliższej wiadomości o złem lub o niedoli ludzkiej,) i jako delikatne roślinki oswajać po-

woli i stopniowo, w miarę *wzrostu sił fizycznych*, z tem, z czem niechybnie w życiu spotkać się będą musiały.

Mowa tu naturalnie o dzieciach wyjątkowo uczuciowych, a słabych fizycznie.

Jednym wszakże z najdzielniejszych motorów zastanowienia, a przeto rozwoju dziecka bywa — aż strach powiedzieć — *cierpienie* \*)! Cierpienie nazwaćby można niekiedy najumiejętniejszym pedagogiem. Cierpienie posiada ostrze, które sięga do najgłębszych tajników duszy, tam, gdzie nikt sięgnąćby nie potrafił. Tam, w ukryciu, działa głęboko, a skutecznie, otwiera horyzonty szerokie, pobudza uczucie, kształci pogląd, a hartuje wolę. Jest to owe ziarno gorczycy, o którym mówił Mickiewicz, niezbędne nawet w życiu małej dzieci.

Z dwójga dzieci, z których jedno byłoby wyjątkowo pieszczone, chwalone, drugie zaś raczej pomijane, a nawet zapoznane, któreby niejednego doświadczyło upokorzenia, a nawet niesprawiedliwości, któreby od młodych lat musiało do pewnego stopnia samodzielnie torować sobie drogę życia — zdobyć najpierw zabawkę, następnie naukę, wreszcie byt i stanowisko, niewątpliwie to drugie, — jeśli nie ulegnie zepsuciu dla braku opieki, — na dzielniejszego wykształci się człowieka niż pierwsze, chociaż nad niem pracowali pierwszorzędni pedagodzy; bardziej okaże się rozwiniętem, — tak moralnie, jak praktycznie, — gorętsze będzie miało serce, głębsze poczucie sprawiedliwości — i odczucie cierpień, oraz potrzeb ludzkich, użyteczniejszym stanie się członkiem swojego społeczeństwa.

Czyli stąd wnioskować trzeba, że powinniśmy dzieci nasze rozwijać cierpieniem?

Niedorzecznością byłoby twierdzić coś podobnego — jednak z powyższej uwagi nie jedno światło tryska w sprawie wychowawczej.

---

\*) Oczywiście w pewnem ograniczeniu.

Sztucznie wytwarzać cierpienia niema potrzeby, choćby z tej przyczyny, że ono, choć nie proszone, zbyt chętnie progi naszych domów przekracza. Nie wytwarzajmy więc sztucznych cierpień ani dla siebie, ani dla dzieci naszych, lecz raczej czynmy dobry użytek z tych, jakie ręka Boża na nas zsyła. Nie ukrywajmy przed starszemi dziećmi, gdy nas jaki cios spotkał, nie bierzmy na swe barki całego ciężaru trosk i niepokojów, lecz owszem — czynmy dzieci nasze uczestnikami naszych frasunków... niech wiedzą o upokorzeniu, niesprawiedliwości, jaka nas spotkała, o złym obrocie interesów i t. p., niech z tej przyczyny ucierpią osobiście: niechaj np. pozabawione będą jakieś przyjemności, zabawy, niech skromniej będą ubrane, oszczędniej karmione, niech cokolwiek więcej fizycznie popracują i t. p. Nie usuwajmy też z drogi dzieci naszych ich cierpienia osobistych.

Ach, te cierpienia osobiste! krzyżujące miłość własną, pochodzące up. z braku urody, zdolności, powodzenia, uznania, sympatyj i t. p., one to bezwzględnie najbardziej kształcą i rozwijają, a szkody nie przynoszą, gdyż niemi bezwzględnie powoduje najmędrsza ręka Stwórcy — one to dłutem upokorzenia z najlichszego kruszcu, najpiękniejsze rzeźbią kształty!

Błogosławiony ten, którego ręka Pańska wykształci!

---

O KSZTAŁCENIU  
CHARAKTERU DZIECKA.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
LIBRARY



## O INDYWIDUALNOŚCI.

---

**S**tarania ogrodnika nie ograniczają się na pielęgnowaniu młodej sadzonki w szkółce: drzewko starsze, przesadzone, przez długie jeszcze lata potrzebować będzie troskliwej opieki, bez której — zmarniałoby. Wie o tem ogrodnik, to też przesadziwszy drzewko, podwaja okolo niego starania: zmienia paliki, powrosła, oczyszcza z wilków, mechu i robactwa, obcina zbyteczne gałązki, grunt okopuje i nawozi, śledzi — ażali z przyczyny jakiego mechanicznego uszkodzenia rak nie wdziera się w pień drzewka... zasłania je na zimę, w czasie suszy polewa, wody zaś odprowadza w czasie zbytich deszczów. Nadewszystko zna naturę i potrzeby każdej sadzonki, dostarcza przeto każdej, czego niezbędnie potrzebuje.

Wzór to doskonały dla matek. Zaprawdę! gdybyśmy w wychowaniu czynili dla naszych dzieci to tylko, co czynią ogrodnicy dla kwiatów i krzewów, jakże te dzieci byłyby dobrze wychowanemi!

Matka powinna więc nietylko nie ustawać w pracy i czuwaniu, ale na wzór ogrodnika powinna to czynić z należytą kompetencją, którą dać jej może jedynie gruntowna znajomość natury i usposobienia, czyli indywidualności poszczególniej każdego ze swych dzieci. *Znać*

i rozumieć dziecko, słowem ogarniać całą jego indywidualność, to jest — powiedziałabym — najpierwszy warunek pracy wychowawczej, a więc jeden z najważniejszych obowiązków matek.

Jest przyjętem w czasach obecnych otaczać pojęcie o indywidualności niejako nimbem bałwochwalczym: — wszyscy o niej rozprawiają, powołują się na nią i zdają się w niej dopatrywać jakoby alfę i omegę rozumnego kierunku życia, a zwłaszcza wychowania, w uwzględnieniu zaś indywidualności chcą widzieć niezawodną rękojmię postępu. Wobec tego osobliwego prądu niezmiernie dziś rozpowszechnionego, za którym całe masy — często bezmyślnie — zdążają, warto się nieco nad tem zastanowić: czem jest indywidualność? i o ile w wychowaniu uwzględnioną być powinna?

Indywidualność, uważana ze względu na swą istotę, jest to impuls rzutu twórczego, dający kierunek wszechstworzeniu i stanowiący o jego grawitacyi: w niem źródło różnorodności, celowości i siły wszelkiego istnienia.

Indywidualność zaś, uważana w swem zastosowaniu, jest to cecha znamionująca każde poszczególne istnienie, — czy nią będzie człowiek czy roślina, — a wyróżniająca je od innych jemu podobnych pewną odrębnością, z wewnątrz na zewnątrz płynącą, a jemu tylko właściwą.

Dla uważnego badacza niema dwóch listków, — ha! dwóch ziarenek piasku — identycznie do siebie podobnych, których odrębność nie byłaby usprawiedliwiona odmiennością celowością twórczą. W tej różnorodności, uwydatniającej się na całej skali istot, od najbardziej pojedynczych, do najwięcej złożonych, świadectwo nieograniczonej siły i bogactwa twórczych, nie skrzepowanych żadnym szablonem. O ile szablon jest owocem ubóstwa myśli i le-

nistwa czynu, o tyle rozmaitość jest dowodem potęgi i bogactwa.

Indywidualność, — powiedzieliśmy — jest to kierunek rzutu twórczego, — to nam tłumaczy także jej *celowość* i *siłę*.

Próżnoby dowodzić celowości, znamionującej wszelkie istnienie w jego rodzajach i gatunkach, np. celowości ognia, wody, owocu, odrębnej użyteczności konia pociągowego a wyścigowego, charta i wyźła i t. p., gdyż jest ona zbyt widoczną, — próżno także dowodzić, że użycie tych stworzeń przeciwko ich indywidualnej celowości znaczy tyle, co ich zmarnowanie.

Indywidualność jest także *siłą*, bodaj największą z sił, i źródłem wszelkiej siły, tak duchowej jak fizycznej, — bo cóż silniejszego nad rzut twórczy? Jest to siła uwieczniona w przyrodzie, np. siła pary i elektryczności, siła pierwiastków chemicznych, siła wzrostu, owocowania i mnożenia się roślin, siła popędów i prądów duchowych, siła wreszcie sympatii i uczucia... i t. p.

Jeśli więc wszelkie istnienie posiada indywidualność, silną i celową, jeśli w przyrodzie spotykamy moc nie-zrównaną tych indywidualności, jakżeby u człowieka, — tej istoty najdoskonalszej w rzedzie stworzeń i najbardziej złożonej, a obdarzonej duszą nieśmiertelną — nie byłoby także odrębności indywidualnej, tak duchowej jak i fizycznej, najbardziej różnorodnej, silnej a celowej?

Tę indywidualność człowieka można nazwać w języku chrześcijańskim *szczególnem piętnem Bożem*, na duszy wyciśniętem, wyróżniającem tę duszę od innych celową odrębnością: uzdolnienia, temperamentu i charakteru, z której wynikają jej aspiracye, skłonności i upodobania, a w której ukryte źródło jej energii.

Gdy zastanawiamy się nad obowiązkami, jakie z woli Bożej należy spełnić człowiekowi, spostrzegamy, że każdy z nich sam w sobie jest tak uciążliwy i trudny, że

niewątpliwie żaden nie byłby należycie spełniony, gdyby Stwórca w swem nieprzebranem miłosierdziu nie był postawił równorzędnie, obok wymagania, odpowiedniej pomocy, obdarzając człowieka *uzdolnieniem i zamięłowaniem* zwróconemi w kierunku powinności. Ta miłosierna pomoc, to Boże przysposobienie człowieka do spełnienia jego powołania, stanowią właśnie tę indywidualność, która nas obecnie zajmuje. Łatwo zrozumieć, jak wielką w niej siłą spoczywa.

Mimowoli człowiek lubi to, do czego czuje się uzdolnionym; co czyni łatwo i dobrze, czyni to chętnie, wesoło, a nawet z rosnącym zapałem — w tym też kierunku zwraca swoją ciekawość. Obowiązek najuczciwsi, domagający się największych ofiar, miłym jest temu, kto go spełnia w kierunku swego uzdolnienia: żadna doznana w nim trudność nie zraża go, owszem, potęguje poniekąd jego zapał.

I cóż — pytam — zmusza przyrodnika do znojęw naukowego badania rośliny, owadu, do odszukiwania zatraconego gatunku?... Któż zmusza bibliofila lub antykwarza do spędzania życia wśród kurzu starych rupieci i papierów zmurszałych? Czy pielęgnowanie dniem i nocą krzykliwego dziecka nie jest rozkoszą dla matki?

To znów co czynimy bez odpowiedniego uzdolnienia, a przeto i bez zamięłowania, czynimy to z przymusem i niesmakiem, bez przekonania, a zatem niewątpliwie źle to czynimy, co nasz niesmak potęguje. Na drodze obowiązku, krzyżującego wręcz wszystkie nasze indywidualne upodobania, znajdujemy same przykrości i trudy, tam nawet gdzie ich niema zupełnie. Postaw np. chłopca, miłującego wiejską gospodarkę, przy pracy biurowej, wśród miejskiego zaduchu, a usychać ci będzie, i na odwrót, pošlij móła książkowego do pracy rolnej na wsi, a choźić ci będzie przy niej bezradny...

To wszystko nam dowodzi, jakie zasoby spoczywają

na dnie dobrze zrozumianej, ujętej i pokierowanej indywidualności, — pracując bowiem w jej kierunku, sprzęgamy niejako w jedno wszystkie siły danego osobnika, tak duchowe jak i fizyczne, — pracujemy w kierunku jaki sam Stwórca jemu nakreślił: z biegiem rzeki płyniemy, dajemy ujście źródłu.

W tem tajemnica dobrej administracji, udanego wychowania.

Sprzeciwiać się zaś czyjej indywidualności, przytłumiać ją z despotycznym narzucaniem własnej, jest to łamać, niszczyć, burzyć, — a w najlepszym razie — jest to tracić czas bez żadnej korzyści. Z dwojga złego, lepiej nie dawać żadnego kierunku, niż dawać go wbrew przyrodzonym pociągom, — w pierwszym bowiem razie poboczne wpływy mogą dobroczynnie danym osobnikiem pokierować, kierując zaś przeciwko odrębności indywidualnej kształci się moralne kalectwo.

Indywidualność to także siła. Aby uprzytomnić sobie tę siłę, dość sięgnąć pamięcią do własnych lat młodocianych, lub zajrzeć w głąb serc młodych w pierwszym ich wieku rozkwicie... jak tam wszystko wre i kipi! Co za szczerzy entuzjazm dla wszystkiego, co prawdziwe, zacne i piękne, jaki zapał do czynu, a gotowość do ofiar, co za bezinteresowność w intencji, co za odwaga niezemnieustraszona, co za pewność wygranej! I czy jest cokolwiek, przed czembyśmy się cofnęli w wieku młodym, na drodze naszego zapału?

Są to jednak tylko ogólne kontury — przy bliższej bowiem obserwacji młodych, uwydatniają się u nich rysy szczególne, u każdego inne, a których jest tyle, ile osobników. Zaprawdę, gdyby sprządz w jeden rydwan te wszystkie zasoby, kipiące w duszach młodzieńczych, byłoby czem świat z posad poruszyć i na nowe popchnąć tory! Lecz gdzież się one podziewają, te zasoby tak obiecujące, i gdzie owoc ich siły? Cóż one w świecie

działały dobrego? Niestety, — w największej liczbie zmarniały! Jedne — świat wyziębił, drugie — namiętności przepaliły, trzecie walka o byt przytłumiła, resztę — pesymizm ubezwładnił... w rezultacie więc po latach kilkunastu, w miejsce szlachetnego optymizmu, zapałów i zachwyków, spotykamy się z grubym realizmem, z zimnym egoizmem, spotykamy się z rozgoryczeniem, zwątpieniem, w miejscu zaś polotów ducha mamy ciężki materyalizm, w miejscu siły. — niemoc bezradną!

Pokusy wprawdzie czyhały na wiek młody, wszakże nie one były powinny zwyciężyć, gdyż zasoby dodatnie dusz młodych wystarczały siłą, aby zmódsz pokusę, i byłyby ją zmoły, gdyby rozumna a troskliwa ręka rodzicielska była w czasie odpowiednim młodym dopomogła.

A jakże często dzieje się, że właśnie wychowawcy są przyczyną niejednego zboczenia młodych, tem że nie uwzględniają ich indywidualności, nie umieją jej spożytkować, wyzyskać, że częstokroć bezmyślną ręką leją zimną wodę całemi wiadrami tam, gdzie potrzeba było tylko trochę ostudzenia, wreszcie, że własnem zniechęceniem, rozgoryczeniem i pesymizmem broń czynu z ręki wytrącają?

Zapaleni zwolennicy indywidualizmu, najczęściej jednak zapominają o tem, że nie każdy przejaw indywidualności godzien jest uwzględnienia, i że obok przejawów dodatnich, które należy kształcić, istnieją ujemne, którym schlebiać byłoby szaleństwem.

Zapominają także i o tym osobliwym dualizmie, istniejącym w naturze człowieka i sprawiającym, że jego siły dodatnie i ujemne ustawiczny spór z sobą toczą, dążąc do wzajemnego wykluczania się, że przeto z chwilą, w której przestalibyśmy rozwijać w sobie indywidualne siły dodatnie a poskramiać ujemne, — jednym słowem kierować całą indywidualnością według celowości twórczej, wnet siły

ujemne przygluszyłyby zasoby dodatnie, i wzięłyby nad nimi przewagę.

Powyższy objaw daje się przecież spostrzedz na każdym kroku, nietylko u ludzi, ale w całej przyrodzie. Zostawmy np. drzewko owocowe jego indywidualności, i nie kierujmy nią przez pielęgnowanie owocujących gałęzi, a obcinanie niepotrzebnych, nie oczyszczajmy tego drzewka z mchu i wilków, a wnet ujemna indywidualność latorośli (pojęta w stosunku potrzeby człowieka, ku której zmierzać powinna celowość drzewka) weźmie górę nad dodatnią i przygluszy ją. Stracimy roślinę owocującą, a w jej miejsce otrzymamy piękniejszą może, lecz nieużyteczną dziczkę.

Najszlachetniejsze przejawy indywidualności obejść się nie mogą bez ścisłego kierunku i kontroli rozsądku, gdyż puszczone samopas lub bezmyślnie rozdmuchiwane, mogą się stać szkodliwymi — przesadą lub jednostronnością kierunku.

Dobrą jest np. ambicya, odwaga, gorliwość, jednak nie kierowane łatwo przerodzić się mogą w pychę, zuchwalstwo, fanatyzm i t. p.

Konsekwencją powyższych spostrzeżeń jest, że nie błądzimy, szanując w człowieku, w dziecku, jego odrębność, owszem, czynimy najlepiej, wszakże błądzimy bardzo, nie rozróżniając, co w tej odrębności należy kształcić i kierować, a co umarzać, i ten jest właśnie błąd, najpospoliciej w czasach obecnych popełniany, brzemienny w najgorsze skutki.

Błąd ten uwydatnia się osobiwie w terażniejszym wychowaniu, gdy mu przewodniczą prądy antyreligijne.

Filozofia bezwyznaniowa, nie uznając w człowieku dualizmu, a tem samem walki dobrych skłonności ze złymi, zowie *prawem natury* to, co my w chrześcijańskiej mowie mianujemy grzeszną pożądlivością lub złą skłonnością. Nowe prądy każą schlebiać wrodzonym pope-

dom natury bez żadnego rozróżnienia i zastrzeżenia, — krępowanie zaś dziecka lub młodzieńca jakim niebądź rozkazem lub przepisem zowią barbarzyństwem, w czem widzą bezwzględną śmierć dla jego indywidualności.

Tu jasno uwydatnia się, jak bardzo na dwóch przeciwnych biegunach znajdują się — wychowawca chrześcijanin i niechrześcijanin, i jak dalece pomiędzy nimi kompromisu być nie może.

Łatwo też wyrozumieć osobliwą niechęć, jaką czują osoby dobrze myślące na samo wspomnienie o indywidualności, a to z przyczyny nadużyć, do których to pojęcie — źle zrozumiane i najopaczniej stosowane — daje miejsce. Nie ma bowiem takiego wybryku, dziwactwa, któregooby ludzie nie uwzględniali, pod pozorem należnego szacunku dla indywidualności.

Niech więc dziecko krzyczy, niech napiera się, nie słucha starszych, niech chłopiec łobuże, niech młodzieniec gubi się rozpustą i t. p., wszystko to im wolno, ze względu na indywidualność, która niczem skrepowana być nie powinna, aby mogła swobodnie się rozwinąć\*).

W jaki sposób kierować wychowaniem, aby uniknąć dwóch równie złowrogich ostateczności: despotyzmu i bałwochwalczego indywidualizmu?

Nie wystarcza roślinie staranna piecza ogrodnika, niezbędnym jeszcze jest dla niej ożywczy promień słoneczny — *światły i ciepły* — bez którego zmarniałaby. Dziecku tym jasnym promieniem, niezbędnie potrzebnym, jest miłość rodzicielska.

Nie dosyć przeto dziecko *znać i rozumieć*, trzeba nadto je *kochać*, co jest warunkiem, — *sine qua non* — sku-

---

\*) Oczywiście ważnem jest, aby dzieci nie nie słyszały o względach należnych indywidualności, z przyczyny różnych roszczeń, do których ta wiadomość mogłaby je upoważnić.

teczności wpływu, jaki się na nie wyrzeć pragnie. Jedynie skutecznym jest wpływ ogrzany sercem, wpływ zaś płynący z chłodnego źródła albo wcale nie działa, albo bardzo słabo. Ten tylko posiadać może istotną przewagę nad dzieckiem, kto posiada jego zaufanie, *to jest wstęp do jego duszy*, ten zaś zdobywa to drogocenne zaufanie, kto serce dziecka posiadł, — kto je kocha i jest przez nie kochany.

Podobnie jak kwiat na wiosnę otwiera z zaufaniem swój kielich dla świetlnych promieni słońca, zwracając ku niemu całą swą istotę jako do źródła życia, a tuli swe listki w dzień pochmurny i zimny, zarówno dziecko rozkwita pod opieką tego, który je kocha, a zamyka się i zasklepia przed tym, który niem rządzi chłodno. Ulega mu, bo musi, ale nie od niego nie przyjmuje. Jakże smutno wyglądają kwiatki zwarzone mrozem, jakże smutniej jeszcze wyglądają dzieci, które nie zaznały ciepła rodzicielskiego serca!

Matki kochają swoje dzieci, trudno im tego zaprzeczyć, — skąd wszakże pochodzi, że często są one tak bezradne, gdy chodzi o wpływ na nie? Skąd pochodzi, że ich miłość macierzyńska, zamiast dziecko pokrzepiać, rozpieszcza je? zamiast w niem serce wykształcić, kształci zimny egoizm? Stąd zapewne, że nie każda miłość rodzicielska dobrą jest, — gdy więc matki nie tak kochają swe dzieci, jak im je Bóg kochać przykazał, miłość ich dobrego owocu zrodzić nie może.

Ponieważ do tak ważnego przedmiotu — dobrej i nierozsądnej miłości rodzicielskiej — będziemy jeszcze mieli sposobność powrócić, w ostatnim rozdziale niniejszego tomu, poprzestajemy tu na tych kilku uwagach.

Pracować nad dzieckiem na podstawie jego indywidualności, — znając je, rozumiejąc i kochając, — jest więc warunkiem nieodzownym dobrego wychowania:

istota zaś tej pracy polega głównie na urobieniu charakteru dziecka, przez wykształcenie dodatnich jego skłonności, a poprawienie ujemnych, a nadewszystko przez zaszczerpienie w jego duszy zasad, mających mu przewodniczyć przez całe życie.

Tej pracy nigdy się dość wcześnie nie zaczyna, im bowiem wcześniej wsieje się dobre nasienie w serce dziecka, tem pewniej i silniej w czasie odpowiednim kielkować będzie.

Błądzą matki, spuszczać się na to, że szkoła wychowa im dziecko. Szkoła, w najlepszym razie, wykształci je umysłowo — przy czem często moralnie psuje — duszy, serca, charakteru wykształcić nie jest w stanie.

„Szkoła, szablonowem postępowaniem względem uczniów — mówi pani Moszczeńska — wprost zamyka sobie wstęp do wewnętrznych tajników ich duszy, i na czysto zewnętrznych rezultatach poprzestawać jest zmuszona. Poznaje tylko ich stronę bierną, a nie poznaje czynnej, ocenia posłuszeństwo, a nie widzi inicjatywy.

„To, co stanowi cały ustrój człowieka, jego wewnętrzną harmonię lub dysharmonię, dźwignię moralną, zakrój charakteru, sumienia, to dać może i powinien tylko dom rodzinny, to wyrabiać się w nim powinno znacznie wcześniej, nim do szkoły pójdzie.

„Dobre nawyknięcie, czyste uczucie, szlachetne chęci, wszystkie życiowe i moralne siły *rosnąć muszą razem z dzieckiem*, rosnać w niem i rozwijać się razem z jego mózgiem, nerwami, mięśniami. Ono powinno niem oddychać, niemi nasiąkać, w nich żyć tak, jak musi żyć w czystym powietrzu, jeśli ma mieć płuca zdrowe“ \*).

Dla ułatwienia sobie pracy kształcenia charakteru dziecka, i dla lepszej orientacyi, podzielić ją można ja-

\*) Ustęp z odczytu.

koby na trzy odrębne działy, a mianowicie: na kształcenie *zasady, woli i serca*.

O potrzebie zasady w wychowaniu, pięknie choć niedostatecznie, poucza pani Moszczeńska. Mówiąc o panowaniu nad sobą, uważa, że rzadki jest ten, któryby istotnie nad sobą panował, a rzadszy jeszcze taki, który to panowanie należycie pojmował. „Co to bowiem znaczy panować nad sobą? Czy to znaczy tłumić i unicestwiać wszystkie wrodzone instynkta, np. panować nad przywiązaniem do matki, nad zamilowaniem do nauki? \*) Bynajmniej: jest to dawać stałą przewagę dobrym skłonnościom nad złemi, — jeśli zaś nic nie czynimy dla spotęgowania i ustalenia skłonności dobrych, jeśli zamiast z nich uczynić dla dziecka stałą wewnętrzną moralną dźwignię, zawsze podstawiamy w jej miejsce zewnętrzną podporę naszych praw i zakazów, to w czemże ono oparcie ma znaleźć, w czem siłę do zwalczania swego *gorszego ja*, gdy nasza władza i opieka ustaną? Trzeba więc przygotować w duszy dziecka to, co z czasem nasz wpływ zastąpić jemu musi zupełnie: *z a s a d ę*, czyli stałe prawo postępowania“.

Pani Moszczeńska nie sięga jednak głębiej i nie poucza, gdzie mianowicie szukać tej zasady, a to jest kwestyą niezmiernej wagi, dziś więcej niż kiedykolwiek, z przyczyny wielkiego w tej mierze zbalamucenia pojęć.

Człowiek, — choćby najrozumniejszy — żadną miarą nie jest w stanie stworzyć zasady postępowania, któraby

---

\*) Etyka chrześcijańska poucza, że należy panować nawet nad najzaciejniejszymi poruszeniami uczucia i woli, aby się nie przeobraziły w namiętność i nie wykoleiły nas z drogi roztropności i obowiązku. Np. niepokierowane i niepokierowane przywiązanie do matki, stanąć może na poprzek obowiązkowi względem męża i dzieci, — zbytne zamilowanie nauki mogłoby uwłaczać innym istotnym powinnościom. Oczywiście, że unicestwiać lub tłumić skłonności dobrych nie należy, lecz zawsze każdą kierować, — o czem już wyżej wspominaliśmy.

po wszystkie czasy mogła wszystkich ludzi obowiązywać, bo jakimże prawem mógłby to uczynić?

Jakimże prawem człowiek mógłby powiedzieć drugiemu człowiekowi, mocą własnej powagi „odplacaj bliźniemu dobrem za złe, miłuj nieprzyjaciół i czyni im dobrze, bądź wierną małżonkowi nawet wiarołomnemu, szanuj rodziców nie godnych szacunku, miłuj prawdę nad własne życie“ i t. p.?

Niezawodnie, zasadę postępowania dać może człowiekowi ten tylko, który wywiódł człowieka z nicości, który najlepiej zna jego utworzenie, a cel mu nakreślił, ten wreszcie, który, — jako Stwórca — ma nieograniczone prawo do uległości swego stworzenia. W religii zatem, i tylko w religii, szukać należy zasad mających w życiu sterować, — ktoby zaś po za religią spodziewał się znaleźć sterniczą zasadę, tenby się wielce zawiódł, znalazłby same: „słowa, słowa i słowa“, — jak się dosadnie pani Moszczeńska wyraża, słowa, które czynu trwałego splodzić nie są w stanie. Znalazłby moralność sztuczną, naciągana, — kwiat bez korzenia. Będą to kruche zasady pozytywizmu, etyki niezawisłej, dające się nakręcać do wymagań każdej namiętności.

O kształceniu zasady w sercu dziecka, mówić tu nie będę wyłącznie, gdyż o tym przedmiocie rozpisałam się obszernie w broszurce „O wadzie narodowej“, a wrócić do niego będę musiała w drugiej części niniejszej pracy, przeznaczonej uwagom o kształceniu dorastającej młodzieży.

Zwróć tu tylko uwagę na rozwijanie w dziecku prawości, która, jako jedna z zasad moralności, kamieniem węgielnym charakteru człowieka być powinna.

Na to jednak, aby matka zdolną była do pracy wychowawczej, do której jest powołana, powinna koniecznie starać się sama dla siebie o te zalety, które pragnie

zaszczepić w swoich dzieciach — powinna uczyć wpierym czynem niż słowem.

I tak np. aby wykształcić w dziecku prawość, matka powinna strzedz się cienia obłudy; aby urobić hart w dziecku, sama hartowną być powinna; tylko dobrze ułożona, dobrego układu uczyć może.

W pracy nad młodzieżą przewodniczyć także powinna niezmierna prostota, której brak jest przyczyną niejednego wychowawczego zawodu. Niektórzy młodzi a niedoświadczeni rodzice, uniesieni dobrą wolą, aby jak najlepiej swe dzieci wychować, tworzą sobie cały stos *skomplikowanych* zasad wychowawczych, w których upatrują pewną rękojmię najlepszego powodzenia, nie bacząc, że tych zasad, właśnie dla ich niepraktyczności i zawiloci, spełnić nigdy nie będą w stanie. Obiecują sobie np., że nigdy nie pozwolą dziecku wziąć książki do ręki — choćby z obrazkami — póki nie zacznie się uczyć czytać, a to w celu wzbudzenia w nim poszanowania dla książki... że nie dadzą mu skosztować słodyczy, aby je po spartańsku wychować... że wzbronią dziecku wymówienia słowa, któregooby nie zrozumiało, nawet w pacierzu, aby się nie nauczyło co bądź machinalnie i bezmyślnie powtarzać... i t. p. Oczywiście, że każda z podobnych zasad, — niby jakimś pozorem słuszności usprawiedliwiona — prowadzić musi w rezultacie do dziwactwa.

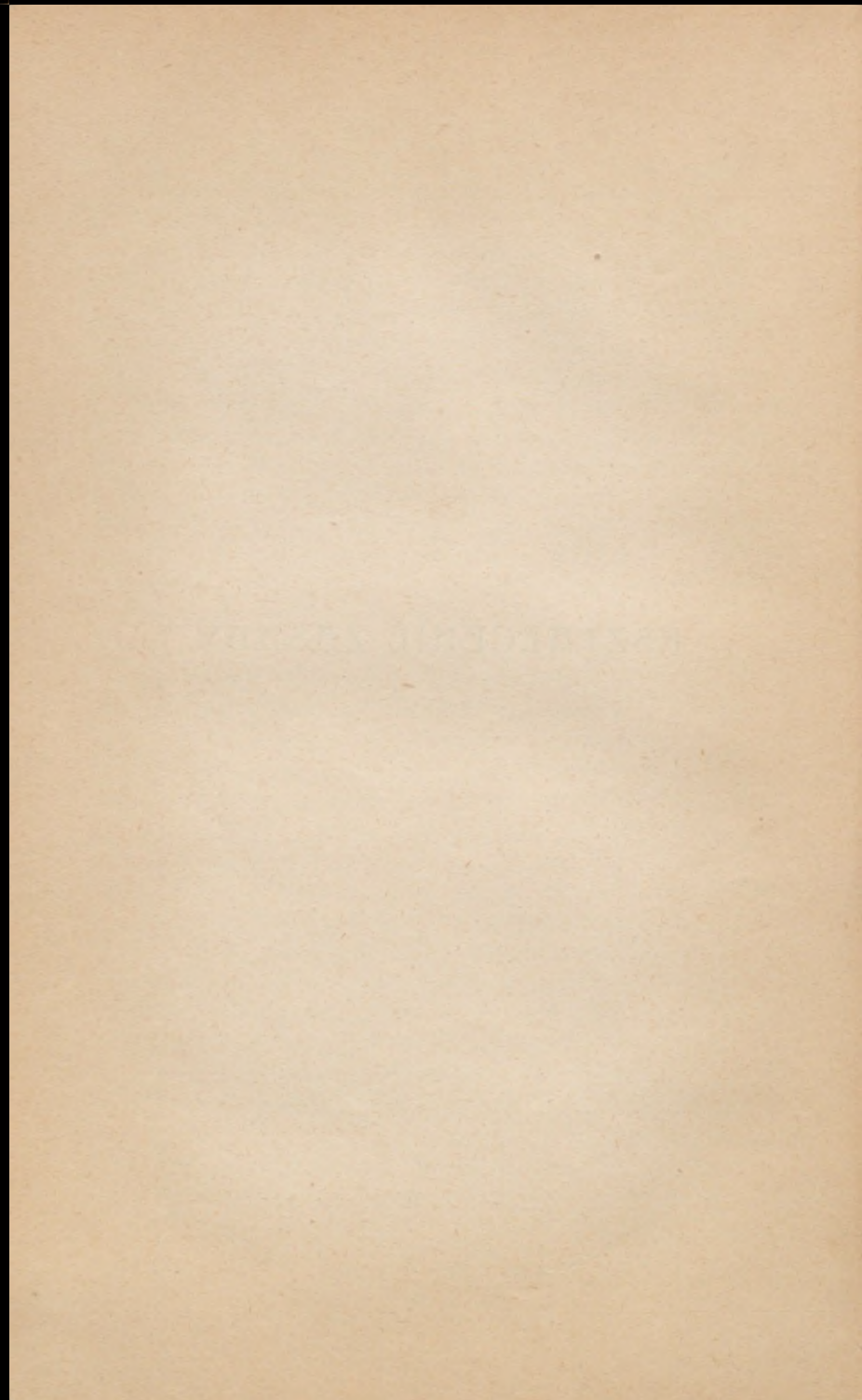
Mnożenie takich prawideł przedstawia i to niebezpieczeństwo, że skomplikowawszy sobie zadanie wychowawcze mnóstwem szczegółów dziesiątorzędnych, musi się z konieczności zaniechać zasad esencyonalnych, i że zmitrężywszy młodzież drobiazgami, często bez znaczenia, nie znajduje się u niej posłuchu w kwestyach wagi pierwszorzędnej.

Nie zapominajmy, że tu, jak wszędzie, każda przesada chybia celu, i powoduje skutek wręcz przeciwny temu, który się zamierzało.

---

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is arranged in approximately 15 horizontal lines across the page.

KSZTAŁCENIE ZASADY.





## O KSZTAŁCENIU DZIECI W PRAWOŚCI.

„A prawda was wyswobodzi“.

**P**iękny urodzaj od trzech warunków zależy: od gatunku gruntu, od uprawy, wreszcie od nasienia. Z całą prawdą stosować można to spostrzeżenie do urodzaju moralnego, jakiego się w życiu spodziewamy od człowieka. Grunt — to charakter, uprawa — to wychowanie, nasienie — to nauka.

Grunt — to charakter, powiedzieliśmy. Grunta bywają różne, jeśli jednak w którym z nich przeważa pierwiastek próchnicowy, urodzajnym go mienią — nazywamy go *szlachetnym*, bogatym. Próchnica jest więc cechą znamionną gruntu dobrego.

Dzieje się podobnie z charakterami ludzkimi, których jest także wielka różnorodność. Wszakże jakimkolwiek byłby ten charakter: żywy czy powolny, łagodny czy gniewliwy, prostoduszny czy bystry, i t. p., jeden rys powinien także go znamionować koniecznie: tym rysem jest *prawość*.

Prawość — to fundament, to rdzeń charakteru, zasada jego istotnej wartości, — przy usposobieniu prawem

różne naturalne przywary niewielką mają doniosłość, a w każdym razie nie mają doniosłości dominującej, gdyż sama prawość bój zacięty z nimi staczać będzie, lecz przy braku prawości, nie na wiele się zdadzą najświetniejsze zalety, najbogatsze uzdolnienie. I w rzeczy samej czemuż jest człowiek pozbawiony prawości? Może być pierwszorzędnym dyplomata, człowiekiem genialnym — jednak wartość jego moralna stoi niżej *zera*. Mówię „*niżej zera*“ z wielkim naciskiem, albowiem zero, jako nicość, niebyt, szkodliwym nikomu nie jest, wówczas gdy nieprawość, to największy szkodnik i krzywdziciel ludzkości.

Łatwo to zrozumieć, — czyż bowiem można mieć gorszego wroga nad tego, który oszukuje? Pytasz się np. o co, by wiedzieć jak o tem lub owem sądzić, a słuchając odpowiedzi, *ufasz*, że jest tak jak mówią, i na tem zaufaniu *budujesz* swój sąd i postępowanie, a tymczasem tak *nie jest!* Na nic więc twój sąd i twoje budowanie! I któż mógł być tobie gorszym krzywdzicielem nad tego, który tak w pole wywodzi? tak oszukuje?

Człowiek obłudny, kłamliwy, gorszy jest od rozbójnika, od dzikiego zwierza, bo tych strzeżesz się, a temu *ufasz*. Człowiek nieprawy — to bagno, trzęsawisko, pokryte zielenią... Stąpasz i grzęzniesz! Łatwiej naprawdę uratować się na głębiach morskich niż na trzęsawisku: tu zginać musisz!

Zasadą prawości jest sam Stwórca, jako najwyższa Prawda, źródło wszelkiej prawdy, istota wszelkiego *bytu*, t. j. tego co *jest*, a zatem nieskończenie prawdę miłujący, a brzydzący się fałszem. Fałsz zaś, będąc tem co nie jest, a co gorsza, będąc *pozorem* tego co jest, będąc *złem* zamaskowanym *pozorem dobra*, jest tem samym największym przeciwieństwem Boga, jest *istotą wszelkiego zła*.

Niektóre dzieci posiadają już od urodzenia szlachetny zarodek prawości, zapewne jako duchową spuściznę po rodzicach, dziadach i pradziadach, — nie wszystkie jednak, gdyż niestety wielka jest liczba takich, które nie mają wrodzonego usposobienia do prawości. Niewątpliwie — jednym z najważniejszych zadań wychowawczych jest: ten zarodek wyhodować i wypielęgnować tam, gdzie się on znajduje, a zaszczepić — gdzie jego brak.

Zamiłowanie prawdy powinna matka nieomal od kolebki wszczepiać i kształcić w sercu dziecka, — zawsze najprzód przykładem, a następnie słowem i dozorem. Z ust matki dziecko dowiedzieć się powinno, jaka jest zasada prawości i jakie są jej wymagania i znamiona. Jeszcze na jej kolanach, przy pierwszym brzasku swego duchowego rozwoju, dziecko usłyszeć powinno, że prawdzie ani na jedną linię uchybić nie wolno, że prawdy nie można dobrowolnie naginać, naciągać, ani nakręcać do swojej potrzeby, że według zalecenia Zbawiciela świata należy mówić: *tak, tak, nie, nie, — bo to co nad to, od złego jest...* że raczej wszystko wycierpieć — umrzeć nawet — niż prawości uchybić, niż skalać usta najłżejszem kłamstwem, wykrętem...

Z ust matki dziecko powinno także dowiedzieć się o tem, skoro tylko taką mowę zrozumieć będzie zdolne, że prawość — to jedyne i najwyższe szlachectwo człowieka, bowiem nie starożytność rodu, nie liczba antenatów, nie rozgłos imienia, nie koligacye ani majątek o jego wartości, a zatem szlachectwie stanowić mogą, ale nieskazitelna prawość charakteru; im zaś subtelniejsza będzie prawość, tem wyższe będzie szlachectwo — i że o nie nadewszystko starać się należy. Rylcem z diamentu wyrzeźbićby powinny matki te zasady w sercach swych dzieci; im zaś groźniejszą jest fala nieprawości, która świat zalewa, im z większą subtelnością wody tej

fali wnikają we wszystkie szczeliny życia społecznego, a nawet rodzinnego, tem reakcyja wychowawcza w kierunku prawości powinna być energiczniejszą!

Najważniejszym jednak zawsze w wychowaniu jest wpływ przykładu. Matka chrześcijańska pilnie więc baczyc powinna, aby jej dziecko nigdy nie było świadkiem obłudnego postępowania, dwulicowości a choćby tylko przesady. Niechaj sama, na jego zapytanie nigdy fałszem nie odpowiada, i niechaj zawsze z dzieckiem tak postępuje, aby ono bez cienia powątpiewania jej słowu zawierzyć mogło: „Rodzice tak powiedzieli, — *tak więc być musi*“. Oby ta logika dziecka nigdy nie zawiodła!

Co jednak czynić, gdy dziecko zadaje takie zapytania, na które mu odpowiedzieć nie można? Nadewszystko nie zmyślać, lecz wymijającą dać odpowiedź, którą roztropność w danej chwili podyktuje. „Tego tobie teraz powiedzieć nie mogę, bo zbyt jesteś młody... tegobys nie zrozumiał. Sama wszystko ci wytłumaczę, gdy uważać to będę za stosowne“. — Gdyby jednak dziecko nie przestawało nalegać, możnaby mu przytoczyć jakież wile prawidło matematyczne, i zapytać, czy je rozumie? a gdy powie że nie, skorzystać z tego aby mu powiedzieć: A widzisz! skoro tego rozumieć nie możesz, tem bardziej tamtego! A przecież gdy będziesz starszy, nie tylko że tę arytmetykę zrozumiesz, ale najchętniej się jej będziesz uczył. — Tu można odwrócić myśl dziecka ku innemu przedmiotowi, lub zgromić je za upartą ciekawość.

Matka starać się jeszcze powinna o to, aby wszyscy domownicy, mający z dzieckiem stosunek, prawdę zawsze mówili, aby dziecko od kolebki oddychało atmosferą najwyższej prawości. Niechaj ono zauważy u starszych niezmierną dbałość, — *wysilek nawet*, — aby choćby w drobnotecce prawdzie nie uchybić nigdy: wielkie to na niem uczyni wrażenie.

Następnie niechaj matka strzeże dziecka, aby ono samo nie dopuściło się nigdy jakiej nieprawości, a każde uchybienie prawdzie powinno je tak zawstydzić, jak odkryty fałsz. Zdarzyć się jednak może, że — prędzej czy później — dziecko powodowane bądź strachem, bądź chępliwością, rozminie się z prawdą... Niechaj matka nie przepuści jemu tego błędu, -- tego pierwszego uchybienia prawdzie!

Pewna matka, przekonawszy się, że jej pięcioletnia córeczka skłamała (co się jej pierwszy raz w życiu zdarzyło), nadała temu czynowi wagę niezwykłą. Wykazała najpierw dziewczynce brzydkość jej postępków i jego konsekwencye. „Skoro Zosia powiedziała nieprawdę, tem samem nie zasługuje, aby jej wierzono, a skoro użyła daru mowy do tak szpetnego czynu, jakim jest kłamstwo, nie jest godną, aby ktokolwiek z nią rozmawiał“. — Z polecenia matki nikt tegoż dnia na mowę Zosi nie odpowiadał, nikt jej nawet nie słuchał, owszem, każdy się od niej odwracał. Zosia rozumiała dla czego. Jej zawstydzenie nie miało granic. Wieczorem, gdy według zwyczaju Zosia zabierała się z boną do wieczornego pacierza, przyszła do niej mama na poufną rozmowę i powiedziała jej, że skoro nie zasługuje na to, aby do ludzi mówiła, tem bardziej nie jest godną mówić do Boga, bo Pan Bóg od kłamców się odwraca. Na szczęście jednak Pan Bóg jest nieskończenie miłosierny... gdyby więc Zosia serdecznie Pana Boga przeprosiła — przebaczyłby Zosi, byle Mu szczerze obiecała, że już *nigdy, nigdy* więcej ust swych kłamstwem nie splami. Zosia, zalana łzami, całując matce ręce i nogi, wśród gorącego łkania, dała obietnicę, poczem dopiero matka, uspokoiwszy córeczkę, odmówiła z nią pacierz wieczorny i położyła ją do łóżeczka, a znacząc dziecko na czole znakiem krzyża św., raz jeszcze serdecznie je upomniała, aby tak smutny dzień już *nigdy, nigdy* nie wrócił. Tej nauki Zo-

sia nie zapomniała nigdy, — lata nie zdołały zatrzeć wrażenia doznanego w dzieciństwie. Szczęśliwe stokroć dziecko, które miało taką matkę!

Ta sama dziewczynka, gdy już miała lat dziesięć, pojechała dnia pewnego z rodzeństwem i krewnymi na spacer, — brakowało tylko w towarzystwie Edzia, młodszego braciszka Zosi, który za karę był tego dnia pozbawiony przejażdżki. Ciotka zauważyła nieobecność chłopczyka. „Dla czego Edzio z nami nie pojechał?“ — spytała. „Bo Edzio *nie chciał* pojechać“ — odpowiedziała Helenka, starsza siostrzyczka, dbała o honor brata. „Edzio *nie mógł* pojechać“ — poprawiła siostrę Zosia, która znieść nie mogła tego lekkiego uchybienia prawdzie, a równie jak Helenka chciała uniknąć kompromitacji brata. Sama tylko matka zrozumiała doniosłość a zarazem *delikatność* tej odpowiedzi. Później, ta sama Zosia tak dalece rozmiłowała się w prawdzie, że razu pewnego, gdy nie *dość akurainą* dała odpowiedź nauczycielce, wnet pospieszyła, z rumieńcem na twarzy, fakt sprostować.

Znałam pewną młodą osobę, dla której zamiłowanie prawdy stało się niezrównanym bodźcem pracy nad sobą. Gdy spostrzegła, że miłość własna — która była jej wadą główną — wiodła ją czasami do lekkich uchybień przeciwko prawdzie, tak znieawidziła tę wadę, że od tej chwili wypowiedziała jej bój zacięty i wytrwały: deptała ją niemiłosiernie, aby się przez nią nie dać wyprowadzić na manowce fałszu, a choćby lekkiej przesady. Choć trudnem było dla jej pysznej natury ukochać pokorę, skoro zrozumiała, że *pokora to prawda*, umiłowała pokorę miłością równie silną, jaką miłowała prawdę.

Miłość własna — to w rzeczy samej największy wróg prawości, to pochyła droga ku wszelkiej obłudzie: sprawa ona, że człowiek, chcąc uchodzić za lepszego niż jest, a wstydząc się swych ułomności, starannie je za-

slania, a stroi się w przymioty nie swoje. Łatwo zauważyć ten przejaw, tak w dziecku, jak w osobie dorosłej. Zbłądziło się np. w czym — popełniło się jaką nieuwagę, brak taktu, jaki czyn *niezgrabny* (czego się ludzie bardziej wstydzą niż grzechu), co może ściągnąć naganę, pewnego rodzaju kompromitację... poczyna się zatem człowiek wywijać jak wąż, aby siebie usprawiedliwić. Nie chodzi już wcale o prawdę, tylko  *bądź co bądź* o własne uniewinnienie. Gdy w takim wypadku starsi usiłują przemówić do sumienia dziecka, aby ono swój błąd uznało, widzą w jego oczach, że ono o jednym tylko myśli, a mianowicie o tem, aby wybrnąć cało z trudnego położenia i swoją rację, swoją niewinność wykazać; że zatem nie słucha uwag, aby je *zrozumieć*, ale — aby je *odeprzeć* i na swoim postawić. W swem usprawiedliwieniu idzie drogą węzową: jedno pomija, drugie zmniejsza, trzecie uwydatnia, a co słowo, fałszywą rację podaje.

Kłamstwo jest w tem niebezpieczne, że wciąga w matnię, z której już trudno nieraz się wyplątać, bo jedno kłamstwo zmusza do drugiego, pociąga za sobą szereg fałszów. Najgorsze w kłamstwie, to oszukiwanie siebie. Skłamało się np., chcąc jednak uniknąć przykrego wyrzutu sumienia, poczyna się samemu w siebie wmawiać, że było istotnie trochę tak, jak się twierdziło, i w końcu poczyna się wierzyć temu, co się mówi, — wykrętami poczyna się fałszować własne sumienie, a tą drogą któż wie dokąd zajść można! I czyż nie byłoby lepiej szczerze spojrzeć na swój błąd, i choć przed Bogiem, przed sobą samym mieć odwagę wyznać: „Istotnie, moja, i tylko moja w tem wina... omyliłem się, zbłądziłem! — o jakże jestem ułomny!“

Prawdę należy kochać więcej niż siebie, i dla jej miłości być zawsze gotowym samego siebie poświęcić, potępić nawet! Tego prawda od nas wymaga! Kościół, znając nasz wstręt do uznania się winnym, ułatwia od-

danie tego holdu prawdzie, wymagając, abyśmy przed każdą spowiedzią, porachowawszy się z sumieniem, powtarzali trzykrotnie: moja wina, moja największa wina! przyczem — jako stwierdzenie tej prawdy — każe tyleż razy w piersi się uderzyć. Pomimo tego, jakże bardzo jesteśmy skłonni bliźniego zamiast siebie bić w piersi, mówiąc: twoja wina! tylko twoja wina!

I z tego jeszcze względu miłość własna jest źródłem nieprawości, że ze swej istoty sprawiedliwą być nie może. Miłość własna, — to barwne okulary, przez które patrząc, wydajemy sądy najmniej zgodne ze sprawiedliwością. I tak np. dopiero co nie miało się słów pochwały dla tej osoby, a za chwilę w niwecz obraca się zasługi jej życia. Cóż się to stało? Czyż się ta osoba na raz zmieniła — czy co zdroźnego o niej się dowiedziałeś? Bynajmniej — tylko ta osoba — mimowolnie może — uchybiła ci w czem, pominęła cię... nie ukloniła ci się... i t. p., i to wystarcza tobie, abys ją odsądził od wszelkiej wartości. I czyż naprawdę nie taką jest powszechnie miara sądów ludzkich? Jeśli wśród świata rzadko spotykamy się ze sprawiedliwością, czy nie dzieje się to dlatego, że najczęściej ludzie wydają sądy subiektywnie tylko, i że miłość własna, nie zaś miłość prawdy bywa kryterium sądów?

Świat i stosunek z ludźmi wykrętnymi, oto drugi czynnik, fałszujący sumienie, i wprowadzający fałsz w obyczaj. Świat — wyznać to należy — stoi cały na polityce, na formach bez treści, na obłudzie.

Na świecie wszelka dwulicowość jest obyczajem przyjętą, o tym zaś człowieku mówią że z ludźmi żyć umie, który potrafi schlebiać, wyzyskiwać sytuację, układać się we dług potrzeby, a w każdym zdarzeniu mówić to co wypada, nie zaś to co jest prawdą.

Człowiek młody, obracający się w atmosferze prześląklej fałszem, powoli nagina się do sposobu postępowania

nia swego otoczenia. Z początku świat go raził, oburzał, stopniowo jednak poczyną oswajać się z powszechnym obyczajem, wreszcie całkiem się dostraja do tonu dominującego swego otoczenia — i on poczyną politykować, okłamywać, — zresztą, często widzi się zmuszonym bronić się taką bronią, jaką jest napadany.

Jest zadaniem wychowania uzbroić młodziana przeciwko temu niebezpieczeństwu, ze wszystkich najsubtelniejszemu. Prawość powinna mu być pancierzem, rada zaś Chrystusowa: „*Bądźcie prostymi jak gołębice, a roztropni jak węźowie*“, przewodnikiem w życiu.

Taką podwalinę prawości postawić należy koniecznie w wieku najmłodszym, w wieku, w którym charakter się urabia, a sąd kształci. Niestety! jakże często zdarza się, że właśnie w tym wieku największej wrażliwości, wszystko się jakoby sprzysięga, aby charakter dziecka skrzywić. A najpierw owe bony, nie dość starannie przez rodziców dobrane i dopilnowane, bywają najpospolitszymi sprawczyniami sfalszowania charakteru dziecka. Uczą one wprost okłamywania rodziców: „Nie mów tego mamie — uczą — a jeśli mama się spyta, to powiedz *tak a tak...* a o tem nie mów wcale“ i t. p.

Zła szkoła bywa drugim czynnikiem demoralizacji dziecka. Dziecko, idąc za przykładem kolegów, uczy się różnych nieprawości: podpowiadania, zagładania do książki, podawania cudzej pracy za swoją, usprawiedliwienia fałszem swej nieobecności w klasie i t. p. A na owych egzaminach wieleż to uprawnionych nadużyć na porządku dziennym!

A cóż należałoby powiedzieć o tych rodzicach, którzy sami uczą dzieci wykrętów, którzy nie tem się martwią, że ich dziecko jaki zły czyn popelnilo, lecz tem, że ten jego czyn się ujawnił, — za co je gromią, — którzy sposobiąc dziecko do spowiedzi, uczą je okłamywać kapłana... którzy nielegalnymi środkami wyludzają dla

dziecka promocyę... pozwalają za nie pisać wypracowania... którzy podpisują fałszywe świadectwa i w zмовie z dziećmi całą sieć intryg prowadzą!

Gdy dziecko raz i drugi zada gwałt swemu sumieniu, wmawiając w siebie, że zło jest dobrem, a białe — czarnem, zaciera tem delikatność sumienia, oswaja się z obłudą, uczy się oportunistu; wreszcie, utracą stopniowo *zmysł prawdy*, tak, że ostatecznie wszystko mu będzie prawdą, prócz prawdy. Zwykle niema już dla wychowawcy rady z dzieckiem, które w 14-tym i 15-tym roku życia jest wykrętne, obłudne. Takie dziecko robi wrażenie drzewka stoczonego rakiem: w które im głębiej się sięga nożem, aby je oczyścić, tem na większe próchno się natrafia.

W tem zapewne nieprawość jest największym złem, że jest złem wewnętrznym, że psuje człowieka w jego istocie i że zatruwa w nim te właśnie soki, które go karmić były powinny. Wszelkie zło powierzchowne mniej jest niebezpieczne, i w skutkach mniej doniosłe, niż wewnętrzne. Drzewko obrosłe mchem, wilkami, drzewko na którym robaćtwo się gnieździ, łatwo daje się oczyścić, — drzewko zaś wewnątrz rakiem dotknięte, jest drzewkiem bezpowrotnie straconem. Na próchnie zdrowej gałązki nie zaszczepisz!

Na czem polega szczepienie? Polega na *ścistem zetknięciu miazgi gałązki szlachetnej, z miazgą zdrowej dziczki*; warunkiem zaś dobrego szczepienia jest, aby sok szczepu, w miazdze zawarty, *trafił* do soku drzewka szczepionego, gdyż tą tylko drogą, gałązka szlachetna przelać może w dziczkę swą naturę i własności.

Podobne szczepienie odbywa się w dziedzinie ducha. W tem osobliwym szczepieniu miazga prawdy Bożej, — jako sok uszlachetniający, — również trafić powinna na tę inną miazgę, — na *zmysł prawdy*, — jakim każdy człowiek (zdrowy moralnie) obdarzonym jest, aby w nim do-

pełnić podobnej zmiany, jaką uważamy w szczepionem drzewku.

Co to znaczy kogo przekonać? Znaczy to trafić do czyjegós poczucia prawdy, i na tej podstawie zmienić jego pogląd. Skoro człowiek zrozumiał że *tak jest*, jak ktoś twierdzi, wnet się poddaje, — nie drugiemu człowiekowi — lecz prawdzie, przed którą ukorzyć się każdemu jest chlubą. Przekonać jednak można tylko takiego człowieka, w którym zmysł prawdy w całej pełni żyje i działa. Stąd wniosek jasny, że zasadą wszelkiej nauki moralnej jest: trafić do zmysłu prawdy, t. j. do przekonania, i zniewolić na tej podstawie, co jedynie trwałe owoc zapewnia.

Zdarza się jednak zbyt często, że słowa prawdy spływają jak po szkłe u dzieci, młodzieży, a nawet u osób dorosłych, żadnego na nich nie wywarłszy wrażenia... Jaka być może tego przyczyna? Przyczyny bywają różne, a między innymi — lekkomyślność usposobienia lub zbyt częste przejęcie się sprawami doczesnymi. Zmysł prawdy — ta szlachetna miazga duszy — jest u nich jakoby obumarła, jak miazga dziezek w zimie, gdy pod wpływem chłodu soki nie krążą.

Z powyższych uwag ważna wypływa dla wychowawców nauka: o konieczności rozbudzania i rozwijania w dziecku zmysłu prawdy i zamiłowania w niej, gdyż tylko na tej podstawie dobre szczepienie wiary i moralności przyjąć się może.

Czy jednak młodzieniec, który od lat dziecinnych wskutek różnych wpływów prawość utracił, jest bezpowrotnie stracony?

Ratunek jego w ręku Stwórcy.

Jeśli chce się ratować drzewko stoczone rakiem w nasadzie swej korony, ma się jedną tylko drogę: *obciąć* latorośl do miejsca zdrowego i próbować na niem nowego szczepienia. W taki to sposób Bóg ratuje niekiedy

człowieka obłudnego: ostrzem cierpienia *obcina* w nim próchno nieprawości, upokarza go, oczyszcza i wówczas na nowo przemawia do jego zmysłu prawdy. Droga to jednak długa, bolesna; a doświadczenie uczy, że kto raz sfalszował swój charakter i sumienie, rzadko kiedy na drogę prawości się zwraca.

Powszechne obniżenie — zatarcie nawet — poczucia etycznego, jakie się daje dostrzedz w czasach obecnych, słusznie zatrwaja głębszych myślicieli. Tak bardzo jesteśmy otrzaskani z brudem moralnym, z fałszem, z obludą, że nie sprawiają już na nas wrażenia: z osobliwym uwzględnieniem słuchamy nieraz wieści o najbrzydszych czynach, bynajmniej nie z wyrozumiałości chrześcijańskiej, lecz z pewnego znieczulenia względem zła moralnego. Droga to śliska — co bowiem łatwo usprawiedliwiamy w drugich, łatwiej jeszcze — w chwili pokusy — sobie uwzględnimy. Obniżenie ideału jest zawsze pierwszym krokiem do upadku.

Silne przeciwdziałanie wychowawcze jest w tej mierze niezbędne, a jest w naszym ręku. Łatwym jest dla wychowawcy, — przy nauce dziejów, literatury, — wykształcić w dziecku wzniosły ideał, — zapal do czynów szlachetnych, wstąpić do złych, urobić w niem pogląd etyczny, głęboko wpoić w jego duszę tę zasadę, np. że najlepsza nawet sprawa, złych uczynków — jako to: zdrady, zemsty — nie upoważnia — o czem poezya, — powieść, uczą zazwyczaj odwrotnie; korzystajmy skrzętnie z każdej sposobności, aby w tak ważnej kwestyi sąd dzieci prostować.

Im niżej upada w społeczeństwie dzisiejszem ideał moralny, tem wyżej należy go postawić w wychowaniu: tu energicznej reakcyi potrzeba!

Nie jednego frasuje myśl, że nie kocha Boga z *całego serca, z całej duszy, ze wszystkich sił*, jak tego wymaga

najpierwsze przykazanie, sądzi bowiem, że Boga należy miłować takim samym uczuciem, jakim się miłuje osobę najbliższą. Próżne wysiłki, gdyż Bóg będąc Duchem, duchowo tylko może być miłowany. Chcesz jednak mieć probierz nieomylny, że kochasz Stwórcę, zapytaj sam siebie, czyli kochasz prawdę? Jeśli miłujesz prawdę nade wszystko, — zwłaszcza *więcej niż siebie*, — jeśli dla tej miłości jesteś gotów wszystko poświęcić, jeśli z niewymowną tęsknotą tęsknisz za prawdą, pragniesz jej i łakniesz jak pokarmu, jeśli każdy promień prawdy spotkamy w życiu, napawa cię radością, każda zaś przewrotność boli cię i rani, o, wówczas bądź dobrej myśli, znak to bowiem niechybny, że miłość Boża mieszka w twojej duszy, albowiem Bóg jest prawdą najwyższą, którego wszelka inna prawda jest tylko promieniem, emanacją! „*Błogosławieni którzy pragną i łakną sprawiedliwości*, — powiedział Chrystus Pan, — *albowiem oni będą nasyceni!*“

„*A prawda was wyswobodzi*“ — powiedział Zbawiciel świata Apostołom, sposobiąc ich do zapasów życiowych.

Od czego prawda miała ich oswobodzić? Nade wszystko od jarzma grzechu, a następnie od niebezpieczeństwa fałszywych zasad, gorszących nauk, wreszcie od wszelkiego zawikłania. Co więcej, miała ich wyswobodzić z matni pychy, próżności i miłości własnej, i uczynić ich prawdziwie wolnymi, wolnością dzieci Bożych.

I nam świeci ta sama obietnica, — na to jednak aby prawda nas wyswobodziła, aby mogła nam być istotnie: *busolą, kotwicą i przystanią* w życiu, aby nas przeprowadziła bez szwanku wśród wirów i prądów, powinna być głęboko w duszach naszych ugruntowaną, i stanowić jakoby nutę dominującą naszego charakteru.

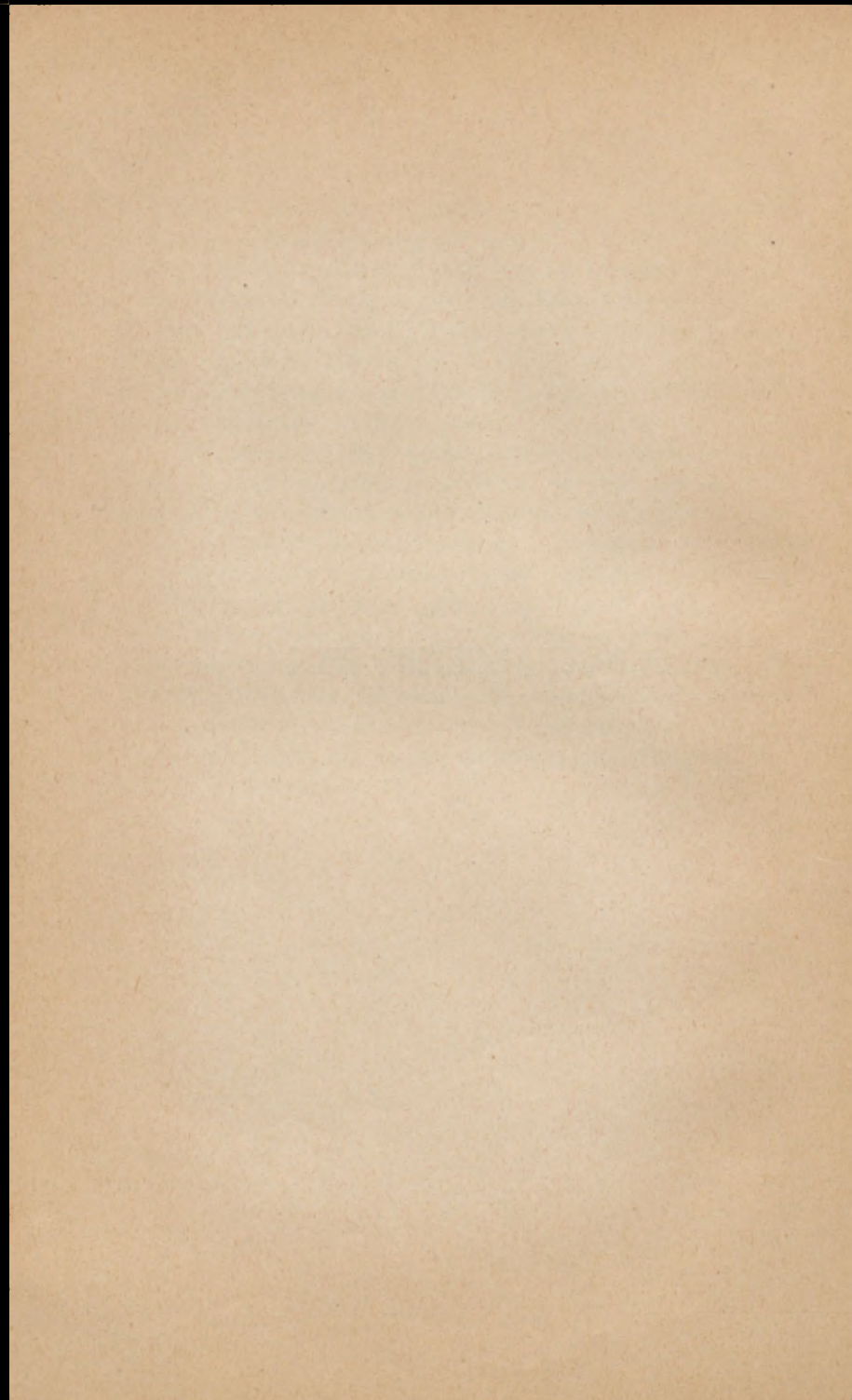
Przyznać wszakże należy, że trafiają się w życiu położenia tak trudne, że niewiadomo jak z nich wybrnąć bez obrażenia prawdy: pogodzić prostotę gołębia z roztropnością węża, wydaje się niekiedy niepodobieństwem.

Cóż czynić w takich wypadkach? Otóż doświadczenie dowiodło niejednokrotnie, że właśnie w takich zawikłaniach, jedynym ratunkiem jest, — zdać się na Opatrzność Bożą, i wybrać drogę najprostszą; zdarza się bowiem, że w obec prawości, najbieglejsza polityka jest jakoby bezradną. Prawość jest tu jak ta nić Ariadny, która z labiryntu największego zawikłania, jedna, mocną jest człowieka zwyczajko wyprowadzić.

Nie mogłaś może, matko, zapewnić swemu dziecku majątku, wykształcenia, stosunków, — jeśli jednak zdołałaś chrześcijańskim wychowaniem wszczepić w jego serce gorące zamiłowanie prawdy, — zbawiłaś swe dziecko, a społeczeństwu przysporzyłaś użytecznego członka, na którym jak na skale oprzeć się będzie mogło. Prawość przysporzy mu, — nie przeczę — niejednego zawodu lub cierpienia, a nawet może prześladowania, gdy jednak wspomnisz na słowa Zbawiciela „*Błogosławieni którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości*, — nie będziesz się lękała dla swych dzieci tego szlachetnego znamienia wybranych.

---

O KSZTAŁCENIU WOLI.





## MIEKKOŚĆ ŹRÓDŁEM CHOROBY WOLI.

---

„Mądrość Pańska nie mieszka u żyjących rozkosznie“.

Jest godnem zastanowienia, że niebrak w kraju naszym na żadnym szczeblu społecznym, ludzi zdolnych, że nie brak nam ani fachowców, ani uczonych, ani literatów, ani artystów, ani wynalazców, że niebrak nam także ludzi zacnych i pracowitych, przecież prawdą jest, że ilekroć zdarza się potrzeba człowieka odpowiedniego dla objęcia jakiego naczelnego stanowiska, wnet osobiwa zdradza się u nas pustka.

Oglądasz się w prawo i w lewo, i nie znajdujesz człowieka.

Stąd też dzieje się, że u nas — i to nie jedno ważne stanowisko — obsadzone bywa przez osoby najmniej po temu uzdolnione.

Czem się to dzieje, i gdzie szukać winy?

Dzieje się to tem, że zalety, które nas zdobią, wystarczają nam poniekąd w życiu prywatnem, w codziennych powinnościach, nie wystarczają jednak na arenie społecznej, w obowiązkach życia publicznego, — tu bo-

wiem czegoś więcej potrzeba nad dobrą wolę i zdolność, a nawet nad umiejętność fachową, tu trzeba: *wyrobienia, hartu i głowy*, a tego właśnie najbardziej nam brak. Ten zaś dotkliwy brak obwinia miękkie wychowanie, jakie powszechnie dzieciom naszym dajemy.

Jako rezultat tej miękkości, trwonią się u nas najdrogocenniejsze dary Boże. Jest zdolność, — ale ta zdolność marnuje się nieraz próżnowaniem. Jest majątek, — dobre imię, są stosunki, ale i te wskutek folgowania sobie, nie na wiele się krajowi przydają, bo obracają się wyłącznie ku celom osobistym. Jest u niektórych wiara, dobra wola, a nawet wyższy ideał, ale i tu miękkość sprawia, że wiara pozostaje martwą, że wola nie przekracza granic zachcianek, że ideał ogranicza się na deklamacjach i aspiracjach, a życia nie przenika, wreszcie, że najlepsze chęci obracają się tylko w dziedzinie uczucia, a owoców nie wydają... że lada przeciwność obala, lada zawód zniechęca, lada trud łamie, lada pokusa porywa!

Miękkość jest to czynnik psychiczny, najbardziej rozkładowy, — jest to rak, mocen stoczyć najzdrowszy organizm. Miękkim dlutem nie wyrzeźbisz, na miękkim kruszcu trwałego śladu nie zostawisz.

Miękkość wpływa najpierw na wolę, wola na czyn, czyn na obyczaje.

Miękkość jest jedną z cech znamienych naszego stulecia, i to nietylko w naszym kraju, ale na całym ucywilizowanym świecie. Złagodnieliśmy pod ożywczym, a miłości pełnym promieniem ewangelicznym, — to prawda, — energia złego — w jej zewnętrznych objawach — zmalała, ale przyznać należy, że zmniejszyła się także energia dobrego, a wola — na ogół mówiąc — stępiła. Dzieje się to zapewne skutkiem różnych cywilizacyjnych czynników i wynalazków, ułatwiających pracę, a również skutkiem rozwielenienia niechrześcijań-

skich pojęć o prawie do nieograniczonego używania, o dobrobycie każdemu niezbędnym, o uwzględnieniu praw natury... i t. p.

Tak dalece rozbałamuciliśmy się różnemi ułatwieniami, jakich nam obecna cywilizacya dostarcza, iż chcielibyśmy wszystko bez pracy, jakoby poruszeniem palca, zdobywać — i wiedzę, i cnotę, i nawet królestwo niebieskie, a uważamy siebie za srodze pokrzywdzonych, skoro żądają od nas najlżejszego wysiłku, ofiary.

Dziwnie też miękka stała się pobożność wielu. Dawniej korzono się przed Stwórcą leżąc krzyżem, dziś modlimy się, rozkładając się po wyściełanych kłęczniakach, a nawet leżąc w łóżku! — i to przy dobrem zdrowiu.

Zbyt wiele się na to złożyło, — sprzysięgło poniekaąd — aby wytworzyć obecny porządek rzeczy, wychowanie zaś, zamiast energicznie przeciwdziałać zgubnym prądom, zamiast hartować fizycznie i moralnie, samo porwane niejako wirem, niemal się przyczynia do rozpieszczenia młodzieży.

Osobliwie miękkim stał się kierunek wychowawczy ostatniej doby, co płynie po części z zasady wychowawczej, wykształconej na podstawie nowych poglądów i prądów, jak również ze słabości samych wychowawców, nie mających ani siły, ani przekonania do nadania wychowaniu innego impulsu.

Obecnie, zasadą wychowawczą jest, — jak to już kilkakrotnie zaznaczono wyżej — folgować dzieciom we wszystkim, a nie wymagać od nich niczego.

O zasadzie chrześcijańskiego umartwienia — z którego płynie panowanie nad sobą, — nikt nie śmiały już dziś wspominać, w stosunku do wychowania. Wymagać od dzieci aby czegokolwiek sobie odmówiły, coś zniosły, poddały się jakiemu skrepowaniu i t. p., uważanem byłoby dziś za resztki średniowiecznego despotyzmu.

Matki przeważnie bawią się swemi dziećmi, ale ich nie wychowują, dogadzając zaś sobie, niczego swym faworytom odmówić nie są zdolne. Nawet w rodzinach średniej zamożności, dzieci opływać muszą w stroje, dostatki i kosztowne cacka, wcześniej bywają wprowadzane w wir światowy, gdzie widzą obyczajem przyjęty egoizm, próżność, zmysłowość i próżnowanie. Przykład działa. Najgorzej zawsze dzieje się tam, gdzie dobrobyt sprzyja miękkoci, i gdzie duch świata przewodniczy.

Nikt dzieci nie uczy pracy i panowania nad sobą, nikt im nie powiada, że należy kontrolować nie tylko każdy swój czyn, lecz jego zasadę i pobudkę, myśl nawet najskrytszą, że należy siebie karcić i karać w potrzebie... że jest obowiązkiem w pocie czoła spełniać swe powinności, zdobywać wiedzę, dźwigać odpowiedzialność, wywalczać stanowisko... Ani im więc przez myśl nie przejdzie, aby należało czego sobie odmówić, a tem bardziej komu się poświęcić. Inne zupełnie świecą im wzory — cóż dziwnego, jeśli dzieci czują się w prawie zdążyć za nimi.

Przywary nie zwalczane za młodu, z wiekiem dziwnie się potęgują. Kto w wiosnie życia był lekkomyślny, nieakuratny, nieobowiązkowy, samolubny, rozpieszczony, kto przywykł wykręcać się od każdej odpowiedzialności, a zrzucić z siebie wszelkie skrepowanie, ten w wieku dojrzałym będzie skończonym egoistą, pasożytem, i najbogatsze uzdożnienie zmarnuje.

Jako skutek tak miękkiego wychowania, nikt już na prawdę walki ze swemi namiętnościami nie prowadzi, a jeśli kto w sobie jakie zło dostrzega, to na to tylko, aby nad sobą czynić analizy, studia psychologiczne, w których chętnie się przyjmuje rolę bohaterów, ofiar temperamentu, w tej próżniaczej robocie denerwując się do reszty. A któż nie wie, że nerwy, — stanowiące nie-

kiedy bardzo wielką siłę, źle skierowane, stanowią bardzo wielką słabość?

Choroba woli, — dziś tak już rozpowszechniona, jest u wielu oplakany skutkiem miękkości obyczajów, a w dalszej konsekwencji, ulegania nerwom.

Obyczaje w rodzinach uległy już znacznie wpływowi poglądów nowożytnej filozofii i ducha czasu.

Niedawnymi jeszcze czasy, — bo przed kilku dziesiątkami lat, — było zasadą przyjętą w rodzinach, że młodzi powinni ustępować starszym, dla nich się krępować, do nich stosować swe zamiary, i że starszym należy się pierwszeństwo we wszystkim, a więc, w wygodach, w pomieszczeniu, w lepszym kawalku z półmiska i t. p. — dziś przeciwnie, starsi na każdym kroku ustępują młodszym, dla nich się krępują, do nich stosują.

„Za moich czasów — mawiał pewien ojciec rodziny — gdy byłem dzieckiem, nie jadłem kurcząt, bo mówiono, że kurczęta to tylko dla starszych, dziś kurcząt nie jadam — bo twierdzą, że kurczęta to tylko dla dzieci. Najgorzej więc na tem wyszedłem że się dawniej urodziłem!“

Dosadny ten obraz barwnie maluje, co w każdej okoliczności obecnie jest duchem czasu. Dawniej dzieci podróżowały w niewygodach, co ich zdrowiu bynajmniej nie szkodziło, owszem, co je hartowało, — dziś, mowy o tem niema, aby dzieci z rodzin zamożniejszych podróż nocną odbyły inaczej jak w sleeping-cara'ch, bo jakże mogłyby być pozbawione choć na jedną noc niezbędnej im wygody? Dawniej noclegi w oberżach były radością dla dzieci, dziś narzekają na różne braki w wykwiutnych hotelach!

Aby się przekonać, jaką jest miękkość młodej naszej generacji, przypatrzmy się jej tylko w czasie upałów. Panienki, przybrane w negliże, zawieszają się w ha-

makach w cieniu drzew, gdzie wachlowanie całem ich zajęciem, chłopcy czynią jeszcze lepiej. Słyszałam o takich, którzy w dni gorące siedzą całemi godzinami w wodzie, — rodzice zaś, choć o tem wiedzą, nie mają odwagi wzbronić im tego osobliwego sposobu chłodzenia się, które niejednokrotnie nabawia choroby!

Narzekanie jest dziś, — u młodych zwłaszcza, — na porządku dziennym — narzeka się na wszystko, bo nie znieść nie można! Narzeka się, raz na upał, raz na słotę, inną razą na zaduch, narzeka się na obowiązek, na nauczycieli, na rodziców, w czem młodzi robią wrażenie istot stworzonych dla używania, nie zaś do spełnienia jakiejś powinności. Tak źle jest teraz, że już czas na reakcyę!

I cóż dziwnego, jeśli w takich warunkach wychowawczych, szara miernota charakterów coraz bardziej się mnoży, jeśli brak nam filarów społecznych, powołań kapłańskich, zwłaszcza w szeregach klas wyższych, jeśli coraz rzadszemi są przykłady czynów bohaterskich, wielkich ofiar i poświęceń, jeśli kwiat świętości już rzadko kiedy wśród nas się rozwija?

Złagodnieliśmy, — to prawda, — aleśmy także nadmiernie zmaleli!

Niejedni barbarzyńcy, nie zbałamuceni zasadami pozytywnej filozofii i nie rozpieszczeni wygodami niechrześcijańskiej cywilizacyi, zawstydzają nas nieraz swym zdrowym rozsądkiem i poglądem. Indyjanie np. wiedzeni instynktem samozachowawczym, mają to przeświadczenie, że hart jest niezbędnym warunkiem dobrego wychowania, zwłaszcza dla chłopców: potrafić znieść wiele, jest dla nich ideałem cnoty, warunkiem wyższości; kształcą przeto swe dzieci w wytrzymałości od lat najmłodszych. Wprawiają je w męzne znoszenie bólu, zmęczenia, głodu, upału, i w tym celu kaleczą je umyślnie, głodzą, narażają na utrudzenie gonitwy i walki na piekącym słoń-

cu i t. p. Osobliwym też sposobem doświadczają młodzian. Aby się przekonać o wytrzymałości tych, którzy chcą zostać wodzami—(wytrzymałość bowiem według nich jest warunkiem dzielności), poddają ich następującej próbie. Tym, z liczby których mają wybierać, przywiązują powyżej ramienia worki napelnione zjadliwemi mrówkami, i tak przez długie godziny ich trzymają, śledząc, czy na ich obliczu nie dopatrzą skrzywienia, czy z ust ich nie usłyszą choć lekkiego syknięcia. Najwytrwalszego w zniesieniu tej męki pasują na wodza, gdyż sądzą, że ten niezawodnie najlepszym być potrafi zwierzchnikiem, który jest najhartowniejszy.

Jakże wymowna dla nas w tem wskazówka, dla jakiej przyczyny my, w swych szeregach, sterników nie znajdujemy i nie mamy ich na te stanowiska, które objąć mogliby.

Zanik woli — to jedna z najpierwszych konsekwencyi powszechnej miękkosci. Nie umiemy dziś chcieć, bo nie czujemy w sobie siły przezwyciężenia trudności, bo lękamy się lada wysiłku. a uciekamy od każdej przykrości, wreszcie, bo nie jesteśmy w stanie sobie czegokolwiek odmówić.

Na to aby chcieć stanowczo, i swoje chcenie w czyn wprowadzić, niezbędne są dwa warunki: wiedzieć *dla czego się chce*, -- t. j. mieć zasadę do czynu, i mieć *siłę* wyrobioną do przeprowadzenia tego, co rozum uznał za słuszne. Brak nam jednego i drugiego, — brak nam *zasady i woli*.

Tu otwiera się missya wychowawcza niezmiernej wagi, najmniej jednak powszechnie zrozumiana.

Prawdą jest, że obecnie kształcimy się wszechstronnie, wolę tylko zostawiamy odlogiem, a w każdym razie niedostatecznie o niej w wychowaniu pamiętamy i zbyt rzadko nią się posługujemy. A podobnie jak członek nie

używany, nie ćwiczony sztywnieje, tak też wola nasza nie kształcona *zanika*.

Z łaski Bożej spostrzeżono się od niedawna, że ów zanik woli jest w skutkach oplakany, na potęgę tedy poczęto złemu zaradzać.

W tym celu, psychiatrzy, pedagogowie, wymyślają dziś różne ćwiczenia gimnastyczne dla woli, a nawet mechaniczne sposoby kształcenia jej, a o ile do tej pory małe przyznawano znaczenie woli, upatrując w niej według systemu deterministów, tylko nieodpowiedzialne narzędzie kosmicznej ewolucyi, instynktu, temperamentu, (co doprowadziło do uniewinniania zbrodni i zniesienia wszelkiej odpowiedzialności), o tyle teraz budują świetne nadzieje na kształceniu i kierowaniu tejże woli, co czynią na podstawie rozumowań filozoficznych i w celach czysto doczesnych. Istnieje dziś zupełnie nowa nauka „o kształceniu woli“<sup>4</sup> \*).

W tym kierunku należy też matkom zwrócić swą pracę wychowawczą, a przyznać trzeba, że wiele jest w tej mierze do czynienia, gdyż jak widzieliśmy, wszystko się niejako sprzysięgło, aby wszelki hart w dzieciach przytępić.

Ale jakże tego od matek wymagać, skoro one same o żadnym harcie ducha, o żadnej stałej zasadzie nie mają wyobrażenia? Jak zostały wychowane, tak dalej młode generacje wychowują.

---

\*) Nie podaję w niniejszych kartkach szczegółowych wskazówek kształcenia woli, z przyczyny że w tej kwestyi istnieje już bardzo użyteczny podręcznik „O kształceniu woli“ przez J. Pajot, przekład z francuskiego J. K. Potockiego.

Polecam rodzicom i wychowawczyniom drugą część tomu tej pracy, zatytułowana: „Część praktyczna“ jako zawierającą wiele użytecznych uwag i wskazówek. Część pierwsza, jako czysto teoretyczna, jest nieco zawila i ciężka do czytania.

Wobec powyższych uwag, cóż za postanowienie matka uczynić powinna? Pracować nad dzieckiem? Zapewne — ale najpierw pracować nad sobą, — tępić w sobie miękkość, a kształcić wolę, aby tą pracą uzdolnić się do pracy wychowawczej.

Matko! czego do tej pory nie dokonałaś w celu własnego udoskonalenia, dziś to wykonać możesz i powinnaś, powodowana miłością macierzyńską, to zaś, czego dokonasz dla własnego urobienia, niewątpliwie i twemu dziecku posłuży \*).

---

\*) W kwestyi kształcenia woli tak poucza „Droga odrodzenia“:

„W życiu, do którego się zabieramy, nakażmy sobie pewną akuratność, np. godzin wstania, pracy i t. p. i tej trzymajmy się ściśle pod grozą pewnych kar, z góry określonych. Posługujmy się wolą w rzeczach choćby najdrobniejszych, jako to np. w powściągnięciu ciekawości i pospiechu, bądź w otwarciu listu, w posłuchaniu lub doniesieniu nowinki, bądź w ujarzmieniu wrodzonej gadatliwości i t. p. W tej pracy nie używajmy *pół-srodków*, które do niczego nie prowadzą, a tylko denerwują, — pamiętajmy też o tem, abysmy z góry nigdy *nie wątpili*, ażali dokonamy rzecz postanowioną, i abysmy nie dopuszczali namysłu w chwili wykonania postanowionego czynu: namysł bowiem, dopuszczony do rady, jest zawsze najgorszym doradcą, bo jest naturalnym sprzymierzeńcem dawnej rutyny, lenistwa, namiętności... a więc wyboru *pół-srodków*.

Wahanie w chwili rozpoczęcia boju. — to pewnik przegranej.

Najgorzej raz ustąpić, — natura bowiem uzuchwalona aktem słabości, w chwili pokusy — na podstawie wyrozumowanych dowodzeń — natarczywie ponownego ustępstwa domagać się będzie i takowe z pewnością uzyszcze.

Gdy człowiek zwierzęciu ustąpi, i choć *raz jeden* swojej woli względem niego nie przeprowadzi, zwierzę wnet się narowi. Nie co innego dzieje się, gdy *człowiek dusza* ustąpi *człowiekowi zwierzęciu*: lenistwo, zmysłowość, humor, fantazyja, wnet górę w nin biorą, i poczynają prawa dyktować. Tego więc nigdy nie dopuszczajmy, owszem — ostro trzymajmy się, idźmy rączo, odważnie, wesolo, — do czynu! a jak gimnastyką siły fizyczne rozwijamy, podobnie i wolę naszą różnemi ćwiczeniami gimnastykujemy, aby w sprawie postępu, wola stała się nam sprzymierzeńcem, nie zaś wrogiem.

I nie zniechęajmy się trudem, po niejakiem bowiem czasie takiej systematycznej nad sobą pracy, dziwne, a dotąd nieznanne zadowolenie odczu-

Pracując nad sobą, matka pracuje też równocześnie nad dzieckiem. W tej mierze wszystkie rady, zawarte w niniejszych kartkach, będą jej wskazówką. Radzę ci jednak — tu jak zresztą wszędzie — nie rafinować i nie przesadzać, lecz trzymając się stałej zasady, pracować z możliwą prostotą.

Nie dosyć jednak tego, że nad dzieckiem będzie się pracować, — w miarę jego umysłowego rozwoju powinno się je nauczyć, aby samo nad sobą pracowało. A więc uczyć je należy, jak ma panować nad własnem usposobieniem, rachować się ze spełnienia obowiązku, czasami czego sobie odmówić, w zabawie drugim ustępować, stosować się do życzeń bliźniego, a nawet dla niego się poświęcać. Należy wprawiać je, aby na zawołanie umiało się oderwać od najweselszej zabawy, zajmującego czytania, miłego towarzystwa, aby umiało się naginać do okoliczności i wymagań starszych. Giętkość i łatwość charakteru jest cenną zaletą, kobietom zwłaszcza niezbędną. Niechaj dziecko wcześniej zakosztuje pociechy, jakiej się doznaje ze zwycięstwa odniesionego nad sobą.

Starsze dziecko powinno w miarę możliwości samo sobie wystarczać z usługą — i tak np. zasłać sobie łóżko, wodę przynieść i wylać, odzienie oczyścić, a nawet w niejednym, o ile zdoła, drugim dopomódz, co będzie dla niego znakomitą wprawą w praktyczność i samodzielność. W tem niech swą wyższość zakłada, aby samo najwięcej potrafiło a drugim najmniej ciążyło. Za oddaną przysługę lub udzieloną pomoc niech szczerze wdzięczne będzie.

---

wać będziemy w głębi duszy, i tak wyćwiczwszy wolę na rzeczach drobnych, zdolni będziemy zapanować nad sobą w rzeczach ważnych... nad wybuchem gniewu, nad poruszeniem serca, i zasłużymy wreszcie, po życiu walki, pracy i czuwania na wieniec nieskazitelny, obiecany w wieczności walecznym i wytrwałym.“ Str. 404.

Nie należy też dziecku pozwalać, aby dla zachcianki, humoru, kapryśnie przechodziło od zabawki do zabawki, od zajęcia do zajęcia, lecz niech wyczerpnie każdy sposób zajęcia lub rozrywki, zanim przejdzie do drugiego.

Tem, że starsi służą dzieciom na zawołanie, że je karmią esencją tego co wykwiłtne, zajmujące i wrażliwe, że im sprawiedliwość wymierzają na uncye, tłómacząc się im z każdego swego czynu, — nadmiernie je rozdelikacają, czynią je wymagającymi, a bynajmniej nie sposobią je do zapasów życiowych... bo jakże często w życiu trzeba umieć *poczeekać, przeczekać i znieść nudę*, a co trudniejsze — przed krzyczącą niesprawiedliwością głowę schylić; jakże trzeba potrafić nad pracą fałdów przysiedzieć, umiejętność w pocie czoła zdobywać, a każdy krok naprzód przebojem stawiać, niczem się nie zrażając. Dziecko chowane miękko, pieszczotliwie, tego nie potrafi, ani w wieku młodocianym, ani tem bardziej później, — pierwsze cierpienie je złamie, pierwsza pokusa porwie.

Gdyby wychowanie kształciło młodzież raczej w kierunku cierpliwości i pracy, niż sukcesów światowych i używania, gdyby dawało chrześcijański pogląd na życie i obowiązki, mniej dziś zapewne liczylibyśmy ludzi w kwiecie wieku rozgoryczonych, pesymistów, mniej byłoby wypadków samobójstwa, a na brak filarów społecznych nie przyszłoby nam narzekać!

Ważnem jest też zadaniem wychowania, wykształcić w dziecku odporność względem zła: bowiem pomimo najusilniejszych starań, nie jesteśmy w stanie ochronić je od zgorzenia, — prędzej czy później spotkać się z niem musi. Otóż wychowanie powinno tak je urobić, aby wobec pokusy miało dość hartu i woli do odparcia złego; aby potrafiło w potrzebie rzucić złą książkę, zerwać z przewrotnym kolegą, zaniechać niewłaściwej rozrywki, usunąć się od gorszącej rozmowy; aby miało od-

wagę swych przekonań i względami ludzkimi się nie powodowało. Wszakże nie w tem wartość człowieka — aby z cnotliwymi był cnotliwy, ale — aby nawet wśród gorszy-  
cieli potrafił trwać przy cnocie.

Niechaj dziecko — zwłaszcza jeśli to syn, — będzie odważne, dzielne, przedsiębiorcze, wytrzymałe i wytrwałe, rozbudzać w niem też trzeba ducha inicjatywy, je-  
śliby tego usposobienia nie miało z natury. Niech łamie przeszkody, obmyśla środki, boryka się z trudnościami, zdobywa, wywalcza — wszystko to bowiem kształci cha-  
rakter, a wolę hartuje. Trudno wprawdzie, a nawet nie-  
podobna sztucznie wytwarzać dziecku ciężkie warunki bytu, niemniej prawdą jest, że ten tylko jest prawdziwie hartowny, kto za młodu przeszedł przez trud i pracę, i że ten jedynie dzielny się zwać może, który własną pracą potrafił zdobyć wykształcenie, majątek, stanowi-  
sko. Nie jest więc roztropnie wysilać się w tym kierunku by wygładzać i równać dzieciom ścieżki życia, bo tem mnoży się tylko pieścuchów i egoistów, a szczęścia im się nie przysparza. Nie pieścuchów przecież potrzeba społeczeństwu, ale ludzi czynu i poświęcenia.

Cechą naszej narodowości jest, że przy wielu cen-  
nych zaletach jesteśmy nieakuratni, niedokładni, nieporządni, nieobowiązkowi, niewytrwali i niewyrachowani, co niezawodnie płynie z naszej wrodzonej miękkości i braku nawyknienia do panowania nad sobą, a czego konsekwencyą, że cudzoziemcy, — Niemcy, Francuzi, Ormianie, Żydzi i t. p. — więcej od nas w tej mierze wyrobieni, prześcigają nas na każdym polu działalności, i na naszej ziemi chleb z ręki nam odbierają. Otóż — byłoby także zadaniem wychowania — tym wszystkim naszym niemocom przeciwdziałać, wprawiając dzieci od lat najmłodszych w cnoty nam najpotrzebniejsze, co by-

łoby dla ich woli znakomitą gimnastyką, a skuteczną bronią przeciw miękkości.

Oczywiście, że wychowanie w taki sposób pojęte i pokierowane zabawką nie jest — ale trudem, wszakże trudem obfitującym w pociechy, a przynoszącym z sobą nagrodę.

„Narody są uleczalne“ — powiedział filozof, — uleczalnymi jednak być mogą pod tym jednym warunkiem, jeśli matki zechcą być lekarzami w swoich rodzinach, i wezmą się energicznie przy ognisku domowym do dzieła reformy i naprawy.

---

Z uwagi, że nałóg być może potężnym działaczem w życiu człowieka, — dodatnim albo ujemnym, posługiwać jego woli albo ją ubezwładniać, użytecznem będzie poświęcić chwil kilka zastanowieniu się nad tym przedmiotem \*).

Łatwiej złożyć arkusz papieru, który już był raz złożony, — pisze W. James — a jeżeli arkusz leżał złożony przez czas dłuższy, to potem sam prawie będzie się składał, bo nabrał nałogu składania się. Bliznę łatwiej urazić, niż miejsce zdrowe, a staw zwicnięty łatwo ulega nowemu zwicnięciu, bo, można powiedzieć, utworowała się droga, którą już łatwiej przebyć.

Wiemy, że woda płynąca draży sama sobie kanał coraz szerszy i głębszy, a jeśli płynąć przestanie i po przerwie znowu płynąć rozpocznie, wraca do łożyska, które wyłobliła sobie poprzednio, wraca do drogi, którą sobie utworowała.

Tak samo dzieje się z mózgiem człowieka: każda silna, albo często powtarzana myśl pozostawia po sobie

---

\*) Uwagi, zawarte w tym ustępie, opierają się na dziele profesora Williama Jam'sa „Filozofia praktyczna“ (tom III, w przekładzie dr. Radziwiłłowicza).

śląd, który robi się coraz głębszy. Przy pierwszym przejściu myśl napotyka na pewne przeszkody, które usuwa, potem coraz bardziej toruje drogę, aż wreszcie utworzy kanał, po którym swobodnie sobie płynie, nawet bez naszej wiedzy.

Każdy nasz ruch, każda najdrobniejsza robota połączona jest z myślą. Przypatrujmy się dziecku, kiedy się ono po raz pierwszy ubiera, a zauważymy, jak ono usilnie pracuje myślą i rękami przy zapinaniu każdego guzika, jak mu się on wysuwa i z dziurki, i z rączki, jak dziecko stara się go pochwycić, jak się cieszy, kiedy mu się to uda. W parę dni już robota idzie łatwiej, bo w mózgu utorowała się droga do tej roboty. A my prawie bezwiednie się ubieramy. I nie to tylko: bezwiednie prawie przebywamy codziennie drogę z mieszkania do biura, czy warsztatu, zapalamy lampę o zmierzchu, robimy sto innych rzeczy. Bo myśli, które są związane z temi czynnościami, wyłobily sobie już raz na zawsze dogodną drogę, którą przebywają bez trudu.

Przyjrzyjmy się staruszce, robiącej na drutach, albo rybakowi, szyjącemu sieć, kowalowi, kiedy kuje żelazo, cieśli, kiedy robi toporem, tkaczowi, poruszającemu warsztatem — mogą nie myśleć o swojej robocie, a jednak wykonywają ją dokładnie. Ale niech kowal weźmie topór, albo cieśla druty do ręki, ile to wysiłków zużyje, ile to namyśli się, narozumuje, nim coś niezręcznie wykona: bo ta robota nie utorowała sobie jeszcze drogi w jego rozumie, w jego mózgu, nie przeszła w nałóg.

Widzimy więc, że nałóg upraszcza ruchy, potrzebne do osiągnięcia jakiegoś celu, robi te ruchy bardziej dokładnymi, ścisłymi i zmniejsza stopień wysiłku.

Gdyby nie istniał nałóg, człowiek musiałby codziennie dużo się namyślać nad najdrobniejszą rzeczą. Cały dzień byłby zajęty ubieraniem się i rozbieraniem; każde umy-

cie się, zapięcie guzika, byłoby dla niego niezmiernie trudne. To wyczerpywałoby jego uwagę zupełnie i nie pozwalało na żadną pracę, żadną myśl inną, żaden postęp.

Widzimy, jak ważną rolę w życiu człowieka odgrywa nałóg: ułatwia nam ogromną liczbę pożytecznych i mniej zawikłanych czynności. oszczędza nam wiele wysiłków, zostawia swobodę działania wyższym siłom duchowym.

Niema nieszczęśliwszego człowieka nad tego, który nie posiada innych nałogów nad chwiejność postanowień, dla którego każde zapalenie papierosa, wypicie każdej szklanki, każde wstanie z łóżka i każde udanie się na spoczynek, zaczęcie każdej roboty — wymaga każdorazowo wysiłku i świadomej woli.

Ważne tu jednak nasuwa się zagadnienie: jak odzwyczajając się od nałogów szkodliwych i przyzwyczajając do pożytecznych:

- 1) Postanowienie każde musi być silne i stanowcze.
- 2) Nie wolno dopuszczać żadnych wyjątków od raz zrobionego postanowienia.
- 3) Należy chwytać każdą nadarżającą się sposobność do działania w kierunku powziętego postanowienia.

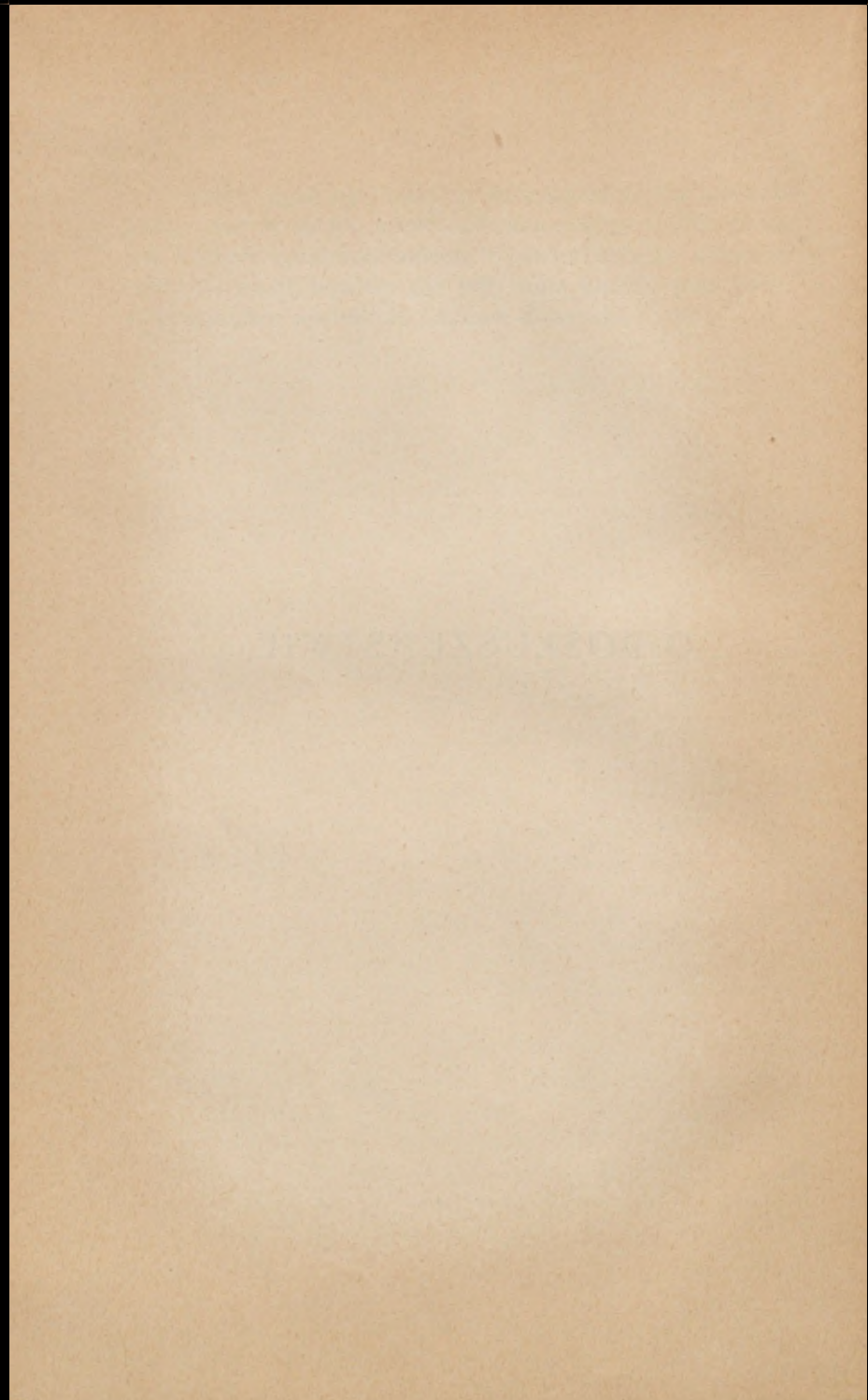
Inaczej mówiąc: postanowiłem nieodwołalnie, nie pozwalam sobie na żadne zboczenie, coraz dorzucam jakiś czyn, który rozszerzy w moim mózgu drogę dla pożytecznej myśli.

Każdy, najslabszy nawet przejaw cnoty lub występku, pozostawia ślad po sobie, zapisuje się na użytek następnego takiegoż czynu. Nic z tego, co robimy, nie przepada. Tak samo, jak stajemy się nałogowymi pijakami przez pojedyncze a liczne upicia się, tak samo stajemy się godnymi czci, powagami w życiu i w nauce — przez pojedyncze czyny i pojedyncze godziny pracy.

Nałóg może być naszym sprzymierzeńcem lub wrogiem, i to w dużej części od nas zależy. Gdy nałóg jest naszym sprzymierzeńcem — zwykliśmy go nazywać cnotą — cnota bowiem nie jest czem innym, jeno przyzwyczajeniem spełnienia czynów dobrych.

---

O POSŁUSZEŃSTWIE.





**K**ształcenie woli jest niewątpliwie jednym z najważniejszych zadań wychowawcy, — na nic bowiem najlepsze zasady się nie przydadzą, jeśli wola w czyn ich nie wprowadzi. Ponieważ na drodze posłuszeństwa najpierwsza gimnastyka woli dziecka, wypada nam poświęcić chwil kilka zastanowieniu się nad tym przedmiotem.

Pod wpływem etyki pozytywistycznej rozwinęły się różne poglądy wychowawcze, które — jak widzieliśmy na wstępie, — nami powodują; warto im się przyjrzeć w szczegółach.

Jakie założenie, takie następstwa.

Skoro natura dziecka dobrą jest, — co jest punktem wyjścia pozytywizmu, — po co ją krępować?... zostawić ją własnej skłonności, a najszlachetniejszym popłyynie korytem. Taka jest teoria — zastosowanie nie mniej konkretne, zbudowane na ścisłej logice.

Zupełna swoboda dzieciom się należy, bowiem w tej tylko swobodzie wykształcić się może charakter dziecka, jego samodzielność, indywidualność; — przepisy zaś, posłuszeństwo, rygor, — krępujące polot ducha i samodzielność,

działają przygnębiająco, wytwarzają w dziecku układność, szablon, rutynę, kaleczą jego naturę i najgorsze wydają owoce ciasnoty umysłowej, — tej plagi ludzkości, — kształcą niewolników, nie zaś ludzi takich, jakich nam dziś potrzeba. W posłuszeństwie źródło martwoty ducha, bezmyślności i zastoju. Dobrem być mogło posłuszeństwo za dawnych czasów, gdy ciemnota świat zalegała, a rodzaj ludzki, na impuls z góry dany, poruszał się niejako automatycznie. Dziś, skoro każdy przeciętny śmiertelnik własnym rozumem rządzić się może, posłuszeństwo przestaje mieć ratę bytu. Wyrzec się wolności, a skrupować uległością, poddać się pod rygor — to akt nierozumu, zacofania, jest to bowiem wyrzec się najcenniejszego daru przyrody, jest to okaleczyć własną naturę, której z prawa wolność się należy.

„A zresztą — dodają niektórzy, chcąc dosadnym argumentem trafić do przekonania wierzących, — wszakże Bóg stwarzając człowieka, stworzył go wolnym i obdarzył wolną wolą, której sam w nim nie narusza, — niech więc człowiek nie odbiera człowiekowi tego, co Bóg dał i uszanował. Rozwijajmyż młodzież, kształćmy ją, ale broń Boże, nie krępujmy jej!”

Łatwo zrozumieć, że wobec powyższych poglądów, sam wyraz: posłuszeństwo, karność, a tem bardziej „rygor” — budzić musi niejako wstręt i ohydę!

To wszystko wygląda bardzo pięknie i pozorem prawdy niejednego ludzi, przecież przy bliższem zastanowieniu okazuje się, że te dosadne argumenty wytrzymać nie mogą krytyki zdrowego rozsądku i doświadczenia, i że w tym ogniu wnet topnieją.

Aby się o tem przekonać, niezbędne jest nade wszystko porozumienie: czem jest właściwie posłuszeństwo w swej zasadzie? czem rygor i karność?... czy każdy rygor dobrym jest? wreszcie, jaka wolność komu przysługuje?

Zasadą posłuszeństwa jest sam Bóg, najwyższy Pan i właściciel wszystkiego co istnieje, który jako Stwórca, ma niezaprzeczone i nieograniczone prawo rozkazywania swemu stworzeniu, a rozkazywania mu bezpośrednio przez swoje prawo, lub pośrednio przez tych, którym zleca swe zwierzchnictwo, a więc przez rodziców, — tę najpierwszą władzę, z jaką się człowiek na świecie spotyka, — również przez opiekunów, przełożonych i wychowawców — miejsce rodziców dziecku zastępujących, — wreszcie, przez wszystkich legalnych zwierzchników, tak duchownych jako i świeckich.

Prawdą jest, że Bóg obdarzył człowieka wolną wolą, ale wszakże wnet sam tę wolę skrepował, nie materyalnie, lecz moralnie, dając człowiekowi przykazanie do zachowania, i stawiając probierzem jego wartości moralnej, a warunkiem szczęścia doczesnego i wiecznego, dobro wolną a chętną uległość temu prawu.

Stąd więc płynie, że postęp pożądaný, do którego wszystkimi siłami zdążać powinniśmy, nie na tem zależy, aby się bądź co bądź od wszelkiej zależności emancypować, ale na tem niezawodnie, aby każdy człowiek, nie z przymusu, ale z przekonania, — najwyższym aktem rozumu, poddał swą wolę pod jarzmo posłuszeństwa, najprzód Bogu, a następnie tym, którym na ziemi Bóg zlecił swe zwierzchnictwo.

Stąd też płynie i ta druga konsekwencya, że skoro każdy legalny zwierzchnik jest na swem stanowisku istotnym zastępcą Stwórcy, — o czem poucza nas Pismo święte: *„niema zwierzchności jedno od Boga, a kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu,* — (Apost. IV — 19) — człowiek przeto, nie z żadnych pobudek doczesnych: sympatyj, uznania, lub też lęku i t. p. słuchać powinien swoich starszych, ale dla tego jedynie, że taką jest wyraźna wola Najwyższego Prawdodawcy.

Bliższe zaś zastanowienie wykazuje, że jakkolwiek ułomnymi i niedoskonałymi być mogą zwierzchnicy, oraz prawa przez nich postanowione, przecież, na uległości względem nich zawisł porządek społeczny, spójnia małżeństw, jedność rodzin, dobrobyt kraju, wreszcie potęga Kościoła. Posłuszeństwo słusznie nazwaćby można ofiarą jednostki dla dobra ogółu.

Czem jest właściwie rygor?

Jest to obwarowanie przepisów danej społeczności, — rodzinnej, szkolnej, wojskowej, krajowej, kościelnej lub innej, pewną karnością, dosięgającą przestępców prawa, a karzącą np. wojskowego — karcerem, ucznia — złym stopniem, służącego — strafem i t. p.

Żadne ciało zbiorowe istniećby nie mogło bez podstawy pewnych prawideł, pod grozą obowiązujących: rygor jest właśnie tą grozą wymiaru sprawiedliwości. Zaznaczyć tu wypada, że im które ciało zbiorowe z liczniejszych złożone jest członków, tem bardziej jego przepisy powinny być ściślejsze, rygor surowszy, a wymiar sprawiedliwości sprężystszy, bez czego przestałoby być czynnikiem użytecznym w danem społeczeństwie, a stałoby się jego plagą.

Czemże byłoby np. wojsko, nie skrepowane rygorem?... a czem szkoła, pensjonat? Nietylko, że taka szkoła nie przyniosłaby nikomu korzyści, ale owszem, stałaby się gniazdem zepsucia, pepinierą nieładu, rozsądnikiem demoralizacyi — chaosem wreszcie. Dzieci chowane w rodzinach bez rygoru, są to zawsze dzieci rozpuszczone, chimerne, — nieznośne zatem, na które narzeką nawet najzapaleńszy zwolennik bezkarności.

Oczywiście, że rygor o wiele mniej obowiązuje w życiu rodzinnem, niż np. w życiu szkolnem, a to z przyczyny mniejszej liczby osobników, skupiających się w jedną całość. Próżno tego dowodzić, o ile łatwiej jest

utrzymać jedność kierunku a zachować przepisy akuratności, porządku, przyzwoitości, wreszcie dobrego wychowania tam, gdzie jest osobników kilka, a to jednolitych, niż tam, gdzie ich jest kilkadziesiąt i więcej nawet. Tylko ścisły rygor, rozumnie obmyślany a sprężyste utrzymany, sprawić może, aby kilka setek i tysięcy osobników jedną użyteczną całość stanowić mogło.

Sama przyroda daje nam wzór najściślejszego rygoru, tak w instynkcie samozachowawczym zwierząt, które między sobą ściślej karności przestrzegają, jak w prawach fizycznych, chemicznych, fizyologicznych, których najłżejsze naruszenie bywa wnet ukarane natychmiastową śmiercią przestępcy, jak to ma miejsce przy wybuchach iskry elektrycznej, pary, i t. p.

Rygor, przestrzegany przez ludzi, nie jest więc jakimś staroświeckim tyraństwem, ale niezmiernem społeczeństwu dobrodziejstwem; bliższa zaś obserwacya przekonywa, że nie jest to właściwie ścisłość rygoru, która w ciałach zbiorowych nas nuży, lecz właśnie zupełny jego brak.

Są wszakże pseudo-wychowawcy, którzy wielce się oburzają na samo wspomnienie o jakim niebądź rygorze. „Pozwólmy dziecku być dzieckiem — mówią, — niby w obronie praw dzieciennych, — a także pozwólmy młodemu być młodym, dajmy młodemu piwku się wyszumić!... „młodość ma swoje prawa“ i t. p. Co w praktyce znaczy: „pozwólmy dziecku krzyczeć, kaprysić, napierać się, psocić... pozwólmy młodemu uczęszczać do najgorszych towarzystw, rozpustą rujnować swoje zdrowie, a rozrzutnością majątek“, i t. p.

Że dziecko ma prawo być dzieckiem, a młody młodym, — i że młodość ma swoje prawa, — są to prawdy, jednak bardzo względne, które żadną miarą zwalniać nie mogą od powszechnych praw etycznych, oraz praw porządku społecznego, — w zrozumieniu zaś tych, którzy

je przywodzą, są paradoksami, bo czemuż—pytam—ci którzy je głoszą, narzekają następnie na owoc swej siejby? i jakim prawem wymagać mogą od ludzi dorosłych cnót, których rozumnym rygiorem nie uprawili? jakim prawem domagają się od nich obowiązkowości, akuratności, słowności, szanowania przepisów? i t. p. Skoro młodzieniec przywykł od dzieciństwa nie krępować się niczem, gdy wzrósł w samowoli i swawoli, jakimże cudem może naraz zaświecić cnotą panowania nad sobą? Co się zepsuło za młodu, rzadko później daje się naprawić, a co wzrosło krzywo — nie prostuje się w wieku dojrzałym.

Zdarza się wprawdzie, że młodzieniec wyszumiawszy się w pierwszej młodości, przychodzi następnie do statku, sądzę jednak, że byłoby nieroztropnością rachować na ewentualność takiego zwrotu.

Czy każdy rygor jest dobry?

Wstępnym, jaki niektórzy objawiają na samo wspomnienie rygoru, jest poniekąd uzasadniony jego nadużyciem, jakie się praktykuje w niektórych rodzinach, — każda bowiem przesada wywołać musi konieczną reakcję w odwrotnym kierunku swego nachylenia.

Przesadnym rygiorem w wychowaniu grzeszyli nasi pra-ojcowie, którzy dorosłym nawet synom nie pozwalali usiąść w swojej obecności, głos zabrać, zdanie wyjawić i t. p. Grzeszą i po dziś dzień niektórzy rodzice, którzy wprost despotyczną władzę nad swymi dziećmi rozciągają, synów dorosłych traktują jak żaków, żadnej swobody im nie zostawiają, a krępują w niezbędnych wydatkach, w projektach, — którzy dorastającym dzieciom nie pozwalają objawić swego życzenia, upodobania, sąd wygłosić, — którzy za każdy objaw indywidualności gromią je surowo, jak gdyby za ciężkie przestępstwo, którzy wreszcie rozporządzają powołaniem dziecka bez uprzedniego z niem porozumienia, np. mówiąc mu z gó-

ry: ty będziesz rolnikiem, ty doktorem, ty księdzem, a ty zakonnica... tobie zaś tego męża przeznaczam, a tobie tę żonę... i t. p.

Rygor stosowany w wychowaniu, — bądź w rodzinie, bądź w szkole — nie powinien być nigdy bezwzględny, szablonowy, łamiący, lecz zawsze ojcowski, mający na celu największe dobro dziecka, a nie krępujący, broń Boże, jego polotu ku temu co znaczne, nie podcinający skrzydeł jego indywidualności, lecz tylko utrudniający młodemu to, co wyraźnie złe, a wprawiający go w cnotę.

Inny rygor byłby istotnie tem, czem go jego przeciwnicy być mieniają, — łamaniem charakteru, zacieraniem indywidualności, przygnębieniem całej natury.

O jakże trudną jest tu, jak wszędzie, a jak bardzo pożądaną drogą pośrednią, oddaloną od wszelkiej krańcowości, a wytkniętą ścisłą sprawiedliwością.

„Wolność jest niezaprzeczenie dobrem wielkiem, — pisze autor „wady narodowej“, — wszakże to nóż obosieczny, który nie każdej dłoni powierzać można. Wolność przysługiwać może temu tylko, kto posiada odpowiednie warunki, aby z niej uczynił dobry użytek, t. j. który mając wybierać między złem a dobrem, roztropnem a nieroztropnem, posiada *zasadę, charakter i doświadczenie*.

*Zasadę*, aby wiedział dlaczego z dwóch czynów możliwych, spełnić powinien ten, a odrzucić tamten?

*Charakter*, aby posiadał moc uczynienia tego, co zasada nakazuje, cokolwiekby to go kosztowało.

*Doświadczenie* wreszcie, wspierające zasadę, aby znając skutki wyboru, zachęcił się tem do czynów dobrych, choć trudniejszych.

Z powyższych uwag wynika, że człowiek nie posiadający wyżej wymienionych warunków, — a więc dziecko, młodzian niedojrzały i niedoświadczony, człowiek niewychowany i niewykształcony, wolnymi materialnie być nie mogą i nie powinni.

Wolność byłaby dla nich istotną szkodą, a obdarzeni nią, staliby się szkodnikami swego społeczeństwa.

Wolnym być nie może także członek wszelkiego ciała zbiorowego, jako to: uczeń, wojskowy, urzędnik i t. p. — gdyż ciało zbiorowe to *jedność* nie znosząca kilku odrębnych impulsów.

Jakże więc szaloną nieroztropność popełniają ci rzekomo postępowi pedagogowie, którzy schlebiając skłonności natury ludzkiej, stawiają zasadę, „że w zupełnej swobodzie należy młodzież wychowywać... obdarzać wolnością dzieci, podlotków, młodzian niedojrzałych!“

Walka, wypływająca z rozterki między złem a dobrem, ta tylko wyrabia charakter, wolę, — pójscie zaś za naturalnym popędem, skrzywić tylko może najlepszą naturę, osłabić wolę, boć podlotek, młodzian wybierać nie są jeszcze w stanie, nie posiadając ani zasady, ani doświadczenia niezbędnych do dobrego wyboru.

Niektórzy, chcąc niby uniknąć tej ostateczności, wpadają w drugą niemniej szkodliwą: trzymają młodych jakoby w powijaku, aż do wieku pełnoletności. Stąd, jako skutek dzieje się jedno z dwojga: albo przywodzą młodych do zupełnego niedośięstwa, do zaniku sądu i woli, albo rozdrażniają ich do ostateczności, i popychają do czynów szalonych.

Pedagogiczne wychowanie trzyma się drogi pośredniej: wolnością bezgraniczną nie obdarza, lecz kształcąc charakter młodziana na *podstawie zasady*, nie przestaje nim kierować, i tak powoli wciąga go do rozumnego używania swobody, którą stopniowo go obdarza<sup>\*)</sup>.

Nie wiem doprawdy, czy najzapaleńszy zwolennik swobody, a wróg uległości, chciałby do wszystkich stosować swe zasady? wszystkich zwolnić od posłuszeństwa,

---

\*) „Jaka jest nasza wada narodowa główna“. Str. 100.

a obdarzyć swobodą? Jego podwładni najpierwsiby się o tem dowiedzieli, — kucharka, lokaj, pomywaczka, stróż — i chcieliby z poglądów chlebobdawcy skorzystać, — inni podążyliby za ich przykładem. Każdy nadewszystko wymagałby wytłómaczenia otrzymanego zlecenia, i o tyle by je spełnił, o ileby się ono zgadzało z jego poglądem lub chęcią.

Dziecko poszłoby do szkoły lub zabawiałoby się na ulicy, nauczyciel wykladałby według własnego „widzi mi się“, subjekt, urzędnik, oficyalista, czuli by się zwolnieni od wszelkich przepisów. Nastaliby nieład bezmier-ny, i wtenczas może zrozumielibyśmy, o ile posłuch i rygor są istotną podwaliną porządku, a nawet bytu społecznego.

Nie! posłuszeństwo nie jest ubezwładnieniem człowieka i odebraniem mu indywidualności, jest tylko *uspołecznieniem* jego czynów, rygor zaś jest gwarancją jego bytu i spokoju.

Czyż drogie kamienie tracą swą indywidualność dla tego, że umiejętną ręką jubilera zostały oszlifowane i osadzone w pięknej oprawie? W stanie naturalnym byłyby bezużyteczne, szpetne nawet, — oszlifowane, wykazują swoją wartość i blask. Porównanie to w całej prawdzie do posłuszeństwa stosować się daje. Żaden ze Świętych katolickiego Kościoła nie stracił swej indywidualności dla tego, że był uległym, przeciwnie, — a gdy czytamy dzieje tych bohaterów ducha, zdumiewa nas ich potężna działalność, przed którą nie było ani granic, ani zapory, a do której uległość zwierzchnikom nie była im przeszkodą, lecz owszem, — dźwignią. Każdy z nich świeci na firmamencie dziejowym blaskiem zupełnie samoistnym, indywidualnym, którym nas właśnie w zachwyt wprawia.

Jakże odrębnymi są, — każdy w swoim rodzaju: św. Franciszek z Assyżu i Franciszek Ksawery, misyonarz Indyan, — św. Wincenty à Paulo i Alfons Liguory, — św.

Bernard i św. Dominik,—św. Joanna de Chantal i Katarzyna Seneńska i t. d. Widnieje w nich jedność w zasadzie, przy zupełnej odrębności charakteru, kierunku ducha i czynu!

## II.

Trudnem jest niewątpliwie posłuszeństwo dla natury ludzkiej, niechętnie cudzej woli ulegającej, wszakże naprawdę, o wiele jest trudniej rozkazywać niż słuchać.

W tym względzie istnieją pewne prawidła, o których dobrze jest wiedzieć, aby się nimi kierować, gdy ciąży obowiązek sterowania młodzieżą.

Podajemy je w streszczeniu.

1) Ważnem jest od lat najmłodszych naginać wolę dziecka łagodnie lecz stanowczo, ucząc je najprzód uległości starszym oraz przepisom, a następnie panowania nad sobą, co czynić trzeba wówczas, gdy wola dziecka jest giętka, a zatem łatwa do pokierowania.

Trzeba nadewszystko, aby dziecko *jasno wiedziało* czego starsi od niego żądają, a następnie, czego samo od siebie wymagać powinno; uwaga to niezmiernej doniosłości, niejasność bowiem w tym względzie wytwarza wolę chwiejną, a posłuszeństwo niechętnie, wahanie się, chęć i niechęć, a raczej płonne zachcianki, nie dochodzące nigdy do skutku — które są otwartym gościńcem do zdenerwowania i zaniku woli — t. j. tak zwanej choroby woli. Łatwo dziecku wykręcić się od posłuszeństwa, gdy rozkaz został niejasno sformułowany, a chwiejnie wypowiedziany — stąd tylko krok jeden do uporów lub samowoli.

Należy więc wydawać rozkaz stanowczo i konkretnie, co czynić można tylko po dobrem obmyśleniu i zastanowieniu się nad przedmiotem rozkazu.

Gdy się wydaje rozporządzenia lekkomyślnie, trze-

ba je często odwoływać lub modyfikować, co osłabia powagę rozkazującego i wielki zamęt sprawia.

Gdy dziecko czuje miękkość rozkazu, wnet miarkuje, że można się o rozkaz *potargować*, uzyskać w nim jaką zmianę lub folgę, od spełnienia rozkazu się wykręcić, i że wypełnić go lub nie wypełnić, jest kwestyą małej wagi.

Skoro zaś dopuściło się *raz*, aby dziecko potargowało się o spełnienie woli starszych, można się spodziewać, że w przyszłości niechętnie posłusznem będzie, *a ręka słaba bardziej mu zacięży niż energiczna*: rozdrażniać go będzie. Gdy rozkaz jest dany stanowczo, krótko i węzłowato i bez *apelacyi*, dziecko czuje, że spełnić go musi, przeto nie odczuwa nawet pokusy chcieć inaczej. Skoro zatem nie dopuściło pokusy przeciwko rozkazowi, spełnia go ochotnie, a nawet z pewnem zadowoleniem. *Apelacye* bez końca od ojca do matki, od nauczycieli do rodziców, i *vice versa*, oraz ujmowanie się za dzieckiem jednego z rodziców przed drugim niezmiernie bałamuci dziecko — wystrzegać się więc tego należy. Radzić się dziecka o to, co ma czynić, jest podkopaniem w niem enoty posłuszeństwa.

Nie należy też dawać wiele rozkazów, zwłaszcza naraz, ale tylko takie, które się odnoszą do kwestyi zasadniczych. Mnogość poleceń, dotyczących się zwłaszcza drobiazków, nuży dzieci, które w swem roztrzepaniu spamiętać ich nie mogą, a więc co chwila je łamią, narazając się tem na bezustanne przestrogi.

Uczą się przez to także lekceważenia rozkazów, od spełnienia których udało im się często wykręcić, a rozgoryczają się ciągłym napominaniem.

Grzeszą też często wychowawcy tem, że zapewne ulegając lenistwu, dają dzieciom same negatywne rozkazy, co wielce nużąc na nie działa: „nie ruszaj tego, — mówią — nie przewracaj tej książki, nie drażnij psa, przestań brząkać po fortepianie, nie dokuczaj siostrzyczce“ itp. — gdy zaś dziecko

wciąż od czynności odrywane, pyta „a cóż mam robić?” odpowiadają mu z niecierpliwością „daj mi pokój, nie nudź mię”, sądząc, że tak jednym słowem załatwią się z natretem.

Czyż nie stosowniej byłoby uprzedzić ujemną działalność dziecka, poddając mu do spełnienia jaką czynność użyteczną, któraby dziecko użytecznie zajęła a dodatkowo wyzyskała jego zdolność, ruchliwość, a zamiłowanie do czegoś, jako to np. „pomóż siostrze, narysuj według tego wzoru, przejrzyj tę książkę, zabaw się w tę grę” itp. Oszczędziło by mu to ciągłego napominania i drażnienia przez wzbranianie mu tego, do czego się już zabrało.

Tam, gdzie tylko można zostawić dzieciom swobodę: np. czy pójść na spacer w to miejsce czy w tamto, czy pojechać łódką czy kołmi, czy bawić się w tę grę albo w inną i t. p., należy to uczynić.

Dla wielu przyczyn względna swoboda jest dziecku niezbędna, a mianowicie:

- 1) Aby nauczyło się kierować własną wolą na podstawie zastanowienia, umiało ważyć skutki swych czynów, przewidywać trudności i z nimi walczyć.
- 2) Aby się wprawilo w samodzielne działanie, które zarówno jak uległość jest mu niezbędne.
- 3) Aby jego indywidualność mogła się wykazać i kształcić.
- 4) Aby dziecko niejednym niepowodzeniem nabierało doświadczenia i rozwagi.
- 5) Aby rodzice i starsi, patrząc na samodzielne czyny dziecka, kierować niem mogli swoją radą.

### III.

Nie należy też tłumaczyć dziecku przyczyn danego mu rozkazu, chyba bardzo wyjątkowo, gdyż wszelkie tło-

maczenie się uchybia powadze zwierzchnika. Dziecko powinno słuchać nie dlatego, że rozkaz trafił do jego przekonania, lecz że taka jest wola tych, którzy mają nad niem władzę. To powinno jemu wystarczać. Tłómaczenie poleceń jest zawsze słabością zwierzchników, i wprowadza w rdzeń wychowania zasadę protestantyzmu, t. j. dowolnego rozbioru prawa i polegania tylko na własnym sądzie „wierzę, bo rozumiem“.

Tłómaczenie dziecku rozkazu pociąga różne zgubne konsekwencye.

„Nie włącz, Stasiu, na komodę — mówi ojciec — *bo spadniesz*“. „Kiedy ja nie spadnę“ — zabrzmia niezawodnie odpowiedź malca, wywołana słabością ojca. Co więcej, wytłómaczenie przyczyny rozkazu będzie dla chłopca bodźcem do pokazania, że jednak stało się inaczej niż ojciec mówił. „A co!... włączem i nie spadłem!“ Jeśli zaś chłopiec jest przedsiębiorczy, można się spodziewać, że wkrótce wlezie na szafę i także nie spadnie, co będzie dla niego tryumfem nie lada!

Gdy zaś ojciec poleci cokolwiek dziecku bez tłómaczenia, a dziecko zapyta: dlaczego? argumentem niezbytym i bez apelacji być powinno „bo taka wola tatusia, a dobre dziecko zawsze rodziców słucha“. Taka odpowiedź w umyśle młodocianym niewątpliwie na zawsze się upamiętni, i przez całe życie świecić mu będzie *zasadą*.

Ze starszemi dziećmi, z któremi rodzice często rozmawiają, można postępować cokolwiek odmiennie, bynajmniej nie z racyi, aby zasada posłuszeństwa dla nich już nie istniała, lecz że rozwój młodocianego umysłu innego postępowania wymaga. Dziecko powinno już niekiedy wiedzieć, dlaczego rodzice tego albo tamtego od niego żądają, a to w celu, aby dziecko *wniknąwszy* w myśl rodziców, lepiej i rozumniej ich wolę spełniło, aby sądem rodziców własny sąd kształciło, wreszcie, aby nauczyło

się postępować na podstawie rozumowej, nie zaś machinalnie i bezmyślnie.

Jest rzeczą godną uwagi, że każdy podwładny lubi mieć zwierzchnika umiejącego rozkazywać i wymagać, bo to mu daje siłę przeciw własnej słabości, a uzbraja go przeciw niechęci ku spełnieniu powinności; nad to, daje mu stały punkt oparcia wobec niejednej trudności. Ten punkt oparcia jest często niewygodny dla samowoli — nie przeczę — wszakże jest niezmiernie dobroczynny, a nawet niezbędny.

Taka już jest natura ludzka, że człowiek woli rękę żelazną niż miękką, jakby z masła, że przekłada ostre nawet skarcenie nad zapomnienie. Człowiek skarcony pocieszyć się może nadzieją, że będzie przecie pochwalony, skoro na to zasłuży, gdy zaś czuje się zapomnianym, opuszcza rękę i zaniedbuje się, nadto lekceważy zwierzchnika, który zwierzchnikiem być nie umie.

Niwelacya wszelkiej powagi, zwierzchnictwa i władzy, zapoczątkowana przez filozofów końca XVIII wieku, a rozpowszechniona piórem autorów niechrześcijańskich, poczyna już dziś w obyczaj przesiąkać i owoce wydawać. Odbiło się to najpierw w wychowaniu. W wielu rodzinach zniesioną już została zupełnie powaga rodzicielska. Póki dziecko było małe, to służyło za rozrywkę rodzicom lub za przedmiot popisu; starsze — przeobraża się w kolegę, doradcę, przyjaciela ojca i matki: o posłuszeństwie zaś, niema już nawet mowy. Rodzice radzą się raczej swych dzieci, niż im rozkazują, w domu zaś nie ten rządzi, komu się rządy z prawa należą, lecz ten, który posiada najsilniejszą inicjatywę, despotyzm lub upór — wszyscy mu ustępują.

Gdy smutne następstwa tego porządku rzeczy poczynają się dotkliwie ujawniać, rodzice bezradnie żala-

mują ręce, szukając ratunku w zakładach wychowawczych. „Nic nie znaczą dla mojego dziecka — biadają — ono mnie już całkowicie pozbało! nie słuchać mnie nie chce... ani mi wierzy, ani mnie szanuje! Być może, że obcego posłucha?” I w rzeczy samej zdarza się, że obcego dziecko chętnie słucha, gdy ten taktownie i stanowczo z niem postępuje, bo dziecko w głębi swej istoty czuje potrzebę uległości starszym, a bezwiednie odczuwa niechęć względem tych, którzy nieumiejętnie się z niem obchodzą. Z tej to zapewne przyczyny dzieje się, że wówczas gdy matka nie może sobie poradzić z jednym benjaminkiem, ochroniarką lub freblanką prowadzi na nitce setkę malców, którzy jej słuchają na skinienie.

Z zupełną słuszością twierdzić tedy można, że nieposłuszeństwo obwinia najczęściej nie tyle dzieci, ile starszych, gdyż dziecko dobrze prowadzone, zawsze posłusznem będzie.

Bacząc na smutne konsekwencje, mogące wyniknąć dla rodzin i dla społeczeństwa z rozluźnienia węzłów karności i zasady poszanowania władzy, niezbędnem jest co rychlej przeprowadzić w tej mierze za pośrednictwem wychowania rozumną reakcję, i postawić na tem mocniejszym fundamencie zasadę władzy, im groźniejsze przeciwko niej krzyżują się pociski, czego jeśli nie uczynimy, któż wie, dokąd w krótkim czasie dojdzie możemy?

Oburzającą jest doprawdy niesprawiedliwość i brak logiki zwolenników rzekomego postępu, a nieprzyjaciół zasady posłuszeństwa: karność wojskową chętnie uwzględniają, jak również tę, która się praktykuje w szkołach marynarskich, kadeckich i t. p. choć w tych ostatnich rygor sięga niekiedy krańców okrutnego despotyzmu, — znieść jednak nie mogą uległości wymaganej od dzieci, —

bądź w rodzinie, bądź w szkole, — a jeszcze bardziej tej, do której ślubem obowiązują się zakonnicy w zgromadzeniach zakonnych; ta specjalnie do wściekłości ich doprowadza.

A przecież, czyż w najściślejszym zakonie karność wymagana od podwładnych równać się może tej np., która rządzi masonami?... Na rozkaz dany przez nieznanego zwierzchnika, muszą oni nieraz spełniać czyny haniebne, zbrodnicze, a to pod grozą śmierci, — czemu więc w porównaniu karność zakonna, obowiązująca tylko w granicach tego co dobre, szlachetne, najdoskonalsze?

Karność zaś wojskowa jest przedewszystkiem tak arbitralna, że często wymaga natychmiastowej ofiary zdrowia i życia, a z rozsądkiem się nie rachuje. I czy kto słyszał, aby zwierzchnik wojskowy tłómaczył się podwładnemu z danego mu zlecenia, chociaż ten być może lekkomyślny i życie narażający?

Inne są zupełnie cechy uległości, wymaganej od dzieci i od zakonników — miłość tu przewodniczy, a u zakonników jest ona dobrowolną ofiarą, złożoną na ołtarzu miłości Stwórcy, w celu służby Bożej.

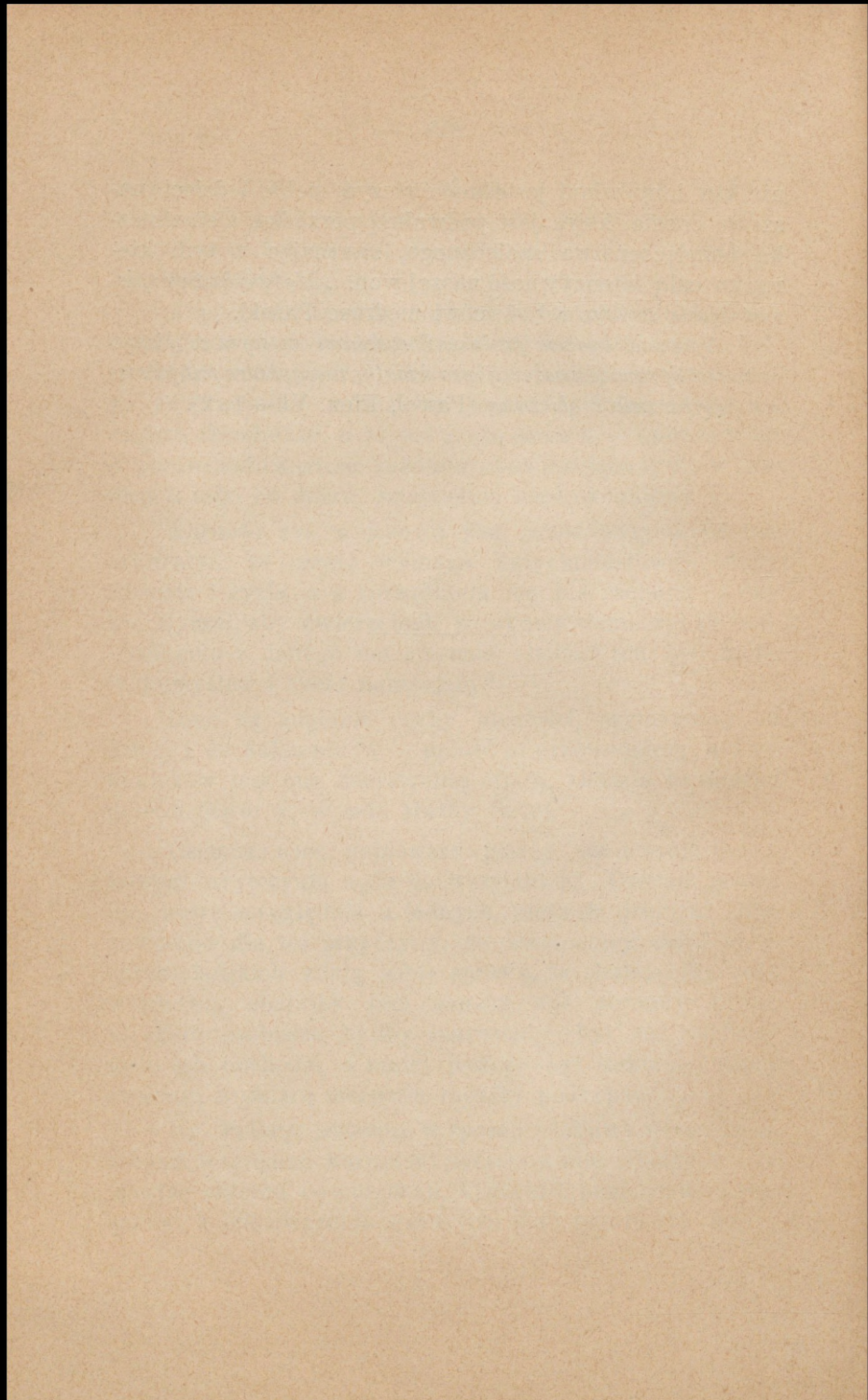
Czemuż więc najnowszy postęp nie stosuje jednakowego kryterium sądu do wszystkich? Czemuż prawidło, które uwzględnia u jednych, piętnuje drugich? Niezawodnie dla tej przyczyny, że zwolennicy zasad antychrześcijańskich zdają sobie sprawę, iż obalając karność wojskową, obaliliby tem samem wał obronny kraju, w czem osobiście byliby zagrożeni, — byt zaś rodzinny mało ich obchodzi, a mniej jeszcze byt zakonny, który owszem, w miarę możności radziby podkopać.

My, Polacy, jesteśmy w sposób osobliwy wrogo usposobieni względem karności i poszanowania władzy, a nadmiernie skłonni do samowoli, krytyki i przesądzenia rozkazów, a lekceważenia starszych; stąd przeto my więcej

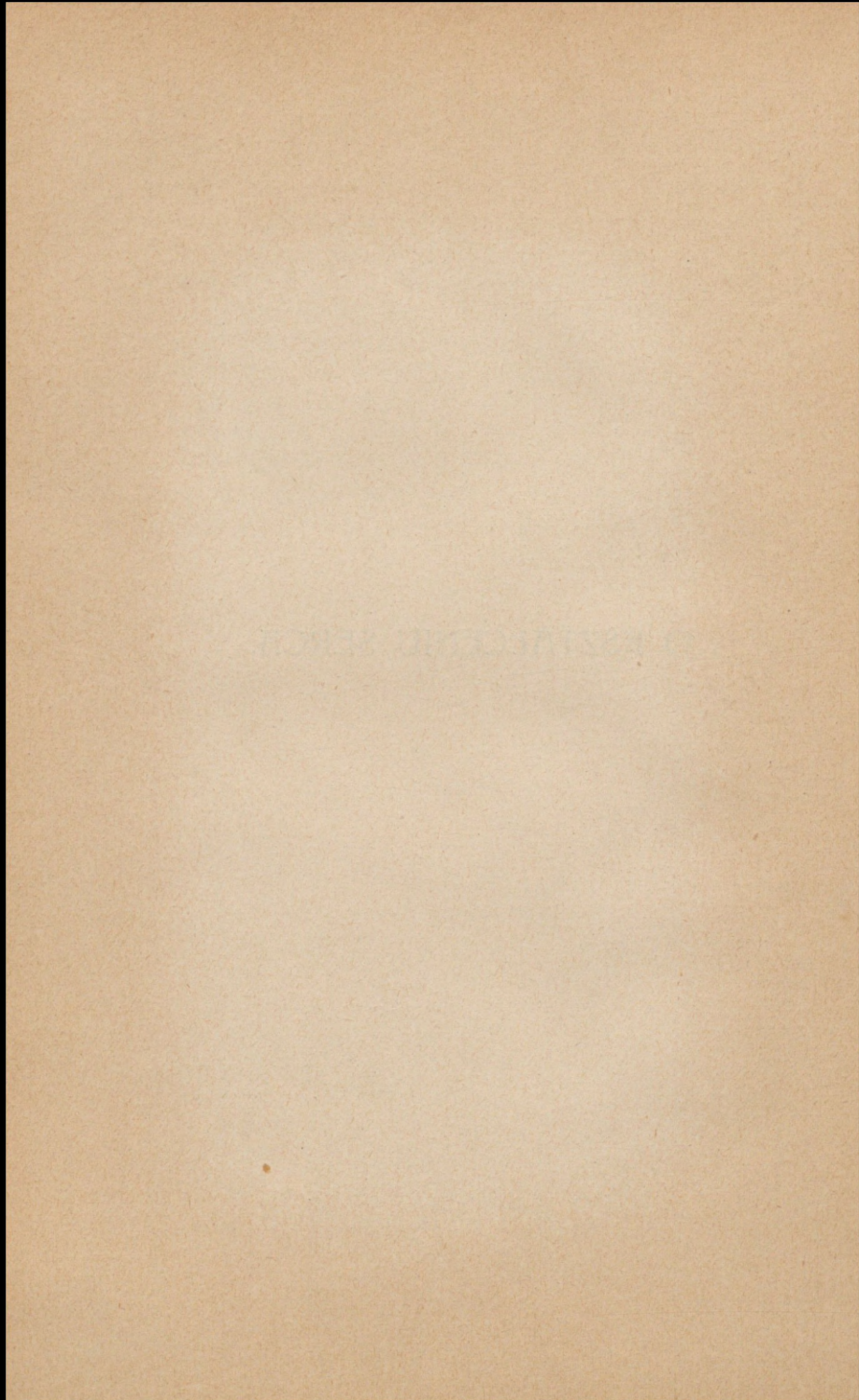
niż kto inny winni jesteśmy ćwiczyć siebie i dzieci nasze w enocie, która jest podwaliną porządku, a strażniczką bezpieczeństwa społecznego, zwracając w tym kierunku całą intensywność naszej woli: „*Mąż posłuszny śpiewać będzie zwycięstwo*“ — mówi mędrzec Pański.

*Synowie, bądźcie posłuszni rodzicom waszym w Panu, bo to jest sprawiedliwa: czcij ojca i matkę swoją, które jest pierwsze przykazanie z obietnicą* (Paweł, Efez. VI -- 1, 2).

---



O KSZTAŁCENIU SERCA.





## I.

**K**ształcenie serca dziecka jest bodaj najważniejszym zadaniem wychowawcy, w sercu bowiem człowieka biorą źródło wszystkie jego uczynki. Zarówno jak na gruncie nieuprawnym, zachwaszczonym lub zmarzniętym, dobre ziarno korzeni nie zapaści, podobnież w sercu nierozwiniętym, zepsutem lub zlodowaciałem, dobra zasada przyjąć się nie może, ani też wola skierować ku enocie. Kształcenie serca powinno być przeto najważniejszym mozołem wychowawczym, do którego zabrać się nigdy nie jest za wczesnie, a który równorzędnie z kształceniem zasady i woli prowadzić należy. Zazwyczaj kształci się mozolnie umysł dziecka, jego zdolności, talenta, pamięta się o jego zdrowiu i rozwoju sił fizycznych, urabia się dziecko dla świata, dla karyery, o jego sercu jednak najczęściej zapomina się zupełnie. Przy zdarzonej wszakże sposobności żąda się od dziecka przymiotów serca i wielce narzeka się, jeśli dziecko okazuje się zimne, samolubne, lub jeśli jego serce tam się skłania, gdzie nie powinno.

W miłości Boga zasada tej pracy, albowiem tylko na podstawie Bożej miłości zbudować można trwałe gmach O wychowaniu.

zaczynającego uczucia: miłości kraju, rodziców, rodziny, społeczeństwa, zasadę bezinteresowności oraz wszelkiego poświęcenia.

W rozdziale: „religia podwaliną wychowania“, była mowa o kształceniu dziecka w wierze i pobożności, pomijając więc obecnie stosunek dziecka do Stwórcy, zwróci się wytyczną uwagę na jego stosunek z rodzicami, z rodzeństwem i bliźnim w ogólności.

Uderzającą cechą charakterystyczną ludzi naszych czasów, — zwłaszcza w sferach wyższych, — jest egoizm. Rodzice najpierwsi dostrzegają w swoich dzieciach brak serca, — najczęściej poniewczasie, — co ich najdotkliwiej rani, gdy sami są tego ofiarą. Najbardziej jednak sami są temu winni, co bowiem zasiali, to zbierają, a czego nie uprawili, tego zebrać nie mogą.

I czyż naprawdę dziwić się można samolubstwu młodych, gdy się widzi, że w niektórych rodzinach dzieci od lat najmłodszych oddychają atmosferą przesiąkniętą miazmatami najtwardszego egoizmu. Słyszą bezustannie rozmowy, których treść i osnowa: korzyść osobista, interes, spekulacja — a po za tym obrębem — nic. Są świadkami skąpstwa w datku, narzekania na składki, a na każdym kroku spotykają się z wyrachowaniem, interesownością, a nawet z osobliwą chciwością, nigdy zysku nie sytą, a wyciągającą wciąż rękę ku coraz to nowym korzyściom.

Daje się tam tylko, i hojnie nawet, gdzie można się spodziewać rozgłosu, a uszczupła się wszędzie, gdzie to płazem ująć może — choćby to było kosztem sprawiedliwości, — uczciwości nawet. Ko niezamożny daje mało, bo ciężkie czasy... — kto zamożny, daje mniej jeszcze, bo osobiste potrzeby wszystko pochłaniają; zresztą, jest zawsze wymówka na pogotowiu: „że przecież na wszystko dawać niepodobna, że są obowiązki względem dzieci, że dla nich zbierać należy i t. p. Pogląd światowy prze-

wodniczy na każdym kroku; dobra partya, znaczny majątek, stanowisko korzystne — dające dobry dochód, a małą pracę, — to tylko celem zabiegów: wyższe zaś aspiracye — to egzaltacya, najwyższa bowiem praktyczność uczy: „że wszyscy dla nas, a my dla nikogo“.

Choć mało kto tak cynicznie rozumuje, czyny przecież tym cynizmem często bywają napiętnowane — nauka zaś czynu wsiąka w serca dziecinne.

Dzieci wyrastają na samolubów dla tej jeszcze przyczyny, że starsi nieroztropnie o nich myślą i dla nich o wszystko się starają. Co najlepsze im się podaje, o nie ustawiczna troska; bywa niekiedy, że do jednego despoty — dziecka -- cały dom musi się stosować. Nie odwodzę matek od tego, aby myślały o swych dzieciach, przez miłość jednak dla nich czynić to powinny w taki sposób, aby się one na tem nie spostrzegły. Niechaj dziecko wie, że jako najmłodsze, na ostatnim rzędzie w domu stać powinno i wszystkim ustępować, a gdy jest starsze, że obowiązkiem jego pomagać rodzicom i o drugich w miarę możliwości mieć staranie.

Dzieci ostatniej doby tem niestety się odznaczają, że nie mają pojęcia o obowiązku wdzięczności: umieją tylko brać i wymagać, co więcej — narzekać, gdy im czego nie dostaje, szemrać i porównywać się z tymi, którzy więcej od nich mają. Umieją także krytykować, gdy cokolwiek nie jest w ich guście, w czem są dziwnie wyćwiczone, — dziękować zaś, lub być wdzięcznym, — nie ma o tem mowy. I czy kto słyszał np. aby dzisiejsza młodzież była wdzięczna nauczycielom za ich trud nauczania, za ich opiekę i dozór? — wdzięczną byłaby im raczej, gdyby zaniechali uczenia, a zwłaszcza dozorowania. „Zresztą, — tak sobie dzieci rozumują — nauczyciel uczy mnie, bo musi, rodzice mu za to płacą, nie mu się więc za to odemnie nie należy“.

O jakże rodzice winniby dziecku wytłómaczyć, że

za trud wychowawczy, za poświęcenie, żaden pieniądz nie płaci, i że za serce, tylko sercem się wynagradza!

Niewdzięczność dzieci obwinia zwykle nieroztropne postępowanie wychowawców. Dzięki troskliwym zabiegom rodziców, dzieci przychodzą zazwyczaj we wszystkim do gotowego, bez pojęcia o tem, ile każdy szczegół, w który obfitują, kosztuje trudu, kłopotu i pieniędzy. Zdaje im się, że to co mają, to mieć powinny, że to im się z prawa należy, i nie przypuszczają nawet, aby które dziecko tego nie miało. Otóż, dla dobra dzieci pożądanem byłoby, aby im czasami czego zabrakło z rzeczy najpotrzebniejszych i aby dotkliwie ten brak odczuły, np. brak strojnej sukienki, nowych bucików, a nawet, brak nauczyciela, nauki... aby zanim będą przyjęte do szkoły, doświadczyły, jak długo, mozolnie o to trzeba się starać. Skoro czego gorąco zapragną, długo na to czekać będą, i w pewnej mierze podziela z rodzicami trud zdobywania upragnionego przedmiotu, o jakże odmieni się ich pogląd, jakże wdzięczni będą rodzicom za ich starania, jakie oceniają, i nową suknię, i dobre obuwie, jak szczęśliwymi się poczują, gdy w szkole będą mogły się uczyć\*).

Wdzięczność jest niezawodnie jednym z najsłabszych rysów charakteru człowieka: dowodzi poczucia sprawiedliwości, pokory, a przytem umiejętności zastanawiania się. Gdy z liczby dziesięciu trędowatych, oczyszczonych mocą Chrystusową, jeden tylko Samarytanin wrócił, „*głosem wielkim chwalać Boga*, Chrystus to zauważył: *Ażali nie dziesięciu jest oczyszczonych, a dziewięć*

---

\*) Zasadą, którą w tej mierze rodzice powinni głęboko wszczepić w serce dziecka jest ta, — że należy zawsze raczej się porównywać z tymi, którzy mniej mają od nas, niż z tymi, którzy mają więcej, z enotliwymi niż z gorszymi. Ta jest jedyna droga zadowolenia wewnętrznego, wdzięczności względem Stwórcy, i postępu w enocie.

gdzie są? Nie jest nalezion który by się wrócił a dał Bogu chwałę jedno ten cudzoziemiec? (Łuk. 17—17—18). Cudzoziemiec zapewne dla tego był wdzięczny, że mniej obfitywał w dobrodziejstwa, niż krajowcy!

Wdzięcznymi być należy ustawicznie: Bogu — za Jego hojne dary, rodzicom — za każdy ich czyn i poświęcenie, nauczycielom — za naukę i trud wychowawczy, służącym — za posługę, dobrym ludziom — za przysługi, jakie niejednokrotnie wyświadczają. Trzeba być nawet wdzięcznym pocziwym zwierzętom, które tak chętnie dla nas pracują, a tak wiernie z woli Bożej nam służą. I cóżbyśmy poczuli bez szybkiego konia, mlekodajnej krowy, wiernego psa?

Wdzięczność dziwnie rozszerza serca, uszlachetniając je. Radziłabym matkom, aby każde ze swych dzieci wyuczyły na pamięć cudnego wiersza Kochanowskiego:

Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary?...  
Czego — za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?  
Kościół cię nie ogarnia: wszędy pełno Ciebie  
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował,  
I złotemi gwiazdami ślicznieś wyhaftował;  
Tyś fundament założył nicobeszłej ziemi,  
I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznemi...

Powinny matki ten wiersz dzieciom wytłumaczyć, i często kazać go im powtarzać, na nim wykształcić się może najrzewniejsze uczucie wdzięczności.

Piękny rys z życia dziecka pozwolę sobie tu przytoczyć, choć drobny, jednak wiele znaczący.

W pewnym zakładzie pracowała osoba, której cechą znaną była niezmordowana uczynność; w poświęcaniu się nie znała granic: znaną była powszechnie pod mianem *opiekunki*, gdyż każdy potrzebujący pomocy,

usługi, miał ją na zawołanie. Zapewne dla oczyszczenia jej cnoty, Bóg dopuścił, że rzadko kiedy spotykała się z istotną wdzięcznością, — każdy chętnie przyjmował od niej przysługi, o odebranych zaś rychło zapominał. Zdarzyło się jednak razu pewnego, że w dzień imienin tej osoby pewna dziesięcioletnia elewka zakładu, z liczby przychodnich, skrętnie odszukawszy pannę X., rzuca się w jej objęcia i składa w ofierze śliczny bukiet. „Opiekunka“ mocno zdziwiona niespodziewanym darem, gdyż nie pamiętała nawet nazwiska dziewczynki, pyta jej, skąd jej przyszło do takiej serdeczności: „A przecież to pani raz palec mi opatrzyła, gdy go sobie skaleczyłam“ — była odpowiedź dziewczynki.

O jakże szlachetnem było to dziecko, które tak drobnej przysługi zapomnieć nie mogło, a zapewne zacząć też musiała mieć matkę, która tak delikatną a wzniosłą cnotę zdołała wszczepić w młodociane serce.

Uczmy także dziecko szlachetnej bezinteresowności. Niech nigdy nie oddaje przysługi z wyrachowaniem, że mu „pięknem za nadobne“ wynagrodzą, — owszem, niech czyni dobrze, niech się poświęca bez najmniejszej rachuby, jakoby na kredyt wieczności.

Zachęca nas do tej chrześcijańskiej bezinteresowności Zbawiciel świata. *„A jeśli dobrze czynicie tym, którzy wam dobrze czynią, co za dziękę macie, albowiem i grzesznicy to czynią. A jeśli pożyczacie tym, od których spodziewacie się odebrać (równą przysługę jako wynagrodzenie) co za dziękę macie, albowiem grzesznicy grzesznikom pożyczają aby tyleż odebrali? A tak... czynicie dobrze i pożyczajcie, niczego stąd się nie spodziewając, (t. j. wzajemnej odpłaty) a będzie wielka zapłata wasza! (Łuk. 6—33).*

Jest rzeczą wrodzoną każdemu dziecku kochać rodziców, wszakże, jeślibyśmy tem uczuciem nie pokiero-

wali, byłoby pozbawione wszelkiego szlachetnego piętna, i niczem prawie nie różniłoby się od uczucia zwierząt; dziecko kochałoby matkę, bo mu przy niej dobrze, bezpiecznie, bo wszelkie dobra z jej ręki odbiera, kochałoby ojca, bo je pieści a nawet psuje, bo się od niego niejednego spodziewa, a czuje, że od niego zależy; kochałoby wreszcie rodziców, bo do nich przywykło. Miłość jednak dziecka względem życiodawców o całe niebo wyższą być powinna od takiego przyrodzonego uczucia, — jego uczucie przesiąknięte być powinno uszanowaniem, wdzięcznością i pokorą, a koniecznie *objawiać się czynami*, nie zaś tylko pieszczotą, która często bywa odmienną tylko formą samolubstwa, a objawem czułości; powinno objawiać się: pamięcią o rodzicach, wysiłkiem sprawiania im pociechy, przyjemności, a usunięcia im zgryzoty, frasunku. Niech dziecko samo pamięta o imieniach rodziców, niech własnym pomysłem niespodzianki im sposobi, niech chlubią dla niego będzie mózdz w czemś rodzicom dopomódz, wyręczyć ich, z radością dla nich się poświęcić, coś dla nich wycierpieć, a choćby jaką przykrość lub nawet mimowolną niesprawiedliwość od nich znieść. Szlachetna miłość żyje ofiarą, w ofierze kształci się, oczyszcza, potęguje — ofiara jej najpewniejszym probierzem.

## II.

Gdy dziatwa — panienki i chłopcy — wracają ze szkół do domu na wakacje, oburzający nieraz wydatniają egoizm. Dla siebie wymagają bez miary od rodziców i domowników, a bynajmniej nie poczuwają się do obowiązku służenia komukolwiek. Wszystko dla nich powinno być na zawołanie: wygody, przyjemności, wypoczynek, — kłopoty zaś domowe rodziców nie ich nie obchodzą. Ojciec, matka — nieraz już od świtu krzątają

się około gospodarki, pracują, kłopotczą się, a córuchna i synalek wylegają się do południa na miękkiej pościeli, aby następnie zasiąść do nakrytego stołu i jeszcze kapryścić: że kawa nie dość smaczna, bułki nie świeże i t. p. Córka narzeka „że nudno na wsi, że goście nie przyjeżdżają“ — syn upomina się o rozrywki, o polowania, a że bieda w domu, że rodzice na każdy kęs chleba krwawo pracują, o tem ani chcą wiedzieć! I czyż nie powinno być wręcz przeciwnie? Czy córka i syn powracający do domu nie powinni by o tem marzyć, jak o największem szczęściu, aby mózdz przywieźć pociechę rodzicom, aby im dopomódz, ich wyręczyć, zastąpić!

Do tego obowiązku poczuwać się będą jednak te tylko dzieci, których serce kształcono od lat najmłodszych lub które cierpienie wykształciło, — innym, ani nawet przez myśl nie przejdzie, aby cokolwiek podobnego można było od nich wymagać.

Oburzającą jest także niedelikatność niektórych córek względem życiodawców w tem, że umieszczone krwawym wysiłkiem rodziców w pierwszorzędných zakładach wychowawczych, w których opływają w wygody i karmione są esencją tego co najlepsze, powróciwszy do domu, na wszystko narzekają i wszystko bezustannie krytykują, czyniąc to z ustawicznym porównaniem tego co zastają w domu, z tem co miały na pensyi. Tam wszystko było lepsze, piękniejsze, smaczniejsze, — miłsze, jednym słowem; lepsza przełożona od matki, lepsze koleżanki od sióstr, lepsza ostatnia sługa od sług domowych! Matka, zdenerwowana brakiem zdrowia, kłopotami, wydaje się córce szorstką, niewyrozumiałą, ojciec ordynarny, bo chodzi w grubych butach i mówi wciąż o gospodarstwie, a nie o poezyi, sztukach i filozofii. Córeczka więc to wszystko ryczałtem potępia, a wróciwszy do domu, nie przestaje tęsknić za pensją, i tęsknotę swą wygłaszać.

O jakież to brak serca! jakież niechrześcijańskie usposobienie!

Czyż dla dobrej córki strzecha rodzicielska nie powinna być miłszą od wykwintnych pałaców? Stół domowy smaczniejszy od wetów obczyzny, a matka droższa od najdystyngowańszych przełożonych? Jeśli zaś młoda osoba pojęła doniosłość czwartego przykazania, powinna tak serdecznie kochać rodziców, że przy nich powinno jej być zawsze najlepiej, bo chociaż matka nieraz ostro złaje, a ojciec sfuka, przecież są ojcem i matką! Jeśliby dzieci tego szlachetnego poczucia nie miały, religia powinna je w sercu dziecka wykształcić, kierowniczki zaś zakładów wychowawczych powinny w miarę możliwości thumić w elewkach zbytnią ich egzaltację do siebie i do pensyi, a usuwając siebie na plan drugi, stawiać zawsze na pierwszym miejscu uczucie miłości i wdzięczności względem rodziców.

Znałam pewną ubogą sierotkę, która od 14 roku życia wychowana w zakładzie, gdzie obfitowała we wszelkie dostatki, mogąc w nim pozostać, póki by chciała—dorosły, nie przestawała się wrywać do przybranych rodziców, aby dla nich pracować, zarabiać, im się poświęcać— a ci przybrani rodzice byli żebrakami! Szlachetne dziecko nie mogło znieść myśli, że jej dobrodzieje są w nędzy, wówczas gdy ona we wszystko obfituje; każdy kęs chleba, którym się nie mogła podzielić z opiekunami lat najmłodszych, dławił ją, i póty nie miała spokoju, aż do rodziców wróciła.

Piękny to wzór, a zapewne nie małe zawstydzenie dla wielu niewdzięcznych dzieci!

Wolno wprawdzie niekiedy dzieciom dorosłym z domu się wrywać, ale na to tylko, aby domowi ulżyć, aby się zająć pracą użyteczną, której częstokroć dom dostarczyć nie może, nigdy jednak dlatego, aby poza domem mogło być dziecku milej i lepiej.

Dobrze jest — gdy rodzice zlecają dzieciom pewne odpowiedzialności domowe, lub niektóre obowiązki względem młodszego rodzeństwa, jako to: uczenia, dozoruwania i t. p. — co je wprawia w pamięć o drugich i wymaga od nich poświęcenia. Powinny się czuć tem zaszczycone, że zasłużyły na zaufanie rodziców i że mogą im w czemkolwiek dopomódz.

Korzystnem jest także dla dzieci odwiedzać z rodzicami biednych i wczesnie zaznajamiać się z niedolą: skuteczne to lekarstwo przeciwko kaprysom, wymaganiom i urojonym cierpieniom. Dziecko bardziej jest logiczne, aniżeli to przypuszczamy: widok cierpienia nasuwa mu mimowoli różne porównania, które go zawstydzają. „Gdyby ten ubogi chłopczyk mógł chodzić do szkoły, jakże byłby szczęśliwy!... a ja na szkołę, na naukę narzekam!... Ta potrawa którą odrzucam, jakimże byłaby dobrodziejstwem dla tej biednej rodziny! i t. p.

Uczmy dziecko wspomagać biednych z własnej sakiewki, ku czemu niech mu służą pieniądze odebrane na imieniny, lub pensya przeznaczona na przyjemności: dobrze byłoby wszelako, gdyby dziecko dawało nie z tego co mu zbywa, ale aby umiało się dzielić tem, co mu mile i potrzebne, tak, aby każdy jego datek był dla niego istotną ofiarą, a więc aktem cnoty i zasługą przed Bogiem.

Odwiedzanie ubogich nieobliczone przedstawia korzyści. W mieszkaniu ubogiego, dziecko po raz pierwszy zapewne spotyka się z twardą rzeczywistością życia, odrywa się choć na tę chwilę od sztucznej atmosfery, którą mu w domu tworzą zbytek i świat, z konieczności zapomina o sobie, bo to na co patrzy, czyni na nim wrażenie i pobudza do współczucia. Horyzont jego myśli i uczuć się rozszerza, wskutek czego ciśnie mu się do ust niejedno zapytanie, z którego chrześcijańska matka nieomieszka skorzystać. A nieraz zapytanie dziecka zawstydzia starszych prostotą swej logiki. „Czemu to ma-

mo, nasze krowy mają tak piękną murowaną oborę, a parobcy u nas tak brzydko mieszkają? — zapytała prosto-  
dusznie swą matkę sześćioletnia dziewczynka.

Zbliżenie się do maluczkich i widok ich potrzeb wy-  
rabia w dzieciach ducha rdzennie chrześcijańskiego i po-  
budza je nieraz do szlachetnych zamiarów, które, cho-  
ciażby się wykonać nie dały, uzacniły duszę dziecka tem  
samem, że przez nią przeszły. „Gdy będę duży — mó-  
wił pewien dwunastoletni chłopczyk, dotknięty do żywego  
widokiem okropnych mieszkań wyrobników fabrycznych—  
wybuduję ogromny dom dla robotników... tam oni mieć bę-  
dą mieszkania suche i widne, szpitale dla chorych, przy-  
tułki dla starców... a w pośrodku dziedzińca stanie dla  
nich śliczna kaplica: wszyscy tam będą bardzo szczęśliwi“.

Inny znów projektował: „wybuduję piękny murowa-  
ny czworak na wsi, w którym każda rodzina będzie miała  
*swoją izbę z komorą i duże otwierane okna z lufcikiem*“.  
Na ten temat zaczęły młodzieniec różne snuł projekta,  
w których widniała praktyczność pomysłu, przy trafnej  
obserwacyi aktualnej potrzeby pracujących.

Dobra myśl kiełkuje. O jakże jałowemi są w poró-  
wnaniu marzenia wielu dzieci rodzin zamożnych: o pię-  
knych pałacach, o wykwiśniętem ich urządzeniu, o zaba-  
wach, polowaniach, wyścigach i t. p.

A może-ż być szlachetniejsza radość dla dzieci nad  
tę, gdy z ubieranych oszczędności mogą przynieść ulgę  
ubogim, np. dając im na węgiel podczas ciężkich mrozów,  
zanosząc ciepłe ubrania (które dziewczynki szyć mogą),  
albo też urządzając dla biednych własnym funduszem  
i pomysłem: choinkę, święcone i t. p.

O nie szcędźmy dzieciom tych wzniosłych pociech,  
po których nie ma przesytu, nie izolujmy ich w ciasnem  
kółku egzotycznego otoczenia.

nie obawiaj się, matko, wrażeń, jakie dziecku twemu

uczynić może widok niedoli: te wrażenia zbawienne mu będą.

Nie należy też przesadzać, w obawie zaraźliwych chorób. Oczywiście, że w czasie panującej epidemii prowadzić nie można dzieci do chorych; sama nawet matka przez wzgląd na własną dźwiatwę, — zaniechać musi na czas pewien swych miłosiernych wycieczek; po za tą jednak okolicznością nie wolno jej być lękliwą, winna ufać błogosławieństwu Bożemu i spieszyć z niesieniem ulgi cierpiącej swej braci.

Nikt nie zubożał od dawania jałmużny, nie słyszano także, aby się kto zaraził z racji odwiedzania ubogich, jeśli się tę radę ewangeliczną spełnia z roztropnością.

Pan Bóg tak dalece opiekuje się tymi, którzy ratują cierpiących członków Chrystusa, że nawet w czasie grasującej epidemii, poświęcający się kapłan, szarytka, lekarz, rzadko kiedy padają ofiarą swego poświęcenia.

Są osoby odznaczające się tak osobliwą miękkością, że najstaranniej unikają — tak dla siebie, jak dla swoich dzieci — wszelkiej wieści o cierpieniu ludzkim dla wrażenia, jakiego stąd odnieść mogły. Nie chcą oni znać szczegółów o tem, co męczennicy ucierpieli dla wiary, co po dziś dzień cierpią na misyach od pogan, uszy zatykają na opisy o ciężkiej doli biednych murzynów, więźniów, wygnańców, trędowatych, na odludnych wyspach cierpiących, a choćby na to co nasi ubodzy. paralitycy, rakowaci, chorzy cierpią w szpitalach.

Jeśli by chodziło o oszczędzenie tych szczegółów małym dzieciom, oczywiście że mają słusność, wszelako dzieci, począwszy od lat 12-tu i 13-tu — mogą — powinny nawet być zaznajomione z taką rzeczywistością. Nie zaszkodzi im to na zdrowiu, a moralnie zbawienny wpływ wyrze.

Gdy dziecko, podłotek dowie się o tem, co męczennicy wycierpieli dla wiary, wstyd mu będzie zapewne

własnej pieśczołliwości. Jakto? — powie sobie — ja narzekam na zaduch w kościele, stać nie mogę podczas kazania, lenię się wstać wcześniej, aby pójść i nie spóźnić się na Mszę św., a tylu ludzi, — tacy sami przecież jak ja, śmierć okrutną ponieśli za wiarę, za tę wiarę którą ja tak lekceważę! Trudno mi pójść do kościoła wówczas gdy dokoła pełno kościołów, a tylu biedaków jakże szczęśliwymi się czują, gdy choć raz do roku dotrzeć mogą do domu Bożego, dokąd nie wydaje im się ponad siły zdążać dziesiątkami mil piechotą, o głodzie i chłodzie. A jakaż jest dola po dziś dzień biednych murzynów? Dola najuboższego naszego wyrobnika wydawałaby się rajem dla każdego z tych biedaków, pozostających w niewoli arabskiej. I czemuż zawdzięczę Bogu, że takim murzynom nie jestem, i że wszelkie dobra życia dane mi są w obfitości?... i czy wobec tego odważę się jeszcze szemrać lub narzekać na cokolwiek?

Wszakże istnieć musi równowaga sprawiedliwości, — boć Bóg sprawiedliwym jest, i czyż przeto nie powinienem się spodziewać, że ci, którzy za życia samych cierpień doświadczyli, w życiu pozagrobowym będą mieli hojne zadośćuczynienie? Cóż jednak mnie wówczas należeć się będzie, gdy stanę do sądu na równi z tymi biedakami, mnie, który nie tylko że obfitowałem we wszelkie dobro, ale jeszcze żadnej *odrobiny* przykrości znieść nie chciałem, a na wieść o cierpieniach bliźniego, odwracałem się, aby nią nie zamącić swego samolubnego spokoju? Jest rzeczą godną uwagi, że ów bogacz, o którym Ewangelia opowiada „*że został pogrzebiony w piekle*, nie wypełnił przecież za życia żadnej zbrodni, i że za to tylko zasłużył na potępienie, *że obleczony w purpurę i białoróżę, używał hojnie na każdy dzień* (Łuk. 16—19) i że o cierpieniu ubogich *nie chciał wiedzieć*. Gdy więc w ognistych będąc płomieniach, woła o ratunek do ojca Abrahama: „*Cierpię młcki w tych płomieniu*“, — ten mu odpowiada słowy, któ-

re powinnyby każdego zastanowić, jako obraz wymiaru sprawiedliwości: „Synu, wspomnij żeś odebrał dobro za żywota twego, a Lazarz same zło, a teraz on ma pociechę a ty męki cierpisz“ (Łuk. 16—25). O! gdybyśmy tylko znali Ewangelię!

Nie chodzi tu o to, abyśmy siebie lub dzieci beużytecznie straszili i żyli ustawicznie, jakoby pod obuchem grozy, — używać bowiem z umiarkowaniem dóbr, jakie Bóg dał, można i należy, chodzi tylko o to, aby to używanie było chrześcijańskim. Chodzi też najglówniej o to, abyśmy zmienili swój pogląd na cel życia, i uznali, że nie zostało nam ono dane na to, aby było dla nas pasmem uciech i przyjemności, ale abyśmy dobrymi czynami zarobili sobie na życie, nie mające kresu; wreszcie chodzi o to, abyśmy i to zrozumieli, że dla nikogo ziemia rajem być nie może, ale że jest pobojowiskiem, miejscem pracy, wálki i zasługi, i że zatem w tem życiu tego tylko spodziewać się powinniśmy w ogólnych zarysach, czego się żołnierz spodziewa w czasie wyprawy wojennej.

Uzbrojeni takim poglądem, dziwić się już nie będziemy cierpieniu, trudom, pokusom, skądkolwiekby na nas przyszły, przestaniemy szemrać, narzekać, bluźnić, uważać się za pokrzywdzonych lub zaniedbanych przez Opatrzność gdy ciężki krzyż na nas spadnie — owszem, wśród tak różnych doświadczeń ćwiczyć się będziemy w cierpliwości, a choć nieraz może upaść nam przyjdzie pod brzemieniem, wnet powstaniemy, pokrzepiając się słowy „*że przez wiele ucisków i strapień trzeba nam przechodzić aby wniść do królestwa Bożego*“. (Dzieje Apost. XIV—21).

PRAKTYKA

ZAPARCIA I POKORY W WYCHOWANIU.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

FRAKTYKA

WYBRANE PRACY I PISMO W WYCHOWANIU

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.



*„Jeśli kto chce iść za mną, niech sam siebie zaprze, niech weźmie krzyż swój, a naśladuje mię.“ (Mat. 10 — 38).*

## I.

Była już niejednokrotnie sposobność w niniejszych uwagach, uwydatnić poglądy dziś najbardziej rozpowszechnione na życie i prawa człowieka. Ten pogląd,— wykształcony na podstawie filozofii nie chrześcijańskiej,— urobił dzisiejsze obyczaje i wytworzył zasady wychowawcze.

Jego esencją: bezwzględne prawo człowieka do używania, a konsekwencją: uwzględnienie w człowieku wszelkiej namiętności,— dogodzenie jej, a nie krępowanie w niczem.

Jakże odmiennie brzmi w tej mierze zasada Chrystusa!

*Jeśli kto chce iść za mną— mówi Chrystus— (to jest jeśli chce być chrześcijaninem) niech sam siebie zaprze, weźmie krzyż swój, a naśladuje mię. (Mat. 10—38).* Tymi słowami stawia Zbawiciel zaparcie podwaliną Chystyanizmowi, czego dowodem dalsze Jego słowa: *A kto nie bierze krzyża swego a nie naśladuje mię, nie jest mnie godzien.*

Wobec tak wyraźnego orzeczenia, już nie da się nawet pomyśleć życia chrześcijańskiego bez zaparcia.

Tu więc dwie zasady: światowa i Chrystusowa, —

stoją względem siebie w najwyraźniejszym przeciwieństwie, zbijają się i wykluczają wzajemnie.

Spółeczeństwo jednak przejęło się na wskroś zasadą światową, a odrzuca doszczętnie zasadę Chrystusową nie więc dziwnego, jeśli się coraz bardziej nachyla ku spoganieniu, i jeśli dziś wielu ludzi jest już tylko chrześcijanami z imienia...

Zważywszy, że jest zamiarem moim zachęcić rodzi-ny, za pośrednictwem wychowania, do stanowczej reakcyi chrześcijańskiej, nie będzie od rzeczy kwestyi zaparcia uwag parę poświęcić.

Nadewszystko ważnem jest porozumieć się, o jakie tu chodzi zaparcie? gdyż wiele jest osób, które sam wyraz „zaparcie“ przeraża.

Nie mówi się tu o zaparciu, obowiązującym zakonników, którzy z powołania swego dążą do doskonałości, a przeto wyrzekają się wszystkiego, czego natura pożąda, ani o tem, które praktykują asceci na pustelniach, lub którego dają szczytne wzory święci Kościoła katolickiego. Są to szczyty, na które nie wszyscy są powołani. Święci,—ci bohaterowie chrześcijaństwa,—dają nam tylko niejako *orientacyę*, *kędy* wiedzie droga do zbawienia, wskazują *kierunek*, abyśmy nie zblądzili, nie zawsze jednak ich wzory są dla *wszystkich* do naśladowania, nie od każdego bowiem Bóg równego stopnia doskonałości wymaga.

Zasadą chrześcijańskiego zaparcia—bez którego nie ma zbawienia — jest: podporządkowanie swojej woli, woli Bożej, t. j. pełnienie prawa Bożego, cokolwiekby to miało zepsutą naturę kosztować, zgadzanie się z wolą Bożą we wszystkich okolicznościach życia, wreszcie, jest to znoszenie bez szemrania tych przykrości i krzyżów, jakie nas w życiu spotkać mogą, z poddaniem się zrządzeniom Opatrzności Bożej, w duchu pokuty i zadośćuczynienia. Cnotą zaparcia człowiek *chętnie poświęca siebie* miłości Bo-

ga i bliźniego, t. j. poświęca własny interes, dogodność, przyjemność, chlubę, *wyższej idei, której szuka po za sobą.*

W zaparciu—zasada bezinteresowności, oraz każdego zacnego czynu; na jej wyżynach tylko mogą rosnąć i rozwijać się kwiaty cnót rdzennie chrześcijańskich: przebaczenia uraz, miłości nieprzyjaciół, pokory, cichości... które przed Chrystusem nieznanne były zupełnie... Zaparcie, jest więc esencją życia chrześcijańskiego, bo jest owocem miłości, a podobnie jak płuca działać nie mogą w organizmie bez tlenu, zarówno życie chrześcijańskie bez zaparcia — zamiera.

Jak prawość jest podwaliną życia uczciwego, tak zaparcie jest fundamentem życia chrześcijańskiego.

A w praktyce, jak wygląda zaparcie?

Jest to nadewszystko wierne i akuratne spełnienie obowiązku, z zasady, że obowiązek jest najwyraźniejszym objawem woli Bożej. Naprawdę, żadnej powinności należycie spełnić nie można bez zaparcia. Patrz, jakiego ciągłego zapomnienia o sobie wymaga obowiązek matki, nauczyciela, urzędnika, lekarza, kapłana? i czy na swoim stanowisku zdziałaliby cokolwiek, gdyby byli przejęci myślą o swojej wygodzie, bezpieczeństwie, przyjemności? A wieleż to wyrzeczenia wymaga od człowieka wiedza, sztuka, zdobycie lub zachowanie majątku, a choćby nawet sam świat?

Gdybyśmy dla zbawienia swej duszy tylko tyle ponosili trudów, umartwień, upokorzeń, skrzępowania, ile ich ponosimy dla wymagań świata, zaprawdę zasłużylibyśmy w krótkim czasie na piękną koronę w niebie!

Człowiek zaparty przyjmuje z pogodnem obliczem wszystkie cierpienia — większe i mniejsze — jakimi go Bóg doświadcza, przyjmuje więc przykrości wynikające ze stanu zdrowia, z obrotu interesów, z braku wygod, z uciążliwej pracy, z niesprawiedliwości ludzkiej. Nie

szemrze, nie narzeka, ani na krzyżujące okoliczności, ani na osoby, znosi bez skrzywienia upał, chłód, słońce, zaduch, utrudzenie podróży, dłuższe wyczekiwanie, w czem wszakże nie jest bezmyślnie obojętny, lecz tylko wyższy hartem. Cierpliwością w drobnych zdarzeniach nabywa męstwa do zniesienia cięższych krzyżów, w czem znów nie jest pysznym stoikiem, lecz mężnym chrześcijaninem, który od krzyża się nie uchyla. Zaparcie wyklucza nadewszystko szemranie, bo czemże jest naprawdę szemranie? Mówiąc prawdę, jest to narzekanie na samego Stwórcę, kto bowiem szemrze na okoliczności, szemrze tem samym na ich sprawcę, a wiemy przecież, że pośrednio lub bezpośrednio, sprawcą wszystkich zdarzeń jest Bóg, bądź tem, że je dopuszcza, bądź tem, że je zsyła.

Wszystko, cokolwiek na świecie istnieje, posiada stronę dodatnią i ujemną:—to nawet co najlepsze, najpożądańsze, ma swoją stronę odwrotną, i tak np. posiadanie wielkiego majątku pociąga za sobą wielkie kłopoty, używanie przyjemności, wywołuje znużenie, pora letnia sprawdza upały... i t. d. Otóż niektóre osoby mają tę specjalność, że z dziwną wrażliwością odczuwają we wszystkim tylko stronę ujemną, i tak się nią trapią, że dodatniej nawet nie widzą: są, jak gdyby jakie rajskie dzieci, stworzone tylko do używania. Ta nadczułość na wrażenie przykre, jest po największej części błędem wychowania a owocem miękkości, jest także błędem poglądu na życie, jaki pierwiastkowo rodzice dali dziecku. Jego następstwem, że człowiek sądząc, że samo dobro w tem życiu z prawa mu się należy, znieść nie może najłżejszej przykrości, która, gdy mu się nadarzy, *dziwi* się jej i *narzeka*, porównywując się zawsze z tymi tylko, którzy wydają mu się, iż mają lepiej od niego, a zapominając o tych, którzy mają gorzej.

U niektórych osób, bardziej rozpieszczonych, narze-

kanie w istny nałóg się przemienia, czyniąc je w stosunku bardzo przykre.

Wychowanie chrześcijańskie w zupełnie innym zdąża kierunku: uczy cierpliwości względem tego co przykre,—w którym każe uważać właściwość życia;—a wdzięczności za każdy błysk szczęścia. w którym widzi niespodziankę, jaką Bóg człowiekowi na drodze jego życia zgotował: uczy—*cierpieć cicho, a cieszyć się głośno.*

Nikomu własnym ciężarem nie przyciążać, a drugim chętnie ciężary dźwigać: oto cecha chrześcijańskiego zaparcia.

Osobliwym sposobem przystoi kobiecie zaparcie, ze względu na obowiązki, jakie zazwyczaj są jej udziałem, a którym bez wyrzeczenia nigdy nie sprosta, kobieta bowiem któraby nie była giętka, łatwa, ustępująca, stosująca się do drugih, a o sobie zapominająca, nie potrafi nigdy być w ognisku rodzinnem tem, na co ją Bóg przeznaczył: t. j. aniołem pokoju i opatrnością; nie będzie ogniskiem promiennem i ciepłem, co jest jej powołaniem, lecz będzie ogniskiem dymiącem!

A jakże stosować będziemy zasadę zaparcia w wychowaniu dzieci?

Należy je nadewszystko nauczyć, że gdy chodzi o spełnienie obowiązku, to co się *podoba* lub *nie podoba*, wchodzić nie powinno w rachubę i nie może być motorem czynu. „Nie dlatego się uczysz — mówi matka dziecku — nie dlatego chodzisz na spacer, gimnastykujesz się i t. p., że lubisz spełniać te czynności, lecz dlatego, że te czynności wchodzą w zakres twoich powinności. Lubisz je—tem lepiej,—nie lubisz — mniejsza o to, pomimo tego spełniaj je sumiennie, jak gdybyś je lubił.“

Wprawiać je także będziemy, aby, w razie potrzeby, przyjmowało bez szemrania zmiany projektu, ustąpiło koledze, wyrzekło się przyjemności, przysiedziało fałdów

nad książką, ćwiczeniem, a nawet aby dla niego było szczęściem mózdz czasami poświęcić się dla rodziców i t. p.

Nie sądźmy, aby dziecko roztropnie za młodu wprawiane w chrześcijańskie zaparcie, miało z tej przyczyny być jakieś smutne lub przygnębione, owszem, jaśniej będzie ono weselem, jakie dać tylko może przewaga duszy nad ciałem. a o którem dziecko pieszczone,—u którego zmysły zabijają duchowe porywy, — pojęcia nawet nie ma. I któż nie doświadczył, o ile dzieci hartownie chowane są zawsze weselsze od pieścuchów!

Są jednak matki, które rządząc się zasadą o konieczności wdrażenia dzieci w zaparcie, najniestosowniej do tego się biorą. Sądzą, że czynią dobrze, gdy na każdym kroku dzieciom się sprzeciwią, aby, nałamawszy ich charakter, uczynić go giętkim. Wystarcza, aby dziecko czegoś bardzo zapragnęło, aby mu tego odmówiły, i na odwrót. Jest to moralne kaleczenie, koszlawienie dziecka, nie zaś wychowywanie go, — co wydaje najgorsze rezultaty. Takie postępowanie wyradza w dziecku skrytość, nieufność, gorycz, zazdrość, łamie go wreszcie, a wiadomo, że co złamane, rzadko już kiedy daje się naprawić. Jest to karykatura praktyki zaparcia, zaparcie bowiem płynie z serca, a nie z musu, daje wesele, a nie smutek.

Inaczej zupełnie postępuje rozumna matka chrześcijańska. Skoro jej dziecko czegoś gorąco zapragnie, naprz. majówki, wycieczki..., a nie widzi ku temu przeszkody, chętnie przychyła się do życzenia dziecka, czem zjednywa jego serce i zaufanie, — co jest niezmiernie ważne. Gdy jednak zachodzi trudność w skutecznieniu projektu, np. przez wzgląd na czyjeś zdrowie lub coś podobnego, matka wpływa na dziecko, aby *dobrowolnie* na tę chwilę zaniechało swego pragnienia, „bo wszakże — mówi mu — *nie chciałbyś*, aby brat, siostra byli pozbawieni tej przyjemności? Poczekajmy aż wyzdrowieją.“ Przytem uczy dziecko, aby się nie naprzykrzało, i z przy-

czyny odmowy nie szemrało. W taki to sposób, jednym zamachem matka kształci w dziecku serce, wolę i wprawia je w piękną cnotę zaparcia.

Gdy zaś jedno dziecko pragnie jednej rzeczy, a drugie innej, matka korzysta z tej sposobności, aby wdroić dzieci do ustępowania sobie bez sprzeczki: raz jedno niech ustąpi, raz drugie, —zdrowe choremu, starsze młodszemu i. t. d.

Gdyby zaś dziecko zapragnęło ustawicznych wrażeń, rozrywek, łakotek, matka wytłómaczy mu, że człowiek stworzony jest dla pracy, nie zaś dla zabawy, i że rozrywka może być tylko krótkim wytchnieniem po spełnionym obowiązku, ...wytłómaczy mu także, że człowiek nie żyje dla przyjemności jedzenia, i że jeść powinien dla utrzymania życia, nie zaś dla dogodzenia łakomstwu.

Matka postara się przytem wykształcić w swem dziecku delikatność uczuć, tak, aby nie pragnęło nawet tego, coby na razie mogło kogós zranić, jak to np., gdyby żądało zabawy wówczas, gdy w domu zagościł niepokój lub smutek. Delikatność serca jest cennym kwiatem zaparcia.

Matka pójść może trochę dalej jeszcze ze starszem dzieckiem, może je nauczyć dobrowolnego umartwienia, aby zdolne było samo, bez świadków i tylko pod okiem Bożem, odmówić sobie czegokolwiek: słodyczy, rozrywki, aby potrafiło powściągnąć się w gadatliwości, dać jałmużnę z własnych oszczędności i t. p., a to w celu uproszenia od pana Boga jakiej łaski, podziękowania za dobrodziejstwo, przygotowania się do uroczystości, uczczenia Męki Pańskiej i t. p. Praktyka takiego umartwienia nauczy dziecko rzadkiej dziś między ludźmi umiejętności *panowania nad sobą*: będzie to walna porażka dla miękkości, a znakomita gimnastyka dla woli. Próżnem zresztą zatapiać się tu w szczegóły, gdyż wszystkie uwagi ni-

niejszej pracy są niejako zachętą do wykształcenia w dziecku zaparcia; gdyby która matka zechciała choć w części nasze rady w czyn wprowadzić, tem samem wywycyliaby już dostatecznie siebie i swoje dzieci w pięknej chrześcijańskiej enocie zaparcia.

Osobliwe słowo spotykamy w pierwszym rozdziale Ewangelii Ś-go Jana, na które mało kto zwraca uwagę. Brzmi jako następuje: *A tym którzy Go przyjęli dał im moc, aby się stali synami Bożymi.* (Jan 1. 12). Te słowa świadczą, że na to, aby praktykować życie chrześcijańskie, potrzeba mocy nie lada, mocy, której sami z siebie nie posiadamy; która wszakże obiecana jest tym, co Chrystusa *przyjęli*. A myśmy wszakże nie tylko przyjęli Chrystusa, ale także serdecznie ukochaliśmy Go, ufać przeto możemy, że Chrystus spełni słowo swego poprzednika, i że w zamian za naszą wiarę, za naszą miłość, udzieli nam siły, abyśmy wśród zepsucia świata, wśród pokus szatańskich i pomimo własnej słabości, potrafili życie chrześcijańskie prowadzić, i tem zasłużyli sobie na wieniec nieśmiertelny w wieczności, na łonie Bożem „*gdzie oddane będzie każdemu, według uczynków jego*“ (Jan Obj. 22 — 12).

## II.

Jest jeszcze jeden rys znamieny, niezbędny charakterowi chrześcijanina, który od lat najmłodszych w sercu dziecka kształcić należy: tym rysem jest enota pokory. Uczy nas o tem Zbawiciel świata, gdy mówi do nas wszystkich bez wyjątku: „*Uczcie się odemnie, żem jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym.*“

Dużo zaprawdę potrzeba śmiałości, aby się odważyć pisać o pokorze w dziele treści wychowawczej, w wieku, w którym najnowsze prądy osobliwym sposobem

mają pokorę w poniewierce, a nawet w nienawiści, a głoszą z najwyższym naciskiem o godności, honorze, indywidualności, samodzielności, self-helpie i t. p.\*)

Pokora,— zdaniem wielu,— bardziej jeszcze, niż poposłuszeństwo, zasługuje na anetema ucywilizowanego społeczeństwa. Pokora! wszakże to brak tego wszystkiego, za czem ludzkość dzisiejsza najbardziej się ugania! To brak ambicyi, godności, honoru, to owoc słabego ducha, usposobienia nieśmiałego... to chytra układność, faryzeizm, nikezemność nawet! Pokorny — według sądu świata — na nic się nigdy nie odważy, bo sobie nie ufa, do niczego nie dojdzie, bo jest pozbawiony ambicyi, a każdemu ustępuje... nie nie zdziała, bo wciąż pamięta o swem niedoleźtwie. Każdy bezkarnie uchybić mu może, bo on za sobą się nie ujmie; każdy nim powoduje, bo on wszystkim ulega... jest on bez zdania, bez sądu, bez woli, — jednym słowem to *trup społeczny!*

O nie! takim nie jest chrześcijanin pokorny,... fałszywy jego obraz świat kreśli, aby nam pokorę zohydzić, nazywa bowiem pokorą, co nią nie jest, lecz tylko jej karykaturą.

Wprawdzie, nie każdy jest pokornym, kto się nim być wydaje, są bowiem tacy, którzy ubierają się w pokorę, jakgdyby w suknię, a są w głębi duszy pełni pychy, którzy wciąż prawią o swojej niegodności, aby im przeczyli i t. p., ci są właśnie, którzy ludzi w błąd wprowadzają. Należy nadewszystko o tem pamiętać, że pokora głównie na duchu zależy, nie zaś na układzie zewnętrznym i na gładkich słówkach, i że siedliskiem pokory jest serce. Pokora — to *prawda i sprawiedliwość*, a pokornym jest ten tylko, który *żyje prawdą*.

Pokora to sprawia, że człowiek uznaje, iż *sam z sie-*

---

\*) Patrz w „Życiu Katolickim“ część II, rozdziały o godności i honorze, o samodzielności w praktyce pokory chrześcijańskiej, i t. d.

*bie* jest niczem, wszystko czem jest, zawdzięcza Stwórcy, że w rozumieniu o sobie nie jest zaślepiiony i różni w sobie wielką *godność* i wielką *nicość*, zdolność i niemoc, szlachetne porywy i ułomność. „*Co masz człowiecze, czego byś nie wziął, a jeśliś wziął, czemu się pyśniesz?*“ — pyta księga o „Naśladowaniu“.

Być pokornym nie znaczy więc zaprzeczać sobie przymiotów i zdolności — należy bowiem zawsze być w prawdzie; być pokornym — znaczy Bogu za wszystko chwałę oddawać, a dla siebie nie żądać uznania, ani wyniesienia, i spełniać swe czyny nie dla próżnej chwały, którą człowiek człowiekowi dać może, ale dla spełnienia woli Bożej i podobania się Stwórcy.

Chcąc lepiej zrozumieć, czem jest pokora i jaka jej wartość, przedstawmy sobie człowieka, który pokornym nie jest.

Jest on nadewszystko pełen siebie: zawsze z siebie zadowolony, a często sobą zachwycony, pragnie ustawicznie sobą drugich zajmować, co sprawia, że wciąż o sobie mówi i wszystko ku sobie zwraca. Ledwie spełnił jakiś uczynek — dobry lub rozumny, — wnet o nim głośni, jak kura co kwocze, gdy zniosła jajko. Nienawidzi zapomnienia, nie znosi pominięcia, wciąż tedy siebie na front stawia. Przechwala się, blaguje, wręcz kłamie, zwłaszcza, gdy o sobie jakie zdanie wypowiada. Siebie ocenia nadmiernie, to też wielce trudnym czyni przystęp do siebie, przyjmuje wyniośle, traktuje z góry, protekcyjonalnie lub lekceważąco. Wraz z Faryzeuszem modli się, dziękując Bogu: że *nie jest jako ci ludzie drapieżni, cudzołożnicy*, ale że jest sprawiedliwy i tyle dobrych uczynków spełnia. Nie znosi cienia krytyki, owszem, żąda, aby go wciąż chwalono, a obraża się za pozór uchybienia. Chętnie a trwożnie przysłuchuje się temu, co o nim mówią, niższych zaś upoważnia do pochlebstwa; nie znosi także, aby o kimkolwiek dobrze przed

nim mówiono, przyczem bezustannie zazdrość nim miota i w głębi jego duszy nurtuje. Lubi życie wystawne, pierwsze miejsca, odznaczenia, honory, szuka towarzystwa ludzi głośnych, utytułowanych, bogatych, przyznaje się do pokrewieństwa z tymi tylko, którzy są wysoko postawieni lub mienni, a odwraca się od najbliższych krwią, gdy ci są ubodzy.

A jakże nieznośnem jest dziecko pyszne, zarozumiałe, sobą zajęte, które uczy się dla stopnia, chelpi się z przymiotów zewnętrznych, szuka wyróżnienia; jak nieznośnym jest sługa, który sądzi, że wszystko czyni najlepiej, a zatem nie daje się w niczem przestrzedz, upomnieć, a obraża się za słowo nagany, który pnie się do naśladowania chlebobawców, od prostych robót się wymawia, spychając je na niższych, który wymaga, aby obchodzono się z nim delikatnie, a sam poniewiera tych, którzy choćby o jedną linię niżej stoją od niego. I komuż podobać się mogą wyżej naszkicowane wizerunki? pycha bowiem w swem obnażeniu, t. j. w świetle prawdy widziana, wstrętną jest każdemu, gdyż jest nietylko niesprawiedliwością, ale nadto jeszcze jest śmiesznością, jest małością istoty, którą swąd kadzidla cieszy. I dla tego jeszcze pycha w swych objawach podobać się nam nie może, że nam zwykle uchylbia i w rzeczy samej jest najistotniejszym poniżeniem godności człowieka, co intuicyą odczuwamy. A chociaż pojęcia o pokorze nie lubimy i wzdrygamy się na samą myśl o praktyce pokory, przecież naprawdę oceniamy pokorę, i choć może bezwiednie. prawdziwą zasługę tylko w niej uznajemy.

I tak np., widząc człowieka, który obok niepospolitych zdolności i zasług, jest skromny, mało o sobie rozumiejący, człowieka, który wiele zdziaławszy, szczerze mówić potrafi, według zalecenia Chrystusowego. „*Sługą niepożytecznym jestem*“, niewątpliwie odczuwamy w nim jakąś osobliwą wielkość, wyższość, *dystynkcyę ducha*, przed

którą czoło nam się schyla. Znać, że wzniosły jest ideał tego, którego własne czyny — nawet najzacieńsze, — zadowolnić nie mogą, znać, że wysoka jest jego ambicya, dla której pochwały ludzkie nie mają znaczenia: jak orzeł szybuje on ponad tem co nizkie, poziome, a wpatrzony w blask słońca, wzbija się wciąż ku wyżynom.

Pokora jest cnotą ze wszystkich najpotrzebniejszą, słusznie zwać ją można fundamentem cnót, gdyż bez niej żadna cnota, cnotą naprawdę nie jest: najwspanialsze bowiem miłosierdzie, heroiczne czyny, poświęcenie bez granic, są bez wartości w obliczu Bożem, jeśli *pokora serca* im nie towarzyszy.—Pokora, to więc szczyt mądrości, pycha zaś — to próżność, niedorzeczność, śmieszność sama!

Z powyższych uwag łatwo wywnioskować, jak ważnem jest, abyśmy w wychowaniu dziecka wczesnie podwalinę pokory postawili, od tego bowiem cały kierunek jego życia zależy.

Nauczmy nadewszystko dziecko zasady pokory, a następnie pilnujmy w niem ukazania się najpierwszych objawów pychy, aby je za nie skarcić.

Niech jego pokora płynie z przekonania (na podstawie rozumowej), nie zaś z układności, i niech się w czynach przejawia.

Uczmy dziecko aby nie było chępliwe, zazdrosne, próżne z przyczyny zdolności, urody, mienia lub stanowiska rodziców, niech się nad nikogo nie wynosi, starszych niechaj poważa, w ich obecności przez uszanowanie niech raczej będzie nieśmiałe, niż zbyt swobodne, póki zwłaszcza do swobody go nie upoważnią. Dla niższych niech będzie grzeczne, uprzejme, a służbą niech nie pogardza, niech rozkazująco i wyniosłe do niej nie przemawia, owszem, niech o wszystko prosi, za wszystko dziękuje.

Pewnego razu zdarzyło się, że gdy niejaka dziew-

czynka nie mogła się odważyć przejść sama przez kładkę, a służąca chcąc jej w tem dopomódz, rękę jej podała, — dziewczynka brzydząc się widocznie dotyku spracowanej ręki, przez chustkę uchwyciła rękę służącej. Gdy się ojciec dziecka o tem zdarzeniu dowiedział, zgromił je surowo i jako zadosyćuczynienie za tak ciężką winę, świadczącą o pysze serca, — kazał córeczce rękę służącej pocałować.

Zdarzenie to niezatarte wspomnienie w sercu dziewczynki zostawiło, zrozumiała na całe życie, że nie jest czynem chrześcijańskim sługami pogardzać.

Niestety! słyszałam jednak o takich rodzicach, którzy gromią swe dzieci za grzeczne przemówienie do sług, w tem bowiem widzą wyższość, aby z góry „chamów“ traktować i rozkazująco do nich mówić!

Niech dziecko się nauczy drugim ustępować, niech za przestrogę lub naganą nie uraża się, wreszcie niech oczyszcza intencję swoich czynów, aby nie dla próżności, lecz dla zasady obowiązku były spełnione.

Niech się dziecko nie uczy dla stopnia, dla promocyi, lecz dla tego, że uczyć się jest jego powinnością. Zły stopień jednak nie powinien być mu obojętny, a dobrym cieszyć się może, wszakże nie z racyi doznanego upokorzenia lub tryumfu, lecz dla przykrości lub radości sprawionej rodzicom, a głównie dla spokoju własnego sumienia.

Może kto zapyta: czy ambicya w dziecku jest naganną?

Jest to kwestya wielce względna, albowiem ambicya być może wadliwą i dobrą. Wadliwą ambicyą jest ta, która płynie z pobudki pychy, jest zaś szlachetną, gdy jest emulacją, — wyścigiem o to co najlepsze.

I któżby w dziecku zgañił taką emulację: „Uczmy się — kto lepiej będzie umiał? biegajmy... kto najprędzej dobiegnie?... mocujmy się... kto najsilniejszy? i t. p.

Wszakże dążenie do doskonałości jest otwartem polem najszlachetniejszego wyścigu, najwyższej ambicji, ideałem bowiem tej doskonałości—to doskonałość najwyższa, a nigdy nie dopięta, o czym nas Zbawiciel świata poucza:

„*Bądźcie doskonałymi jako Ojciec wasz niebieski doskonałym jest*“.

„*Nie wiecie, — mówi Paweł św. — że ci, którzy w zawód biegają, acz wszyscy biegną, ale jeden zakład bierze. Tak bieżcie abyście otrzymali*“ (Korynt. I—9—24).

Dziecko, któremu zły stopień lub nagana byłyby obojętne, zdradzałoby lichy charakter lub wielką apatyę, — należałoby nad niem popracować, aby w niem szwankującą ambicyę rozbudzić.

Starsi powinni też o tem pamiętać, aby nigdy nie ścierali w dzieciach miłości własnej, np. karą publiczną, upokorzeniem, słowem obelżywem lub poniewieraniem, do czego zniecierpliwienie lub pasya niekiedy doprowadza. Naganiając, można ostro potępić uczynek zły, wykazać jego szpetność, niegodziwość, konsekwencye zeń płynące, które, — jeśliby zachodziła potrzeba silniejszego wstrząśnienia dzieckiem, — możnaby mu odmalować w jaskrawych kolorach, tu zawsze jednak trzeba umieć wyodrębnić *grzech* od *grzeszącego*, bowiem na to tylko grzech ostro się piętnuje, aby grzeszącego doń zniechęcić i z upadku grzechowego *podnieść*.

Pokora nie uchybia też bynajmniej godności, owszem, w niej właśnie jej straż najpewniejsza, ona bowiem nie daje popełniać takich uczynków, które najbardziej godności człowieka ubliżają.

I czyż nie jest wstrętnem poniżeniem godności nadśłuchiwać pochwał, żebrać uznania, działać w celu oklasków, a w ocenie świata szukać dla siebie nagrody? I czyż nie jest bezrozumnem i dowodem startej ambicji upajać się pochwałami? Czują to tak dalece sami na-

wet ludzie światowi, że uważają za ubliżenie chwalić kogo w oczy, w czem istotnie mają słuszność.

Dusze zaś wyższe tak bardzo cenią własną godność, że staranniej się oczyszczają z pyłów próżności, aniżeli by człowiek dbał o zdrowie oczyszczał się z bakcyllusów cholery lub dżumy, — tak zaś dalece posuwają pogardę dla uznania ludzkiego, że niekiedy usiłują uchodzić przed światem za szaleńców, gdyż sąd Boży, oce-  
na Stwórcy, wszystko dla nich stanowi.

To bohaterstwo świętych jest dla nas, zwykłych śmiertelników, raczej podziwu godne, niż dostępne do naśladowania, wszakże służyć nam ma w tej mierze za użyteczną a wrażliwą oryentację.

I któż nie przyzna, że w tem leży wyższość istotna: nie być skrepowanym względami ludzkiemi?

*Próżność!* sam już ten wyraz maluje dosadnio, czem jest wada, której on służy za określenie; dowodzi, że w niej największe unicestwienie człowieka, którego z całej wartości obdziera!

O jakże pogląd świata na cnotę pokory jest mylny i nieuzasadniony! jakże spaczona są jego pojęcia o godności, honorze, ambicyi!

Kształćmy więc nasze dzieci, nie według poglądu świata, lecz według zasad chrześcijańskich, kształćmy w nich równocześnie pokorę i godność, skromność i ambicyę, pokora zaś prawdziwa uszlachetni charakter dziecka, bo mu będzie podwaliną prawości, stanie mu się źródłem istotnego i trwałego postępu, a nadewszystko zjedna mu łaskę Bożą, albowiem powiedzianem jest w Piśmie św. „*że Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę daje*“.

Pokora zawiedzie go wreszcie prostą drogą do źródła zasługi i mądrości.

### III.

Wyżej wymienione cechy pokory i zaparcia niezbędne są każdemu chrześcijaninowi, wszakże prawdą jest, że im wyższe czyje stanowisko i znaczniejsze mienie, tem głębiej te cnoty powinny być w duszy ugruntowane, a to z przyczyny silniejszych pokus, które na nie godzić będą.

Życie urabia zazwyczaj przeciętnego śmiertelnika średniego mienia, a zwłaszcza na chleb pracującego, czyni go hartownym i odpornym.

Własne cierpienia i niedostatek kształcą w nim współczucie dla bliźniego, a ciężka dola, częste upokorzenia utrzymują w małym o sobie rozumieniu i zależności, wówczas gdy przeciwnie, u człowieka miennego życie rozwija do wysokiego stopnia miękkość, samolubstwo i wyniosłość, a przecież któż nie przyzna, że właśnie tym ludziom najbardziej potrzeba zasad, hartu, miłosierdzia, cnót obywatelskich, wreszcie — pokory!

Nic powszedniejszego nad skargi na klasy mienne, z przyczyny, że nie kształcą ludzi odpowiednich do różnych zadań społecznych, lecz że wydają pasożytów marujących w celach samolubnych czas, zdolności i mienie. Nie myślę tu stawać w obronie klas wyższych, twierdząc tylko, że czeze narzekanie nic tu nie poradzi i nie dopomoże tam, gdzie potrzeba rychłej reakcyi czynu. Ta pożądana reakcyja jest w ręku rodziców, a doniosłe jej zadanie.

Miękkość jest — jak to wyżej widzieliśmy — jednym z najniebezpieczniejszych szkopułów, o który nieraz rozbija się najlepsza wola, pycha zaś psuje najszlachetniejsze serca, — o hart zatem i o pokorę rodzice zamożni, więcej niż kto inny dla swych dzieci, z wyłączną usilnością starać się powinni.

I któż dawać będzie na cele dobroczynne, na sprawy społeczne, na budowanie domów Bożych, na wspieranie potrzeb, jeśli nie ci, których Bóg hojniej od innych udarował, i czyż na to ich obdarzył, aby więcej niż drudzy używali i mieli raj na ziemi? Byliby zapewne w tem najbardziej pokrzywdzeni!

O jakże szczęśliwy jest ten, kto w obec nędzy ludzkiej i potrzeb społecznych nie jest bezsilny, owszem, kto może ratować, uszczęśliwiać i rękę do każdej dobrej sprawy przyłożyć!

Zważywszy jednak, że dary fortuny zazwyczaj serca wysuszają, a mnożą osobiste potrzeby i wymagania, ważnem jest, od lat najmłodszych, kształcić w dzieciach pogląd na obowiązki ludzi miennych, i dać im weześnie zasmakować najszlachetniejszej rozkoszy: uszczęśliwiania.

Ważnem jest także wykształcić w dziecku, — słowem i przykładem — pewną *obojętność* dla darów fortuny, a nawet pewne ich *lekceważenie*.

Nie mam tu przecież na myśli uczyć dzieci rozrzutności, lecz tego tylko, aby zbytnej wagi nie przykładaly do obfitości dóbr doczesnych, aby je ocenialy o ile są *sila ku dobremu*, gdyż w istocie po za tem są tylko niebezpieczeństwem. Dziecko powinno też wiedzieć, że człowiek bogaty nie jest właścicielem dóbr, jakimi rozporządza, lecz tylko ich szafarzem, a szafarzem wielce przed Bogiem odpowiedzialnym.

Skoro jednak dzieci nie przestają słyszeć od lat najmłodszych, jako rodzice i starsi uważają za szczyt szczęścia i przedmiot zazdrości: bogate ożenienie lub zamążpójście, odebranie znacznego spadku, wygranie na loteryi i t. p., przeciwnie zaś, mianują największem nieszczęściem każdą klęskę materyalną, — ten ich pogląd, całkiem pogański, krystalizuje się w ich pojęciu, i stanowi im na dalsze życie kryterium oceny i sądu.

Dobrego chrześcijanina obchodzić powinno najbar-

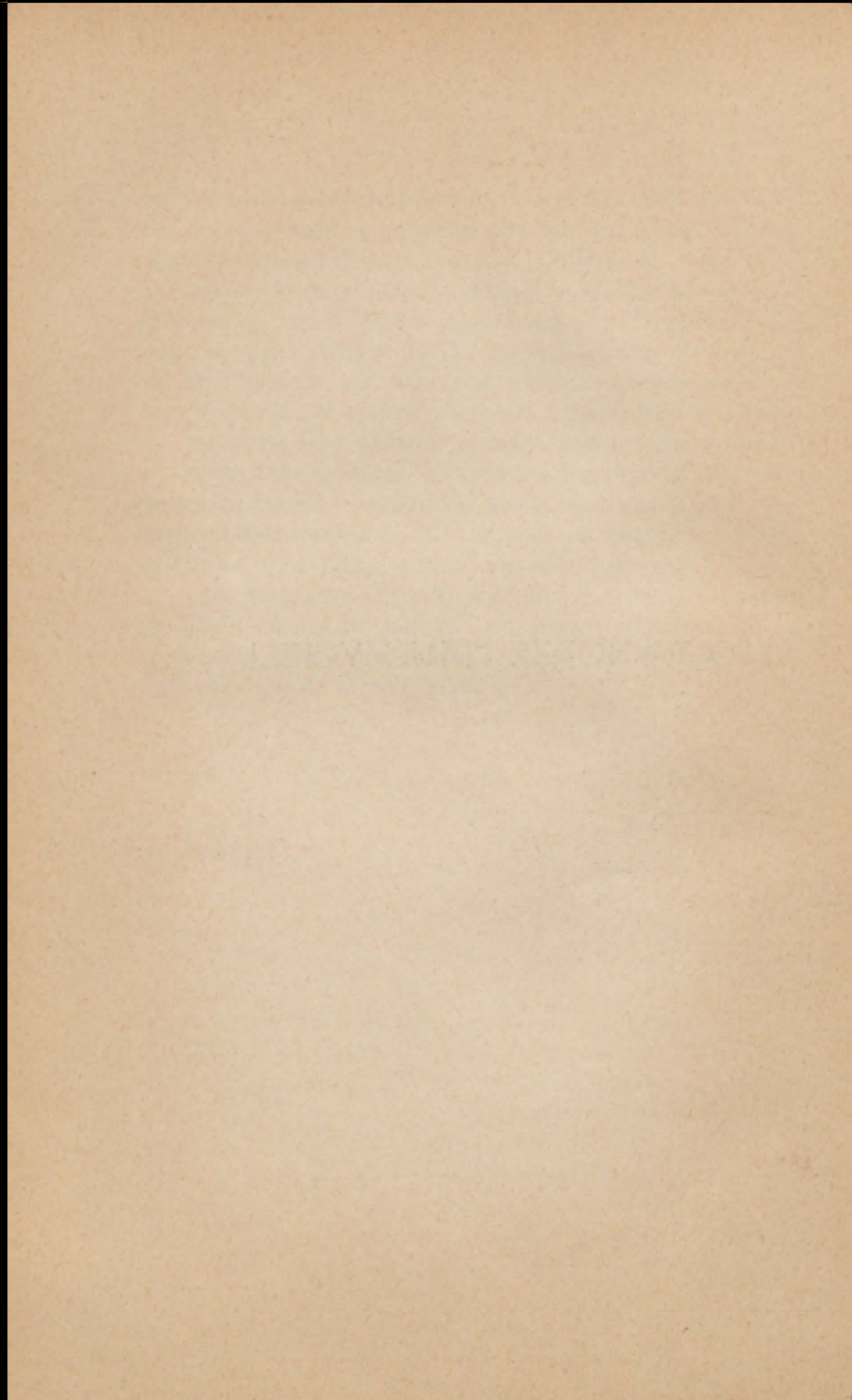
dziej dobro lub zło moralne, cierpienie bliźniego, a zwłaszcza ucisk ducha, — większa zaś lub mniejsza możność używania, powinna mu być dość obojętna.

Skoro zasada pokory, wyżej wyłożona, gruntownie zrozumianą będzie przez młodzieńca — zaczerpnie z niej jasny a sprawiedliwy pogląd na istotną wartość człowieka: zrozumie, że nie dary przyrodzone, a tembardziej nie dary fortuny ani tytuły, stanowią o jego wyższości lub wartości, lecz jedynie przymioty wewnętrzne, pracą wykształcone: prawość charakteru, zacność czynów, szlachetność dążeń, — zrozumie nadto, że talenta, jakie człowiek od Boga odebrał, nie czynią go bardziej godnym szacunku, lecz tylko więcej odpowiedzialnym.

Na wieleż to przeróżnych illuzyi i pokus narażeni są ludzie mienni, w których ratunkiem jedynym: od lat najmłodszych wychowaniem wpojona i w obyczaj wprowadzona: *zasada chrześcijańska*.

---

O WYBORZE NAUCZYCIELI.





## I.

**D**ziela traktujące o wychowaniu rozpisują się obszernie o tem, jakie powinny być kwalifikacye naukowe i umysłowe wychowawców, którym zamierza się powierzyć kształcenie dzieci, jakie powinni posiadać patenty, a nawet, jaki powinien być ich wygląd. Zalety, kwalifikacye nigdy nie są do pogardzenia, — im więcej zaś znalazłoby się zalet skupionych w osobie pedagoga, tem oczywiście większa byłaby jego wartość. Nie będę więc tu powtarzać tego, o czem drudzy mówią wyczerpująco, — zwrócę raczej uwagę na inną stronę kwestyi, a mianowicie, czego w wyborze pedagoga strzedz się należy?

„Szukajcie nadewszystko królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta daną wam będzie w przydatku“ — uczy Chrystus Pan. Ta rada stosować się może w całej pełni do przedmiotu, który nas obecnie zajmuje.

W wyborze nauczyciela moralna jego strona t. j. charakter, powinna być zawsze dla nas najpierwszej wagi, stać na pierwszym planie, i stanowić warunek *sine qua non* wyboru.

Na co się przydadzą: talenta, dar nauczania, znajomość obcych języków, dobry układ, wygląd sympatycz-

ny i t. p. jeśli nauczyciel lub nauczycielka, przejęci zasadami niebezpiecznymi, mieliby wywierać wpływ ujemny na dzieci? A takich nauczycieli i nauczycielek niestety jest dużo!

W trudnem niewątpliwie położeniu znajdują się rodzice, mający wybrać nauczycielkę dla córek, a jeszcze więcej — nauczyciela dla synów; boć zaręczyć można że z dziesięciu kandydatów, rzadko kiedy jeden zasługiwać będzie na zaufanie. Jak się jednak o tem przekonać, który zasługuje na zaufanie, a który nie? czy ze stopni dyplomów szkolnych? Celujące wszakże stopnie nic nie orzekają o charakterze osoby, o jej zasadach, poglądach, o jej moralności, a z wyglądu także sądzić nie można.

Biura rekomendacyjne mało też wiedzieć mogą o wartości osoby stręczonej. Pozostaje więc tylko jedna droga, — droga prywatnej informacyi, a następnie, droga bezustannego czuwania. Trudnem jest niewątpliwie znalezienie osoby odpowiedniej, wszelako, kto szuka ten znajduje, a Bóg dopomaga temu, kto nadewszystko ceni w człowieku: zasadę i charakter.

Rekomendacye kantorów, — to smutna ostateczność, nie dająca żadnej rękojmi, zwłaszcza, jeśli chodzi o cudzoziemca. Gdyby wiedziano z jakiej to sfery rekrutuje się niejedna bona i nauczycielka cudzoziemka, polecana przez kantory, nigdyby się nie odważono czerpać z tego źródła, — chyba z niezmierną oględnością. Są to często skompromitowane aktorki, śpiewaczki, które stargawszy siły, a zużywszy głos na scenie, szukają na innem polu zarobku; są to także spracowane tancerki, osoby podejrzone... szumowiny społeczne, jednostki, którym na dzień jeden dzieci powierzyć nie można.

Porządny nauczyciel, nauczycielka — cudzoziemcy, — niechętnie swój kraj opuszczają, dla pracy zagranicą, gdyż u siebie znajdują dostatni chleb; chcąc zatem zdobyć zacnego pedagoga Francuza, Niemca, Anglika, lub dobrą

nauczycielkę, powinno się ich szukać nie w naszych biurach, lecz w ich ojczyźnie, choćby przez korespondencję z zacnemi kantorami, dającemi chrześcijańską gwarancję sumiennego wyboru.

Najbezpieczniej jednak w tej mierze posilkować się rekomendacją znajomych, i brać nauczyciela ze znanego domu, w którym przestał być potrzebnym albo też sprowadzać wprost z wychowawczych klasztorów. Dobra nauczycielka rzadko kiedy potrzebuje pośrednictwa biura: zwykle przechodzi z domu do domu. Tu panienka wychodzi za mąż, tu chłopca oddają do szkół, — doskonały nauczyciel lub nauczycielka zostają uwolnieni: chwycić trzeba w lot takie sposobności.

Można też brać nauczycielki wprost z domów wychowawczych, znanych z zasad chrześcijańskich, ubezpieczwszy się jednak osobiście co do moralnej wartości młodej osoby, która nam swoje świadectwo złożyła. Taka rekomendacja jest pewną gwarancją — na niej jednak *całkowicie* polegać nie można, zwłaszcza, jeśli się bierze osobę młodą i niedoświadczoną. Cudzoziemki bierzmy zawsze ze źródła t. j. z ich ojczyzny. Znałam wiele młodych nauczycielek, sprowadzonych wprost z zagranicznych klasztorów, które wszystkie okazały się odpowiednie, i zaznaczyły najlepszym wpływem na dzieci lata przy nich spędzone.

Jeśli chodzi o wybór nauczyciela, — zawsze o wiele trudniejszy — prosimy o pomoc którego z naszych zacnych kapłanów lub profesorów, — oni wśród licznych znajomych potrafią nam wybrać człowieka godnego zaufania. „*Szukajcie a znajdziecie*“.

Jak straszne bywają skutki wpływu osób wartości podejrzanej na dzieci, trudno nawet opisać. Jeden tylko fakt przytoczę, gdyż o innych mówić niepodobna.

Ośmnastoletnia panienka, z zacnej obywatelskiej rodziny, umieszczoną została na pewnej pensyi. Przyjęta

z całkowitem zaufaniem, zręcznością swoją zdołała od pierwszej chwili zdobyć względy swych przełożonych, nie zjednała sobie jednak sympaty koleżanek: — nie wiadomo dla czego... Po niejakiem czasie rzeczy niebywale poczęły się dziać na pensyi... różne przedmioty, pieniądze nawet ginęły. Posądzano służbę, mniej znane uczennice, czyniono poszukiwania — wszystko daremnie! Wreszcie, dziwnem zrzędzeniem Opatrzności schwycono za rękę delikwentkę... była to owa tak lubiona przez przełożonych, ośmnastoletnia panna.

Wskutek tego odkrycia straszne nastąpiły sceny, najprzód zaprzeczenia, zakłęcia, a następnie przyznanie. Gdy przełożona pensyi zawezwała do siebie winowajczynię na poufną rozmowę, dziwne z jej ust usłyszała zwierzenia: — warto je powtórzyć dla przestrogi matek. Otóż owo dziewczę, najmłodsze dziecko z liczego rodu, w ósmym już roku życia powierzonom zostało bez kontroli nauczycielce Francuzce, która przez lat cztery wszechwładnie dziewczęciem rządziła. Ojciec, zajęty interesami, matka, zaabsorbowana starszemi dziećmi, domem, zresztą często cierpiącą, zaniedbali najmłodszą córeczkę: była zdrowa, rosła, uczyła się, szczebiotała po francuzku, — czegoż więcej należało wymagać? Nie domyślali się, że cudzoziemka, której tak nieopatrzenie swe dziecko powierzyli, będąc zagorzałą wolteryanką, systematycznie tępiła w swej elewce wszelkie zasady wiary, a nawet moralności, — wyśmiewała pobożność, obrzędy religijne i t. p. Nie dosyć tego, — niegodziwa kobieta posługiwała się dziewczynką, niby parawanem, w swych flirtach: ...kazała jej drzwi pilnować, otwierać i zamykać, wpuszczać i wypuszczać podejrzane osoby, stać na straży, dawać znaki i t. p. Dziewczynka, coraz bardziej demoralizowana, dla przypodobania się swej mentorce, poczęła niebawem okradać własnych rodziców, przez co nałóg kradzieży w niej się rozwinął.

Czy rodzice spostrzegli, jakiemu potworowi swe dziecko powierzyli, czy wydalili niegodziwą nauczycielkę, czy dowiedzieli się o spustoszeniu sprawionem w duszy dziewczęcia, tego mi nie mówili; opowiadano mi tylko że nieszczęsna panienka, wijąc się ze wstydu u nóg swej przełożonej, boleśnie jęczała: „O czemuż to do cna wziępiono wiarę w mojej duszy! czemuż od dzieciństwa myśl moją zbrukano! Dziś, nic zdrowego we mnie nie pozostało... nie czuję już w sobie ani siły, ani chęci do poprawy!”

Czy się poprawiła? zdaje się że nie, bo wydalona z pensyi, kradła gdzie tylko była. Wyszła za męż... ale aż strach pomyśleć o rodzinnem ognisku, jakie założyła!

Trzeba też wiedzieć, z jaką zręcznością biorą się owi nauczyciele i nauczycielki do dzieła zdemoralizowania młodzieży, począwszy od najmłodszego wieku. Zyskują sobie najróżd przywiązanie elewów, schlebiając im w różny sposób, — okazując im względy, wyprasząc dla nich przyjemności, ujmując się za nimi przed rodzicami, a równocześnie podkopując w nich zaufanie do życiodawców. W tym celu rozpoczynają od docinkowej a dojmującej krytyki — zawsze niby w obronie pokrzywdzonych dzieci. Lituja się nad dziećmi, jakoby były mniej kochane od innych, jakoby znosiły niesprawiedliwości, jakoby nie używały dostatecznej swobody, pozbawione były rozrywek należnych ich wiekowi, perswadują im nawet, że nie są dostatecznie odżywiane, że są brzydko ubrane, wręcz oświadczają, że im wstyd pokazać się z niemi w towarzystwie innych dzieci, modnie postrojonych: winią o to skąpstwo rodziców. Biedne dzieci! czego się one nieraz nasłuchają od swoich pedagogów! Co najgorsza, — czują się one skępowane, niby punktem honoru, niby wdzięcznością, aby nie mówić rodzicom o tem, co się między niemi a pedagogiem dzieje... skarżyć bowiem byloby nikczemnością, zdradą!

Drugą taktyką wielu przewrotnych nauczycieli jest olśnić elewów głębokością swej wiedzy, bystrością swego rozumu, liberalizmem swych poglądów... zaimponować wszechstronną wyższością, oczarować duchem postępu. Tą piekielną taktyką obniżają w oczach dzieci wartość rodziców, unicestwiają ich wpływ, zaufanie zaś wychowawców zyskują sobie bezwzględnie.

Dziecko tak zjednane poczyną ze swym pedagogiem *obóz* stanowić, względem rodziców zaś jest sztywne, oficjalne nieufne, milczące, a jeśli z nimi kiedy rozmawia, nigdy im szczerze swej myśli nie odsłoni. Do swego wnętrza nikogo nie dopuszcza, czuje bowiem, że *źle się tam dzieje!* A tymczasem kąkol złych zasad i niemoralności wzrasta w cieniu, i zagłusza dobre ziarno.

I czyż być może,— zapyta kto— aby matki nie zauważyły, co się z ich dziećmi dzieje? Istotnie, często nie wiedzą, jeśli są zapracowane, kłopotami skolatane, chore, albo, co gorsza, światem zajęte lub rozbawione, wreszcie, jeśli są zbyt mocno zaabsorbowane starszemi dziećmi, ustaleniem ich losu i t. p. Zajmowały się dzieckiem, póki ono było małe, ładne, dowcipne, póki gości bawiło, póki wreszcie dla nich stanowiło rozrywkę, a było dla nich *nowem wrażeniem*. Stroiły je wówczas, wozily z sobą, pokazywały je ludziom. Gdy zaś dziecko doszło do roku 10-go, 12-go, gdy im spowszedniało, gdy poczęło być niezgrabne, nieśmiałe, gdy przestało być podatne do popisu, zepchnęły je na plan drugi i oddały na łaskę i niełaskę nauczyciela *najemnika*.

A wieleż to jest niestety takich matek, dla których moralna strona dziecka nie istnieje wcale, które najwyżej wymagają od dziecka zewnętrznego układu, form światowych, a które same nie mając żadnej ustalonej moralnej zasady, o dobre zasady dla swych dzieci nie dbają, a nie mają pojęcia o skutkach złych zasad. Są matki, o których słusznie powiedziećby można, że zdatne są

tylko do wydawania na świat dzieci, bo o wychowaniu ich nie mają pojęcia.

Wyżej opisane cechy przewrotności u wychowawców, nie zdarzają się jednak—Bogu dzięki—tak bardzo często,—co innego bywa na porządku dziennym, jako szkopuł w wychowaniu, innego przeto niebezpieczeństwa należy się rodzicom wystrzegać. Nie jedna nauczycielka wzbudza nasze zaufanie dlatego, że jejma wygląd przyzwoty, że głosi filantropijne poglądy, że chętnie uczęszcza do kościoła, a dziećmi serdecznie się zajmuje i dobre daje im lekcye. To nam wystarcza—głębiej nie wnika-my. A jednak ta osoba, której zaufaliśmy całkowicie, wyznaje najsprzeczniesze wierze i dobrym obyczajom zasady i przejęta jest najbardziej skrajnemi poglądami. W jej umyśle istny chaos przekonań i zasad, w którym panteizm, budyzm, materyalizm i spirytyzm, z dogmatem chrześcijańskim godzą się doskonale. To wszystko jednak wydaje się szerokością poglądu, liberalizmem, ocytaniem, wykształceniem wreszcie, i nie baczymy na spustoszenie moralne, jakie taka nauczycielka sprawić może w duszach dziecinnych. Dziecko bywa często bardziej logiczne i myślące od starszych. Słowo niebaczne w jego serce rzucone, później chwastem w życiu wyrasta.

Znałam młode nauczycielki, sposobiące się do zawodu pedagogicznego, które w osiemnastym roku życia już wszystko zdołały przeczytać, cokolwiek literatura—tak swojska, jak i zagraniczna—wydały najbrudniejszego, a obznajmione były z najskrajniejszymi prądami myśli. Zatrute były móralnie. Jedne, zewnętrznem zachowaniem, stosowały się do wymagań rodzin, w których pracowały, inne, nawet tyle trudu sobie nie zadawały: owszem, z niezrównaną gorliwością szerzyły zasady i poglądy, jakimi były same przejęte.

I czyż zdołamy wyliczyć pedagogiczne błędy, jakie

popelniają ustawicznie niejedne nauczycielki? — nie mówią już o zgorzeniu moralnem, jakie dawać mogą. Denerwują dzieci ustawicznie na nie narzekaniem, mową krzykliwą — rozgoryczają je niesprawiedliwością, faworyzowaniem jednych kosztem drugich. Są i takie, które zjednawszy sobie względy matek, uprzedzają je do mniej lubionych przez nie dzieci, a to tak dalece, że te biedne dzieci tracą wszelką śmiałość względem swoich rodziców. „I cóż mi pomoże uzalić się mamie — mówiła pewna dwunastoletnia dziewczynka, — mama mnie nie uwierzy, a panna X będzie się mściła nademną“.

Wskutek takiego położenia rzeczy trafia się, że dzieci najzacniejszych rodziców czują się w domu rodzicielskim męczennikami, i „kamieniom na drodze zazdroszczą!“

Staranny wybór nauczyciela, czy nauczycielki, jest więc niezbędny, nie zwalnia on jednak matki od obowiązku ustawicznego *czuwania*. W wychowaniu posiłkować się ona może obcą pomocą w tem, czemu sama nie podola, wszelako kierunek wychowawczy od rodziców zawsze pochodzić powinien. Matka powinna być zawsze najserdeczniejszą przyjaciółką i najbliższą powiernicą swych dzieci, ona najpierwsza wiedzieć powinna o ich radościach, wrażeniach, trudnościach i smutkach: najpierwszą potrzebą dziecka powinno być — wywnętrzyć się przed matką bez żadnego zastrzeżenia. Gdy dzieci od lat najmłodszych przywykną nie mieć nic skrytego przed rodzicami, z równą otwartością postępować z nimi będą gdy przyjdzie dla nich czas poważnej nauki przy nauczycielu lub w szkole, co więcej, gdy przyjdzie na nie czas porywów i pokus. Od wieluż to niebezpieczeństw ta otwartość uratować je może!

## II.

Ważną jest w pracy wychowawczej jednomysłność wychowawców: nowy to bodziec do starannego wyboru nauczycieli.

Oczywiście, że w razie rozdzielenia zdań, nauczyciel powinien rodzicom ustąpić. Cóż jednak pocznie ten biedny nauczyciel, jeśli ma przeświadczenie, że słuszność jest po jego stronie, i to w kwestyi pierwszej wagi, jako to w zasadzie karność lub spełniania powinności religijnych? Trudnem jest wówczas jego położenie, — najczęściej musi miejsce porzucić.

Czasami niektóre matki nie zdają sobie sprawy, jak bardzo przeszkadzają w dobrem wychowaniu dzieci, gdy w postępowaniu z nimi nie rządzą się zasadą, lecz okolicznością, chimera, fantazją, gdy np. *wciąż* dziecko odrywają od lekcyi, bądź dla przymierzenia sukni, bądź dla przywitania gości, bądź wreszcie dla pojechania w gościnę. „Mniejsza o to, — mówią — jeśli córka o godzinę później skończy nauki“. Tu jednak nie o jedną godzinę, a nawet nie o dzień jeden chodzi, ale o *zasadę*, a dziecko to nie zabawka. Gdy z upoważnienia matki dziecko nauczy się lekceważenia obowiązku, nie dziw, jeśli później od każdej powinności pocznie się wyłamywać. Nauka prowadzona nie systematycznie, nie akuratnie, nie otoczona należnem jej poważaniem, nie traktowana jako rzecz pierwszorzędnej wagi, przestanie dziecko zajmować... w czasie lekcyi będzie ono ustawicznie roztargnione, gdyż wciąż wyglądać będzie, rychło kto przyjdzie uwolnić je od tych *nudów!*

Ważnem jest także okazywać przy dziecku poważanie dla wychowawcy i nie pozwalać sobie na głośne jego krytykowanie. Gdy ma się co zganić w postępowaniu wychowawcy, należy powiedzieć mu z dobrocią

na cztery oczy szczerą prawdę, powiedziec konkretnie że wymaga się np. aby tego... unikał, z tej książki... nie uczył, w taki sposób nie postępował... i t. p., przy dziecku jednak nie można dać w niczem poznać, że cokolwiek znalazło się do zganienia w jego przewodniku. Gdyby wychowawca nie usłuchał, zmienić go raczej trzeba, lecz powagi nauczycielskiej nie wolno naruszać.

Gdy dziecko raz pozwoli sobie krytykować nauczyciela lub nauczycielkę, można być pewnym, że się na tej jednej krytyce nie skończy, — krytykować pocnie wszystkich i wszystko, a nawet i rodziców, przyczem nabierze dziwnej a szkodliwej spostrzegawczości na błędy i ułomności drugih.

Jedno tu uczynić zastrzeżenie: dziecko mieć powinno zawsze *możność i śmiałość* powiedzenia matce wszystkiego, cokolwiek myśli i czuje, co mu się zdaje i co się z niem dzieje. Ta mowa dziecka nie będzie właściwie *krytyką*, lecz *wynurzeniem*, matka zaś słuchając tych zwierzeń, łatwo rozezna, kiedy dziecko opowiada rzeczy niewinne, a kiedy ważne, i kiedy mowa dziecka przeobraża się w plotkarstwo lub naganną krytykę; — wówczas powinna opowiadanie powstrzymać, i nie zrażając zaufania dziecka, dać mu przy tej sposobności naukę odpowiednią.

Druga ważna uwaga: Jeśli się powierzyło syna lub córkę jakiemu zakładowi wychowawczemu, nie należy przy dziecku obgadywać lub krytykować tej instytucyi, — jej zwierzchników lub wykład, i t. p. i nie dopuszczać aby ktokolwiek podobny nietakt popełniał. I gdzie jest, — pytam, — instytucya wolna od stron ujemnych? Zapewne że i w tej instytucyi, w której dziecko zostało umieszczone niejedne strony ujemne istnieją: trzeba się wszakże cieszyć, jeśli tam *dobrze* przeważają. Tu uczyć dziecko należy, aby to co przykre *znosiło* cierpliwie, a pilnie *kończyło* z tego co dodatnie. Bo i cóż się osiągnie ostrą

krytyką? — Ani na włos nie odmieni się ujemnych właściwości zakładu, a bezmyślną ręką w jednej chwili zniszczyć można wpływ dodatni, jaki ta instytucya wywrzeć mogła na dziecku. Przy tem podkopuje się jego zaufanie do zwierzchników i uległość wielce się utrudnia.

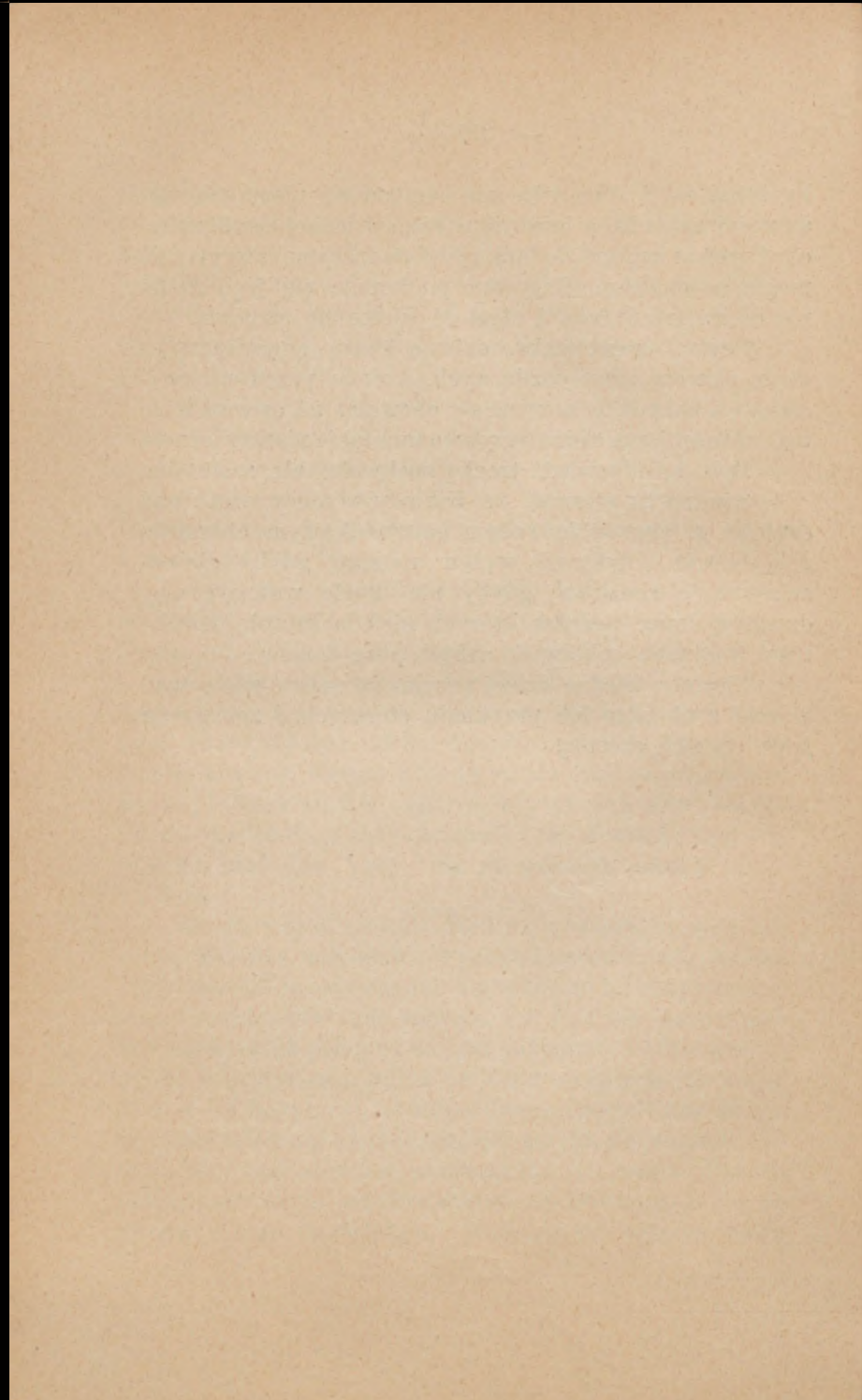
Pewna dziewczynka, dziwną logiką udarowana, jednym słowem zawstydziła tych, którzy przed nią wyśmiewali zakład, w którym się chowała. „A czemuż mnie tam umieściliście, skoro wszystko tam takie niedorzeczne?“

Była to odpowiedź trochę zuchwała, ale zasłużona!

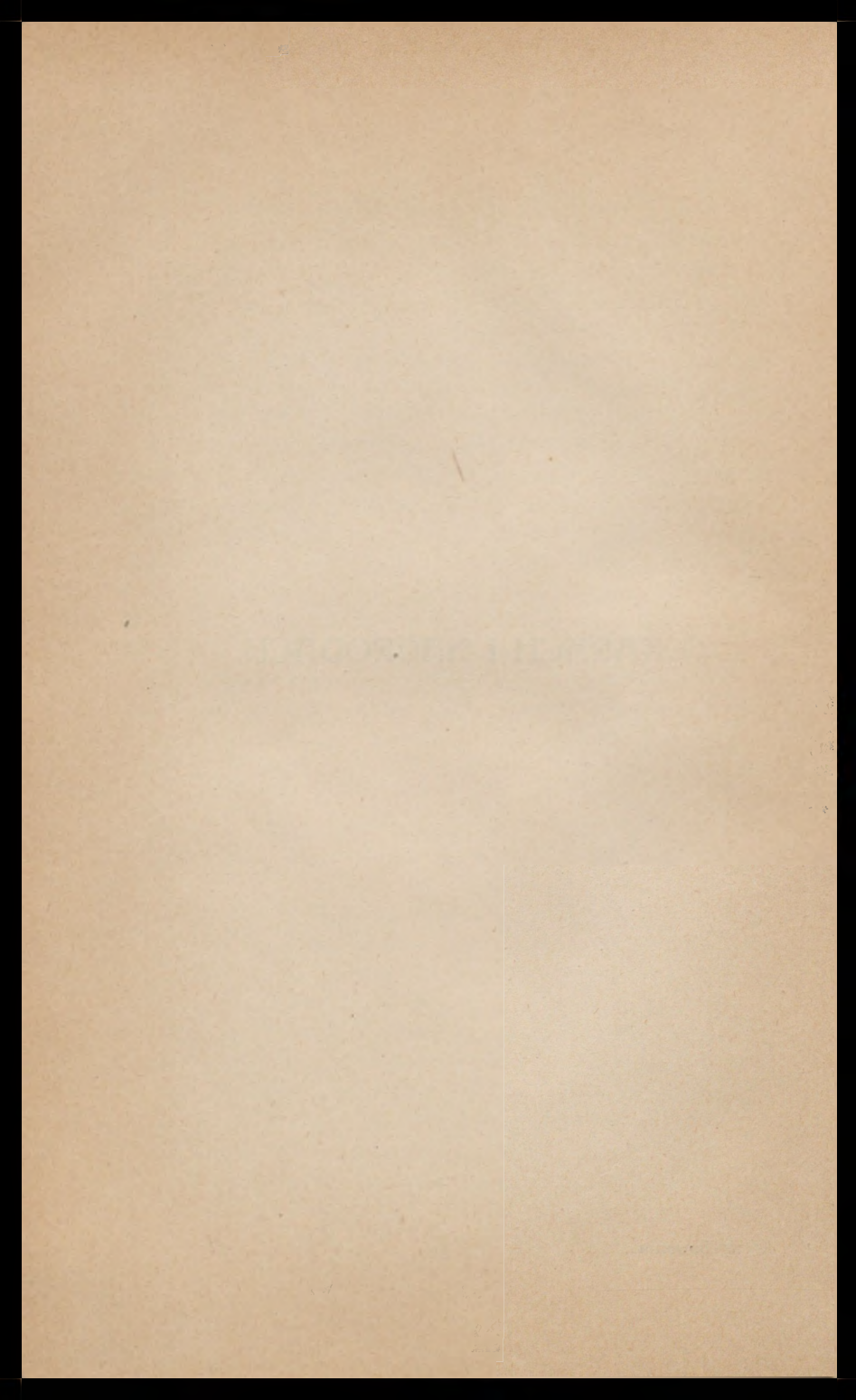
Smutno tu wyznać, że zakłady wychowawcze najczęściej dałyby sobie radę z najtrudniejszym charakterem dziecka, gdyby nie wpływ rodziny, gdyby nie oddziaływanie rodziców, gdyby nie długie wakacje spędzone w domu, podczas których niejednokrotnie dziecko traci wszystko, cokolwiek nabyło poza domem.

Niestety, biedne dzieci przejmują często wiele wad wprost z nietaktu lub przykładu starszych, i zgorzenia jakie od nich czerpią!

---



O KÄRÄCH I NÄGRODÄCH.





## I.

*„Pieść syna, a przestraszy cię, igraj a zasmuci cię. Nie śmieję się z nim, abys nie żałował, a naostatku zcierpną zęby twoje.“*

(Ekklezyasta 30—9—10).

Różne istnieją poglądy na kwestyę napominania i karaniania młodzieży.

Obecne, -- rzekomo postępowe -- zapatrywania, najbardziej skłaniają ku temu, aby dzieci, -- a na ogół młwiąc -- młodzieży nie karać wcale.

Pogląd ten jest logicznem następstwem zasad pozytywistycznych.

Pozytywizm -- jak raz jeszcze powtórzyć należy -- obalając wiarę w dogmat o grzechu pierworodnym, piętnującym duszę skazą potrójnej pożądliwości, jak to uważaliśmy na wstępie, każe uważać dziecko nowo-narodzone za *kartę białą*, na której dopiero wpływ otoczenia i okoliczności kreślić będą w różnych kierunkach swe ślady -- dodatnio lub ujemnie.

Płytkie chyba zastanowienie zgodzić się tylko może na podobny aksjomat -- odrobina bowiem obserwacyi wykazałaby od razu, ile każde dziecko przynosi na ten świat indywidualizmu, w charakterze i skłonnościach.

Z dwojga dzieci tychże samych rodziców, chowanych w tychże samych warunkach, jakże każde będzie

odmienne! Jedno będzie odważne, dzielne, przedsiębiorcze, ciekawe, pełne inicjatywy i zapałów, drugie okaże się tchórzliwe, powolne, leniwe, na wszystko obojętne,... jedno trzeba będzie na każdym kroku wstrzymywać, hamować drugie popędzać. Jedno, zachęcane wszelkimi sposobami do uprawiania talentów, niechętnie brać się będzie do ołówka lub instrumentu, drugie, pomimo grozy i łajania, ukradkiem będzie rysować, grać, rzeźbić. A każde z nich, zupełnie sobie zostawione, okaże różne złe skłonności,— choć nierównej siły — będzie, mniej lub więcej zarozumiałe, pyszne, chciwe, łakome, zmysłowe, gniewliwe i t. p.

Pewnikiem dogmatycznym jest, że każde dziecko przychodzi na ten świat z potrójną pożądlivością, — Kościół św. zatem przyjmując dziecię, bramą chrztu św. na swe łono, każe temuż dziecku wyrzec się — ustami rodziców chrzestnych, — *świata, czarta i ciała*, jako głównych czynników grzesznej podniety.

Dobre chrześcijańskie wychowanie, przy współdziałaniu dobrych przykładów, posiada oczywiście moc wielką przytępienia pożądlivości, a wzmagania skłonności do dobrego, — przeciwnie zaś, brak wychowania, zostawiając duszę odłogiem, czyni ją jakoby polem nieuprawnem, na którym bujnie rozrastają się chwasty. W tych kilku słowach streszcza się zasada stosowania kar i nagród w wychowaniu.

Przez karę uwydatniamy i piętnujemy uczynek zły, czem i złą skłonność niejako uśmierzamy, — przez nagrodę zaś zachęcamy do uczynku dobrego, odsłaniamy dziecku ideał dobra i rozbudzamy w jego duszyczce pociąg ku temu ideałowi, może jeszcze uspiony. Gdy dziecko łączyć musi ze wspomnieniem o jakiejś winie, pamięć o jakiejś ciężkiej przykrości, poniesionej w skutek przewinienia, mimowolnie zniechęca się do uczynku złego, które mu było powodem cierpienia, a skłania się ku temu, za co było chwalone, nagrodzone. Tem samym *wpra-*

wia się stopniowo w spełnianie uczynków dobrych, co przy wykształceniu wyższej, nadprzyrodzonej intencji, stanie się cnotą, a odzwyczajają się od uczynków złych. Uczynki złe zdarzać się już będą u niego tylko sporadycznie, i w nalóg się nie przeobrażą.

*„Nie dawaj mu (t.j. dziecku twemu) swej woli za młodu, a nie lekce sobie waż myśli jego. Nachylaj szyję jego za młodości, by snadź nie zatwardniał i nie stał ci się nieposłusznym, a miałbyś żalność serdeczną. Ćwicz syna swego i pracuj około niego, abyś się nie obraził o szkaradność jego.“*  
(Ekkł. 30—11, 13)

W innem miejscu tamże czytamy:

*„Kto ćwiczy syna swego, będzie chwalon z niego, a między domowcami będzie się z niego chlubił.“* (Ecel. 30 — 1. 2)

Czytając te słowa groźne, nie jeden może pomyśli, że one stosować się tylko mogły do czasów dawnych, w których ludzkość była jeszcze nawpół dziką, w których obyczaje były proste a grube, i że zupełnie nie odpowiadają potrzebom obecnym.

Podobny pogląd zdradzałby dość mylne pojęcie o czasach dawnych, zwłaszcza w stosunku do narodu żydowskiego, (który jaśniał obyczajami lepszymi od dzisiejszych) zdradzałby także pojęcie zbyt pochlebne o czasach obecnych. Ach naprawdę! czyli nasze dzisiejsze społeczeństwo lepszem jest od dawnego? Gdy wspomniemy na owe występki, popełniane w naszych czasach na ławie szkolnej, na owe niby figle koleżeńskie, które kolegę zdrowia a nawet życia pozbawić mogą, na owe szkolne rozpusty, napady w biały dzień, na obyczaje haniebne, gdy przypomnimy sobie te fakta [zbrodni, popełniane przez małoletnich, o których codziennie powiadają nas gazety, a które z każdym rokiem rosą *crescendo*, zapewne przestaniemy się ludzić myślą, aby nasze społeczeństwo wyżej stało obyczajowo od dawnego.

I czyli dziewice Izraelskie miały choć rys podobieństwa z naszymi postępowymi pannami? Prawo żydowskie ukamienowałoby niejedną niewiastę, którą dziś z honorami w salonach przyjmują.

Jeśli więc istnieje jaka różnica między dawnym społeczeństwem a obecnym, zasadza się ona tylko na formach oglądy zewnętrznej, na pewnej konwencyonalności, — ale i ta zatracą się szybkim tempem pod naciskiem prądów dekadencek.

Nie idealizujmyż więc, nie przyznawajmyż naturze dziecka szlachetności, której ono posiada tylko zarzewie, i z systemu karnego karę cielesną nie wykluczajmy zupełnie, jakoby *w obecnych czasach* już nie stosowną lub zbyt upokarzającą.

Oczywiście, że karę surową, a zwłaszcza karę cielesną, stosować należy tylko *w razach ostatecznych* i po wyczerpaniu wszystkich innych bodźców poprawy, i że sposób tej kary należy stosować rozumnie.\*) Za czyn zły, z rozmysłem popełniony, za wyraźny bunt przeciwko władzy rodzicielskiej, za kłamstwo z uporem dowodzone, za potwarz, za kradzież, za czyn niemoralny, za akt okrucieństwa, za czyn złości, nienawiści, zemsty, nie znam doprawdy innej kary nad chłostę, *rodzicielską* dłonią wymierzoną, bo w tych wypadkach należy koniecznie złość poskromić, upór przełamać, pychę upokorzyć, zmysły poskromić, jednym słowem *fizycznie zapanować* nad *materyalną naturą* dziecka. Nie widzę także innego środka w niektórych wypadkach nieprzewyciężonego lenistwa. Gdy dziecko pracować *nie chce*, użytecznym jest wstrząsnąć jego naturę środkiem energicznym, gdy inne nie skutkowały: „*Różga karania daje mądrość, a dziecię puszczone na swoją wolę zawstydzą matkę swoją.*“ (Przyp:

---

\*) Zaznaczam także z wielkim naciskiem, że stosowanie kary cielesnej przysługuje tylko rodzicom, i względem dzieci najwyżej lat 12—13-tu.

29—16). Zastrzedz tu jednak należy, że dziecko od małości pedagogicznie chowane, rzadko kiedy na surową karę zasłuży, gdy zaś dojdzie do wieku rozbudzenia sumienia, samo nad sobą pracować rozpocznie, w czem niech mu dopomogą starsi, dobrą radą i zachętą.

Twierdzą niektórzy, że obawa kary, a nadzieja nagrody, jest pobudką nieszlachetną, poniżającą godność człowieka.

Jest w tem wiele racyi. W istocie,— gdyby od lat niemowlęcych człowiek był *w stanie* zrozumieć pobudki wyższe, należałoby ich względem niego użyć; zważywszy jednak, że w pierwszych latach dziecko jest poniekąd tylko *ludzkim zwierzątkiem*, nie zdolnem pojąć motywów duchowych, nadprzyrodzonych, jasna stąd płynie konsekwencya, że należy wówczas przemawiać do niego językiem  *takim, jaki* zrozumieć jest w stanie, a to w celu ukrócenia w nim złych skłonności zanim się rozwiną i zapanują, zawsze—powtarzam—tylko w razach ostatecznych.

Później, w miarę rozwoju duszy dziecka, należy istotnie działać *coraz więcej* na jego duchową istotę, a *coraz mniej* na zmysły, rozbudzać sumienie, kształcić intencję. Niewątpliwie źleby postępował wychowawca, stosujący do starszego dziecka system kar, a zwłaszcza karę cielesną, wówczas, gdy z lepszym skutkiem mógłby względem niego użyć szlachetniejszego bodźca. Nawet w domach poprawczych niezmiernie skutecznie działają pobudki wyższe, umiejętnie użyte i zastosowane.

Nie sądzmy wszakże, aby dorosły młodzieniec był zawsze tyle szlachetnym i rozumnym, aby nie potrzebował na drodze cnoty żadnego bodźca, żadnej materialnej ostrogi, każdy bowiem do pewnego stopnia, — przyznajemy to odważnie, — nosi w swej naturze naturę *bydlęcą*, które nie hamowane lub nie pobudzane, buntuje się lub ustaje. Z tej to przyczyny Bóg, jako dobry Oj-

ciec, a najmędrszy nasz Stwórca, używa często względem nas chłosty, zastosowanej do przewinień.

Chłoszcze naszą pychę upokorzeniem, zmysłowość chorobą, lenistwo koniecznością pracy, — chłoszcze nas niepowodzeniem, utratą mienia, klęską, śmiercią najdroższych, wzywając nas tą drogą do upamiętania i pokuty.

Dobrze rozumieją tę prawdę, że człowiek do końca życia ujarzmić powinien swą zepsutą naturę, ci wszyscy, którzy bój Pański przeciwko sobie mężnie prowadzą. To poczucie uzbiera ich nieraz w święte względem siebie surowości, wzorem Ś-go Pawła, który obfitujący w niebieskie łaski i do trzeciego nieba za życia cudownie porwany, nie przestawał walczyć ze swoim ciałem „karę ciało moje,—pisze on—i w niewolę podbijam, abym snąc innym przepowiadając, sam nie został odrzucony.“

Każdy człowiek, — najlepszy nawet, — ustaje i leniwieje w spełnianiu swych powinności, potrzebuje więc karbowego, — jak się ktoś dosadnie wyraził, — aby się nie przენiewierzył swym obowiązkom i powołaniu; tym karbowym być może: lęk przed zwierchnikiem, obawa kompromitacyi, utraty miejsca, opinij i t. p.

Jest jeszcze jedno, co potężnie przemawia za roztropnem użyciem kar, — jest to konieczność reakcyi przeciwko miękkości obecnego wychowania. Istotnie, — rozpaczliwie miękkim stało się to wychowanie, co zawdzięczamy zapewne nurtującym w naszym społeczeństwie poglądom antychrześcijańskim, roznoszonym wśród rodzin stugębną prasą. Weszło obecnie w obyczaj uwzględniania młodym wszelkich wybryków, przeceniania ich indywidualności, oszczędzania do nierozsądku ich ambicyi, wreszcie, dogadzania im we wszystkim, a nie wymagania od nich niczego. Stąd namnożyło się w rodzinach naszych i szkołach różnego wieku dziwaków, samolubów, despotów, niewdzięczników, marnotrawców i próżniaków, z któ-

rymi już w końcu nie wiadomo jak postępować. Dziecko, które dzięki zabiegliwości rodziców, od najmłodszych lat opływało we wszystko, któremu wszystko bez najmniejszego trudu przychodziło, nie zdolne jest nawet ocenić dobrodziejstwa, w które obfituje,—bierze je zatem, jakoby mu się z prawa należały, nie odczuwając za nie najmniejszej wdzięczności, bo nie wie jakim mozołem zostały dla niego zdobyte. I nietylko, że nie potrafi być wdzięcznym, ale w samych dobrodziejstwach widzi nieraz dla siebie krzywdę. Rozdelikaczone, najłżejszej przykrości zniesć nie jest w stanie bez szemrania i buntu. Krytykowanie starszych, nauczycieli, wychowawców, rodziców nawet: to zwykły temat jego rozmów. Nie mu świętego. Im mniej starsi od niego wymagają, tem więcej on jest względem nich wymagający... im życie mu lżejsze, tem więcej on sobą drugim przycięża. Rogi nie ścięte rosą mu nadmiernie. Często daje się widzieć, że najrozumniesze prowadzenie ojca, łamie się o nierozsądek lub o słabość matki, która się przedewszystkiem lęka, aby jej córce nie zabrakło toalet i zabaw, a synowi pieniędzy, coby go mogło wobec kolegów skompromitować, i zetrzeć z jego czoła ambycję. Starają się przeto o te pieniądze dla swych dzieci, na toalety i zabawy, żadnego z nich nie żądając rachunku, a pozwalając synom je marnować na zbytki i na zniszczenie zdrowia.

Słyszałem na własne uszy, czule matki mówiące, że wraz z mężami wzięły sobie za zasadę niczego swym dzieciom nigdy nie odmawiać, choćby w tym celu musiały sobie od ust odejmować, i na ciężką wysilać się pracę. Nie wyłączają nawet, gdyby dziecko zażądało tego, co mu wręcz szkodliwym być może, Chodzi im o to, aby dziecko czuło się w domu szczęśliwe, aby mu na niczem nie zbywało, aby nie miał żalu do rodziców i nie miało nikomu nic do zazdroszczenia.“ Co za niezna-

mość serca ludzkiego! co za krótkie widzenie rzeczy! co za przepaść nierozsądku i niepraktyczności!

Na wady swych dzieci matki zazwyczaj zastaniają oczy, dzieci—to zawsze dla nich aniołki, a jeśli te aniołki broją, wina w tem atawizmu. „To rodzinne“ — mówią — czując się tem zupełnie upoważnione do tolerowania wad, które za rodzinne chcą uważać \*).

Wiele matek wychowują więc dzieci najgorzej... jak się trafi jak wypadnie, jak wygodniej—potem jednak żądają koniecznie dobrych rezultatów, promocyi, stopni celujących i t. p. Gdy zaś dziecko dorasta i gdy poczynają w niem dostrzegać zwierzątko nietylko leniwe, ale jeszcze złe i zmysłowe, a nawet niebezpieczne, rozpacz ogarnia; w zrozżaleniu miotają się na świat cały i wszystkich obwiniają, prócz siebie samych. Nie wiedząc co począć, powierzają wówczas dziecko zakładom wychowawczym, o których wiedzą, że moralnie wpływają, z żądaniem, aby w przeciągu roku dziecko na aniołka przekształciły. Niestety! zazwyczaj bywa za późno, i zdarza się bowiem, że przed ukończeniem roku, zakłady są zmuszone zwrócić dziecko rodzicom, aby zgorszeniem drugie nie zarażały.

Dziś więc w wychowaniu młodzieży tak daleko szło ku złemu, że samo publiczne bezpieczeństwo wymaga od nas silnej a rychłej reakcyi w kierunku rygoru, inaczej najgorszych następstw od młodej generacyi spodziewać się możemy.

Dziś, w niektórych szkołach nauczyciel zmuszony jest wchodzić do klasy jak pogromca, fascynować uczniów grozą spojżenia, a imponować im głosem, ener-

---

\*) Dziś zdarza się, że w biały dzień chłopcy cynicznie rozpastują, policzkują profesorów w klasie, duszą jeden drugiego niby z figlów, szydzą z wykładu religii, a my przemysłiwamy nad tem tylko, jakby im rozluźnić wszystkie pęty, a udzielić jak najwięcej swobody!

gią, siłą muszkułów. Ten tylko wychowawca zawładnie taką klasą, który zdobył jej szacunek jakim aktem energii, jako to: wyrzuceniem za drzwi najniesforniejszego ucznia. Gdy to uczniowie widzieli, nawet po za szkołą, i w późniejszych latach będą się go bali, — bo silny. Smutno więc wyznać, że w obecnem położeniu naszym, w wielu razach, siła brutalna stała się czynnikiem pedagogicznym niezbędnym!

W świetle tych spostrzeżeń, jakże tu marzyć o zniesieniu kar dla dzieci i młodzieży?

To, co się mówiło o zasadzie kar, stosuje się także do nagród. Nagrodą, dobrym stopniem, pochwałą, — wychowawca okazuje dziecku swe zadowolenie, czem je zachęca do dalszych wysiłków na drodze pracy i cnoty.

Stosując system kar i nagród, pilnie jednak baczyć należy, aby dzieci, — o ile będą zdolne to uczynić, — uszlachetniały swą intencję, i nie działały *dla motywu* kary lub nagrody, lecz z poczucia obowiązku i ze względu na Boga, nieskończenie brzydzącego się złem, a dobro milującego. W tych kilku słowach mieści się esencja moralności, czyli etyki chrześcijańskiej, którą od lat najmłodszych należy wszczepiać w serca dziecinne.

Gdy zaś społeczeństwo nasze stanie na wyższym stopniu moralności i wyrobienia, i gdy wśród ogółu poczucie obowiązku zastąpi obecną nieobowiązkowość, gdy sumienność się wykształci, zapewne odrzucić będziemy mogli, tak z wychowania szkolnego jak z prywatnego kary i nagrody. Ale jakże nam do tego daleko!... oddalamy się raczej od tego pożądanego celu, niż się do niego zbliżamy!

Obecnie więc uważać nam należy kary i nagrody jako *malum necesarium*, jako środek aczkolwiek nie doskonały, jednak niezbędny.

## II.

W kwestyi lajania i napominania należy dodać parę uwag. W tym względzie istnieją pewne zasady niezmiennie:

- 1) Wychowawca nie powinien nigdy napominać ani lając, póki się czuje wzburzony, bo wówczas sprawiedliwym być nie może, i nie odpowiada, czy mu się nie wymknie jakie słowo niestosowne, zbyt surowe, popędliwe, lub *raniące*, — co byłoby najszkodliwsze.

Połajanie, jest wymiarem sprawiedliwości, nie zaś ujściem dla własnej pasyi. Gdy zaś człowiek laje pod wpływem pierwszego oburzenia, tym czynem dogadza raczej sobie niż wymierza sprawie dliwość, a tem samem dobrego skutku spodziewać się nie może. Popelnia akt *słabości*, czem się kompromituje przed dzieckiem. Nawet gdy, jak wyżej wspomnieliśmy, zmuszonym jest wzięwszy za kołnierz wyrzucić za drzwi niesfornego ucznia, powinien to uczynić *z siłą*, ale nigdy *z namiętnością*, aby dzieci widziały, że nauczyciel panuje tak nad sobą, jak nad tymi, których uczy i wychowuje. Dziecko niestosownie połajane albo poczyna sobie lekceważyć napomnienia, co nieraz objawia ruszaniem ramion lub wydęciem warg, albo też traci zaufanie do starszych, czuje się ofiarą, rozgorycza się, i zamyka się samo w sobie.

- 2) Nie należy także nigdy *napadać* na dziecko z połajaniem, bo dziecko napadnięte *z nienacka*, przez sam instynkt samozachowawczy, musi się bronić. Jeśli jest energicznego temperamentu, oburza się, staje dęba, lub stawia kozły: tu początek zacię-

cia, uporu. Jeśli zaś dziecko jest usposobienia łętkliwego, szuka usprawiedliwienia, choćby kosztem prawdy. Tu początek wykrętów i kłamstwa, do którego starsi niejednokrotnie młodych popychają, niestosownem z nimi postępowaniem.

- 3) Nie należy również dawać rozporządzeń z niecierpliwością lub łajaniem, bo ta niesprawiedliwość i nielogiczność oburza i jątrzy, a często daje ochotę do niespełnienia rozkazu. Gdy wychowawca łaje bez przyczyny, zrzędzi ze złego humoru, niecierpliwi tem dziecko, które jeśli jest cnotliwe, zniesie przykrość cicho, lecz jeśli jest tylko logiczne, uzuchwali się do impertynencyi.

Gdy znów wychowawca dając dziecku rozporządzenie, mówi mu ironicznie: „że z pewnością ono tego nie zrobi, że zapomni lub zrobić nie potrafi“, ubezwładnia je tem samem, i zniechęca do czynu.

Dziecko ironii nie znosi. W takim wypadku powie sobie ono w głębi duszy: „Et! kiedy mam nie zrobić, to nie zrobię, a skoro jestem taki najgorszy, to niech i tak będzie“. I rezygnując się na swą dolę, ani myśli o poprawie, i nie wysila się aby starszych zadowolnić. Należałoby raczej podnieść młodziana okazaniem mu ufności, suggestionując mu poniekąd, „że on to dobrze zrobi, że się na niego rachuje i t. p.“

Ścieranie w dziecku ambicji, poniewieranie jego miłości własnej, powoduje często najgorsze konsekwencye: wprawia dziecko w apatyę albo też rozognia w nim i potęguje miłość własną.

Powiedzieliśmy wyżej, że połajanie dziecka jest wy-  
miarem sprawiedliwości: należy przystępować do tego aktu z powagą i spokojem, a zawsze *w imię prawdy i dobra*.

Należy nade wszystko starać się trafić do przekonania młodego winowajcy — co jest największej wagi — wykazać mu dosadnie niegodziwość i szpetność jego czynu, wyświetlić tegoż konsekwencye... przemawiać najpierw do rozumu a później do serca, wreszcie pobudzić do uznania winy, do skruchy, i przywieźć do obietnicy poprawy. Dziecko jest niejako rozbrojone i pozyskane, skoro się trafiło do jego przekonania i serca: w tem sedno taktu pedagogicznego.

Można zgromić, — ostro nawet, — jeśliby tego zachodziła potrzeba dla wstrząśnienia przestępcy, nigdy jednak z uniesieniem, jak to wyżej widzieliśmy, aby młodzian widział jasno, że tu nie chodzi wychowawcy o znęcanie się nad nim, ale o wymiar sprawiedliwości. Dobroczynną jest niekiedy silna burza, tak w wychowaniu jak w naturze: energia przy sprawiedliwości zawsze działa dodatnio, zwłaszcza na niektóre natury, które niekiedy silnego wstrząśnienia potrzebują.

Często jednak zdarza się, że matki i wychowawczynie łają z wielką grozą za uchybienia małej wagi, popelnione przez dziecko niechcący, jako to za stłuczenie szyby, za obrącenie kosztownego przedmiotu, za plamę na sukni, za rozdarcie ubrania... i t. p., co czynią nie ze względu na samą winę, ale za stratę poniesioną, — na przekroczenia zaś znaczne, istotne, nie zwracają żadnej uwagi, owszem, w śmiech je obracają, powtarzając np. gościom złośliwe dowcipy dzieci, ich wykręty i kłamstwa. Takie postępowanie fałszuje sumienie dzieci. Dziecko powodowane naturalną logiką „że im silniejsze połajanie, tem większa wina“, często z wielką skruchą spowiada się z tego „że piłką stłukło szybę“, a za nic sobie tego nie waży, że zręcznie okłamało nauczyciela, lub obgadało kolegę.

Dobrze jest czasami złać surowo, — niech jednak

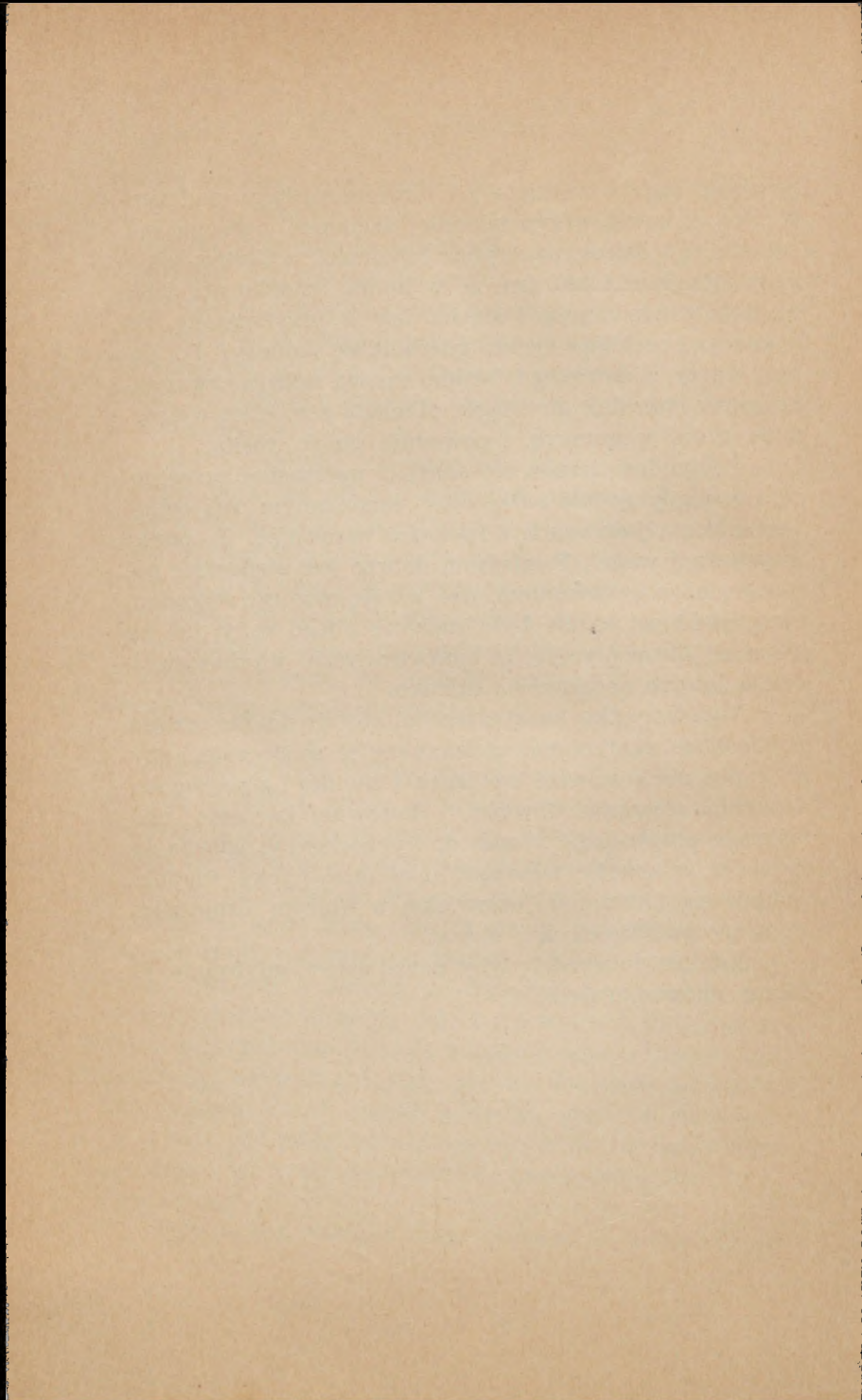
połajanie będzie krótkie — nie bowiem gorszego nad ustawiczne gderanie, przypominanie, docinanie, nudzenie moralami. To dzieci rozgorycza lub nudzi, a skutek takiego postępowania jest ten, że w końcu dziecko nic sobie nie robi z napomnień i słucha ich z przymuszoną rezygnacją, czekając rychło gderanie się skończy. Po dobrej burzy i ulewie, gdy słońko znowu zaświeci, wszystko rośnie weselej, ale ciągła pluchota z wicherą wstrzymuje tylko wegetację, i powoduje gnicie roślin.

Połajaniem trzeba zło skarcić, wstrząsnąć przestępcę, ale nigdy go nie *odtrącać* — ostatecznym zaś celem napomnienia jest: nauczyć i *podnieść* winowajcę. To punkt niezmiernej wagi. Po złajaniu dobrze jest serdecznie porozmawiać z delikwentem, dać mu się szczerze wygadać, uwzględnić mu co nie było zupełnie z jego winy, lub ze złej woli nie popłynęło: ta sprawiedliwość wychowawcy działa bardzo dodatnio na dziecko.

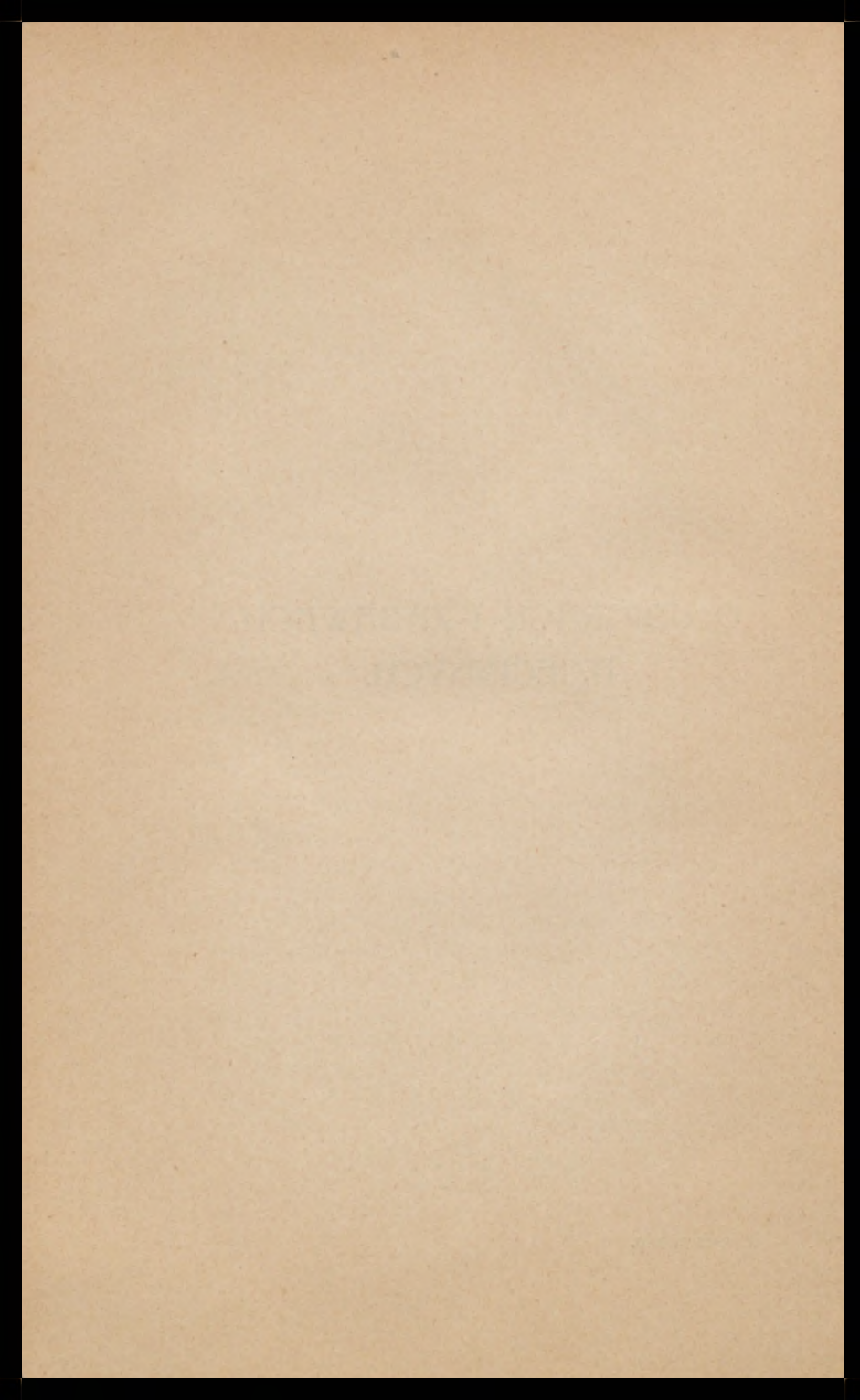
Nadewszystko baczyć trzeba, aby się dobrze rozejść z dzieckiem skarconem, uściskawszy je serdecznie, i aby go nigdy nie zostawiać we łzach i smutku i z poczuciem doznanej niesprawiedliwości. Stosowne karcenie niezmiernie przywiązuje ucznia do wychowawcy, dziecka do rodziców, a choćby młodzian miał dużo pychy, chętnie poddaje się kierunkowi człowieka, w którym czuje *wyższość, sprawiedliwość, siłę i dobroć*.

O jakże dobrymi byłyby nasze dzieci, gdybyśmy je dobrze chować umieli!...

---



O UBIORACH I ZABAWACH  
DZIECINNYCH.





Gdy w ogrodach publicznych i miejscach spacerowych, — latem czy zimą — spotykamy dzieci różnego wieku prowadzone na przechadzkę, smutno się robi patrząc na nie, bo cóż za dziwadła z tych ślicznych istotek zdołała uczynić despotyczna moda, — a lepiej mówiąc — próżność matek!

W zimie, co za przeładowanie ubraniem biednego dziecka... co za płaszcze! kaptury! Płaszcz, do samej ziemi sięgający, fałdzisty, ozdobą futrzaną najeżony, utrudnia chód istotce i tak na nóżkach nie pewnej, i nie mało jej cięży; kaptur zaś tak wielki nieomal jak sama osóbką która w nim siedzi; ginie w nim drobna główka robaczka, który sam nie wie po co go tak obładowano? Czego tam nie znajdziesz na tym kapturku? i riusze, i falbany, i kokardy, i koronki, wreszcie obłożenie futrem. Biedne dziecko! gdyby tak ubrano pudła lub małpeczkę, zrozumielibyśmy że to na śmiech, ale dziecko tak obwieścić doprawdy nie godzi się! A co za koszt takiego ubrania! Za cenę jednego kapturka możnaby mieć całkowity ubiór dziecinny! Co za zgubny przykład dla uboższych, w tym bezcelowym zbytku!

W lecie raz i inny znów widok. Dziewczynka, — to istna baletniczka. Nóżki wyżej kolan obnażone, a ramiona aż wychodzą z wyciętego stanika — wszystko, niby ze względów higienicznych. Gdy dziewczątka biega, przedstawia ci się w postaci motyla lub grzyba, ze swoją ogromną szarfą i kokardą kolorową i bezmiernie szerokim kapeluszem, — to barwny muchomor przewiązany szarfą.

Dziewczynka w krótką sukienkę ubrana, bawi się tak cały dzień z innymi dziećmi, przewraca po kanapach, a tem samem oswaja się z ciąglem obnażaniem. Jakże zdołamy równocześnie wpoić w nią zasady wstydlivosti, jak ją nagiąć do skromności? I kiedyż powiemy jej że to, co wczoraj było dozwolone, i z czem się otrząsała, dziś stało się dla niej grzechem?

Nie sądzmy, aby ubranie nie czyniło wrażenia na małych nawet dzieciach, — od kolebki skłonni jesteśmy do próżności, a zmysłowość wczesnie poczyna kiełkować. Zbyt prędko dziecko uczy się oceniać własną wartość i wyższość w stosunku ilości falban jakie nosi, i z góry spoglądać na te dzieci, których strój mniej napiętrzony dodatkami.

Gdyby też matki chciały się nad tem zastanowić, jak bardzo krzywdzą moralnie swe dzieci, gdy je tak przesadnie i zbytkownie ubierają! one to sieją w nie pełną garścią *ulepszone* ziarno próżności (jak gdyby ten chwast sam się aż nad to prędko nie plenił)... a następnie pielęgnują pasożyt, aby się bezpiecznie krzewił!

Gdyby dziecko było lalką, możnaby bezkarnie niem się pobawić, ale dziecko lalką przecież nie jest, ono jest wrażliwe jak wosk, a wiadomo przecież że wrażenia dziecinne bywają najsilniejsze i najtrwalsze. Gdy dziecko widzi jak wielką wagę starsi przywiązują do falbany, wstążki, do utrefienia włosów i t. p. i ono, swoją dziecinną logiką poczyna wnioskować że ubiór to coś naj-

ważniejszego... mniejsza więc o to, jeśli pacierz zmówi niedbale, jeśli pogrymasi przy lekcyi, przy jedzeniu, wreszcie jeśli skłamię, byle się ładnie ubrało, ludziom podobać się będzie — będą je chwalić, pieścić, bawić się z niem, a w tem jego szczęście aby się wciąż niem zajmowano.

Nie sprawiajmy dzieciom strojów kosztownych, bo czyż prostota nie stanowi najpiękniejszej ich okrasy? Dziecko samo z siebie jest tak urocze, że nic łatwiejszego jak je ubrać. Sukienka z dymki, z perkaliku hafci-kiem przystrojona, biały fartuszek: — oto strój najodpowiedniejszy, byle był gustownie obmyślany, i uszyty, według zawsze najpraktyczniejszych fasonów angielskich.

Nie mówmy dzieciom długich morałów o niebezpieczeństwie próżności w stroju, — morały prędko sprzykrzyć się mogą, uczmy raczej czynem niż mową. I tak np. niech dzieci widzą że sprawa ich ubrania jest dla nas kwestyą podrzędną, i że w tej mierze całe nasze staranie zwrócone jest ku temu, aby ich ubiór był porządny, chędogi, a mało kosztowny, że w tym celu używa się — o ile możliwe — resztek materyałów. Niech też dzieci zauważą, że celem staranniejszego ubrania jest: bądź uczenie dnia świątecznego, bądź uszanowanie dla gości, nigdy zaś próżność lub chęć popisu.

Niech też dzieci widzą, że je ubieramy czysto i porządnie dla zasady, nie zaś dla oka ludzkiego, i że zatem dbamy aby każdy szczegół tego ubrania — najbardziej nawet ukryty, — świecił wykwinnym porządkiem. Wykształci to w nich zasadę gruntownego porządku oraz głębszą jeszcze zasadę, — zasadę porządku w myśli i w duszy.

Skoro dziecko jest ładne i piękne posiada sukienki, oczywiście że trzeba się niem przed ludźmi popisać...

przyczem rozumuje się że i dziecku niezbędna jest rozrywka.

Organizuje się tedy dla dzieci *mały świątek*, na obraz i podobieństwo tego świata, który Bóg przeklął.

Wszystko tam się znajdzie, co może przynieść dziecku moralną zgubę: zbyt liczne podwieczorki, przy których mnogość łakoci wzbudza porządliwość i podnieca łakomstwo, a po których najczęściej dziecko choruje; — wystawne obiady, przy których — chcąc niechcąc — dziecko objeść się musi... urządza się wreszcie wieczory tańcujące, popisy, formalne rauty w ogrodach publicznych, loterye fantowe i t. p.\*).

O szkodliwości owych popisów dzieciennych, a zwłaszcza owych wieczorów tańczących, dużo już pisano i mówiono, kwestya ta jednak jest tak wielkiej doniosłości, że pozwalam sobie jeszcze parę słów o niej dorzucić. Co jest niezdrowem, — tak fizycznie jak i moralnie — dla dorosłych, tembardziej niezdrowem być musi dla nieletnich. Prowadzić dziecko na bal, do teatru (gdzie często z baletem spotkać się może) jest to zaostrzać równocześnie jego próżność, rozbudzać zmysły, i podniecać nerwy. Dziecko wystrojone i wprowadzone w towarzystwo postrojonych dzieci, traci od razu dziecienną prostotę, i przyjmuje *manierę*, t. j. układ, myśli o sobie, czyni porównanie, wreszcie, szuka wyróżnienia i względów. Już sama atmosfera salonu działa podniecająco: rześiste oświetlenie, odurzająca woń kwiatów i perfum, a najbardziej dźwięk instrumentów... wszystko to upaja i rozmarza dorosłego człowieka, a cóż dopiero dziecko!

---

\*) I czyż zdrowem być może dla dziecka 10—12-letniego, wysiadywać bez poruszenia przy tych obiadach, w zaduchu i sztucznej atmosferze salonu?

Kilkoletnia „Mania“ na balu przestaje być dzieckiem — kobieta w niej się rozbudza, z całą finezyą i zalotnością, a zdarza się że i uczucie się porusza. Znałam dziewczynkę, która w szóstym roku spotkawszy swego „ideała“, tak się w nim zadurzyła, że powiedziała sobie stanowczo: „ten, albo nikt“... i do ośmnastego roku życia wierną mu była, nie spotykając go wcale. Naturalnie, że przed nikim nie zdradziła się ze swem uczuciem, nawet przed matką. Inna, opuszczając salę balową, zostawiła na pamiątkę 12-letniemu Józiowi splot swych włosów. Inna znów powróciwszy z balu, dostała gorączki, której przyczyną była zazdrość sukcesów rówieśniczki, z tego, że Ignasz więcej na tamtę patrzył niż na nią.

Starsi opowiadają sobie ze śmiechem podobne krotochwile — bawią się obserwacją światka dziecinnego, a jednak nie śmiechu ale raczej płaczu to godne. Bawiących się demoralizacją dzieci słusznie skarcić by można słowami bajki:

Przestańcie te żarty, bo się źle bawicie,  
Dla was to zabawka, a im chodzi o życie.

Jakimiż słowy należałoby napiętnować prowadzenie dzieci na różne widowiska, cyrki, pantominy, przedstawienia potworków i t. p. — Poczóż wprawiać dziatki w gonitwę za wrażeniami, podniecać ich nerwy, a życie sztucznie rozbudzać? Niech się też mama przypatrzy swojej córeczce, jak w teatrze z oczami wlepionymi w aktorów drży cała... jak jej oczy błyszczą! Tyle tu światła, tak cudowne sceny! „A jakże on w niej szalenie się kocha, jak oni się całują, jak są szczęśliwi. — Co za ubiory, co za tańce!“ Oj biedne, biedne dziecko! czyby stokrój nie było lepiej dla ciebie, gdybyś w domu w łóżeczku spała, i o podobnych upojeniach nie miało jeszcze wyobrażenia!

Pewien pięcioletni chłopczyk, którego z rodzeństwem zaprowadzono na przedstawienie cyrkowe, okazał się osobliwie zamysłony, i jakoby smutny, patrząc na dziwaczne pantominy i skoki pajaców, na żarty błaznów, na płąsy obnażonych tancerek. „O czym Jaś tak myśli, — spytano dziecka — i czemu Jaś się nie śmieje? Chłopczyk odpowiedział bez wahania — Bo Jaś myśli że to się Bozi bardzo nie podoba!“ Niewinne serce dziecka boleśnie odczuło obrazę Bożą, oraz krzywdę jaką mu wyrządzają, każąc mu patrzeć na to, co moralnie szpetne i poniżające dla godności człowieka.

Inaczej podziałał teatr na sześciolletnią Zosię. Dziewczynkę umieszczono na pensyi gdy już miała lat dzieścięć, — jednak choć zdolną była, uczyć się nie chciała, a sprawowała się nagannie. Spowiedź, pierwsza Komunia, żadnego wrażenia na niej nie uczyniły, pomimo najstaranniejszego przygotowania — najwymowniejsze zaś nauki spływały po dziecku jak po szkłe. Wreszcie pewnego dnia okazało się że Zosia kradnie: wypadkiem wyleciał jej z kieszeni pieniądz, którego gorączkowo po całym zakładzie szukano. Wkrótce stało się jeszcze gorzej: dziewczynka przepadła. Rodzice sądzili że jest w zakładzie, tam zaś mniemano że pozostawała u rodziców — a tymczasem Zosia bawiła się doskonale. Zapożyczwszy w znanym sklepiku rubli kilka na konto rodziców, urządziła sobie z jakimś chłopczykiem wycieczkę, na noc zaś zajechała do hotelu, meldując się różnemi wykrętami jako przejezdna ze wsi na pensyę. Zmiarkowano że tkwi w tem coś podejrzanego i zameldowano policji zbiega; gdy zaś równocześnie zatrwożeni rodzice przez cyrkuł szukać córkę poczęli, znaleźli ją w areszcie! Zawstydzoną zaprowadzono do zboląłego ojca, który ją różgą przywitał.

Jakiż był powód tak wczesnego wykolejenia dziecka? Niech nam to sama matka tonąca we łzach opowie. Oto

była tyle nieroztropną, że gdy córeczka miała lat pięć, zaprowadziła ją na balet. Tańczyły tam dziewczynki różnego wieku, strojne i wesołe. Podobały się Zosi. „Ach! jakżebym ja chciała tak zawsze tańczyć!” pomyślała sobie. Wkrótce dowiedziała się od kogoś, który widocznie nie rachował się z doniosłością swych słów, że baletnicy nie potrzebują się uczyć, i że byle tylko były ładne, i zręcznie tańczyły, wystarcza im to na całe życie. Odtąd Zosia nie przestała marzyć o balecie, i nie-małego doznała rozczarowania, gdy mama zamiast ją ulokować w teatrze, poczęła ją posyłać do szkoły. Oczywiście że uczyć się nie chciała, i że urządziła ucieczkę.

Nie sądzę jednak aby należało usuwać dzieci od wszelkich zebrań towarzyskich, zwłaszcza jeśli te mają miejsce na łonie rodziny. Obchód imienin, chrzcin, lub ślubu, skupiają rodziny przy wspólnym stole, a następnie grono najbliższych, krewnych i sąsiadów przy zabawie — czemuż dzieci miałyby być wykluczone od tak niewinnej rozrywki?

Co innego bowiem urządzać dla dzieci zabawy, w których dziecko jest *celem i pierwszą osobą*, a co innego pozwolić mu wziąć udział w rozrywce rodzinnej, nie noszącej piętna światowego \*).

Sądzę również że dzieci 13 i 14-letnie można bez szkody dla nich zaprowadzić parę razy w rok do teatru na jaką niewinną komedyjkę, na piękny dramat lub operę. Dziecko zupełnie pozbawione tych przyjemności, tęskni za nimi, gdyż trudno aby o nich nie słyszało. Wyobraża sobie, że w nich tkwi szczęście, którego tyrania ro-

---

\*) Dziecko trzymane ustawicznie w pokoju dzieciennym tetrycjeje, staje się niezgrabnem, sztywnem, nieśmiałem, a przytem traci prostotę gdyż lęka się ludzi obcych z którymi rzadko się spotyka. Droga pośrednia jest tu — jak zresztą wszędzie, — systemem wychowawczym najlepszym.

dzicielska go pozbawia, przeto nie przestaje wdychać za chwilą, w której wyzwolone z pęt, rzucić się będzie mogło bez kontroli w wir zabaw i świata. Owoc zakazany nigdy nie przestaje kusić.

Ostatnim wyrazem demoralizacyi małoletnich, istnym pomysłem szatańskim są owe wystawy dzieci, które poczynają być modnemi za granicą, oraz nagrody przyznawane dzieciom najpiękniejszym i najstrojniej ubranym. Przypuszczać należy, że chyba tylko matki głęboko demoralizowane lub niezwykle płocze, mogą się zdecydować na podobną niestosowność. Najodpowiedniejszą rozrywką dla dziecka jest ta, którą znaleźć może na łonie rodziny, i na wsi. Trudno nie uznać o ile atmosfera wsi więcej sprzyja wychowaniu, — zwłaszcza w wieku przedszkolnym, — aniżeli atmosfera miast. Życie na wsi bywa nacechowane wiele większą prostotą, niż życie wielkomiejskie, — a dając ciągłą styczność z naturą i z ludźmi prostemi, pomimowoli wdraża w prostotę. Duch świata trudniej tam dociera. Naprawdę, tylko rodzina na wsi zamieszkała dać może swym członkom dobre warunki życia rodzinnego, wówczas gdy rodziny bawiące w miastach są często tylko odłamkami zepsutego świata! Z tej więc przyczyny wieś jest zawsze dla dzieci najlepszym środowiskiem wychowawczem, tak pod względem zdrowia fizycznego, jak i moralnego.

Rozrywki dzieci wszelkiego wieku niechaj będą zawsze z rodzaju najprostszych a najmniej dających wrażeń. Im mniej wrażeń, tem więcej zdrowia fizycznego, im dalej od świata, tem więcej zdrowia moralnego. Dziecko nie przepojone wrażeniami, zachowuje dłużej prostotę i świeżość dzieciinną, mniej jest wymagające i skłonne do krytykowania — wszystkim się cieszy. Wszystko mu się podoba. Nic tak nie przepala organizmu, nie wysusza serca jak mnogość wrażeń, złaszcza

cza w wieku młodym. Lepiej też małemu dziecku bawić się usypywaniemgórek z piasku, niż wyteżać umysł w jakiejś grze skomplikowanej.

Najbardziej zalecają się — tak dzieciom jak dorastającym — wszelkie gry i rozrywki na świeżem powietrzu, a więc przechadzki, majówki, wycieczki, gonitwy, a również wszystkie gry, których Anglia jest rozumną inicjatorką, jako to tennisy, krokiety, kregle, piłki, wolaranty i t. p. Znakomitą jest konna jazda, łyżwowanie, umiarkowana jazda na rowerach i t. p. Wszystkie te rozrywki nieoszacowaną przedstawiają korzyść: kształcą siłę, zręczność, dzielność, odwagę, wytwarzają energię, hartują, rozpędzają marzenia i cenną sprawiają dystrakcyę t. j. oderwanie myśli gdy tego potrzeba. Przytem fizyologicznie wielkie przynoszą korzyści: pobudzają cyrkulacyę krwi, wzmacniają mięśnie, zniewalają płuca do wchłaniania wielkiej ilości tlenu, wreszcie pobudzają organy trawienia (dziś tak powszechnie leniwe) a tem wszystkim stanowią wielce pożądaną przeciw-wagę uszczerbkom jakie sprawia organizmowi: ślęczenie nad książką w zadusznej atmosferze miast. Wszelki sport doskonałym jest też lekarstwem na nerwy, histeryę, melancholię, hypokondryę.

Niema zdrowszej rozrywki dla dzieci nad pracę w ogrodzie: sadzenie, polewanie i pielęgnowanie kwiatów, drzew i krzewów? Doskonale bawią się dzieci ulepianiem posągów z gliny lub ze śniegu — zajmuje ich, nie obciążając umysłu.

Zabaw pokojowych posiadamy ilość znaczną, — poczynając od pra-starej, a niczem nie zastąpionej „ciucubabki“. I czyliż ona nie jest więcej warta od wykwintnych tańców, równie starych jak świat? Jakże niewinnie a wesoło zabawiał się nasz Mickiewicz gdy będąc chłopięciem jeździł po pokojach na powłóczystej sukni matki —

niby na sankach! Zabawa ta nie zblazowała go przedwcześnie.

Użyteczne są jednak lekcye tańców dla starszych dzieci, byle się w kółku rodzinnem odbywały, i nie przeobrażały w rauty lub bale, jak się to najczęściej dzieje w miastach.

Zabawę lalką uważam za wielce pedagogiczną, zwłaszcza jeśli się potrafi zachęcić dziewczynkę aby sama szyła i prała dla swej lalki, aby około niej sprzątała, dla niej piekła ciasta (z oskrobków piekarnianych i t. p.) Chłopczyki bawią się znakomicie konikami.

Dobrze też jest gdy nauczymy dziecko aby samo sobie tworzyło zabawki, zlepiając domki, oklejając pudełka, urządzając teatrzyki z marynetek na drucikach (ku czemu służyć mogą wycięte figurki kolorowe z dzienników mód) a dla których starsze dzieci mogą układać obrazki sceniczne\*).

Dyalogowane deklamacye, komedye, szarady, żywe obrazy, wieczorki muzyczne, literackie i t. p., wreszcie gra w sekretarza, forteca, warcaby, szachy, loteryjki... użyteczną a urozmaiconą stanowią rozrywkę dla młodzieży w dnie świąteczne, zwłaszcza podczas długich wieczorów zimowych spędzonych na wsi.

Wszystko cośmy wyżej mówili o szkodliwości wprowadzenia dzieci w wir światowy, stosować należałoby także i do podlotków lat 15-tu i 16-tu. W tym wieku chłopiec, panienska, uczyć by się powinni na seryo, a wiadomo przecież że dwóch rzeczy na raz dobrze robić nie można. Co innego zaprowadzić od czasu do czasu syna czy córkę, na dobraną sztukę sceniczną, na operę, koncert, — to może im sprawić użyteczną rozrywkę, dopełnić ich wykształcenia nie pochłaniając ich myśli i serca, i nie odrywając ich od głównego obowiązku, t. j. od nauki.

---

\*) Zob. str. 119 rozdział o metodzie Fröbla.

Inaczej rzecz się ma z tak zwanymi „wieczorkami tańczącymi“, tu bowiem panienska poczyna być przedmiotem uwagi i holdów; tu mimowolnie sobą zajmować się musi, i przyjmować silniejsze wrażenia. Rozbawiona, rozmarzona, a czasami upojona własnem powodzeniem, jakże potrafi wrócić do lekcyi, do zmundnych wypracowań? Wróci ciałem— bo musi, ale duch, serce, zostaną gdzie indziej. Klasa, — wydawać się będzie więzieniem, nauczycielki, — nieznośnemi cerberami postawionemi na jej utrapienie... jedno tylko będzie miała odtąd na myśli: uchylić się z pod kontroli starszych, aby rozmawiać z koleżankami o tem czem myśl jest napełniona... i jak najprędzej wrócić tam, gdzie jasno, wesoło, swobodnie, gdzie wdzięczne uśmiechy ją witają, a usta zwodnicze powtarzają to, co tak miło uszom słyszeć!

Tak krótkimi są drogocenne lata młodości, lata w których kształcić się można, i gromadzić zasoby wiedzy na całe życie... i czyż nie jest doprawdy, karygodną lekkomyślnością skracać je zbytнім pospiechem poznania świata i jego uciech?

I czyż nie będzie dosyć jeszcze czasu poznamienia synów lub córek ze światem, wówczas gdy nabędą cokolwiek więcej dojrzałości, gdy ukończą porządnie nauki, gdy ich siły w pełni się rozwiną a zdrowie się wzmocni, wreszcie, gdy charakter ustali się w dobrem, a zasada moralna cokolwiek głębsze zapuści korzenie?

Nie obdarzajmy też dzieci kosztownemi podarunkami, które zarówno mogą im być szkodliwe, jak zbytne ubrania. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, że obdarzając dzieci niestosownie, sobie tylko dogadzamy: bawi nas wrażenie sprawione na dziecku, a próżność nasza wymaga tego, abyśmy przecież byle czego nie ofiarowali. I czyż dziecko potrzebuje kosztownej zabawki, gdy najprostsza ubawiłoby się doskonale?

Przed kilkudziesięciu laty magnackie córki bawily się wyśmienicie lalkami za parę złotych, dziś, córka niezamożnego urzędnika, oficyalisty, nie spojrzy na rublowe cacko, bo przywykła do piękniejszych! Suma przyjemności dziecinnych nie wzmogła się jednak, — wzmogły się tylko wymagania.

Wykwintne zabawki wywołują prędkie zblazowanie, przesyt, wybredność, a w końcu nudę, — wówczas zwłaszcza gdy zabawek nagromadziło się dużo, a starsi nie umiejąc pokierować zabawą, pozwalają dzieciom przetrzucać się kapryśnie od jednej zabawki do drugiej.

Dawanie kosztownych zabawek, jest — co prawda — sposobem zobowiązania rodziców dzieci, lub spłacania im jakiego długu wdzięczności, — gdyby się jednak uwzględniło szkodę wyrządzoną tem dziecku, obrałoby się zapewne jaki inny sposób okazywania mu swej pamięci.

Gonitwa za wrażeniami jest chorobą znaną obecnemu stuleciu — poczyną się ona już w wieku dziecięcym: ona to sprawia niewątpliwie że młodzież nasza traci tak wczesnie młodocianą świeżość, ona to nam mnoży zblazowanych, pesymistów, których nie już rozerwać nie zdoła!

Gdy w młodym wieku karmi się dzieci samemi wrażeniami, później bez wrażeń obejść się nie potrafią. Nie zniosą monotoności codziennych obowiązków, cichego życia rodzinnego, lecz szukać wciąż będą sztucznych podniet, o które nie trudno, będą jak ludzie nawykli do alkoholu, morfiny, a nie mogący się obejść bez tych trucizn.

Jak intensywny ogień zużywa prędko paliwo, tak silne a ciągle wrażenia przepalają nerwy, zbytecznie je podniecając i trzymając w bezustannem naprężeniu.

Wszystko obecnie wycelowane jest na wrażenie: literatura, teatr, sztuka; przytem, wrażenia życiowe dziś dużo szybciej następują jedne po drugich niż to bywało

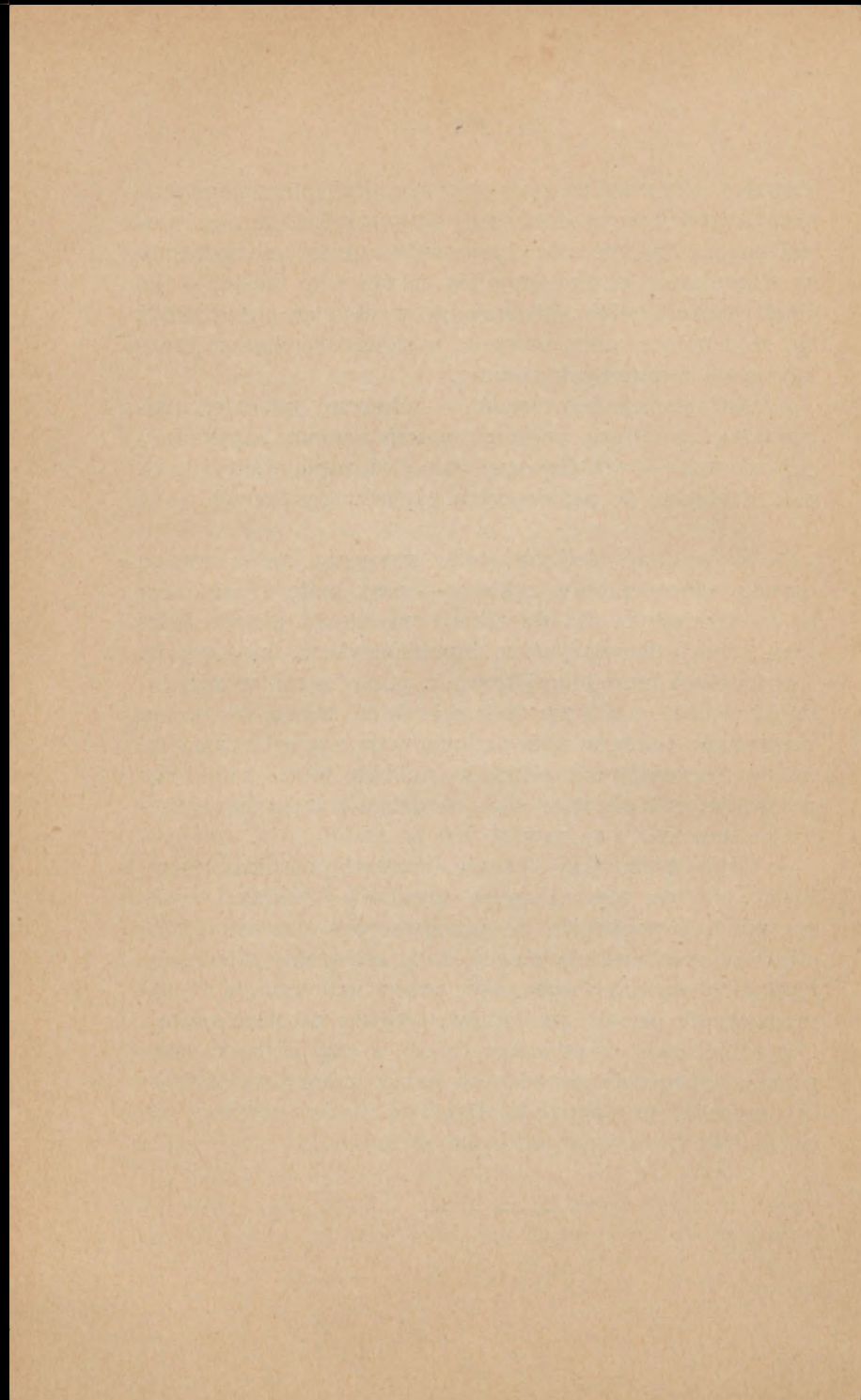
dawniej. Żyjemy na ogół wszyscy przyspieszonym tempem a cywilizacja dzisiejszej doby rozpieszcza nas i rozdelikacja. Zmienić charakteru swego czasu nie jesteśmy w stanie i nie powinniśmy się nawet o to kusić, — jednak baczmy pilnie, abyśmy nie wystawiali naszą młodzież na zbyt palące ognie, owszem, w zaciszu rodzinnym brońmy ją od światowych podniet.

Raz jeszcze powtarzam, — otoczmy młodzież najczystsza atmosferą prostoty, a tem samym zapewnimy jej zdrowie — tak fizyczne jak i moralne, — siłę i hart, tak niezbędne do późniejszych zapasów życiowych.

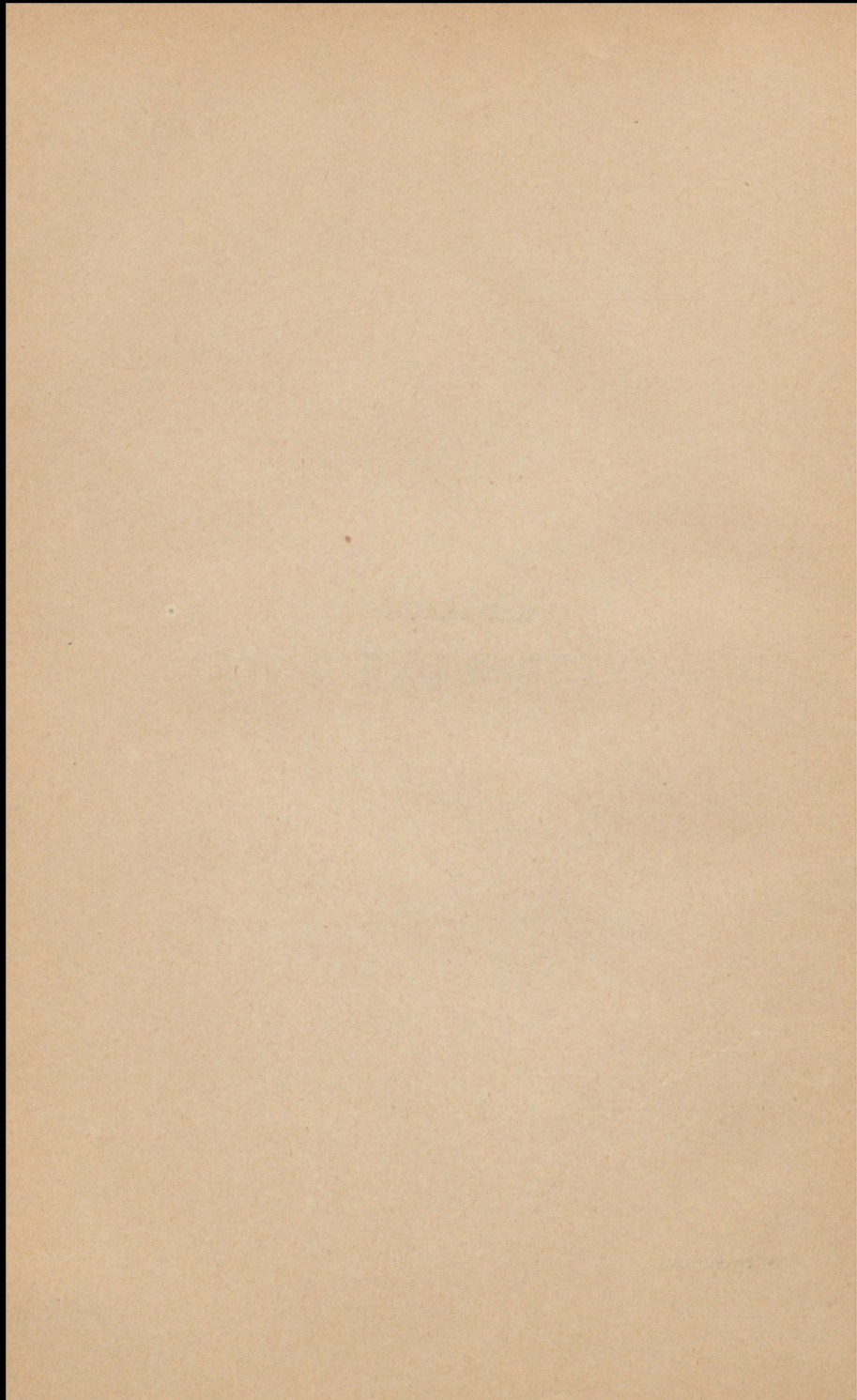
W pobliżu wielkich stolic zwracają naszą uwagę ogromnych rozmiarów zakłady — niby małe miasteczka: są to schronienia dla wszelkiej umysłowej niedoli ludzkiej... domy dla waryatów, hipokondryków, histeryków, neurastenników, epileptyków i t. p., — a tak w nich ludno i tłoczno, że mury tych schronień muszą się wciąż rozszerzać, tak że w końcu zdumiewające przybierają rozmiary. Dawniej tych zakładów nie było wcale, i nie były potrzebne, cóż się więc stało, że dziś powstają niby grzyby po deszczu? i że zawsze ich za mało?

Tryb życia jaki obecnie ludzkość prowadzi, przyczynia się do tego (pomimo wysiłków lekarzy i towarzystw higienicznych) to przedwczesne uczenie i niestosowne rozbawianie dzieci, to przeciążenie młodzieży nauką, to czytanie romansów przez małoletnich, to romansowanie dzieci i podlotków, gonitwa za wrażeniami, i to schlebianie wrażliwości dzieci, a stąd płynące ustawiczne naprężenie nerwów, to jest co mnoży wciąż smutne wypadki psychopatii. O jakże matki powinny by się nad tą kwestyą gruntownie zastanowić!

---



O KSIĄŻKACH  
DO CZYTANIA DLA DZIECI.





**W**iele niedoświadczonych matek sądzi, że każda książka pisana dla dzieci jest dobrą, bo pytają — „cóż mogłaby zawierać złego?”<sup>4</sup>

Gdy więc chcą swe dzieci udarować — na gwiazdkę lub na imieniny, — idą do pierwszej lepszej księgarni, i tam każą sobie podać stos książek dziecinnych ozdobnie oprawnych i wybierają z pośród nich te, które pociągają ku sobie: zachęcającym i efektownym tytułem, estetycznym wyglądem, czytelnym drukiem, gustowną okładką, wreszcie, ładnymi obrazkami, ani się domyślając, że niejednokrotnie, przynoszą swym dzieciom w złoconej pigułce truciznę.

Gdyby jeszcze matki chciały same z dziećmi czytać te książki, zapewne dostrzegłyby w nich niejedną rażącą niestosowność. Ale gdzie tam!... Oddają je od razu na własność synkowi, córeczce, i dzieci albo same biorą książkę do ręki, albo, — w najlepszym razie — czytają ją ze swymi wychowawcami, u których najczęściej nie szukać zmysłu krytycznego.

Z jakiego względu, — zapyta matka, — te książki mogą być niedobre?

Różne osoby piszą dla dzieci, a w pisaniu powodują się różnymi względami. Jedne, mając więcej literackiej zdolności niż dobrej zasady, piszą ładnie i zajmująco, lecz co krok podają fałszywe poglądy i zasadnicze błędy. I tak np. w ich opowiadaniach bohaterowie działają zawsze dla jakiegoś względu ludzkiego, jako to: dla zdobycia sławy, szacunku, uznania, — co jest dla nich najwyższym celem oraz przedmiotem pożądanym, w postępowaniu zaś kierują się wygórowaną ambycją, pychą odtrącającą wyniosłe bratnią pomoc, — co jest im poczytane za szczyt szlachetności.

Cały sens moralny tych powiastek zasadza się przeważnie na tem, aby zasługa była *zawsze uznana* i wynagrodzona, — oczywiście w tem życiu, występki zaś *ukarany*; pokora i cichość przedstawione bywają jako słabość lub bezradność, cnota zaś, a zwłaszcza pobożność, jako faryzeizm.

Inni autorowie książek dziecinnych, przy istotnym talencie nie posiadają w najniższym nawet stopniu taktu pedagogicznego, piszą przeto dla dzieci powieści zupełnie nie stosowne, romansowe, rozbudzające przedwcześnie i w niewłaściwym kierunku uczucie i wyobzaźnię, — opowiadają: o wypadkach przestraszających, o czynach krwawych i okrutnych, przez co oswajają dzieci ze zbrodnią, z tem co szpetne, niegodziwe, przewrotne.

Romansowych powiastek posiadamy całe tuziny. — I cóż powiedzieć np. o powiastce tej treści: „Ołowiany żołnierz z podniesioną nogą do marszu, ujrzał w pokoju dziecinnym ołowianą baletnicę, również z nogą podniesioną... oboje zapłonęli ku sobie uczuciem ognistym... lecz niestety, — z miejsca ruszyć się nie mogą!”

Autor przeprowadza tych osobliwych bohaterów przez różne koleje, w których raz ich zbliża, drugi raz rozłącza... co im nie przeszkadza wciąż o sobie myśleć i tęsknić za sobą! Wreszcie, po różnych przygodach, służąca

biorąc je za śmieć, wrzuca do rozpalonego pieca, gdzie dobroczynny płomień łączy na zawsze tancerkę z żołnierzem, w jeden metal ich przetapiając!

Takich powiastek niestety coraz więcej się mnoży... a któż nie zna brudnych przygód Guliwera, którymi wielu nieopatrznie swe dziatki zabawia!... O jakże pilno niektórym autorom zaznajamiać niewinne wrażliwe dzieci z tem co brudne, rozniecić w nich płomień, jeszcze drzemiący!\*)

Inni znów autorowie, piszą bez najmniejszego daru, rzemieślniczo, dla grosza, bez myśli przewodniej, piszą i tłómaczą co się zowie „na funty“, aby pisać i tem zarobić. Czytanie ich bredni jest co najmniej stratą czasu dla dziecka, oswaja je z miernotą, tendetem, a czasami zniechęca do książki. Miałożby to stanowić pokarm duchowy rozwijającej się młodzieży?

---

\*) Z obawy, aby nas nie posądzono o przesadę, pozwolę sobie tu przytoczyć treść jednej z najnowszych książek dziecinnych, ułożonej przez słynnego amerykańskiego autora — Marka Twaina, — a przełożonej niedawno na język polski i wydanej pod tytułem: «Ciekawe przygody Tomka Sawyer'a» (w roku 1901). Rzecz się dzieje w Ameryce. Główny bohater powieści, Tomek, przedstawiony jest jako sympatyczny łobuz, który bezprzestannie kłamie, starszych oszukuje, kradnie, z domu ucieka, włóczy się po ulicach, — oddany do szkoły naturalnie nic się nie uczy, łobuzuje się tak w klasie, jak w kościele, urządza schadzki z dziewczynkami, już wprawniemi w sztukę flirtu i zalotności... zaręcza się z niemi i zrywa... i t. d. Przyjaciel jego i towarzysz Huk — to typ oberwańca. Choć mógłby opływać w dostatki, przekłada lachmany nad porządne ubranie, a nigdy myć się nie chce. Żywi się kradzionem mięsem od rzeźników, a całemi dniami z upodobaniem przebywa w opróżnionej beczce od śledzi: niby nowoczesny Diogenes filozof, pogardziwszy marnościami świata. Jako konkluzya powieści przyjaciele naradzają się, czy lepiej być korsarzem, czy rozbójnikiem, a wybrawszy szlachetne powołanie rozbójników, krwią własną podpisują obietnicę wierności hersztowi. Widoczną jest przy tem tendencya autora zjednać naszą sympatyę dla dwóch bohaterów, których nam przedstawia dzielnymi i szlachetnymi, wówczas, gdy ich kolega Sem, pracowity, posłuszny, pobożny, okazuje się podłym i nikczemnym, gdyż zdradza swą dobrodziejkę. Jakież stąd sens

Są to jednak jeszcze rzecz najmniej szkodliwe.

Człowiek, który stracił wiarę, zmarnował łaskę Bożą, a posiada temperament i zdolność, zwykle nie potrafi pozostać bezczynny, a nawet bierny, — weźmie się do pracy, — ale pracy zniszczenia. „*Kto nie jest ze mną, ten jest przeciwko mnie, — powiedział Zbawiciel świata, a kto ze mną nie zbiera, ten rozprasza.*”

Skoro dla takiego człowieka wiara jest zabobonem, wiodącym do fanatyzmu i ogłupienia, całokształt zaś religii obskurantyzmem, aglomeratem przesądów, rażącym w wieku kultury i oświecenia, zabierze się on do walki z tym zabytkiem staroświeczczyzny, sprzeciwiającym się ogólnemu postępowi, aby na gruzach zwalzonego zabobonu wzniesć gmach nowej religii pozytywnej, wyzwolonej od przesądów, w czem widzi najwyższą przysługę, oddaną społeczeństwu \*).

Oczywiście, że programem podobnych reformatorów być musi: rozpocząć dzieło *zniszczenia i rekonstrukcji* od dzieci, boć każdy to pojmuje, że ziarno rzucone w umysł młody, szybciej kiełkuje i szybciej wzrasta niż u dorosłych.

Roztropność wszakże nakazuje im działać tu ostrożnie, aby zbytym pospiechem nie wzniecić alarmu, a nawykłych do przesądu nie zrazić natychmiast. Wszczępią

---

moralny dzieci wywnioskować mogą?... Nadmieniam, że powyższa książka jest u nas wielce chwaloną i rozkupywaną dla dzieci! Czyż to nie dowód, bezgranicznej bezmyślności wielu wychowawców? \*)

\*) Że w tem, co piszę, niema ani cienia przesady, w dowód przytoczyć mogę słowo, które jako konkluzję naukowej rozprawy wyrzekł w pewnym zbiorowym piśmie znany literat i profesor. Mówiąc o filozofach (Locke, Hume, Voltaire, Rousseau)— tak konkluduje: «Myśmy w naszym kraju takich mędrców nie mieli, a głos mistrzów z zachodu zbyt późno do nas dochodził. Dopiero w drugiej połowie obecnego stulecia poszliśmy w ich ślady, i odważyliśmy się rozpocząć z wiarą walkę, do tej pory jeszcze nie skończoną.»

---

\*) W myśli autora pisaną właściwie dla dzieci nie była.

się więc nowe zasady zwolna i stopniowo, jakoby nieopatrzenie, wszakże z doskonałym z góry wytkniętym programem.

Oto taktyka, jakiej się chwytają pionierzy nowych prądów w swych pracach wydawniczych dla młodzieży i ludu.

Pojęć religijnych wręcz nie odrzucają, owszem, — wspominają czasami o Bogu jako o twórcy wszechbytu, którego przedstawiają jako niby uosobienie sił przyrody, uznają nawet nieśmiertelność duszy, którą tem tłumaczą, że „skoro żaden atom materji nie ulega zniszczeniu, tem bardziej duch, raz istniejący, zginąć nie może“... Mówią o Chrystusie, ale tylko jako o człowieku niezwyklej miary, myślicielu i reformatorze, piękne morały prawią o sumieniu i t. d., wreszcie, podają w swych powieściach szczytne przykłady cnót i poświęcenia, a nawet czynów heroicznych, wszakże ze starannem wykluczeniem wszelkiego motywu nadprzyrodzonego. Ktoby nie był ostrzeżony o tendencyi autorów, lub specjalnie nie był ostrożny w tym kierunku, tenby nawet nie przypuścił zasadzki, owszem, uważałby te utwory za wielce moralne, użyteczne, religijne nawet!

Owe książki dla dzieci opowiadają np. jak Jezus Chrystus, ów wielki prawdawca i filozof z rodu Dawidowego, rodzi się w ubóstwie opuszczonej stajenki, jak pastuszkowie i mędrcy ze wschodu spieszą mu złożyć pokłon, jako chytry Herod, — trwożny o swoją władzę, — sprawia rzeź niewińców i t. p., jednak przy narodzeniu Messyasza nie wspominają ani o śpiewie aniołów, ani o cudownej gwiazdzie, ani o ostrzeżeniu mędrców we śnie przez anioła i t. p. To wszystko zostało z tekstu ewangelicznego najstaranniej a tendencyjnie wyrzucone. Świętych nie zowią nigdy „świętymi“, tylko po prostu ich mianują: Janem, Piotrem, Andrzejem, uczniami Jezusa i t. p.

Tajemnice, cuda, — zdaniem tych autorów — istnieją tylko w dziedzinie przyrody, po za nią są oszustwem, kuglarstwem, a w najlepszym razie *pobożną legendą*, zabytkiem średniowiecznego obskurantyzmu.

Świętość, — to objaw histeryi, — wiara, to bezkrytyczność, — pobożność to fanatyzm lub wezbranie tkliwości niewieściej. Jedynymi dobrodziejami ludzkości są to mędracy, którzy ośmielili się wypowiedzieć walkę *zabobnowi*, za co zginęli śmiercią *męczeńską*. To prawdziwi męczennicy, jedyni godni uznania, jako to: Jan Huss, Giordano Brunno i inni.

Według nich człowiek czerpie siłę dla spełnienia aktów cnoty *sam z siebie*, z wrodzonego usposobienia, — pobudki zaś nadprzyrodzone, a tembardziej pomoc łaski Bożej, nie istnieją w ich pojęciu zupełnie. Rozum w połączeniu z wiedzą, są w życiu jedyną gwiazdą przewodnią, która za wszystko starczyć musi: człowiek rozumem do wszystkiego dochodzi, a wolą wszystko spełnia — po za tem, same mrzonki!

To dopiero pierwsza kropelka jadu, mająca zatruć pierwiastek wiary u młodych, zręcznie wsączona w treść literatury dziecinnej i ludowej, i ukryta starannie.

Na tem jednak autorowie nie poprzestają. Po kropli, która miała oswoić organizm z trucizną, następuje większa doza już śmieiej podana. Autorowie przestają się maskować, i coraz jawniej występują z sarkazmem, oszczerstwem i nienawiścią.

W opowiadaniach na tle dziejowem, głoszą z upodobaniem o upadłych klasztorach, o mnichach opasłych i opitych, o intrygach Jezuitów, o przewrotnej polityce kardynałów, o chciwości władzy papieży.

Tendencyjnie przeciwstawiają mężom nauki i postępu, — tym dobrodziejom ludzkości, — ciasną i dziecinną pobożność wierzących, aby tem pewniej ją zoehydzić,

malują dziwaczne postacie zakonników i zakonnice, oddanych śmiesznym praktykom, przedstawiają dziewice cudnej urody, tęskniące za kratą klasztorną, za wolnością i kochankiem, i dające się wykradać, — co oczywiście niezmiernie młodzież zaciekawia.

I czegoż to jeszcze nie opowiadają dzieciom w ślicznych książkach z obrazkami? Opowiadają o katuszach więziennych biednego Galileusza, o okrucieństwach inkwizycji, o zbrodniach papieży, a to wszystko niby mimochodem wplecione w tok opowiadania. Tu słówko zręcznie rzucone o nietolerancyi religijnej, tam ironiczna wzmianka o obrzędach, o czezej formalistyce rytuałów i t. p... pocisk pada za pociskiem, z niezmierną biegiłością skierowany w cel, a wszystko zebrane i zestawione z widoczną intencją podkopania w młodych zaufania do Kościoła, z nietajonym już zamiarem zochoydzienia wiary, religii i ich przedstawicieli.

Nikt temu nie przeczy, że na łonie Kościoła istniały zgorszenia. Przecież nie płynęły one z zasady wiekopomnej instytucyi Chrystusowej, ale z ułomności jej członków: działały *na jej* łonie, ale z *jej* łona nie tryskały. A to chyba wielka różnica!

Fałszywe przeto dajemy pojęcia młodym duszom, jeśli nie zapoznawszy je uprzednio z instytucją Kościoła, jaką jest *w swej istocie*, z tem, co Kościół zdziałał wielkiego i użytecznego dla ludzkości, z jego duchem i zasadą, opowiadamy im to, co na łonie Kościoła działy ułomność i przewrotność ludzka.

Abymy zapoznać dziecko z ptaszkiem lub kwiatem, wszakże nie *zaczynamy* od tego, abymy mu je przedstawić w stanie rozkładu lub gnicia, pomijając piękne i zdrowe ptaszki i kwiaty?

Nieprzyjaciele wiary są tu doprawdy podobni człowiekowi, który, wszedłszy do cudnego ogrodu pełnego kwiatów, nie podnosząc oczu, widziałby w nim sam na-

wóz i śmieci! Są też i śmieci, dla tego który ich szuka uparcie, ale czemuż nie patrzeć na cudnie woniejące kwiaty i wspaniałe drzewa i krzewy!

Czyby też kto uwierzył, że ci pedagogowie bez sumienia wsączyć potrafią swój jad nienawistny do takich nawet przedmiotów, jakimi są nauki przyrodnicze, matematyka, geografia \*).

\*) Dowodem tego najdobitniejszym i najlepszym: „Geografia rozumowa“, p. W. Nałkowskiego. Oto jako ten autor tłumaczy dzieciom, co to *moralność*, i *religia*. „*Moralność*—pisze on—zależy głównie (?) od tego, o ile kraj dany przedstawia dość środków wyżywienia. Wiadomo nam, że wśród pustyń, wśród gór bezpłodnych (i zabezpieczających kryjówek) rozwija się rozbójnictwo, a także kradzieże, żebractwo (ludy Sahary Arabskiej), podobny wpływ mieć może bardzo wielkie nagromadzenie ludzi nawet w kraju bardzo żyznym.

*Religia*. Człowiek pragnie objaśnić sobie wszystkie zjawiska, jakie go otaczają: nauka nie zawsze mu wystarcza do tego, człowiek nie zawsze znajduje *przyczynę naturalną*, stąd przychodzi do przypuszczenia przyczyn nadnaturalnych i to stanowi jego religię. Ludy na niskim stopniu stojące, oraz lud prosty, najwyklesze zjawisko objaśniają sobie wdaniem się duchów, wdaniem się sił nadprzyrodzonych naturalnych.

...Ten niższy stopień religii zowie się *pogaństwem* lub wielobóstwem, (politeizm). W krajach pustynnych, gdzie zjawiska otaczające człowieka są bardzo jednostajne, nie rozrywają uwagi na wszystkie strony, gdzie wśród przestworu bez granic panuje głęboka cisza, gdzie niebo jest nadzwyczaj czyste i w nocy silnie iskrzy się gwiazdami, człowiek bardziej jest skłonny do rozmyślań, do zwracania swych myśli ku niebu, do szukania przyczyny wszystkiego gdzieś ponad ziemią, do przypisywania wszystkich zjawisk jednej najwyższej przyczynie, jednemu Bogu.

„Ten wyższy stopień religii zowie się *jednobóstwem* (monoteizm).— „Wszyscy wielcy prawodawcy różnych religii monoteistycznych, jak Mojżesz, Mahomet, żyli i nauczali wśród pustyni.

„Religie monoteistyczne rozprzestrzeniły się znacznie na ziemi i w krajach wcale nie pustynne...“ i t. d.

Po za tym jedynym feyerwerkiem stylowym, cała książka jest pisana w sposób niezmiernie niedbały, stylem oschłym, trudnym, a nawet niepoprawnym, więcej prawie w niej uwag w nawiasie, niż samego tekstu. Wziętość swoją zawdzięcza tytułowi i niezmiernej reklamie. Osobliwością tego dzieła jest, że autor w niem niweluje wszelką odrębność narodową krajów,—

Raz jeszcze dobitnie zaznaczyć muszę na jedną niesłychanie szkodliwą stronę nowej literatury dziecinnej, a mianowicie: podniecanie i poniekąd systematyczne uprawianie zmysłowości. Wychodząc z zasady „że prawdy nie należy ukrywać“, oswajają dzieci najmłodsze z wszelką rzeczywistością. Ku temu służą pogadanki naukowe, w których z osobliwym naciskiem uwydatnione są różnice płci, energia temperamentów i t. p., w powiastkach zaś z upodobaniem rozwinięta bywa osnowa romansowa, dopatrzona bądź u dzieci, bądź u zwierząt, bądź nawet u istot nieżyjących (jak to już wyżej zaznaczono). Cóż dziwnego, jeżeli w tę stronę kierując umysł dzieci, wychowuje się młodych starców, ludzi chciwych nadewszystko wrażeń zmysłowych, przepalonych, zdenerwowanych, kandydatów do szpitali, nie zaś do pracy i zapasów życiowych.

Oto charakterystyczny obrazek z życia: „Gdy pięcioletniej dziewczynce, wychowanej w postępowym ogródku Fröblowskim, ojciec pokazywał ładnego wróbelka na parapecie okna, aby mu chleba posypała... Tatusiu! zawołało dziecko, przecież to nie wróbelek, ale to jego żona! Podobne fakta dziś często się powtarzają, a jednym z czynników działających z niezmierną siłą na ten przedwczesny rozwój, jest przesycona zmysłowością literatura dziecinna.

W wyżej podanych szczegółach trudno nie dopatrzeć tendencji podkopania na każdym kroku, — zasad wiary i moralności, wreszcie, zniwelowania wszelkiej na-

---

nie ma tu wzmianki o Anglii, Francji, Włoszech [jako o krajach odrębnych, autor zna tylko wyżyny i niziny Angielskie, Francuzkie, Włoskie i t. p. zapewne z tej przyczyny. że uważa pojęcie o narodowości, jako nie mające już racji bytu, a uwzględnia tylko *fizyczne* różnice i odrębności, i dąży do przeprowadzenia podziałów czysto naturalnych.

(Gruby ten tom kosztuje rb. 2.50.

rodowości (co jest wszakże na dalszym planie) aby wnieść na tych gruzach gmach zupełnie nowej religii, religii rozumu, moralności wolnej od przesądów, kultu natury, wreszcie zupełnego kosmopolityzmu.

Wielce są też szkodliwemi dla dzieci niektóre czasopisma. Kuryerki są dla starszych, ale stanowczo nie są lekturą dla dzieci. A jednak, nie rzadko się zdarza, że w skutek niedozoru ze strony matek, dziesięcioletnie nawet dziatki chciwie wchłaniają z gazet wiadomości brukowe, opowiadające o zgorzeniach, występkach, zbrodniach. Tu czytają opis, jak dziecko otruło rodziców, jak inne dom podpaliło... jak siostra strąciła siostrzyczkę z wysokiego piętra, odebrawszy jej pierścionek... jak dwunastoletnia dziewczynka powiła dziecko i t. p.

Wobec podobnych faktów, jakże blahemi wydają się dziecku jego przekroczenia, choćby największe, jego nieposłuszeństwa, kłamstwa, kłótnie z rodzeństwem, jego lenistwo wreszcie, za które jednak tak surowo bywa karcone! Czyli w porównaniu nie jest ono bardzo dobrem dzieckiem? \*)

Jest też godnem uwagi, że dziecko czytając o zbrodniach, oswaja się stopniowo ze złem, zaciemnia w swej duszy wstręt do grzechu, przez co zmysł szlachetny w niem tępieje. Ciekawość rozbudzona poczyna w dziecku pracować i szukać coraz to nowej podniety, wyobraźnia się bruka, a umysł zaciemnia. Dziecko, które już zasmakowało w tej lekturze, dobrą książkę weźmie do ręki niechętnie, od nauki pocznie stronić, bo mu już tylko wrażenia smakują, a szuka wrażeń coraz to silniejszych. Łatwo zrozumieć jak to pochyła droga!

Wiele matek dla zaspokojenia swego sumienia są-

---

\*) Wycinki z kuryerków z podobnemi wiadomościami dziewczynki i chłopcy niekiedy komunikują sobie w szkołach!

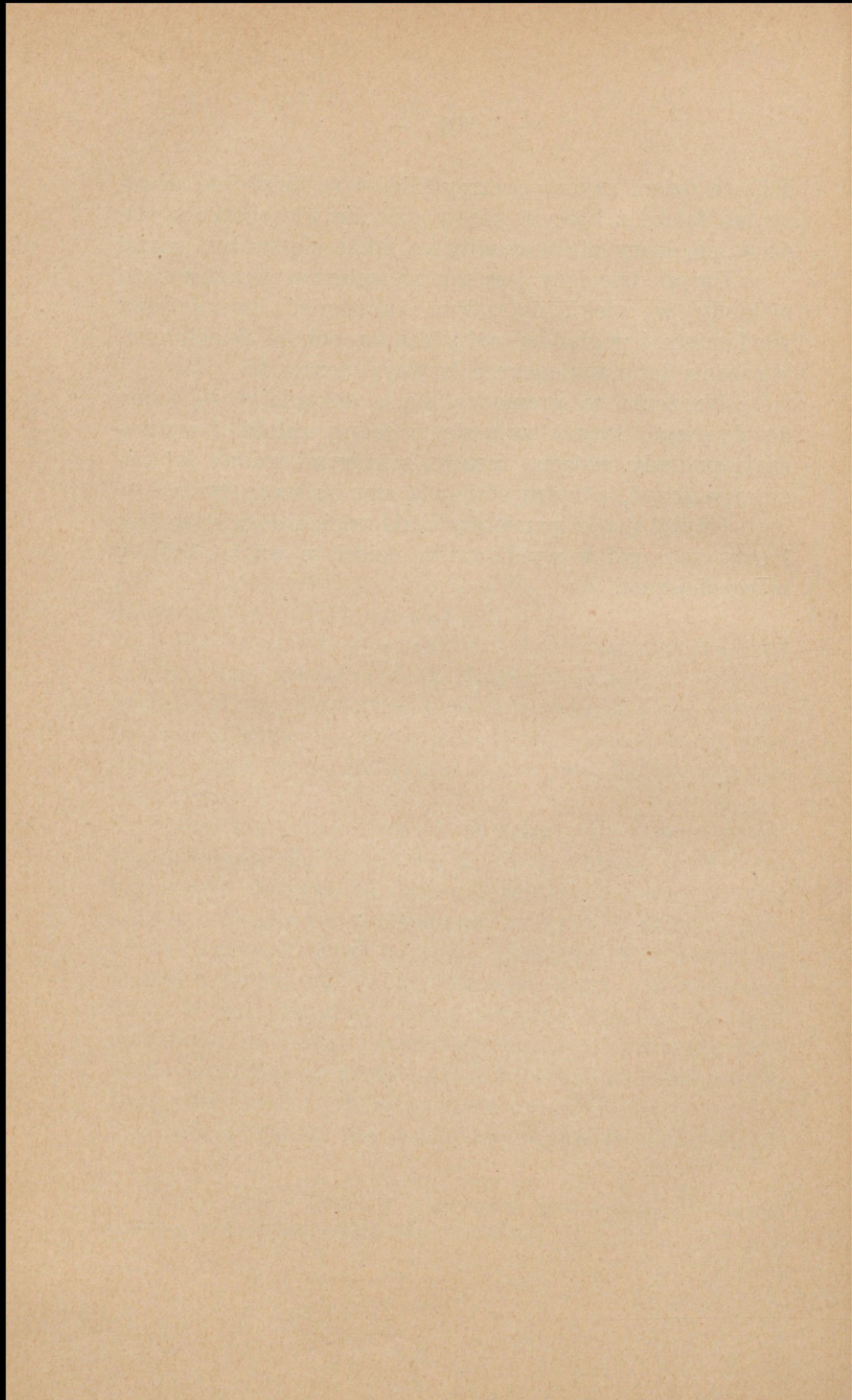
dzi, że dzieci czytają bezmyślnie, i że brzydkie obrazy lub fałsze z którymi się w dzieciństwie spotkały, śladu w ich duszy nie zostawiły—o jakże się w tem mylą!

Umysł dziecięcy jest tak niezmiernie wrażliwy, że niekiedy w wieku dojrzałym zapomnieć nie możemy wiadomości i poglądów nabytych w pokoju dziecinnym. Wrażenia lat najmłodszych bywają niezatarte.

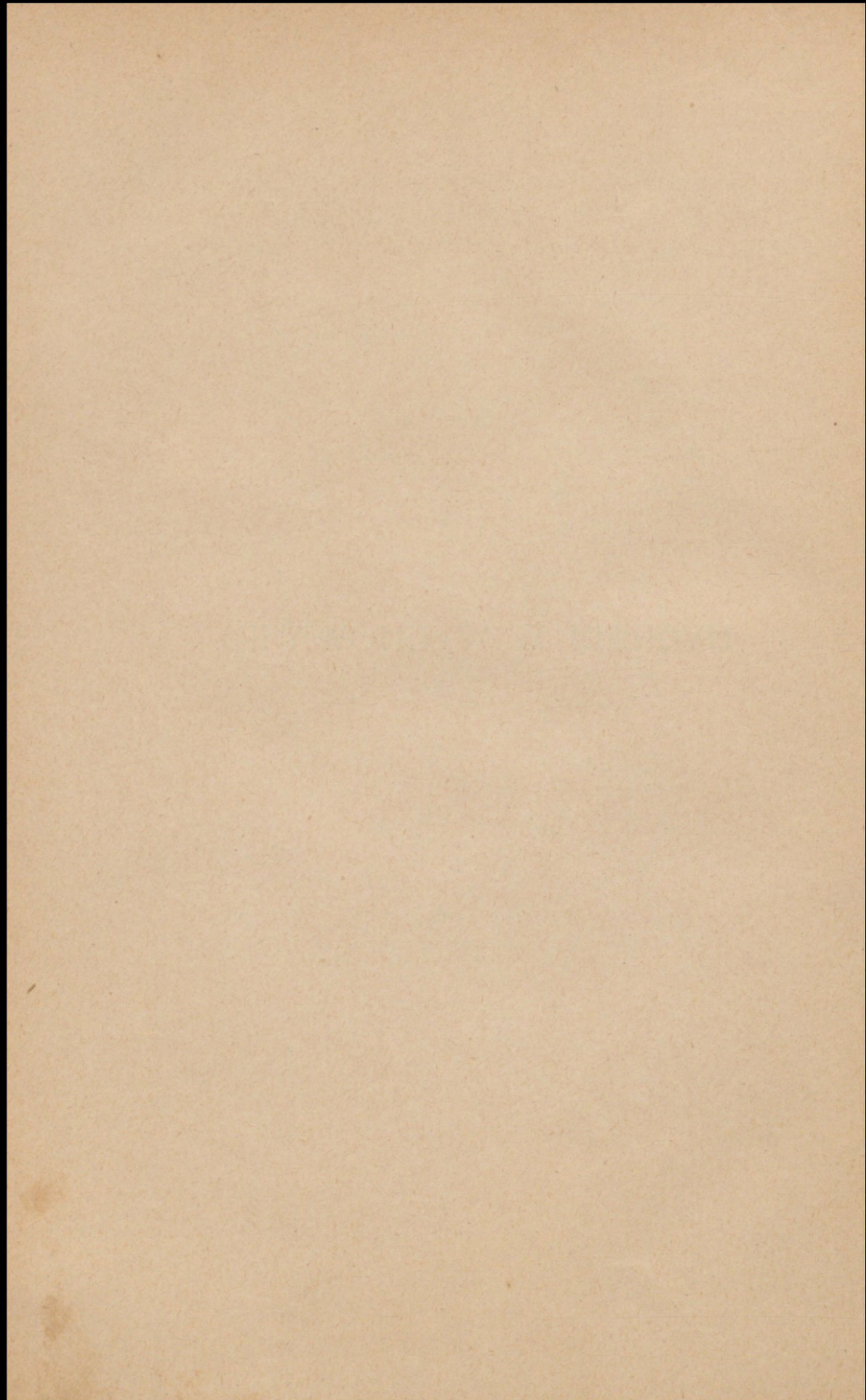
Wrażenia te gromadzą się, a dokładając się jedno do drugiego, krystalizują się w jedną całość, i wytwarzają poglądy, pojęcia, zasady, z którymi trudno już później walczyć, a które stanowią ster dalszego życia.

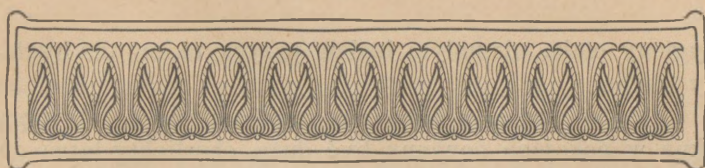
Gdyby matki pamiętały, jak wielce doniosłym jest każdy szczegół w wychowaniu dzieci, o wiele byłyby ostrożniejszymi!

---



HYGIENA W WYCHOWANIU.





„W zdrowem ciele, zdrowa dusza“.

Namnożyły się obecnie pisma i broszurki popularnej treści, traktujące w kwestyi higieny: nie mam przeto zamiaru powtarzać tego, o czem z wielką kompetencją i w sposób wyczerpujący piszą nasi lekarze i higieniści. Nie mogę jednak zupełnie pominąć sposobności dorzucenia w tej materji *kilku wskazówek i uwag*, dających treść, — że tak powiem *essencję*, — najnowszych zdobyczy w dziedzinie teoryi higieny.

Treść higieny domowej i wychowawczej zawarłabym w tych kilku słowach:

- 1) Jak najwięcej powietrza, światła i słońca.
- 2) Nie szczędzić wody, mydła, szczotki i pracy.
- 3) Zrównoważyć rodzaje zajęć dzieci przez zmniejszenie — w miarę możliwości — trudu umysłowego, a dodanie pracy fizycznej. Jak najwięcej ruchu na świeżem powietrzu.
- 4) Umiarkowanie w trybie życia.
- 5) Zahartowanie ciała na zmiany temperatury, na trud i pracę.

Zważywszy silne, wzajemne oddziaływanie ciała na ducha i na odwrót, sądzę, że zachowanie tych prawideł

hygieny ciała, niemalym będzie przyczynkiem dla higieny ducha.

1) *Jak najwięcej powietrza, światła i słońca.* A więc, okna w pokojach powinny być duże, oberlichty łatwe do otwierania, lufciki, wentylatory, często używane. Precz ze wszystkim co nieprzepuszcza światła, powietrze zabiera a kurz przyjmuje, a więc, — w pokojach dziecińczych, bawialnych, sypialnych, stanowczo precz z firankami, dywanami, makatami, gobelinami, różnemi festonami i draperyami; precz z bezcelowemi chińskimi wachlarzami, talerzami, oraz innymi osobliwościami, które zwykliśmy dla ozdoby rozwieszać po ścianach, a które w rzeczy samej służą tylko za gniazda kurzu i za rozsadniki mikrobów... nadewszystko precz z alkowami do sypiania, z firankami u łóżek, u kołysek!

Zazwyczaj w wielce wadliwy sposób urządzamy się w rozkładzie naszych mieszkań, mając w tem więcej względu na wymagania świata niż na potrzeby zdrowia. Pokoje najobszerniejsze, dające najwięcej powietrza i słońca przeznaczamy na salony, w których stosunkowo krótki tylko czas się przebywa; na sypialnie zaś wybieramy izby ciasne i ciemne, niby z racyi, że ciemność sprzyja dobremu wyspaniu, dzieci zaś gnieździmy gdzieniebądź.

O wygląd zewnętrzny, a zwłaszcza o elegancję salonów dbamy najwięcej, ale o kuchnię — mniejsza! może być czarna i robaczywa, wszakże goście jej nie widzą. Służyć więc może na wszelki użytek — i za depozyt brudów, i za pralnię, i za graciarnię, wreszcie za sypialnię dla służby, a nawet za kurnik, rozsadek pajaków i robactwa, — jednym słowem w wielu domach kuchnia służy za centrum, w którym wszelkie brudy domowe się skupiają. A jednak! nigdzie hygiena tyle nie zaleca porządku, ile właśnie w kuchni, w której przecież żywienie ludzkie się sporządza.

O łazienkach, klozetach, nie ma nawet mowy w nie-

co dawniejszych mieszkaniach, a tem bardziej w mieszkaniach miast prowincjonalnych, jak gdyby nie wchodziły w liczbę istotnych potrzeb człowieka.

Hygiena wszakże wręcz przeciwne w tej mierze stawia prawidła. Każę nadewszystko wybierać na sypialnie, bawialnie i uczelnie pokoje duże, z dobrem światłem — południowo-wschodniem lub zachodniem. Wymaga aby w nich ściany były gładkie, olejno malowane, łatwe zatem do zmycia i skurzenia, podłogi zdatne do froterki, bez szpar i szczelin, kuchnie koniecznie olejno malowane, bez kapturów, — tych zwykłych gniazd robactwa, — posadzki w niej antyseptyczne, łatwe do ochędżenia. Dla służby być powinien koniecznie pokój oddzielny. Mówi się tu oczywiście o mieszkaniach osób miennych którym, — jeśli stać na salony, tem bardziej stać powinno na ochędstwo domowej gospodarki, i na wygodę służby.

Ważnym niezmiernie postulatem higieny wychowawczej jest, aby mieszkanie dzieci przy starannej wentylacyi miało jak najwięcej światła słonecznego. Najnowsze bowiem badania fizyologiczno-przyrodnicze, oraz bakteryologiczne wykazały niezmierną doniosłość promieni dziennych na zdrowotność człowieka, przez to, że pobudzają funkcyę życiowe, a niszczą nieobliczoną moc bakteryi chorobotwórczych, które tylko w półświatle i zaduchu rozwijać się mogą.

Promienie słoneczne zbawiennie także oddziałują na ustrój psychiczny: rozpędzają opary smutku, a pobudzają do energii; ile zaś światło księżycy rozwija marzycielstwo, o tyle promienie słońca zachęcają do czynu i wlewają energię w duszę.

Ze wszech miar byłoby przeto pożądane, aby młódź nasza, mająca się obracać w życiu w trujących wyziewach pesymistycznych, od lat najmłodszych była niejako

skapana w atmosferze *wesela i czynu*, w ożywczych promieniach słonecznych.

Temperatura pokojowa w zimie nie powinna przekraczać 14° Reum., albowiem temperatura wyższa rozpieszcza organizm i naraża go na łatwe zaziębienie; przytem jako bardzo sucha, źle wpływa na płuca. Osoby starsze, pracujące wyłącznie umysłowo, a przeto skazane na życie siedzące, potrzebują zazwyczaj wyższego ciepła... zaznaczam jednak, że sypianie w pokoju ogrzonym wyżej nad 16°, niezdrowem jest dla każdego organizmu.

2) *Nie oszczędzać wody, mydła, szczotki i pracy.* Nie tu miejsce zapewne na wykład porządków domowych, pozwolę sobie tylko na kilka uwag dotyczących się osobistego ochędóstwa, jakie w wychowaniu należy przestrzegać.

Smutno jest wyznać, że kto się nie wychował choć w części zagranicą lub kogo wpływ zagraniczny nie dosięgnął, ten o należytem ochędóstwie ma tylko słabe pojęcie.

Są osoby, które sądzą, że umyć się, znaczy zmoczyć w wodzie twarz i ręce, a najwyżej ręce *mydłem pachnącem* wymyć, i ani przypuszczają, aby porządek czegoś nad to wymagał. Kąpiel w określonych terminach nie leży w naszych obyczajach.

A jednak, samo zdrowie wymaga, abyśmy się codziennie *całkowicie* i starannie mydłem obmyli, boć przecież nie tylko ręce i twarz podlegają spoceniu i zanieczyszczeniu, ale całe ciało, a bardziej jeszcze części ciała ubraniami zakryte... nogi, pachy itd. staranniejszego obmycia potrzebują niż odkryte, z przyczyny, że w większej ilości kwasy potowe wytwarzają, które parować nie mogą.

Zdrowie także wymaga dobrego wyczesania włosów gęstym grzebieniem, starannego oczyszczenia zębów proszkiem odpowiednim, a najlepiej sproszkowaną kredą.

Wymaga także, aby ubranie, które co wieczór z siebie zwlekamy, było starannie z kurzu wytrzepane, bielizna co najmniej raz na tydzień zmieniona, aby codziennie nasza pościel po wstaniu z łóżka była przy otwartem oknie wietrzona, pokój wywentylowany. Gdybyśmy tylko te elementarne przepisy higieny zachowali, o ileż zdrowszem byłoby powietrze naszych mieszkań!

Niestety! porządek wielu naszych pań i panienek jest po największej części tylko powierzchowny, — zasada się przeważnie na pewnej elegancji salonowej i na szyku ulicznym, — głębiej nie sięga. Być mocno ściśniętą gorsetem, mieć włosy utrefione według najświeższej mody, mieć długie paznogie, niby migdały — chustkę wyperfumowaną, suknię skrojoną wedle ostatniego żurnalu, — oto wszystko, czego od siebie wymagają.

Nie wyobrażamy sobie, do jakiego stopnia szkodliwemi są dla zdrowotności naszych mieszkań owe powłóczyste suknie pań, któremi z ulicy i ogrodów masy kurzu zbierają, a z nim całe miryady mikrobów do mieszkań znoszą. I czyż nie byłoby rozumnie już raz zbuntować się na dobre przeciwko tej bezsensownej modzie? A zresztą, ubierajmy się jak chcemy, — *jak wypada*, — dla występów światowych, miejmy jednak odwagę cywilną utworzyć sobie własną modę dla potrzeb życia domowego, lepiej odpowiadającą wymaganiom praktyczności i zdrowia aniżeli ta moda, którą nam świat narzuca.

Niezależność w tej mierze będzie dla nas chlubą.

Brak dobrej wentylacji mieszkań, brak porządku i ochędóstwa w naszych obyczajach, niewątpliwie to sprawia, że robactwo mnoży się z dziwną szybkością, nawet w eleganckich apartamentach... Strach bierze, gdy przychodzi lokować się *po kims* w umeblowanym lokalu, albowiem za każdym lustrem, obrazem, zegarem, wyglądać możesz miryady pasożytów, a za firankami

spodziewaj się pajęczyn i gniazd pajaków! Któż temu zaprzeczy?

Co dziwniejsza, — rezygnacya nasza w tym względzie jest tak wielka, jak gdyby chodziło o przykrostkę nieuniknioną, wiele osób nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, co się w ich mieszkaniu gnieździ!

Osobliwym sposobem przystoi kobiecie wykwinne ochędóstwo, a to z przyczyny, że w jej to ręku skupia się: wychowanie dzieci, ład i porządek domowy, kuchnia, spiżarnia, gospodarstwo, wreszcie byt całej rodziny, której ona jest ogniskiem. Ach! wieleż to chorób uniknęlibyśmy, gdyby nasze kobiety były porządne!

Kobieta tak dalece być powinna wygimnastykowana w porządku, że wszelki brak ochędóstwa, wszelki nieład, zaduch, powinny być dla niej istotnem cierpieniem, bowiem w takim tylko razie nie zniesie pod swym zarządkiem najłżejszej chyby przeciwko porządkowi.

Wprawa w doskonały porządek niewątpliwie potrzebniejszą jest dla niej, aniżeli biegłość w rozwiązywaniu łamigłówek algebraicznych, którym nasze panny na pensjach tyle czasu poświęcają.

Najistotniejszym wrogiem porządku jest oczywiście lenistwo, do którego my Słowianie, wiedzeni wrodzoną nam miękkością, tak skłonni jesteśmy. Silne przeciwdziałanie wychowawcze jest tu niezbędne.

Ludzie stawiają różne skale miernicze, podzielone na dziesiątki stopni, — skale ciepłoty, wilgoci, ciężkości, twardości i t. p. Otóż użytecznem byłoby, aby innego jeszcze rodzaju skalę ludzie ułożyli: skalę stopnia cywilizacyi ludów. Cóż jednak służyłoby tu za punkt mierniczy? Zdaniem mojem: mniej lub większa potrzeba ochędóstwa różnych narodów i plemion. Na najniższym stopniu stałyby te ludy, które nigdy się nie myją ani kąpią,

a na najwyższym te, które mury swoich domów chędożą, u których kąć najpośledniejszy wzorowym świeci porządkiem, u których ład i ochędóstwo jest nietylko istotną potrzebą klas inteligentnych, ale obyczajem zakorzenionym ubogich; u których wreszcie nietylko hotel wykwintny byłby porządny, ale ostatni podmiejski hotelik — oberża. Na takiej jednak skali, nam Polakom, przypadłoby niestety jedno z miejsc dość poślednich!

3) *Zrównoważenie rodzaju pracy i najwięcej ruchu na świeżem powietrzu.* Nad pierwszym punktem zastanowimy się nieco w dalszych rozdziałach II tomu: *Nauka nie celem lecz środkiem i o niezbędnej reformie w kształceniu.* Pozostaje nam dziś podać kilka wskazówek co do rodzaju ruchu najbardziej odpowiedniego zdrowiu młodzieży.

O ile się mieszka na wsi, doskonałym zajęciem dla młodych jest: praca ogrodnicza. Przedstawia ona te cenne korzyści, że jest znakomitem kształceniem mięśni, gimnastyką dla mięśni, wypoczynkiem dla nerwów i dla umysłu. Zważywszy, że ta praca odbywa się na dworze, wielką stąd korzyść zdrowie odnosi przez to, że płuca, — przy ruchu np. kopania, grabienia, — z konieczności całą obfitość świeżego powietrza wchłaniają; przy tem i w tem leży korzyść nie mała, że praca ogrodnicza zaznajamia młodzież z wielce użyteczną a zajmującą gałęzią wiedzy, a rozbudzając do niej zamiłowanie, odrywa myśl od niejednego szkodliwego marzycielstwa. Już same upodobanie do ogrodnictwa jest dowodem i rękojmią zdrowia moralnego, gdyż nigdy nikt nie słyszał, aby który pesymista dekadent lub pieszczoch był miłośnikiem pracy ogrodniczej.

Chłopcy oraz panienki kształcący się w szkołach, którzy największą część roku spędzają w miastach przy trudach książkowych, mogliby poświęcić pracy ogrodniczej wakacje letnie, oraz inne dłuższe ferie, coby ich

zdrowie wielce pokrzepiło. Panienki zaś wychowujące się w domu na wsi, większą w tej mierze mają swobodę.

W miastach ratujemy się gimnastyką, łyżwowaniem, fechtunkiem, jazdą na rowerach, dalekimi wycieczkami poza mury miasta, w czym rozgałęziona komunikacya tramwayowa wielce nam jest pomocną. Korzystajmy więc ze świąt i galówek, aby urządzać dla naszej młodzieży takie rozrywki, choćby to nawet było w zimie. — O wieleż ona będzie wówczas zdrowszą i fizycznie i moralnie od owych proszonych podwieczorków, po którym każde dziecko objadłszy się niezdrowemi pokarmami musi koniecznie przechorować, od owych wieczorków i balików rozbudzających w młodzieży próżność i chęć flirtu!

Najprzedniejszym a niezmiernie zdrowiu sprzyjającym sportem, a przytem najniewinniejszą rozrywką — tak dla chłopców jak dla dziewcząt — jest zawsze niewątpliwie konna jazda. Dostarcza ona płucom ogromną sumę tlenu, o wiele więcej nawet aniżeli najbardziej intensywna praca ogrodnicza, która bądź co bądź nuży i wyczerpuje. Konna jazda wprawia w ruch cały organizm, hartuje nerwy, kształci odwagę, dzielność, przytomność umysłu, rozpędza marzycielstwo i pesymizm, owszem wprawia w dobry humor, podnieca wesołość, fantazyę, a w nasepstwie daje doskonały apetyt i sen kamienny.

Warunkiem koniecznym do tego ćwiczenia jest koń odpowiedni — któryby był energiczny, rączy, niósł lekko, równo, a miał dobre chody i nie był narowisty; bez czego młodzież łatwo zniechęcić by się mogła do tak higienicznej rozrywki. Kogoby nie stało na konia rasowego, mógłby się posługiwać koniem tańszym, krajowym, w rzędzie których doskonale znaleźć można wierzchowce.

Wiosłowanie przedstawia również znakomite korzyści higieniczne.

4) *Umiarkowanie w trybie życia.* Pod względem higieny pokarmów na jedno tylko zwróć uwagę, a mia-

nowicie na czynności odżywcze. Rzeczą doniosłą jest tutaj liczba spożywanych pokarmów.

„Do czasu prac Berthelota — pisze pewien doktor higienista \*) — sprawa odżywiania się była czysto empiryczną; dzisiaj przedstawia się ona dość wyraźnie. Wiemy już teraz, że pokarm tłusty albo węglo-wodanowy nie może zastąpić białka w odbudowaniu tkanki, białko jest przeto nieodzownem do odżywiania się. Ale z drugiej strony, gdy zamiast dawki dostatecznej, przesadzimy w spożyciu białka, otrzymamy wynik bardzo ciekawy. Ta dawka przesadna powoduje daleko większe strącanie się białka ku *szkodzie narządów naszych*, aniżeli nią była ilość spożyta. Wystarczy spożyć codziennie pewną ilość pokarmów azotowych, mniej więcej około 75 gramów. Wszystko zaś, co się wchłania *po nad to*, nie tylko nie zostaje przyswojone, przez organizm ale dąży do wywołania strącania się białka mięśni, a więc szkodzi organizmowi.

Z doświadczenia przeto narzuca się nam wniosek, że jadamy za wiele, zwłaszcza zaś mięsa. Obarczamy żołądek i kiszki pracą zupełnie niepotrzebną. U większości ludzi z klasy dostatniej, znaczniejsza część sił, nabytych przez pracę trawienia, *zużywa się na trawienie*. Niech nikt nie sądzi, że to przesada. Istotnie, w ciągu czynności trawienia bylibyśmy strawili ściany żołądka i kiszek, gdyby powierzchnia ich nie odnawiała bezustanku ochraniającej ją tkanki, bowiem tkanka ta z wielką szybkością tworzy się na nowo, w miarę niszczenia się jej przez soki trawiące. Już sama ta praca jest olbrzymią. Kiszki przy 30-centymetrowej szerokości przedstawiają, — gdy się je rozciągnie,—siedmio- lub ośmio-krotną długość całego ciała, powierzchnia zaś pracująca kiszek i żołądka wynosząca co najmniej 5 metrów kwadr. dodaje znacznej pracy codzien-

---

\*) Por. P.-Sée Formulaire alimentaire. Paris. Bataille et C-gnie 1893.

nego w ciągu kilku godzin odnawiania się bez ustanku ścianek wyścielających taką powierzchnię, dodajmy jeszcze siły, zużyte na przeżuwanie, na ruchy robaczkowe żołądka, na tworzenie znacznej ilości śliny z soków trawiących żołądka, trzustki, pęcherza żółciowego, a będziemy mieli pojęcie o olbrzymim wydatku sił, jakiego się domaga czynność trawienia.

Czyliż nie jest jasnym, że ludzie jedzący za dużo, są czystymi zwierzętami, zredukowanymi do niezbyt zaszczytnej roli służenia własnemu przewodowi pokarmowemu!

Dodajmy, że większość ludzi wobec znacznej ilości pokarmów, które mają pochłonąć, uznają za rzecz zbyt mizalną dobre przeżuwanie pokarmów, czem jeszcze bardziej obarczają i przedłużają pracę trawienia, gdyż soki trawiące jedynie bardzo wolno mogą wówczas przenikać kawałki mało rozdrobione.

Jakże użyteczną byłaby broszurka, wskazująca zawartość w każdym pokarmie mających się przyswoić: białka, tłuszczów i węglowodanów!... Przy pomocy podobnej tablicy, matka mogłaby mniej więcej ułożyć dla swej rodziny jadłospis, za pomocą którego oszczędziłaby narządom trawiącym swych dzieci nadmiernej pracy, wykonywanej ze szkodą pracy umysłowej lub sił fizycznych...

Nie znaczy to, że chcielibyśmy aby matka, — jak to czynił Cornaro, — ważyła wszystkie potrawy, ale po kilku zważeniach, zdawałyby sobie sprawę z tego, ile mniej więcej jej dzieci jadać powinny, przez co uniknęłyby olbrzymiego trwonienia sił, na co np. skazani bywają młodzieńcy uczęszczający do restauracyi i objadający się tam do przesytu, wśród gwaru rozmów i sporów“.

5) *Zahartowanie ciała.* W czasach rozpowszechnionej miękkości, rozpieszczenia i choroby woli, niezbędnem się okazuje hartowanie ciała, jako reakcyja przeciwko

ogólnemu prądowi. Praca ręczna, ćwiczenia fizyczne i sport, będą już niewątpliwie znakomitym przyczynkiem do zahartowania ciała. Dodać tu jeszcze należy: sypianie w chłodnym pokoju, regularne ranne wstanie, — tak zimą jak latem, oblewanie się zimną wodą zaraz po wyjściu z łóżka, a w każdym razie gruntowne wymycie całego ciała zimną wodą, twarde, proste, i, że się tak wyrażę żołnierskie posłanie, meble nie wyścielane, pożywienie raczej proste niż wykwintne, a umiarkowane co do ilości, rzeczne kąpiele do późnej jesieni, regularne spacerery bez względu na pogodę.

Wszystkie zresztą uwagi niniejszej pracy zmierzają do zahartowania dziecka — tak duchowo jak fizycznie i do ochronienia go od miękkości: ktoby choć w części w czyn wprowadził nasze rady i wskazówki, ten niezawodnie wieleby już na drodze zahartowania dziecka dokonał.

Oczywiście, że w kwestyi hartowania dzieci, niezbędna jest rada lekarza, gdyż nie każde dziecko równo hartować można.

Jak dalece oddalamy się zazwyczaj od wyżej wzmiankowanych elementarnych przepisów higieny, posłużyć może obrazek następujący, z życia uchwycony, a streszczony z odczytu pani Dobrskiej-Tomaszewicz.

„Upał na dworze. Mały Jaś ułożony w kołysce, zanosi się od krzykn. Cóż jest biednej dziecinie? może chora? bo wszakże na niczem jej nie zbywa z tego, co troskliwość rodzicielska przy dobrem mieniu dać jej może. Położona na miękkiej pościeli, wyżej usteczek przykryta edredonem, wietrzyku nawet nie czuje. Jaś jednak nie chce się uspokoić, — spowite rączęta rozpaczliwie wyrywa z więzów, które je krępują, a gorące krople potu spływają mu z czoła i szyjkę oblewają. Troskliwa niańka czuwa nad jedynakiem, bierze go z kółki, obwija wraz z sobą w szal ciepły, przytula do go-

rażącego łona, a kołysząc, śpiewa: lu, lu, lu, mój anioleczku! przyczem na pociechę anioleczka nie przestaje go całować w rozplakaną buzię... a biedny aniołek, słaby i bezbronny, z objęć opiekunki wyswobodzić się nie może!

Jaś jest jednak najszcześliwszem dzieckiem. W całym domu, jako najpierwsza osoba z rodziny, on najpierwsze zajmuje miejsce, a więc i w ciemnej alkwie rodziców. Tam, za podwójną kotarą stoi kolebka jedynaka, przystrojona firankami, pomponami, kokardami, a przykryte gęstym muslinem, aby w czasie snu, muchy dzieci nie przeszkadzały.

Dobroczyzna ta alkowa -- jak zwykle — na różne służyć musi użytki, i dla tego że ciemna, wiele zmieścić potrafi; znajdziesz w niej po trochu wszystkiego: i resztki jedzenia na półce, i brudną bieliznę w kącie, i starą umywalkę dobrze mydlinami opryskaną, a nigdy nie startą, i łóżka rodziców Jasia, co sprawia, że najbardziej różnorodna woń: kosmetyków, potu i stęchlizny z niej się ulatnia. Służąca zaś, z najwyższem uszanowaniem omija zwykle tę alkwę, aby przypadkiem nie podnieść kurzu na śpiącego chłopczykę.

O zdrowiu jedynaka pamiętają troskliwi rodzice. Gęsty trykot broni zimą i latem dziecko od zabójczego wpływu powietrza, gdy zaś w południe wynoszą je na przechadzkę, przez pół godziny niania ładuje na Jasia całą furę płaszczyków, kapturków, kamaszy i t. p. tak, że biedna dziecina zanosi się od płaczu, gdy męka spaceru się zbliża.

Wszakże mimo tak troskliwych zabiegów, Jaś często na zdrowiu zapada i zaziębia się co chwila, a choć zażył przeróżnych aptecznych specyaliów — proszków i ziółek, — choć wyczerpał wszystkich środków zaleconych przez przychylnych doradców, nic jednak na zdrowiu się nie pokrzepia.

Przyznać jednak należy, że Jaś był wytrzymałym dzieckiem, bo zabić się nie dał, dorósł nawet do ósmego roku, — ale jest wątły, blady, anemiczny, i uczy się niechętnie, a chociaż potrafi niezłe czytać i pisać i szczeniotać różnemi narzeczami, przecież, pomimo dobrej pomocy, danej mu do ładowania w główkę wiedzę, nauka jakoś się nie przyjmuje, co rodziców w rozpacz wprawia.

Co gorsza, Jaś traci apetyt, — nawet wysmienite ciasteczka, jakie mu ciotki przynoszą, nie smakują mu, sen ma niespokojny, rosnać nie chce — owszem — z dniem każdym mizernieje i zanika. Rodzice do żywego zaniepokojeni, wzywają wreszcie światłego lekarza: „Ratuj Panie Doktorze naszego jedynaka!“ wołają.

Lekarz zbadał nietylko stan dziecka, ale i jego warunki życia, co uczyniwszy, taką zostawił receptę: „Lekarstw żadnych, z nauką wstrzymać się do czasu, a natomiast dużo ruchu, a nadewszystko jaknajwięcej świeżego, wiejskiego powietrza. — ...Powietrza dziecku nie zabracie! powietrza!“

Okazało się, że rodzice niczego dziecku nie skąpili prócz tego jednego, co przecież nic nie kosztuje a jest najpotrzebniejsze... i dla tego dziecko marniało.

W liczbie naszych dzieci, jakże wiele jest takich Jasiów!

---

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page. The text is arranged in approximately 15 horizontal lines across the upper half of the page.

O NERWACH.

1875



Szacowne zdrowie, nikt się nie dowie,  
Ile kosztujesz, aż się zepsujesz.

**N**ie jest zamiarem moim mówić tu o nerwach, ze stanowiska fizjologicznego — co byłoby raczej zadaniem lekarza niż wychowawcy. Niepodobna jednak pominąć kwestyi tak ważnej w dziele treści wychowawczej, nie zgłębiwszy jej i nie zbadawszy — czem są właściwie nerwy? w czem być mogą użyteczne a w czem szkodliwe... wreszcie, jak należy z nimi postępować aby uczynić z nich sobie sprzymierzeńców i siłę dodatnią, a nie dopuścić — broń Boże — aby nam były szkodnikiem lub wrogiem. Uwagi te są owocem długoletniego doświadczenia, poparte uznaniem specjalistów.

Gdy badamy ustrój nerwowy człowieka, dostrzegamy, że jest on narządem niezmiernie ważnym w jego organizmie: w nim bowiem znajdujemy organ *czucia i woli*, czucia, które za pośrednictwem nerwów dochodzi do świadomości, woli, której nerwy spełniają rozkazy.

Rozróżniamy w tym ustroju trzy wybitne a odrębne narządy, za pomocą których funkcyje nerwowe się odbywają: 1) *Mózg*, który jest siedliskiem świadomości, czucia

i woli, a którego przedłużeniem jest rdzeń kręgowy, inaczej mlecz pacierzowy, nad to, 2) nerwy *wchodzące* czyli *czuciowe*, idące w kierunku dośrodkowym, od ciała do mózgu, i 3) nerwy *wychodzące* czyli *ruchowe*, idące w kierunku odśrodkowym od mózgu do wszystkich części ciała.

Nerwy wchodzące są to nitki włoskowate, rozgałęzione po całym organizmie, mające przeznaczenie przeprowadzać do mózgu wrażenia otrzymywane przez wszystkie części ciała, a więc wrażenia dotyku, bólu, temperatury i t. d. Nerwy zaś wychodzące, zupełnie do tamtych podobne, poczynające się w mózgu i w rdzeniu kręgowym, mają przeznaczenie przynosić rozkazy, — jeśli z mózgu, to świadome, jeśli z rdzenia pacierzowego to nieświadome — do tych części ciała, po których są rozgałęzione. Ponieważ odpowiedzią na rozkaz mózgu lub rdzenia kręgowego, bywa kurczenie się pewnych mięśni ciała, do którego dany nerw dochodzi, czyli *ruch*, taki więc nerw nazywamy ruchowym.

Jeśli wyobrazimy sobie aparat telegraficzny wraz z siecią drutów wysyłających depesze, to w układzie nerwowym człowieka rolę aparatu telegraficznego odgrywać będzie mózg, a raczej substancja jego szara, biała zaś substancja sieci włoskowatej nerwów, odpowiadać będzie drutom, przeprowadzającym rozkazy mózgu do wszystkich części ciała i przynoszące doń wiadomości.

Te trzy narządy nerwowe: czujący, komunikujący i rozkazy roznoszący, porównałby także można do człowieka mającego do posługi dwóch ludzi, z których pierwszy miałby urząd przynoszenia swemu panu wiadomości, a drugi, roznoszenia jego rozkazów: wystarcza, aby jeden z nich nie spełnił należycie swej powinności, dla jakiej niebądź przyczyny, aby stąd wynikł w gospodarstwie mniejszy lub większy nieporządek.

Służący pierwszy może doznawać *przesadnych* wra-

zeń czuciowych i takowe swemu panu komunikować, służący drugi może przesadnie rozkazy pana spełniać. Pan także może przesadnie rozumieć i odczuwać wiadomości mu doniesione, i z tej przyczyny nieopatrznie wydawać rozkazy. Oto synteza chorób nerwowych w potrójnej postaci, w której zwykła się przejawiać.

Gdy w człowieku mózg, lub który z jego nerwów szwankuje, powoduje tem samym w organizmie różne nieporządki, i te zwykliśmy nazywać *zdeenerwowaniem*. Doznają np. lekkiego zadrażnienia ręki, że jednak nerw czuciowy (ten pierwszy służący) jest do zbytku rozdelikacyony, komunikuje mózgowi wrażenie silnego bólu, jak gdyby ciężkiego zranienia. Oto jedna ewentualność.

Inny przykład odmiennej ewentualności. Mucha mi dokucza: — lekką tę przykrość komunikuje nerw czuciowy mózgowi, ten wydaje rozsądny rozkaz odpędzenia natrętnej, lecz że służący drugi jest przesadnie gorliwy, bije muchę z takim zamachem, jak gdyby odpędzał psa wściekłego. Oto druga ewentualność.

Inny jeszcze przykład: Mózg doznaje wzrokiem wrażenia widoku myszy, żaby, pająka lub liszki, że jednak ma chorobliwy, a rozsądkiem nie zwalczony wstręt do tych stworzeń, wydaje rozkaz wszystkim naraz mięśniom drgania skoków, krzyków i t. p. Oto błąd trzeci najdonioślejszy, w którym sam gospodarz jest winowajcą.

Zdarza się także, że wszystkie trzy organy nerwowe naraz szwankują, czego wynikiem wysoki stan zdeenerwowania.

Nie bez przyczyny poświęciliśmy chwil parę tym uwagom nad różnemi nerwowemi przejawami, gdyż nad wyraz ważnem jest w wychowaniu mieć dobrą orientację, gdzie mianowicie spoczywa przyczyna różnych zбочzeń nerwowych, przejawiających się u dzieci, często już od lat najmłodszych, aby umieć zlemu zaradzić w jego początku; aby wiedzieć: czy hartować wrażliwość doty-

ku, czy wzmacniać nerwy ruchowe, czy wreszcie rozważać reagować przeciwko zboczeniom sądu, czy może w tych trzech kierunkach naraz pracować?

Celowość nerwów, zarówno jak wszystkich innych organów, może być tylko dodatnią, sprawia ona, że w człowieku *normalnym* system nerwowy jest mu *siłą, sprzymierzeńcem* w spełnieniu jego przeznaczenia. Celowość nerwów sprzyja celowości człowieka. Nerwom człowiek zawdzięcza w znacznej mierze swą wrażliwość, energię, dzielność, wytrzymałość, siłę; nerwy to sprawiają, że niejednokrotnie człowiek wyczerpany fizycznie trzyma się mężnie, i spełnia powinności, którym, bez pomocy nerwów, nigdyby nie sprostał. Jakiż wymowny dowód dają nam nerwy ile niekiedy człowiek wytrzymać jest zdolny!... zdarza się bowiem, że nerwy podtrzymują jego gasnące życie — przedłużają je nawet.

Ogromną jest więc odporność i siła nerwów!

Nerwy są niezaprzeczenie siłą, która wszakże jak każda siła dodatnio albo ujemnie działać może, odpowiednio temu, jak jej kto używa. Nerwy działają dodatnio, gdy są rozumnie użyte i kierowane, ujemnie zaś, gdy są nadużyte, źle kierowane lub też puszczone samopas.

Jakże szkodliwymi byłyby rumaki któremiby silna a umiejętna ręka nie powodowała? Jakże niebezpieczną maszyna parowa lub bateria elektryczna w ręku niefachowca!

Prosty stąd wniosek, jak dalece z siłą nerwów rachować się powinniśmy, a to tem bardziej, że w obecnem społeczeństwie ta siła objawia się raczej ujemnie niż dodatnio, — co zwykliśmy zwać zdenerwowaniem, czyli rozstrojem nerwów.

Kogoż wszakże uważać mamy prawo za człowieka zdenerwowanego?

Aby w tej mierze nie popęlić pomyłki, która jest

dziś na porządku dziennym — gdyż przywykliśmy wszystkich ryczałtem piętnować mianem zdenerwowanych — dobrze sobie uprzytomnić, że nie ten człowiek zdenerwowany jest, który posiada system nerwowy subtelny i doskonale wykształcony, lecz ten, u którego nerwy *działają nieprawidłowo*, a zdradzają osobliwy swój rozstrój, bądź zbytnią wrażliwością dotyku, bądź niesprawiedliwością sądu: bądź jakim nieuzasadnionym wstrętem, lękiem, wywołującym drżenie, krzyki, skoki, płacze lub śmiechy spazmatyczne, wreszcie bóle lub kurcze, nie wywołane żadną fizyologiczną odmianą w organizmie. (Te bóle i kurcze bywają najczęściej objawem rozwijającej się histeryi).

Dr. Sterling pisze w swej cennej broszurce „Cierpienia nerwowe“:

„Chorzy nerwowi mają szczególne upodobanie do skarg, lubią oni nie tylko opowiadać o swoich cierpieniach, ale wymagają także aby ich słuchano uważnie i cierpliwie. Charakterystycznym jest, że skargi takich chorych zmieniać się mogą z dnia na dzień.

Wszyscy niemal chorzy nerwowi cierpią mniej więcej uporczywe *bóle głowy*. Właściwie rozchodzi się tutaj nie tyle o prawdziwy ból, ile o uczucie pewnego ucisku na głowę. Chorzy tacy mają wrażenie, jak gdyby skronie, czoło i tył głowy były ściskane w kleszczach. Czasami ból umiejscowia się specjalnie w okolicy czołowej lub oczodołowej, czasami zajmuje całą połowę głowy, a wtedy przypomina *migręnę*, a ból nie trwa dłużej jak jeden dzień. Tego rodzaju ból występuje razem z ogólnym osłabieniem i trudnością myślenia.

Nader ważną dolegliwością chorych nerwowych jest *bicie serca*. Dla tego też chorzy tacy często boją się wady serca. Bojaźń ta jednakże jest bezpodstawna, gdyż właśnie przy organicznych wadach serca nie bywa bi-

cia serca... Rozumne uspokojenie chorego co do tego punktu jest bardzo ważnym środkiem leczniczym.

Inną jeszcze dolegliwością nerwową serca jest napedowe przyspieszenie tętna do 200 i więcej nawet uderzeń na minutę. Zdarza się ono także nagle, dniem lub nocą — częstokroć bez żadnej określonej przyczyny. Akeya serca może być przytem najzupełniej prawidłowa.

Rozmaite i doniosłe bywają nerwowe *dolegliwości żołądkowe*.

I tutaj rozróżniać będziemy przypadki, kiedy choroby skargi swoje odnosi do *zupełnie zdrowego organu*... Przypomnijmy tutaj, cośmy na początku naszej pracy powiedzieli o chorobach nerwowych, jako o zaburzeniu harmonijnego współdziałania pomiędzy mózgiem — jako organem ośrodkowym — i nerwami, rozgałęzionymi w całym ciele i jego organach wewnętrznych. Jeśli więc nerwy żołądka będą reagować zbyt silnie na każde, choćby normalne podrażnienie, to mogą przenieść to podrażnienie *w postaci spotęgowanej* do mózgu, nawet przy zupełnie *zdrowym żołądku*.

Może być i tak, że z nerwów wychodzą wrażenia czuciowe najzupełniej normalne, tylko mózg odpowiada na nie *zbyt żywo* i że tak powiem — *przecenia je*.

Że siedliska wielu cierpień leży w samym mózgu, i zależy od stanu jego rozwoju, o tem poucza pewien ciekawy fakt: jeśli zestawiać będziemy neurestenników o zupełnie zdrowych organach wewnętrznych z dwóch sfer, klasy niższej i klasy inteligentnej, to przekonamy się, że u pierwszych przeważają skargi żołądkowe, u drugich natomiast sercowe. Jasnem jest, że cała chorobliwie natężona uwaga mózgu zwrócona jest u człowieka inteligentnego na serce, jako na najważniejszy organ życia, natomiast u człowieka prostego na żołądek.

Objawy żołądkowe u takich chorych występują zwy-

kle po przyjęciu pokarmu podczas trawienia. Chorzy ci mówią, że po każdym przyjęciu pokarmu występuje u nich ciśnienie i ból w żołądku, przyczem żołądek jakoby nadmiernie się rozdyma, w skutek czego zjawia się brak tchu i bicie serca. Z innych objawów wymienić można: nudności, uczucie pełności, gniecienia i tłoczenia... i t. p. Spotykamy się także z napadami kurczowych bólów żołądka, a nawet wymiotów kurczowych.

Jednym z najczęstszych objawów nerwowych jest osłabienie. Podczas kiedy człowiek zdrowy budzi się nad ranem silny, energiczny, rzeźki do pracy, człowiek nerwowy czuje się rano tak osłabiony, że często trudno mu jest wstać z łóżka. Jeśli chory przezwycięży to uczucie słabości, zanika ono zazwyczaj około południa.

Nie chodziło tu o właściwą słabość mięśni, ale o niedostateczne, wychodzące z mózgu ich unerwienie, oraz o uczucie wyczerpania *powstające w samym mózgu*. Jeśli chorzy poddają się temu uczuciu wyczerpania i nie starają się przezwyciężyć je *siłą woli*, jeśli powtarza się ono zbyt często, to może dojść do tego, że unikają wszelkiej pracy, przepędzają całe miesiące w łóżku, bojąc się, że z powodu osłabienia nie będą mogli wstać. To długotrwałe leżenie pociąga za sobą szkodliwe skutki, bowiem od długotrwałej bezczynności mięśnie nóg mogą uleść rzeczywistemu zanikowi.

Prócz ogólnego wyczerpania u ludzi nerwowych, znajdujemy osłabienie mięśni, umiejscowione bardziej ściślej, a mianowicie *w nogach i krzyżu*. Pod takimi chorymi „uginają się kolana“ przy chodzeniu, zwłaszcza dolna część ciała podlega osłabieniu, podczas gdy ramiona zachowują pierwotną siłę.

Wpływ psychiczny jest tutaj lekarstwem najskuteczniejszym — nadewszystko należy myślom chorego nadać inny kierunek i uspokoić go. Punktem wyjścia dla leczenia za pomocą *sugestyi* jest stwierdzenie, że choroba

jest jedynie funkcyonalna, i że nie grozi życiu chorego. Jeśli lekarzowi uda się pozyskać zaufanie chorego, wyjaśnić mu charakter jego choroby i oddalić wszelkie obawy, jeżeli lekarz przytem jest dobrym psychologiem i taktownym człowiekiem, wtedy wynik leczenia będzie pomyślny“.

Należy pamiętać, że im system nerwowy jest doskonalej u którego osobnika rozwinięty, a działa subtelniej, tem ów osobnik przedstawia lepsze warunki uzdolnienia, a to z przyczyny, że jego zmysły bystrzej, szybciej i dokładniej działają, a wrażliwość jego subtelniejszych pojęć umysłowi dostarcza.

W tem odwrotną stroną medalu jest ta, że taki osobnik z konieczności wrażliwszym być musi na różne uszkodzenia organizmu, a więc na ból fizyczny; wrażliwszym jest także na cierpienia moralne od człowieka o systemie nerwowym, mniej prawidłowo wykształconym. Dla tego to zwierzęta — uważane w jednakowych warunkach cierpienia z człowiekiem — o tyle od niego mniej cierpią, że mają system nerwowy mniej usubtelniony, i że do cierpienia fizycznego nie dokłada się u nich cierpienie moralne. Dla tej samej — w odpowiednim stosunku — przyczyny, człowiek prosty, zahartowany, wykształceniem nie rozdzielony, o tyle mniej cierpi od człowieka, którego warunki cywilizacyjne nie urobiły. Powtarzam jednak, że człowieka normalnego, o doskonale rozwiniętym systemie nerwów, nie należy zwać *nerwowym*, coby fałszywem było dla niego określeniem.

Chcąc mieć praktyczną wskazówkę jak należy postępować z osobnikami zdenerwowanemi, dobrze będzie wpierym zbadać przyczyny ogólne i poszczególne nerwowego rozstroju.

Bywają one różne: fizyologiczne i psychiczne. Do głównych zaliczamy: nadużycie i rozpieszczenie.

Powiedzieliśmy, że system nerwowy jest siedliskiem

czucia, a zatem wrażliwości; — wszelkie przeto nadużycie wrażliwości wrogo reaguje na nerwy: t. j. powoduje w nich rozstrój i rozprężenie, a tem samem osłabia je.

Nadużycie wrażeń oraz forsowne naprężenie jakie sprawiają: przepracowanie, gorączkowy wir życia, ekscytująca lektura, drastyczne widowiska, stosunki drażliwe, zmysłowość, nałogi i. t. p., wyzyskują nadmiernie wytrzymałość nerwów, przez co je zużywają. Nerwy, wyprowadzone z równowagi jakąniebądź przyczyną, przestają działać prawidłowo, a działają chimerycznie, podobne w tem do struny przeciągniętej albo do zbyt zluźnionej, która drga, brzęczy i fałszywe tony wydaje.

Tryb życia światowego, a choćby takiego, jakie obycajajem przyjęte zostało wśród wielu rodzin, wielce się też przyczynia do rozstroju nerwów, — któż bowiem nie przyzna, jak bardzo szkodliwym dla zdrowia jest nocne przesiadywanie przy zabawie, kartach, późne zasiadanie do stołu, powodujące ociężałość, a w następstwie późne wstanie, próżniactwo i t. p. Późne kładzenie się na spoczynek przez to rozstraja nerwy, że je nieprawidłowo utrzymuje w stanie ekscytacji, naprężenia i wysiłku, wówczas, gdy według prawa natury, wypoczynek im się należy.

Późne zaś wstawanie i próżniactwo folgując nerwom, roluźnia ich odporność, rozpieszcza i osłabia.

Wielce także przyczynia się do powszechnego zdenewrowania nadmiar w używaniu kawy i herbaty, — nie mówiąc już o trujących narkotykach i o nałogu do pijanstwa. Pojenie dzieci i młodzieży mocnym winem — niby dla wzmocnienia — podnieca tylko ich system nerwowy, a tem samem, zamiast je wzmacniać, denerwuje \*).

---

\*) Pewien doktor twierdził na podstawie naukowej, że nie tylko tego zwać można pijakiem, który się często upija aż do stracenia przytomności le i tego także, który przywykł codziennie używać, choć w mniejszych,

Nerwy, to więc nóż obosieczny — to albo znakomita siła, albo największa niemoc, albo organ siły, albo przyczyna niemocy, stosownie do tego, czy niemi władamy, czy też one nami zawładnęły. Jakże wychowawca mieć to powinien na pamięci!

Drogi zaś działania nerwów, podobnie jak drogi elektryczności nie są jeszcze dostatecznie zbadane, przedstawiają się nam przeto najczęściej jako dziwne, chimeryczne, nieokreślone i niedościgłe. — Histerya — to jeden z objawów dróg himerycznych z równowagi wyprowadzonych nerwów.

Z dwóch głównych źródeł, częstokroć w jedno koryto się zlewających, t. j. z *nadużyć* i z *rozpieszczenia* płynie powszechne zdenerwowanie, objawiające się w różnym stopniu napięcia. Przechodzi ono drogą dziedziczności z rodziców na dzieci, i z pokolenia na pokolenie. Dzieci neurastanników lub osób które jakniebądź nadużyły nerwów, przychodzą na świat ze smutną spuścizną rodzicielską, — dziedziczą ją także po dziadach i pradiadach — tak w prostej jak w bocznej linii.

Już w pierwszych latach życia zdradzają pewne nienormalności — zwykły objaw nadwątłego systemu nerwowego, — są wątłe, anemiczne, rachetyczne, a tem samem do zbytku wrażliwe i drażliwe.

Jak należy z takimi dziećmi postępować?

Sama logika wskazuje, że utraconą tężyznę organizmu przez nadużycie lub rozpieszczenie, należy napowrót odzyskać drogą odpowiedniej reakcyi. Takiemu dziecku należy oczywiście wzbronąć wszystkiego co na-

---

dawkach jakiego bądź napoju — bądź wódki, bądź piwa, bądź wina, czem zwolna swój organizm zatruwa i nadwyręza system nerwowy. Tenże sam doktor dowodził, że kieliszek napoju wysokokowego tak samo działa na organizm człowieka, co mocne uderzenie batem na znużone bydło — nie wzmacnia — tylko chwilowo ekscytuje, poczem następuje silniejsza prostacya.

prężyć może strunę jego nerwów albo ją zbyt rozluźnić.

Trzeba mu wzbronić wszelkiego natężenia umysłowego oraz wrażeń ekscytujących, trzeba je chować w prostocie, w miarę możności na świeżem wiejskiem powietrzu, o ile się da przy pracy fizycznej, kształcącej mięśnie, a dającej wypoczynek umysłowi. Należy mu dawać pokarm posilny lecz prosty, okazywać dziecku serce lecz nie pieścić, a wymagać posłuchu i karności.

Nadewszystko należy postępować z dzieckiem nerwowem *spokojnie*, a sprężyste, nie zajmować się ostentacyjnie jego nerwami, nie mówić mu o nich wcale, ale starać się możliwymi siłami wykształcić w nim wolę i panowanie nad sobą, a broń Boże nie składać na karb zdenerwowania jego kaprysów i wybryków, lecz tylko na brak czuwania i panowania nad swem usposobieniem. „Nie sądz że jesteś zdenerwowana“ — mówiła pewna rozumna matka do córki, wielkiej fantastyczki i kapryśnicy, — jesteś tylko złością, a za złość tylko różga ci się należy. Ta mowa najskuteczniej na panienkę po-działała.

„Pani jesteś chora na chorobę“ rzekł pewien lekarz panience istotnie wątłej i nerwowej, — i tem słowem od razu ją na nogi postawił. Energicznem a stanowczem postępowaniem możemy niekiedy powstrzymać rozwój choroby nerwowej, nie tylko u dzieci, ale i u osób dorosłych.

Nie każdy, — co prawda — jest w stanie zapewnić swym chorym wyżej wzmiankowanych higienicznych warunków (świeżego powietrza, pobytu na wsi, pracy fizycznej) przecież, chociaż cośkolwiek zastosować się do nich można, a im się więcej kto zastosuje, tem lepszego owocu swych zabiegów spodziewać się powinien.

Gdyby objawy nerwowe dziecka okazały się groźniejsze, niezbędnem byłoby poradzić się o nie lekarza,

i za jego wskazówką rozpocząć systematyczną kurację, pozorując ją np. potrzebą hartowania i wzmocnienia organizmu, byle się dziecku nie przyznawać, że się je leczy na nerwy.

Nerwami dziecka normalnego, zdrowego, najlepiej nie zajmować się wcale — i jak się to mówi — „nie wywoływać wilka z lasu“. Oczywiście nie należy najzdrowszych nerwów nadużywać, nadwyreżać lub czynić względem nich to, co by im wręcz szkodzić mogło. W normalnych warunkach higienicznych, nerwy dziecka nie przypominają się wcale, i sprzyjać tylko mogą pracy wychowawczej.

Osoby chore nerwowo tem się zwykle wyróżniają, że nie panują nad sobą, i z tej przyczyny są niezmiernie trudne w pożyciu, gdyż popełniają różne dziwactwa. Nie znoszą tego i owego: śmieją się bez przyczyny lub płaczą, mdleją, trwożą się byle czem, są agitowane, drażliwe, dla siebie wymagające i t. p.

Otóż — jeśli właściciel chorych nerwów nie posiada dostatecznej siły odpornej dla zapanowania nad nimi, *ktoś drugi* powinien go w tem wyreżycić i być mu ową siłą dobroczynną a rozumną, na której mu zbywa.

Tysiączne doświadczenia wykazały, że na rozhulanie nerwów, jedynym lekarstwem jest *energia*, — stanowcze, bezwzględne, prawie despotyczne postępowanie, przy niewzruszonym spokoju. Również zbawczo działa na rozstrój nerwowy suggestyonowanie choremu że jest zdrow i lekceważenie nerwów. W tem deska ratunku. Na odwrót, wszelkie pieszczenie, dogadzanie, agitacja, okazywanie przestachu, współczucia... są zabójcze: potęgują tylko i utrwalają chorobliwy stan nerwowy.

Pracę nad hartowaniem nerwów należy oczywiście rozpocząć od lat najmłodszych, zwłaszcza jeśli dopatrzemy w dziecku skłonność złowrogą. Gdy dziecko poczyni tego i owego nie znosić, gdy na widok owadu, pa-

jąka, liszki, żaby, myszy i t. p., trwoży się przesadnie, gdy od niespodzianego stuknięcia podskakuje, gdy lęka się wielu rzeczy bezzasadnie i t. p., należy stopniowo i taktownie oswajać go z tem co mu wstręt sprawia, działając równocześnie na rozum i zmysły, — zawstydzać trochę za tchórzostwo, wbijać w ambicję „że rozumny człowiek niczego się nie lęka“, pobudzać ciekawość ku temu, co sprawia dziecku lęk lub wstręt, np. pokazując innym dzieciom jaką osobliwą myszkę, śliczną żabkę i t. p, wreszcie, dawać wzór dzieci odważnych, nie lękających się niczego.

Pewna bona, pragnąc widocznie zachęcić dziewczynkę aby bez krzyku dawała się zrana polewać zimną wodą, powiedziała jej — zapewne bez głębszej myśli że: „dobra Polka powinna być odważną“. Dosyć było tych paru słów: ...dziewczynka tak dalece je wzięła do serca, że w dziecinnej swej główce cały logiczny wniosek z nich wyprowadziła, stosując go do siebie. Odtąd nie przestała wytrwale kształcić się w odwadze, do czego rozdmuchany patryotyzm był jej dzielną pobudką; poczęła też na potęgę hartować się, kształcić swą siłę fizyczną, wreszcie, jak najwięcej sama sobie radzić, a najmniej wygod potrzebować, i niczego, broń Boże, się nie lękać. Postanowiła także być wytrwałą na ból, na zmęczenie, a odporną na zmiany temperatury. Wyrzutowawszy również, że chorować jest słabością, postanowiła nie *chorować nigdy!* — którego to postanowienia, pomimo wątlej powierzchowności — przez długie lata statecznie dotrzymała, czem dała dowód, jak potężną jest moc woli, i jaki jej wpływ na ustrój fizyczny człowieka.

Niechby która matka spróbowała rzucić swemu dziecku podobne słowo, a zobaczyłaby, coby z tego ziarna wyrosło?

Inną znów dziewczynkę, dwuletnią Ludwinę, bona, w zupełnie podobnej okoliczności polewania zimną wodą,

zachęcała do cierpliwości przez wzgląd na chorą matkę. „Jeśli mamę kochasz, krzycheć nie będziesz, bo ją mo-  
żesz obudzić i zasmucić“. Od tej chwili dziecko z po-  
dziwu godną odwagą znosiło przykre polewanie, czem  
spotęgowało i uszlachetniło swe przywiązanie do matki.

Tą powściągliwością dziewczynka już w tak mło-  
dym wieku nauczyła się, że prawdziwa miłość żyje ofia-  
rą, o czem i w dalszych latach nie zapomniała. O jak-  
że doniosłem jest każde ziarno słowa, wrzucone w serce  
dziecinne!

Dobrze jest przyzwyczać młode osoby od lat dzie-  
cinnych, aby nie folgowały sobie w niejednym lęku, wstrę-  
cie nieuzasadnionym, aby np. nie obawiały się widoku  
krwi, rany, aby nie stroniły od pokoju umarłego: nerwy  
rychłoby spotęgowały i utrwały podobne usposobienie  
gdyby w swem początku nie było zwalczane. Należy  
owszem wpływać na dorastające panienki, aby gotowemi  
były ranę opatrzyć, choremu posłużyć, oddać ostatnią  
posługę umierającemu, wreszcie pomodlić się przy nie-  
boszczyku.

Gdy panienka wpada w płacz lub śmiech nerwowy,  
gdy się rozspazmuje lub rozechimeruje, dobrze jest wów-  
czas zgromić ją energicznie, wstrząsnąć, — wdzięczną  
później będzie za tę wyświadczoną przysługę.

Pewnego razu zdarzyło się, że gdy młoda osoba je-  
chała konno z bratem, koń teje potknął się i przewró-  
cił, — panienka zaś wylękniona, wpadła w śmiech ner-  
wowy, i ani myślała się podnosić. Brat, powodowany  
zapewne intuicyą tego, co na razie czynić wypadalo,  
ściął mocno siostrę spicrutą po plecach. Panienka w tej-  
że chwili oprzytomniała, oburzona, podcięła swego konia  
który natychmiast stanął na równe nogi. „Jak śmiałeś  
rękę na mnie podnosić!“ — zawołała z roziskrzeniem na  
brata. „Przepraszam cię, siostrzyczko“ — odpowiedział

brat, — całując rękę siostry — „chciałem cię tylko uratować, i udało mi się. Podziękuj mi!“

Jest faktem doświadczoneym, że siłą woli nawet od zemdlenia niekiedy powstrzyma się można, a to tem bardziej, że w niejednym razie bywa ono kary godnem folgowaniem sobie, a nawet udaniem, — *poza* osoby chcącej zwrócić uwagę na siebie. Gdy razu pewnego zemdloną panienkę wynoszono z bawialni i cucono pryskaniem wódki kolońskiej, „ostrożnie!“ — szepnęła, bo można suknię splamić. Gdy zaś spytano ją, czego sobie życzy dla pokrzepienia? „konfitur“, odpowiedziała, — myśląc zapewne o konfiturach, które była zostawiła u stołu.

Zaznaczyć tu wypada, że niejedno zemdlenie młodych osób bywa spowodowane zbytciem zaciśnięciem gorsetu, choć niechętnie się do tego przyznają. O ile skrupowanie gorsu źle oddziaływa na zdrowie, dowiedzieć się można od każdego lekarza, a jak złowrogie konsekwencje pociąga w dalszem życiu kobiety, łatwo to przewidzieć.

Oslabieniom pań i panienek światowych także do wierzać nie można, świadczy bowiem obserwacya, że niekiedy ta sama osoba, którą przed chwilą widziałeś rozłożoną bezwładnie na szezlongu, ziewającą, z głosem bezdźwięcznym, z okiem przygasłem, omdlewającą prawie, znajduje naraz zadziwiający zapas sił, gdy jej przychodzi ubrać się na bal i całą noc tańcować lub gości u siebie przyjmować. Oczy jej się iskrza, głos tężeje, i jak gdyby za uderzeniem laski magicznej, siły zemdłonej wracają.

Czego to wszystko dowodzi? Tego zapewne, że przeważna liczba osłabień nerwowych, na jakie panie się użalają, nie są istotną niemocą organizmu, lecz tylko rozpieszczeniem i rozpróżnowaniem, na które zatem niema innego lekarstwa nad hart woli i pracę.

Dowodzi także, iż wiele osób miałyby sił dostatecznie do pracy, gdyby lenistwu nie folgowały, ale że ich mają stanowczo za mało na te nadużycia, do których świat prowadzi. Siłą naprężonych nerwów przetrwać one mogą do białego dnia przy zabawie, i póki działa podnieta, nie czują nawet znużenia, — z chwilą jednak ustania podniety, ukazują się u nich objawy istotnego wyczerpania, i następuje prostracya.

Ułudne też bywają symptomy osłabienia. Jakże często zdarza się, że człowiek budząc się zrana, doświadcza we wszystkich członkach takiego znużenia, takiej ociężałości, czuje tak dotkliwy ból głowy, iż zdaje mu się, że gdyby wstał, do żadnej czynności zdatnym by nie był. Biada mu jednak, jeśli poddając się takiemu wrażeniu, czeka na pościeli aż wypocznie... Leżenie nie tylko że go nie pokrzepi, ale owszem, osłabi go tylko i spotęguje ogólny rozstrój organizmu.

Gdy wszakże pomimo ociężałości człowiek ten zdołądzi się na czyn energiczny rączego wstania i podąży do zajęć, osłabienie z wolna ustępuje a energia wraca.

Weszło już w powszechny obyczaj ustawicznie zasłaniać się nerwami: nerwami usiłujemy zwykle usprawiedliwić nierówności naszego charakteru: rozdrażnienia, humory i wybryki. Z zadziwiającą łatwością przyznajemy się do nerwowości, jakoby w niej znajdowała się dla nas nie tylko legitymacya na wiele ekscentryczności, ale nadto jeszcze pewna wyższość i chluba. Człowiek uznany za nerwowego, czuje się tem samem jakoby interesujący, nie bacząc, że tych osób interesujących namnożyło się dziś bez liku, tak, że w obecnej chwili interesującym i wyjątkowym byłby chyba ten, którego nerwy byłyby w stanie normalnym. Jeśli jednak przyznać się mamy do usposobienia nerwowego, przyznajmy się raczej do tego, który daje siłę, i które potęgę nerwów przeciwko wszelkim ich zboczeniom potrafi obracać.

Szczęśliwi zapewne jesteście, jeśli nie mamy czasu na pieszczenie się i podsłuchiwanie wszystkich swych pulsacyi! Gdy zaś przez naganną słabość folgujemy wrażliwości, gdy uwzględniamy nerwy i dużo o nich rozprawiamy, uzuchwalamy tem straszego despotę, którego wymaganiom wkrótce nie będzie miary. Pocznie on żądać od nas wciąż nowych ustępstw, względów i ofiar, czem niewątpliwie wkrótce cały nam porządek domowy zakłóci.

Znakomitem lekarstwem na uludne stany nerwowe jest po prostu *ośmieszenie* ich (zanim jeszcze na dobre im ulegliśmy) — niczego bowiem tyle się nie lękamy, ile śmieszności. Człowiek częstokroć folguje nerwom dla zająęcia sobą drugich i wzbudzenia współczucia, — z chwilą jednak gdy się przekonywa, że nie jest *interesującym* lecz tylko śmiesznym, raczej skryje się ze swem zdenerwowaniem, niż się niem popisywać zechce.

Zczasami trzeba też potrafić zdobyć się na szorstki despotyzm, nawet względem osobników istotnie zdenerwowanych, co bywa dla nich zbawcze. Gdy razu pewnego osoba wątła, rozstrojona, a chora na katar żołądka, poradziła się lekarza, ten przepisał jej surową kurację mleczną. Zrazu pacjentka poddała się przepisowi, wszakże po pierwszym dniu diety okazało się, że chora tak dalece nie znosi mleka, że na sam jego widok wymiotuje. Gdy tę okoliczność przedstawiła lekarzowi, prosząc go o zmianę, a choćby o zmodyfikowanie kuracyi, ten jej odpowiedział stanowczo: Jeśli dieta mleczna panią osłabia, to proszę leżeć, ale pić mleko i tylko mleko *koniecznie*. „Kiedy ja mleko zrzucam“ — zaprotestowała pacjentka, a po mleku dostają kurczów i ściskania“. — „W takim razie ja nie mam dla pani lekarstwa“, odparł szorstko doktor, „niech się pani kogo innego poradzi“. Pacjentka jak zmyta, zabrała się do kuracyi... i jakoś

kurcze, ściskania ustąpiły, ustały nawet wymioty, a po sześciu tygodniach względne zdrowie wróciło.

Inny fakt. Pewna kucharka, — kobieta tęga i barczysta — zaziębiwszy się, popadła w kaszel astmatyczny na tle nerwowem, z połączeniem takiego duszenia, że gdy następował paroksyzm, była obawa apopleksyi lub uduszenia, co trwało niekiedy dość długo. Leczono kucharkę różnemi środkami, zwalniano ją od obowiązku, wreszcie usunięto zupełnie od pracy, — wszystko nadaremno.

Posłano tedy astmatyczkę do światłego lekarza, znanego ze stanowczości. Gdy ten zbadał pacjentkę, ruszył ramionami: „kobieto“, — powiedział jej — „komu Pan Bóg dal takie barki i takie ręce, od tego pracy wymaga. Wróć się więc do swego obowiązku, a jako kurację, wycieraj się zimną wodą, — wkrótce zdrową będziesz“. Kucharka zawstydzona, zabrała się do dawnych zajęć, *zapomniała* o chorobie i na prawdę zdrowie odzyskała. Paroksyzmy rzadko jej wracały, i — rzecz osobliwa — wtedy tylko, gdy kto ze współczuciem pytał ją o zdrowie. Podobnych przykładów przytoczyć byłoby można bez liku.

Jest także pewnikiem stwierdzonym przez liczne doświadczenia, że osoba która sobie folguje i poddaje się wrażliwości, o wiele silniej i dotkliwiej odczuwa wrażenia przykre, aniżeli osoba która nad sobą panuje. Jadą np. dwie niewiasty w rozpalonym od słońca wagonie; — jedna, osoba światowa, w lekki fular przyodziana, z głową odkrytą, druga, szaretką, w ciężkim habicie, w obciślej bindce i sztywnym kornecie. Pierwsza, rozpaczliwym wachlowaniem ratuje się od zemdlenia, do jakiego ją upał przywodzi, cuci się wódką kolońską, chłodzi na stacyach gazowym napojem, druga, nie wyglądając nawet zgrzana, a przecież, tak na jedną jak na drugą upał równo działa!

Dokonano w wojsku pewnego w tej mierze doświadczenia, którego rezultat popiera powyższe spostrzeżenie.

Wydelegowano w czas upalny na odległość pięciomilową dwa oddziały wojska, każdy w odmiennym rynsztunku. Jednemu oddziałowi pozwolono maszerować w bluzach, boso, bez ładunków, broni i tornistrów, a przytem iść jak się któremu żołnierzowi spodoba; drugi zaś oddział szedł w pełnem umundurowaniu, z karabinami, tornistrami, w ścisłych szeregach i miarowo przy odgłosie muzyki. Okazało się, że pierwszy oddział doszedł do mety znużony, drugi zaś, gotów do dalszego marszu.

Zauważyć tu wszakże trzeba, że w niektórych razach istotnie szkodliwym być może walczyć z nerwami *przemocą*, zwłaszcza gdy rozstrojone nerwy zawładnęły już poniekąd organizmem, wówczas bowiem forsowny nacisk woli na system nerwowy wywołać w nim może niepożądaną reakcję, — niejako *wyładowanie* powstrzymanej elektryczności nerwów, przez silny atak nerwowy.

Jak wszędzie tak i tu, droga pośrednia roztropności najlepsza.

Hartowanie jest więc dziś — na ogół mówiąc — utartą drogą postępowania z nerwami: przecież wszędzie są wyjątki, które sama logika dyktuje.

Gdy system nerwowy jest nadwężony skutkiem przeciągnięcia struny jego wytrzymałości, jak to ma miejsce np. u nauczycielek, które nad siły pracowały, u matek, które tygodniami — dniem i nocą — nad chorem dzieckiem swe nerwy targaly, u telegrafistek wreszcie, żyjących w ustawicznym naprężeniu uwagi, wówczas medycyna zupełnie odmienną metodę leczenia zaleca: skazuje pacyenta na całkowity wypoczynek — na tak zwaną kurację leżenia i odżywiania się. Przykra to

niewątpliwie ostateczność dla natur czynnych, jednak niezmiernie zbawcza i nie dająca się niczem zastąpić.

Każdy pojmuje, że najpierwszym warunkiem wymaganym od wychowawcy, mającego się zajmować osobnikiem zdenerwowanym, jest — aby sam był panem swych nerwów, aby był spokojny, taktowny, stanowczy, umiał zapanować nad każdą sytuacją — bez czego na nic się nie przydadzą wszystkie środki lecznicze, z połączeniem najrozumniejszej higieny. Ważnem jest przeto, aby matki przedewszystkiem wykształciły w sobie ten spokój i to panowanie, o ile bowiem spokój leczy nerwy, o tyle agitacja drażni je i rozstraja.

Używajmyż nerwów roztropnie, a nie wyzyskujmy ich na darmo. Mówię „*nadarmo*“ z wielkim naciskiem, — bo gdyby praca obowiązkowa lub jaka praca społeczna istotnie wymagała od kogo wysiłków targających nerwy, — mniejsza! niechby to nasze zdrowie padło całopalną ofiarą na ołtarzu dobra społecznego, coby dla nas było niezmiernym zaszczytem. Wszakże lampa musi się wypalić, a ognisko zgorzeć, a nie żal oliwy płonącej na ołtarzach pańskich. Żaden dzielny pracownik nie oszczędzał się nigdy, owszem, czuł się szczęśliwym jeśli swym wysiłkiem zdołał dostawić choć jeden kamyczek do nieśmiertelnego gmachu: prawdy, dobra i piękna\*).

Ale jaka szkoda tych nerwów, które się przedwcześnie przepalają w posłudze świata i próżności!... dla hazardu, flirtu, zabaw, wrażeń... dla niegodziwości!... Jaka to niepowetowana strata — gdy siła dobroczynna

---

\*) Do takich wysiłków, — po za obrębem rodziny sięgających, — żona matka i pani domu stanowczo nie ma prawa, gdyż z woli Bożej jej zdrowie i nerwy użyć się powinny przy tych obowiązkach, które sam Bóg na nią nałożył.

nerwów zwraca się sama przeciwko sobie, aby się własnym ogniem przepalić i to bez niczyjej korzyści, owszem, z krzywdą własną i bliźnich... jaka to szkoda, gdy ta siła przysięga się z namiętnościami, aby zniszczyć w sobie drogocenne dary: zdolności, uczucia, woli, zdrowia wreszcie! Ten nasz kapitał i tak ubogi, z dniem każdym topnieje,— jakąż więc jest krzywdą dla społeczeństwa, którego jesteśmy członkami, każde jego nadużycie!

Zadziwia nas i zatrważa wciąż rosnąca liczba neurasteników, dla których z dniem każdym zmuszeni jesteśmy mnożyć domy zdrowia, szpitale, oraz środki lecznicze,— a których obecnie jest już znacznie więcej niż ludzi zdrowych. Obląkanie, — ten wyższy stopień zdenerwowania — tak dalece zaludnia nasze szpitale, że dla pomieszczenia zgłaszających się chorych, wciąż zmuszeni jesteśmy mury rozszerzać, — szpitale dla obląkanych przemieniły się dziś w fortece o rozmiarach olbrzymich, a daleko jeszcze aby rosnącym potrzebom sprostały.

Po cóż jednak — pytam — mnożyć schroniska i środki lecznicze, bo czy nie rozumniej byłoby raczej pomyśleć o środkach ochronnych? Czy nie roztropniej unikać pożarów, niż wzmacniać straż pożarną?

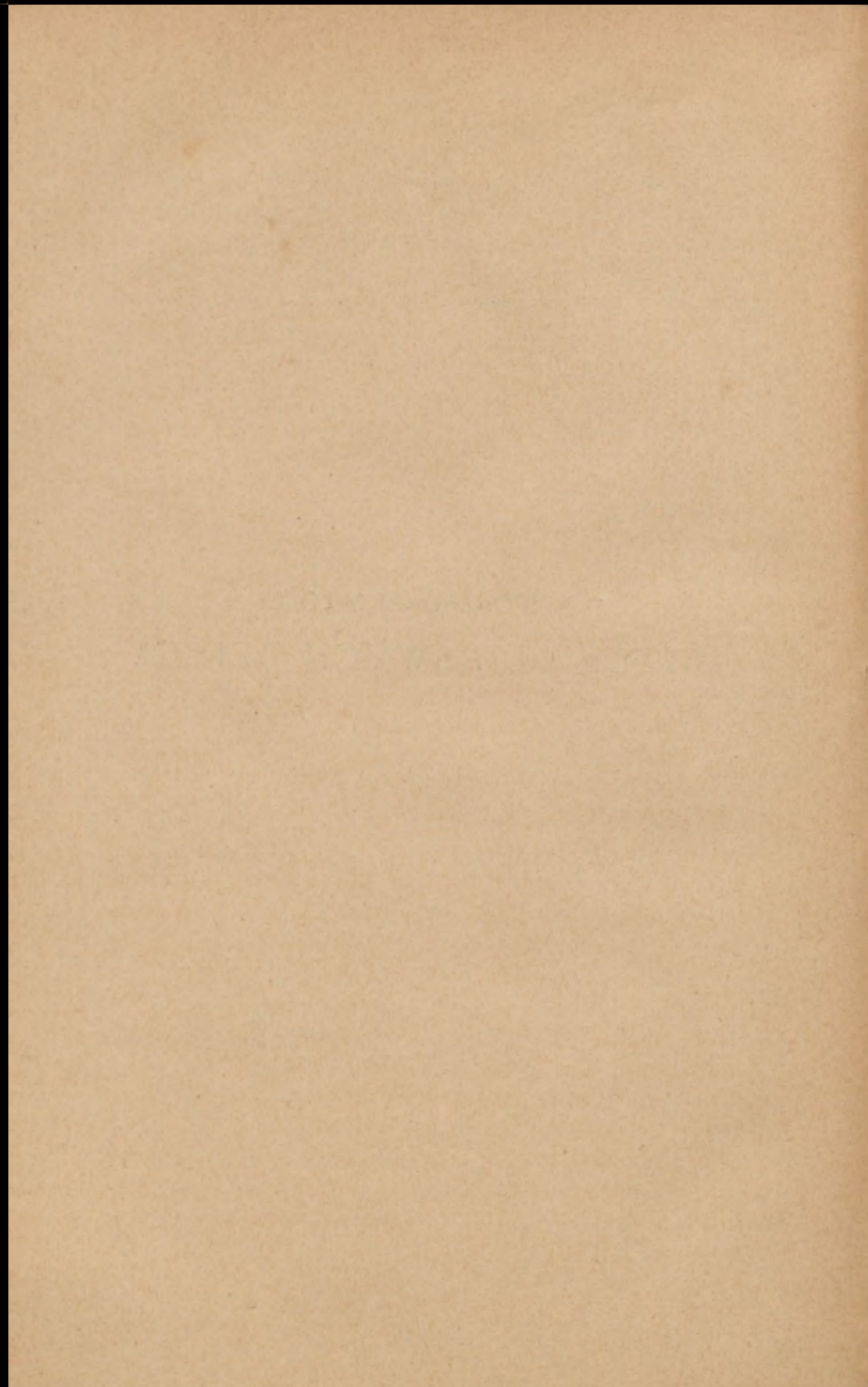
Zapewne, — lecz czy możliwym jest — zapobiedz ogólnemu zdenerwowaniu? Bez wątpienia, pod warunkiem jednak współdziałania rodzin.

Gdyby rodziny chowały dzieci normalnie, a zwłaszcza moralnie, gdyby same ścisłej przestrzegały moralności, gdyby chowały młodzież higienicznie i w większej prostocie, gdyby nie pobłażały bezprawiom synów, gdyby więcej dbały o praktyczność i zdrowie córek, — tych przyszłych matek rodzin, — niż o ich patenta i popisy światowe, gdyby mniej nauki a więcej pracy fizycznej od nich wymagały, niewątpliwie w krótkim czasie ogólniejsze

ny stopień zdrowotności znacznie by się wzmógł, nie ubolewalibyśmy, jak dziś to czynimy, nad brakiem filarów społecznych — ludzi myśli i czynu — a w miejsce zhisteryowanych kobiet, mielibyśmy cały poczet niewiast męźnych, według szlachetnego typu, jaki nam Pismo święte kreśli.

---

O NIEPORZĄDNEJ MIŁOŚCI  
MATEK DLA SWYCH DZIECI.





„*Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną*“.

Sądźmy zazwyczaj, że to słowo przykazania zupełnie się nie stosuje do czasów obecnych,—że właściwem ono było wówczas tylko, gdy bałwochwalstwo świat zalegało, a że dziś, w naszym świecie ucywilizowanym, jest co najmniej anachronizmem. Głębsze przecież zastanowienie dowodzi, że w rzeczywistości, tylko *forma* bałwochwalstwa na świecie, uległa zmianie, a jego istota została ta sama.

Człowiek, stworzony dla bezgranicznego miłowania Stwórcy, istnieć na ziemi nie może bez miłości, kultu, uwielbienia „*kogoś lub czegoś*“. Miłować Boga nadewszystko, Jemu bezwzględny i najwyższy kult oddawać, a w Nim miłować i wielbić Jego twory, — oto najwyższy porządek, oto spełnienie ścisłej sprawiedliwości, do której wiara obowiązuje.

Gdy jednak wiara w człowieku słabnie, a zmysłowość go ogarnia, wszystkie jego uczucia się wykołejają. Uczucie oderwane od właściwego celu, błąka się czas niejaki, wreszcie, z całym impetem zwraca się ku stworzeniu, z którego czyni sobie bożyszcze.

Różne bożki — niby wyższego rzędu — bywają stawiane na ołtarzach ucywilizowanego świata. Dla jednych

bożyszczem jest bohater narodowy, — przedstawiciel prądu, idei, stronnictwa... dla drugich poeta, artysta... dla innych wreszcie aktorka, śpiewaczka, baletnica. Pozytywista, anarchista, dekadent, feministka, będą mieli każdy swe odrębne bożyszcze, każdy „w rodzaju swoim“ i temu bożyszczu oddawać będą bezwzględny kult, często posunięty do granic nedorzecznosci.

Dla wielu bożyszczem jest pieniądz, — ten złoty cielec wszystkich wieków; dla innych zmysłowość, której holdować uważa się za obowiązek.

Smutno doprawdy wyznać, że dla wielu matek, bożyszczem jest dziecko!

Po tem, co w uprzednich kartkach powiedziano, trudno mnie chyba posądzić o dążenie do wyziębiania uczuć macierzyńskich, i do odwodzenia matek od spełniania świętych powinności, jakie sam Stwórca im wyznaczył. Niech jednak wolno będzie zwrócić uwagę matek na to, że kochać dziatki należy w granicach postawionych przez Boga i w sposób przez Niego postanowiony, i że każde przekroczenie tych najmędrszych granic obraca się wnet na krzywdę przekraczającego, oraz na niekorzyść przedmiotu przekroczenia. Dziecko źle na tem wychodzi, jeśli jest niestosownie kochane, matka zaś, w miejsce spodziewanej pociechy, niezrównane zgryzoty w tej miłości znajduje.

Kochać dziecko należy *całe*, to jest jego duszę i ciało, a więcej jeszcze jego duszę niż ciało, bo dusza istotę człowieka stanowi.

Tu właśnie tkwi zasadniczy błąd miłości wielu matek, które nie zdają sobie sprawy, że kochają swe dzieci czysto zmysłowo. Kochają swe dzieci namiętnie, lecz nie zastanawiają się, czy je kochają miłością szlachetną, wyższą, uduchownioną, godną matki chrześcijanki? Czy je kochają dla tego, że w nich żyje dusza nieśmiertelna na

obraz i podobieństwo Boże stworzona, a którą Bóg ich pieczy powierzył? Czy w niem kochają tę iskierkę ducha, który wiecznie żyć będzie, a którą wypielęgnować dla wielkich celów jest ich udziałem?

Najczęściej, niestety! kochają je w sposób zmysłowy *tylko*, samolubny, kochają dla tego, że to dziecko jest krwią ich krwi, kością ich kości, że je zrodziły, a więc uważają je za swoją wyłączną własność. Kochają ciało, nie myśląc o duszy i ponad te uczucia przywiązania naturalnego ani myślą się wznosić. Sądzą, że macierzyństwo daje im wyłączne nieograniczone prawo własności dziecka, zapominając, że one są przecież tylko pośredniczkami w istnieniu dzieci, a nie sprawczyniami ich życia.

Miłość przyrodzona dobrą jest wprawdzie, gdyż sam Bóg jest jej sprawcą. Potrzebną ona jest matce dla spełnienia względem dziecka wielu uciążliwych obowiązków; potrzebną jest dziecku, aby w każdej chwili znaleźć mogło w matce obronę, ucieczkę i słodkie przytulenie; potrzebną jest wreszcie obojgu dla wzajemnej pomocy. Wszakże na niej *poprzestawać* matce nie wolno, gdyż nie jest ona matką tylko w stosunku przyrodzonym, ale jest jeszcze matką chrześcijanką, matką duszy swego dziecka!

Jakie są bezpośrednie objawy a zarazem skutki czysto naturalnej macierzyńskiej miłości?

Najpospolitszym jest psucie dzieci.

Wiele osób nie rozróżnia pieszczenia dziecka od jego psucia, — różnica wszakże jest kapitalna.

Powiedzieliśmy, że miłość rodzicielska potrzebną jest dziecku jak ciepło słoneczne młodej roślince, — otóż pieszczota rodziców to jak promień wiosenny, pieszczący roślinkę, który zaszkodzić jej nie może.

Pieszczota rodzicielska roztropnie udzielona, niezbędna jest nawet niejednej dziecinie do zdrowego jej rozwoju, tak fizycznego jak moralnego.

Psucie dziecka — to zupełnie co innego: to nie jest objaw *miłości*, lecz tylko *słabości*, innemi słowy jest objawem miłości nieroztropnej, i jest po większej części *dogodzeniem sobie* kosztem dziecka.

Pieszczotą rozbudzamy w dziecku serce i zaufanie, przez co zachęcamy je do dobrego, psuciem zaś folgujemy złym skłonnościom dziecka, przez co zaprawiamy je w zło — co czynimy nieraz z niewypowiedzianą lekkością. Matka np. psuje dziecko, jeśli nie chcąc mu się sprzeciwić, pozwala mu wybredzać lub grymasić w jedzeniu, jeść same przysmaki i słodczyce, a odrzucać pokarmy pożywne i zdrowe... psuje dziecko jeśli mu pozwala chimerycznie przerzucać się z jednej zabawki do drugiej, a wszystkie rozrzucać i psuć, bezkarnie dokuczać rodzeństwu, naprzykrzać się starszym, stroić fochy i kaprysy... psuje dziecko, jeśli cieszy się z jego złośliwych dowcipów i w jego obecności mówi o nich z podziwem, gdy chelpi się jego sprytem, opowiada o jego sukcesach — nie bacząc, że dziecko słyszy, gdy pozwala aby dziecko chwalono, podziwiano jego urodę, gdy sama wyróżnia je w rodzeństwie z krzywdą innych dzieci, gdy folguje jego kaprysom, zachciankom, lenistwu, wreszcie gdy mu pozwala być w domu despota — *wymagać koniecznie* tego lub owego, a nie chcieć tamtego... rozkazywać służbie, lekceważyć osoby pracujące, ubogie i t. p.

A cóżby należało powiedzieć o tych matkach, które bezkarnie pozwalają na to, aby je dzieci były, — pretekstując, że „wszakże dziecko nie wie co robi“, i że później gdy nabierze rozumu, czynić tego nie będzie. Błąd to kapitalny, brzemienny w najgorsze skutki, albowiem dziecko uzuchwalone do nieszanowania matki, później, gdy rozum w niem się rozwinie, lekceważyć ją pocznie.

Nie należy więc nigdy pozwalać dziecku, — choćby takiemu, które się na rękę nosi, — aby kiedykolwiek na kogokolwiek rączkę podniosło, — a tembardziej na

matkę, bo skoro dziecko zdolne już jest zdobyć się na przejaw złości, niewątpliwie pojąć jest także zdolne, że folgować złości nie powinno.

Gdy więc po raz pierwszy zdarzy się, że dziecko podniesie rękę na matkę, matka powinna natychmiast rączkę dziecka powstrzymać i wzrokiem surowszym, a głosem nieco podniesionym dać dziecku *poznać*, że tak nie należy robić, i wyrazić kiwaniem głowy, że tak be... Gdy raz i drugi podobna scenka się powtórzy, zostanie dziecku wrażenie — naturalne, nie zaś rozumowane, — że podnosić rękę na matkę — to *straszne be!* \*) i zapewne powtarzać tego już się nie ośmieli.

Inne są jeszcze skutki źle uzasadnionej i pojętej miłości macierzyńskiej...

Skoro matka uważa dziecko za swoją własność, rości do niego najwyższe a bezwzględne prawo, żąda, aby ono było niejako przedłużeniem jej istoty, dalszym ciągiem, rozwinięciem jej życia, jej myśli, — wówczas sądzi, że dziecko powinno mieć koniecznie jej naturę, jej usposobienie, jej sposób myślenia, jej upodobania... i t. p. — wszelka zaś odrębna indywidualność, zdradzająca się w niem, nadmiernie ją dziwi i drażni.

„Skąd mu się to wzięło!“ — pyta — „ja mojego dziecka zupełnie nie rozumiem!“ I pod wrażeniem tej przykrej niespodzianki, nagina dziecko *przemocą* do swoich myśli i upodobań. Indywidualność dziecka, — tę myśl Bożą w jego duszę wlaną, — z goryczą przytłumia, a swoją despotycznie mu narzuca. O skutkach oplakanych tego najsubtelniejszego despotyzmu dużo mówić byłoby można: w niem źródło tak częstych nieprzepartych nieporozumień między dziećmi a rodzicami, uwydatniających się zwłaszcza w stosunku córek do matek.

---

\*) Z uwagi, że bardzo wiele się mówi i pisze o psuciu dzieci, pobieżną tylko wzmiankę uczyniłam o tym ważnym przedmiocie, zwracając matki do innych wyczerpujących podręczników, o których na wstępie wspomniałam.

Gdy matka uważa dziecko za swoją wyłączną własność, biada jej stokroć, gdyby się spodobało Stwórcy to dziecię do siebie powołać! Wówczas nie zdobędzie się ona na akt chrześcijańskiej rezygnacyi, nie zdoła — choć z sercem mocno skrwawionem — powtórzyć za Jobem: „Bóg dał, Bóg odebrał, niech się Jego święta wola dzieje“ — owszem, nie jej nie ustrzeże od bluźnierstwa, i na łonie religii nie znajdzie ukojenia na swój ból srogi!

Matka kocha swoje dziecko, jest więc troskliwą o jego potrzeby. Wszakże jej troskliwość jest tego rodzaju, że całkiem wyklucza Bożą Opatrzność: sama chce mu być opatrznością. O wszystko dla swego ulubieńca się trwoży: najzdrowsza potrawa mu zaszkodzi, lekki wietrzyk go zaziębi, ba! stąpięcie bosą nóżką po podłodze nabawi go choroby. Do kościoła go nie zawiezie, choć ma wiek po temu, bo w kościele raz zimno, raz gorąco, a zarazą od ludzi przyjść może.

Przy stole martwi się gdy jej pieścuch niechętnie spożywa trzecią lub czwartą potrawę, najadłszy się do syta pierwszemi, i już bada jego puls, oczy, i zamyśla położyć go w łóżko. Każdy kaprys dziecka, każde jego zachcenie, jest dla niej rozkazem, bezwzględnie wymagającym spełnienia.

I czyż nie jest prawdą, że miłość macierzyńska w podobny sposób pojęta, nie wzmacnia charakteru dziecka, lecz go osłabia, nie kształci w niem serca, lecz rozwija najzimniejszy egoizm? Czyż troskliwość matek nie powinna mieć także rozumnych, na Bożej zasadzie opartych granic?

Często jako karę za przesadną troskliwość, wykluczającą Bożą Opatrzność Bóg dopuszcza, że w oczach rodziców dziecko ulega wypadkowi, najmniej spodziwanemu. Tu, matka biorąc jedno lekarstwo za drugie, własną ręką dziecko swe zatruwa, ówdzie, przy stole, przy boku matki dziecko ością się zadławia, tam znów, na po-

sadzce salonu nóżkę sobie łamie i t. p. I cóż pomoże strzedz, pilnować, zapobiegać, przewidywać, życie swe w to kładąc, jeśli Bóg odmówi swej opieki i błogosławieństwa?

Nie chodzi tu o to, abyśmy lekceważyli niebezpieczeństwo lub lekkomyślnie na nie narażali dzieci. Owszem, rozumna troskliwość jest obowiązkiem matek, wszakże niechaj matka chrześcijanka, sama niczego nie zaniedbując, rachuje nadewszystko na Opatrzność, i niech opiece Ojca niebieskiego codziennie swe dziatki powierza, a doświadczy, czy to, czego Bóg strzeże, dobrze strzeżonem nie jest.

Lecz idźmy dalej. Matka kocha swe dziecko, przeto oczy jej bezustannie są w nie wpatrzone aby w niem podziwiać przymioty, spryty, zdolności. Nic w tem zdroźnego, bo czemuż nie miałyby się cieszyć urokiem dzieciny którą Stwórca uczynił tak piękną i miłą? Wszakże tu miłość macierzyńska często miarę przebiera i przeobraża się w bałwochwalstwo. I w tem tkwi zasada złego.

Miłość ta zaślepia tak dalece niejedną matkę, że nie daje jej dostrzedz ujemnych stron dziecka: wszystko w niem być musi najdoskonalsze, biada więc temu, kto by się ośmielił w czem to dziecień zganić, choćby to uczyniła osoba najbliższa, najżyczliwsza; słowa krytyki uzasadnionej i słusznej wydają się jej niesprawiedliwością, uprzedzeniem, nieżyczliwością, ba! nawet zazdrością! W obronie — niby pokrzywdzonego dziecka — obrażona matka gotowa jest nieraz potargać najściślejsze węzły pokrewieństwa lub przyjaźni i poróżnić się z najbliższymi.

Znałam pewną matkę — w religii oświeconą, pobożną nawet — którą miłość macierzyńska tak dalece zaślepiała, że jej zdaniem, jej dziecko chrztu nie potrzebowało, bo przypuścić nie mogła, aby się ono w grzechu mogło urodzić!

Próżność, jaką niektóre matki żywią z przyczyny urody dziecka, jego dowcipu, uzdolnienia itp., jest także wysoce naganną, prowadzi je bowiem do żądania od dzieciny ustawicznych popisów, które ją i gości zabawiają, ale dziecku wielką szkodę przynoszą. Pewna zacna matrona, — osoba wielkiego doświadczenia, chcąc uchronić swe zamężne córki od *zbytniego* przeceniania zalet dziecinnych, mawiała im często, że

Chępliwość matek,  
Jest grobem dla dzieciak.

Tę samą myśl Pismo św. w inny sposób wyraża. Mówi, „że Bóg jest Bogiem zazdrosnym“. — Czyż można, — zapyta niejeden — przypisać Bogu uczucie zazdrości? Oczywiście, że zazdrość, o jakiej tu mowa, nie jest zazdrością w rozumieniu stosunków ludzkich, lecz jest ręką sprawiedliwości, dosiegającą tych, którzy tej sprawiedliwości uchybiają. Matka chce być *wszystkiem* dla dziecka, a dziecko stało się *wszystkiem* dla niej, a Boga w dalszy rząd usunęła: tego to nieporządku Bóg nie zniesie, upomni się o swoje prawo, a za grzech ukarze. Jakże często zdarza się, że właśnie to dziecko najbardziej ubóstwiane, a kochane z krzywdą drugich, Bóg do siebie powołuje! Oby tylko ta surowość matkom oczy otworzyła, aby zrozumiały w jakich granicach wolno im swe dziatki kochać!

Zdarza się także, że gdy która matka wychowała swe dzieci przeważnie dla sukcesów światowych, w chwili gdy już wyciąga rękę po owoc swych zabiegów, najpewniejsza światowego powodzenia, właśnie ze strony świata doświadczą gromów upokorzeń! Są to niewątpliwie drogi miłosierdzia Bożego, któremi Bóg powołuje matki do upamiętania lub też sprawiedliwość swą wymierza.

Matka kocha swe dziecko, ale jakże nieroztropną bywa jej miłość względem niego! Najwyższem staraniem jej jest, wszelką przykrość z drogi mu usunąć, samemi różami zasłać drogę jego życia, ku czemu zmierzają wszystkie jej wysiłki. W tym celu skrzętnie gromadzi w koło niego różne źródła zadowolenia: dla jej dziecka ziemia musi być rajem, który to sztucznie dla niego wytwarza.

Chociaż jej ulubieniec wyszedł już z wieku dziecięcego, niewczesną troskliwością wciąż broni go od wszelkiego przykrego wrażenia, co więcej, najstaranniej przed nim ukrywa szczegóły ludzkiej niedoli.

Zachoruje kto w domu — pierwszą jej myślą jest, aby o grozie choroby dziecko się nie dowiedziało, a jeśli smutnej rzeczywistości ukryć już przed niem nie można, nie dopuszcza, aby było świadkiem cierpienia. I czyż taki porządek rzeczy może się Bogu podobać?

A jakież są skutki podobnego postępowania?

Dziecko nie dotknięte nigdy cierpieniem rzeczywistym, poczyną sobie tworzyć urojone, lub cierpieć będzie nad błahostkami, — cierpienia wszakże nie uniknie. Nieudana zabawa, gość oczekiwany który zawiódł, konieczność wyuczenia się lekcyi, zachowanie dyety i t. p., oto co będzie go trapić, a trapić tem dotkliwiej, że rozdzielakone wychowaniem, nie posiada siły odpornej do zniesienia lekkiej nawet przykrości. Przy tem dziecko nie nawykłe do przejmowania się potrzebami drugich, kształci się na skończonego samoluba. Jak w dzieciństwie było przedmiotem ustawicznej troski matki i przywykło aby wszystko około niego się obracało, żyło dla niego i poświęcało się jemu — w późniejszym wieku żąda, aby dalej tak było: wszyscy dla niego, a ono dla nikogo. A jak smutne niespodzianki czekają go w życiu! — jakże je zniesie?

Fatalne są dalsze konsekwencye przesadnej troskliwości matek — których córki zwykłą są ofiarą.

Ledwo panienska ukończyła tak zwaną edukację a już zapobiegliwa matka troska się o ustalenie jej losu: wprowadza ją w wir światowy, — a z jakim to czyni niepokojem! Któż zdoła opisać trudy, które podejmuje, aby ukochana córka była wszędzie najpierwszą i we wszystkim przodowała: pięknnością, toaletą, doborem tancerzy i t. p. Któż doścignie tych intryg, jakie w tym celu prowadzi!

A jakąż to gorycz, jaką zazdrość odczuwa, gdy zdarzy się, że inne panny większem od jej córki cieszą się powodzeniem, gdy więcej tańczą, bardziej są zapraszane, chwalone! Nie szczędzi jej matka za to dojmujących wymówek: Nie umiesz być uprzejmą, w porę się uśmiechać, wabić... innemi słowy, nie umiesz być kokietką... jesteś sztywna, zimna, zobaczysz, zostaniesz starą panną! Nastraszywszy ją tą zmorą, systematycznie poczyną ją uczyć różnych sztuczek zalotności.

Będąc w ustawicznej gorączce wydania córki za męża, a trawiona niepokojem, że jej nie wyda, że inni ją uprzedzą w zdobyciu dobrych partyi, nie daje ani sobie, ani córce chwili wytchnienia, za żadną cenę nie pominięłaby ani jednej sposobności pokazania ludziom panienski, goni więc bez tchu z wizyty na obiad, z obiadu do teatru, z teatru na bal i t. p. Spotykamy ją wszędzie gdzie się tylko ludzie gromadzą: na wyścigach, koncertach, loteryach i t. d. — u wód wreszcie. Przytem ani pyta, czy podobny tryb życia nie podkopuje zdrowia młodej osoby, czy jej duchowo nie szkodzi, czy grosza na to starczy. Musi być i dosyć zdrowia i funduszu, dopóki się celu nie dopnie, a co potem? mniejsza! Córka wypocznie, gdy będzie mężatką, a mąż długi zapłaci...

A wieleż to przy tem zgryzot, żalów niewczesnych. Gdyby się było pojechało do Lwowa zamiast do Krakowa... gdyby doktor był posłał do Zakopanego a nie do

Krynicy, mąż byłby się znalazł, a teraz wszystko stracone niepowrotnie!

I znów biedna panna wysłuchiwać musi od rana do nocy utyskiwań swej rodzicielki: czemu się tak, a nie inaczej stało?

Gdy wnikamy w położenie niejednej panienci, najbardziej przez matkę ubóstwianej, dziwić się nie możemy, jeśli lepsze jej wszystko, nad dłuższy pobyt w domu, wskutek czego nie lęka się oddać swej ręki pierwszemu lepszemu, którego wita jako oswobodziciela. Nie wie ona właściwie czym jest małżeństwo i do czego obowiązuje; bez cienia obawy biegnie w otchłań życia nowego, byle tylko z domu ustąpić.

Łatwo odgadnąć konsekwencye takiej lekkomyślności: żal i zgryzoty bez punktu wyjścia, gdy życie jest na zawsze związane.

Zdarza się jeszcze inaczej. Matka skrępowana stanowiskiem męża a ograniczona środkami, musi często, — rada nie rada — mieszkać w głuchym kącie na prowincyi, gdzie rzadko trafia się sposobność pokazania ludziom panienci. Dziewczę usycha w bezczynności i nudach. Matka jednak zamiast córce pozwolić na samodzielną pracę, do której jest usposobiona, i do której się wyrzyna, trzyma ją uparcie przy sobie. Od rana do nocy w nią wpatrzona, nie może się zgodzić na krótką rozłąkę, i tak czeka z dnia na dzień w największem rozgoryczeniu aż się mąż dla córki trafi.

Tymczasem biedna córka cierpi męki życia bezcelowego, nie widząc zaś przed sobą kresu dla swych nudów, wpada w zniechęcenie, apatyę, traci sen, apetyt, blednie i mizernieje, wreszcie wpada w stan wysokiego zdenerwowania. Matka przerażona, wzywa doktora, rozpoczyna kuracyę, każe córce całemi dniami leżeć, wzbrania jej wszelkiego wysiłku, zajęcia, poddaje lekkie książki do czytania, co panienkę do reszty denerwuje. I oto

najprostsza droga do histeryi. Matka wszakże nie ma spokoju: w córkę wpatrzona, wyczytuje na jej obliczu coraz to nowe objawy chorób, córka zaś dochodzi do takiego stopnia zdenerwowania, że nie mogąc już znieść atmosfery domowej, woła: „wyjechać! wyjechać! byle gdzie, aby tylko dom opuścić“.

Doktor doświadczony to samo radzi: „Zabrać córkę matce“ — mówi — „i uczynić to jak najspieszniej, bo matka córkę zabija. — matka to właśnie jest źródłem choroby córki“. Gdyby też lekarz ośmielił się dodać: „Niech córka przyjmie jaki obowiązek, niech pracuje“, jakże niezmierną przysługę wyświadczyłby całej rodzinie!

Przy obowiązku, przy pracy zdrowie by wróciło, i być może prędzej mąż by się trafił.

Gdyby ta matka nie była sobie uczyniła bałwanka ze swego dziecka, gdyby je była po chrześcijańsku kochała i chowała, byłaby dlań w chwilach przykrych i trudnych życia, pociechą, ucieczką, ratunkiem, punktem oparcia, radą wreszcie, jak to w zamiarach Bożych leżało, a nie byłaby zaporą i nieszczęściem nawet, jak się to dziś często zdarza.

Ubóstwianie dzieci prowadzi też matki do popełniania wielkich niesprawiedliwości.

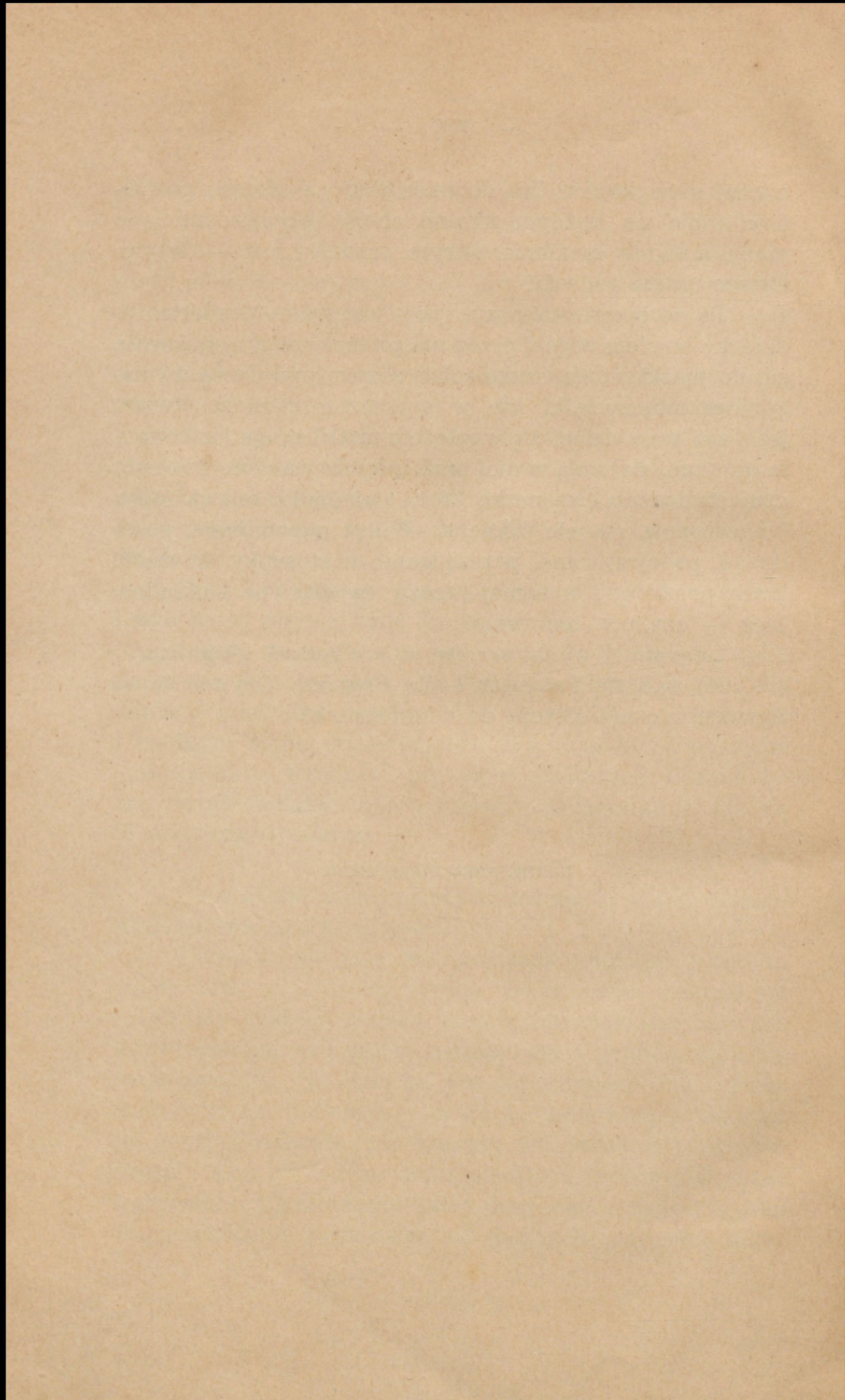
Matka kocha swe dziecko, lecz kochając jedno za wiele, inne najczęściej pomija, bo w swem uczuciu nie rządzi się prawem Bożem, zasadą, obowiązkiem, lecz tylko wrażeniem, pociąganiem naturalnym -- jednym słowem: zmysłowością. To dziecko jest jej sympatyczne, przeto cała jemu się poświęca, — a że na niem skupia się cała jej myśl i uczucie, nie starczy jej serca dla drugich dzieci. Aby się z tego usprawiedliwić, przywołuje różne najniesłuszniejsze racje. „Cóż dziwnego — mówi, — jeśli więcej kocham to dziecko od tamtych gdy ono także

więcej mnie kocha? Ma do mnie takie zaufanie, potrzebuje mnie na każdym kroku, obejść się bezemnie nie może, a tamte są zimne, skryte, trudne i t. p. — A tymczasem gdzie prawda?

To co bierze za przyczynę, jest tylko skutkiem, — dziecko bowiem więcej przez nią pieszczone, więcej garnie się do matki, w niej szuka sobie obrony przeciwko wymaganiom nauczycielki lub w sprzeczce z rodzeństwem, jeśli zaś inne dzieci są względem matki zimne i sztywne, to dla tego, że czują w niej brak uczucia macierzyńskiego, czują że drażnią swą matkę, która niejednokrotnie szorstko i niesłusznie na nie fuknęła! Wciąż napominane, posądzane, podejrzywane, przesądzane, w stosunku do matki tracą prostotę, i w samej rzeczy są sztywne i układne, lecz — czyja w tem wina?

*„Zawsze ci błędzą sercem, iż nie poznali dróg moich“*  
(Ps. 94), żali się Pan usty króla Proroka. Czyż te słowa żywcem się nie stosują do wielu matek?

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



## SPIS RZECZY.

	Str.
Do matek i wychowawczyń . . . . .	1
Nowe prądy i wychowanie . . . . .	11
Dziecko . . . . .	39
O trzech głównych zadaniach wychowania . . . . .	51
Religia podwaliną wychowania . . . . .	69
O nauce katechizmu . . . . .	87
O przedszkolnem kształceniu dzieci: O metodzie poglądowej nauczania . . . . .	101
O metodzie Fröbela . . . . .	119
O rozwijaniu dzieci . . . . .	129
O kształceniu charakteru dziecka: O indywidualności . . . . .	139
Kształcenie zasady: O kształceniu dzieci w prawości . . . . .	155
O kształceniu woli: Miękość źródłem choroby woli . . . . .	171
O posłuszeństwie . . . . .	187
O kształceniu serca . . . . .	207
Praktyka zaparcia i pokory w wychowaniu . . . . .	223
O wyborze nauczycieli . . . . .	243
O karach i nagrodach . . . . .	257
O ubiorach i zabawach dzieciennych . . . . .	273
O książkach do czytania dla dzieci . . . . .	289
Hygiena w wychowaniu: Zasady higieny wychowawczej . . . . .	303
O nerwach . . . . .	319
O nieporządnej miłości matek dla swych dzieci . . . . .	343





40318/  
12